

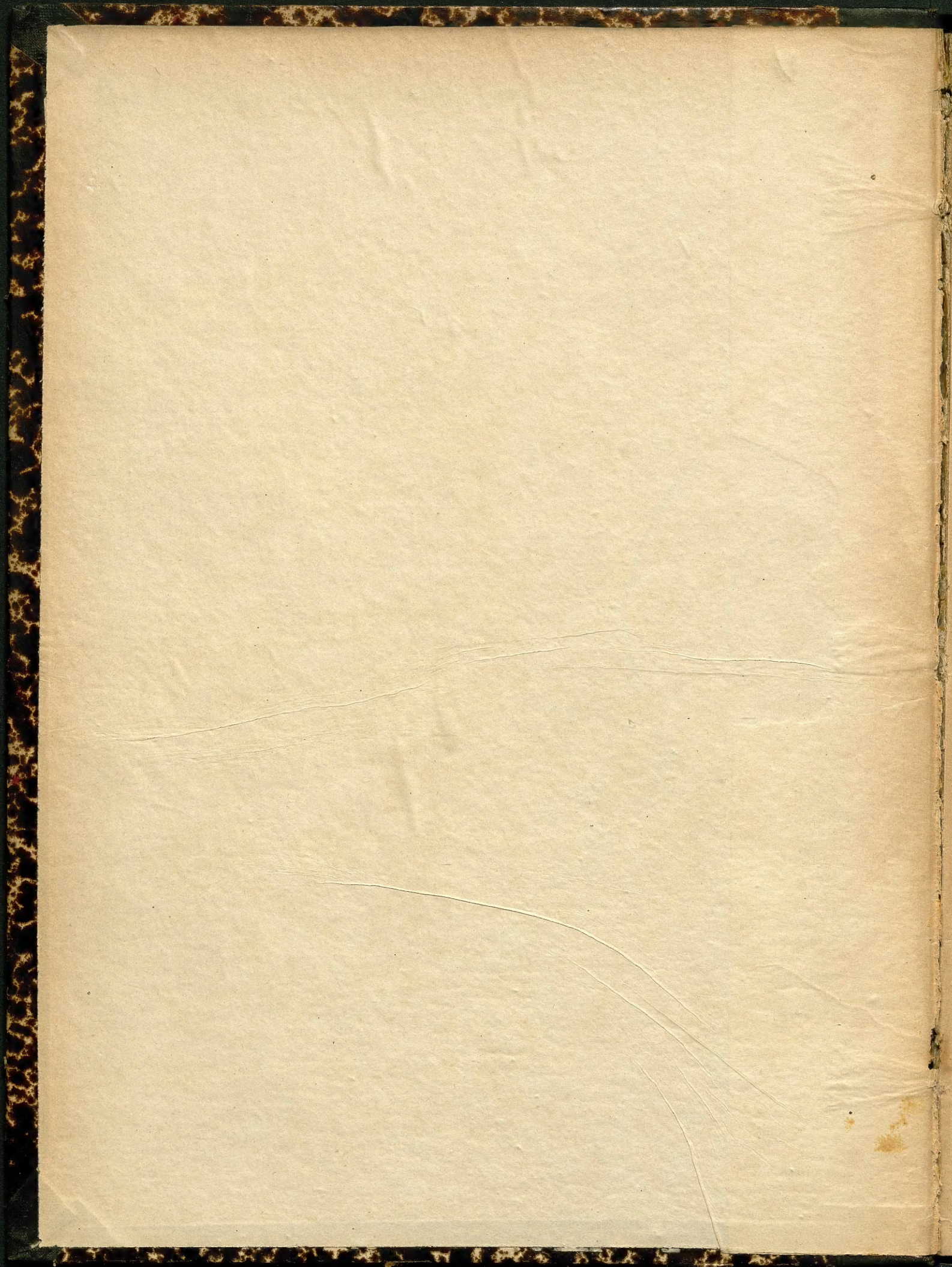
EGZEMPLARZ
BIBLIOTEKI
ARCHIWALNY

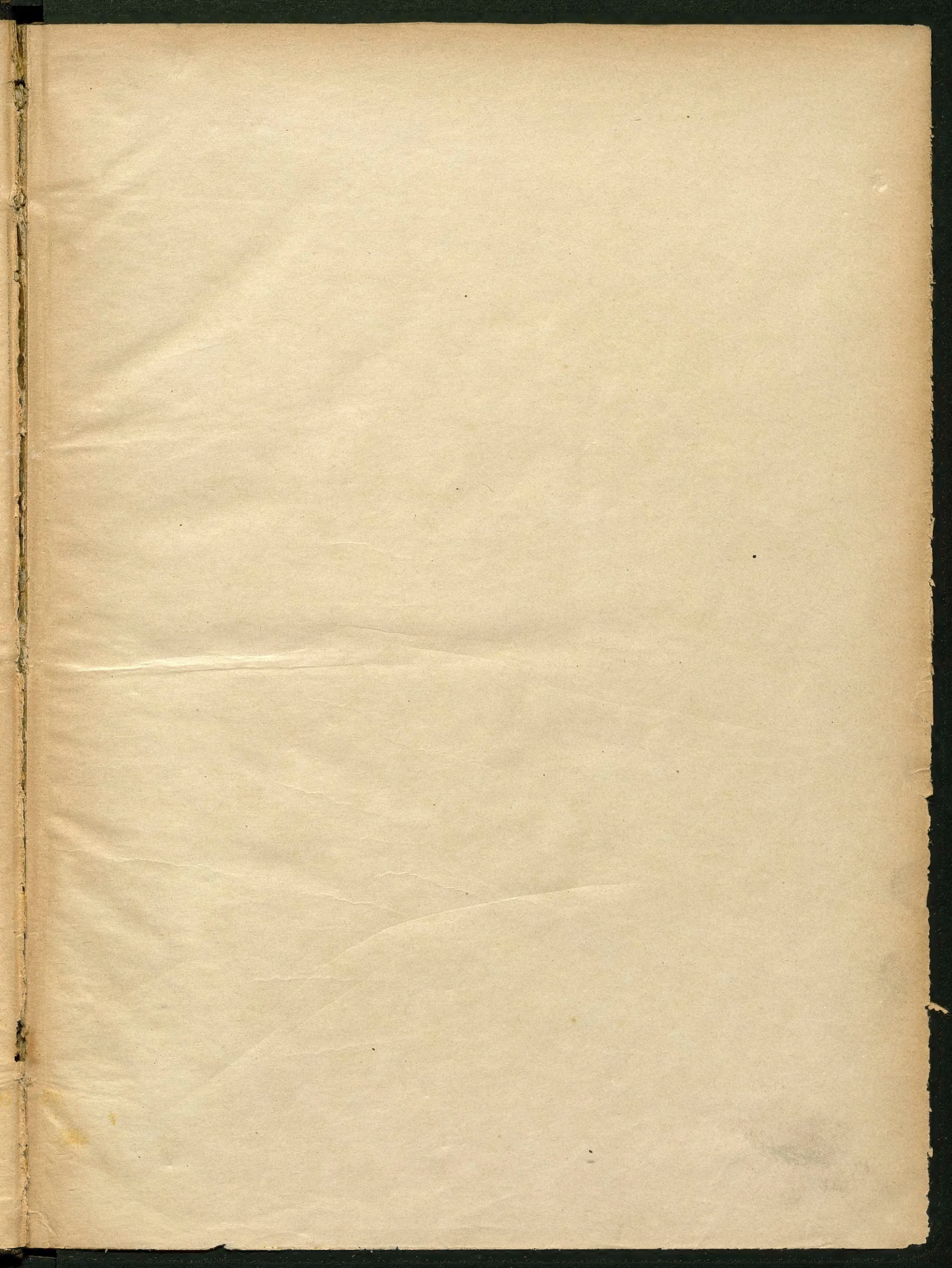
98.955

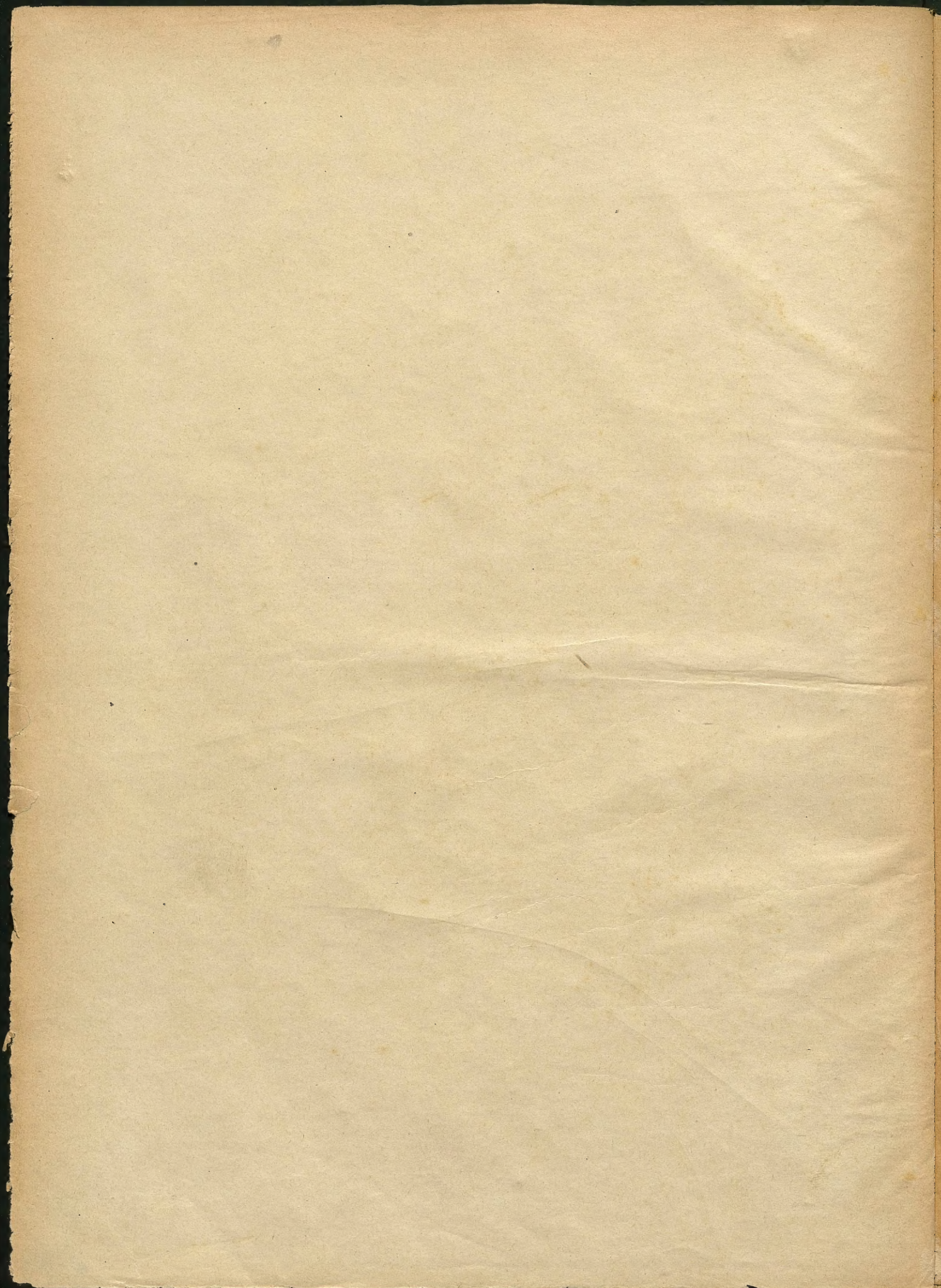
1897

Cim

98.955







Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej”

Nr. 1.

Cik, na Niedzielę dnia 3 stycznia.

1897.

Pieśń noworoczna.

Cześć, chwala Tobie, Panie wszeź świata
Jeś nam doczekać dał dosiego lata,
Daj abyśmy się wszyscy odrodzili,
Grzech opuściliśmy w niewinności żyli.

Niech pokoju, ułucz świętej zgody
Niech jej naruszyc boją się narody,
A Ty nas niechciej odstępować, Panie,
Ale miej o nas ojcowskie staranie.

Łaska twa święta niechaj będzie z nami,
Boć nic dobrego nie uczynim sami,
Wesprzuj nas Twoą mocą, przyspórz prawej wiary
Niech rozpoznamy Twe prawdziwe dary.

Błogosław, Panie, ziemi w swej szczerobrości
Niechaj nam wyda dostatek żywności
Chroń nas od głodu i powietrza złego;
Daj wszystko dobre z miłosierdzia swego.

Nowy rok.

Evangelia św. Łukasza, r. 2, w. 21.

„A gdy się wypełniło ośm dni, aby obrzezano ono dzieciątko, tedy imię Jego nazwane jest Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwszej niż się w żywocie poczęło.”

Dzień noworoczny ma podwójne znaczenie! Jest uroczystym w znaczeniu światowym, bo z dniem tym rozpoczynamy rachubę lat; i jest uroczystym w znaczeniu chrześcijańskim, bo przypomina poddanie dzieciątka z Betleemu pod Zakon i nadania mu imienia. Świat obchodzi dzień noworoczny w sposób światowy. Czy sposób ten, czy rozliczne wiążące się z nim zwyczaj są rozsądne i nie mogą czasem na nasie śladów nieznanstwa, nie chcę się w tej chwili nad tem zastanawiać. Jako sługa Chrystusa Pana, jako szafarz tajemnic Bożych, wykładający znaczenie owych tajemnic dzieciom Bożym, chcę zwrócić przede wszystkim uwagę waszą na chrześcijańskie znaczenie Nowego roku, jako dnia pamiętki nadania imienia Jednorodzonemu Synowi Ojca z wieczności. Dzieciątku dano imię Jezus, — zastanówmy się więc w tej uroczystej chwili nad

Znaczeniem imienia Jezusowego dla całego świata.

Pierwej jednak prosimy Cię Panie, Boże wszechmogący, racz nam dopomóż przez Ducha świętego, aby serca nasze przyjęły chętnie zwiastowanie Ewangelii, i słowem Twym poświęcone, w świętości żyć zapragnęły! Amen!

Po zwiastowaniu adwentowym, po nocy Betleemskiej, dzieciątko Maryi, chociaż z Ducha św. poczęte, zostało wedle Zakonu Mojżeszowego obrzezane. Zdawałoby się, że Syn jednorodzony nie potrzebował być poddanym pod prawo obowiązujące lud izraelski, bo jako Syn Boga żywego nie izraelitą był, ale panem i zbawicielem wszystkich narodów. Powtarzam, takby się zdawało, sądząc wedle zwykłego rozumu ludzkiego, lecz w sprawach Bożych nie wystarcza rozum, — tu wszystkiem i nadewszystko jest słowo Boże. Cóż słowo te powiada o obrzezce? Oto w pierwszej księdze Mojżesza, w rozdziale 17. czytamy tak brzmiały rozkaz Jehowy: „Nadto rzekł Bóg Abrahamowi: Ty też przymierza mego przestrzegać będziesz, ty i nasienie twoje po tobie, w narodziech swoich. A toć jest przymierze moje, które zachowywać będziecie, między mną i między wami, i między nasieniem twojem po tobie, aby był obrzezany między wami każdy mężczyzna. Obrzeczecie tedy ciało nieobrzeżki waszej, a to będzie znakiem przymierza między mną i między wami” (w. 9—11). Obrzezka więc była znakiem przymierza zawartego między Bogiem i Abrahamem, owym mężem, któremu powiedział Jehowa: „iż stanowi go ojcem wiele narodów” (Mojż. 17, 5); była znakiem wybrania i poświęcenia ludu, z którego miał wedle ciała wyjść Mesjasz, zbawiciel narodów. Na świadectwo więc, że przymierze zawarte przez Boga z Abrahamem i z ludem izraelskim było prawdziwem, i że zapowiedziane w przymierzu błogosławieństwo w całej zupełności ziści się w sobie Mesjasza dzieć Maryi, Syn jednorodzony, poddany był pod Zakon obrzezki. Pierwszą tą krwią swoją zwiastował owo zbawienne przelanie krwi serdecznej na krzyżu z Golgoty, krwi, która płynęła dla zbawienia Izraela i wszystkich ludów całego świata.

Przy obrzezce „nazwano imię dzieciątka Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwszej niż się w żywocie poczęło.” Imię to więc, nie nadane wedle ludzkiego upodobania, ale wedle rozkazu Bożego, bo jak urodzenie Zbawiciela nie było z woli ciała, tak i imię Jego miało być stwier-

dzieniem spełniającego się planu Bożego. Wogóle wszystko co się dzieje w życiu Chrystusa, wszystko, poczynając od pocienienia Maryi przez Ducha świętego, aż do wstąpienia Pańskiego na niebiosa, jest jedynym nieprzerwanym czynem Bożym, jest spełnieniem owych słów Odkupiciela, że w tem, co jest Dica, On być musi. Dcieie i Duch święty świadczą o Synu, Syn czyni wolę Dica, i w wszystkim co sprawuje Jednorodzony tu na ziemi, objawia się nłoc i chwala Boga w Trójcy św. Dla tego kto ów związek Boży chce rozrwać, nie umiejąc go zwykłym rozumem dopatrzeć, wpada w niezliczone błędy i kłamstwa. Kto oślepiwszy lub przyłożnwszy do oczu szkla ludzkiej umiętności, zbrudzonemi palcami chce dotykać Chrystusa i pysznemi oczami oglądać żywot Jego, nie tylko, że nie ujrzy Pana, ale kłamiąc, opowiadać będzie Chrystusa swego, Chrystusa czasów terażniejszych, Chrystusa proroka, nauczyciela, a nawet marzyciela i obtudnika, — nigdy jednak Tego, który był nazwany od anioła Jezusem. I zaprawdę, inaczej być nie może. To co Boskie, po Bożemu sądzone i pojmowane być musi; — kto się od Boga odwrócił, jakoż może zrozumieć Boga? Kto chce być mistrzem Bożym, musi popaść w pychę i następstwo pychy, zgłupienie! Dopóki ludzie tylko wedle zmysłów sądzili widok słońca, trwali w błędzie, sądząc, że słońce obraca się około ziemi. Podobnemu błędowi ulegają pyszałkowie, chcący, aby Bóg w drogach swych i planach chodził zwykłemi drogami ludzkiemi; aby w sprawach swych nie przekroczył granic zwykłej możliwości i ludzkiej wiedzy. Tacy nie pojmą nigdy Boga; nigdy się do Niego nie zbliżą; tacy fałszując Pismo święte, trzymają Chrystusa. Dla fatich słowy rok jest albo dniem bez znaczenia, albo dniem świątowego obyczaju; przemija w ich życiu doczesnem bez śladu, a w życiu wiecznym przeciw nim świadczyć będzie. A nie tylko tak się dzieje z uczonymi niedowiarkami, — i prostaczek, i człowiek żadnych ksiąg nie biorący do ręki, jeżeli zafkał uszy na wołanie Ducha świętego odzywając się z fatęgi słowa Bożego, dzień Nowego roku albo zastanie go beżmyślnie siedzącego na ławie tościelnej, albo biegającego po świecie, winującego drugiem nie z serca, ale sobie dla zarobku, albo zatopionego w szalonych uciechach, Jeżeliście naprawdę chrześcianami, radosnym, szczęśliwym, błogosławionym musi być dla was dzień dzisiejszy, bo to dzień paniątki, w którym wedle zwiastowania anielskiego dziecięciu Maryi, Synowi Bożemu, pod krwawy żakon Starego Testamentu poddanemu, dano imię — Jezus!

2.

Jezus! Co znaczy to imię? Wytkąd znaczenia imienia danego dzieciątku znajdujemy w pierwszym rozdziale Ewangielii św. Mateusza. Oto anioł Pański powiada Józefowi o Maryi: „A narodzi syna, i nazwiesz imię jego Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów ich“ (w. 21). W imieniu Jezusa zawarta jest tajemnica zbawienia! Imię Jezusa to hasło zwycięstwa nad grzechem i przyczyna grzechu, to jest szatanem i zapłatą za grzech, to jest śmiercią.

Dla tego apostoł Piotr, będąc pełen Ducha św., mówi do przełożonych ludu i starszych Izraelskich o imieniu Jezus: „I niemasz w żadnym innym zbawienia; albowiem niemasz żadnego imienia pod niebem danego ludziom, przez które byśmy mogli być zbawieni“ (Dzieje apost. 4, 12.) Dla tego Paweł, dawny prześladowca Ukrzyżowanego, wyznaje w liście do Tymoteusza: „Wiernać jest ta mowa i wszelkiego przyjęcia godna, iż Chrystus Jezus przyszedł na świat, aby grzeszniki zbawił, z których jam jest pierwszy. Ale dla tego miłośierdzia dostąpił, aby na mnie pierwszym okazał Jezus Chrystus wszelką cierpliwość na przykład tym, którzy weń wierzyć mają ku żywotowi wiecznemu“ (1 Tymot. 1, 15, 16). Dla tego czytamy owe wielkie słowa zapisane w liście do Filipensów: „Bóg nader Go wynwyższy i darował Mu imię, aby w imieniu Jezusowem wszelkie się folano skłaniało, tych, którzy są na niebiesiach, i tych, którzy są na ziemi, i tych, którzy są pod ziemią. A wszelki język aby wyznawał, iż Jezus Chrystus jest Panem, ku chwale Boga Dica“ (2, 9—11).

Imię Jezus, to imię zwiastujące pokój, bo w imieniu tem jest grzechów odpuszczenie, a kto ma grzechów odpuszczenie, ten ma pokój w sumieniu swem, ten z ufnością spogląda w przyszłość, bo Chrystus gładzi grzechy i przemienia przyszłość.

Imię Jezus to tarcza i obrona przed napaścią szatańską i pokusami świata, bo ten, który imię to nosił, Syn Dica z wieczności i człowiek prawdziwy, szatana zwyciężył, będąc od niego łuszonym, a kto imienia Jezusowego używa, kto w imieniu tem modli się, ten zwycięży łusciela i pokusy tego świata, ten jest odważnym i niezwyciężonym bojownikiem.

Otóż, kiedy dziś Ewangelia przypomina nam, iż przed wiekami imię Jezus dano wedle zwiastowania anielskiego dzieciątku z Maryi narodzonemu, własna pamięć nasza musi nam przypomnieć, że w imię to ochrzczeni, jesteśmy imiennikami Chrystusa a członkami ciała Jego. Jako imiennicy Chrystusa w dniu nadania Mu Jego imienia czy nie powinniśmy zapytać siebie, azali nie przynieśliśmy temu imieniowi hańby? Azali nie nadużywamy tego imienia jak ów zakon, który przybrałszy imię Jezuitów, to jest stowarzyszenia Jezusowego, kłamił chwałę Ukrzyżowanego, religii używa jako środka do dopięcia ziemskich celów, a kłamstwem splugawiony raczej by się miał nazwać bractwem antychrystusowem! Tak dziś powinniśmy zapytać siebie samych, czy będąc imiennikami Jezusa, śladem stóp Jego chodzimy? Czy w roku minionym uczynili i myśli nasze, nasze mowy i prace nasze, nasze radości i utrapienia były spełniane i dokonywane w wierze i miłości ku Temu, którego przed wieki nazwano Chrystusem? Powinniśmy zapytać samych siebie, czy w roku ubiegłym zyliszy z Chrystusem, czy bez Niego, byli z Nim czy przeciw Niemu, czy ogrzewaliśmy serca nasze Jego miłością, czy stygli i ziębli w wewnętrznym człowieku, stawszysy się niemołnikami świata?

O, dzień Nowego roku to wielki dzień! To dzień pytań i badań, które nie do ludzi ale do

siebie i do Boga zwracać powinniśmy. Za nami leży przeszłość! Z tej przeszłości każdy, i najmniejszy uczynek, każda, i najdrobniejsza myśl zapisana jest w księdze naszego żywota (Objaw. 20, 12). Jeżeliśmy tego, co było złem, grzesznem, nieprawem, co świadczyło o naszym niedbałstwie, naszej lekkomyślności, nie starali się zgładzić w imieniu Jezusa, — jakąż będzie przyszłość nasza? Któż z nas wie, czy ten, poczynający rok nie będzie ostatnim w życiu naszym? Któż wie, czy nowy ten rok nie przyniesie nam karań Bożych, które złamają twarde serce, a zaślepiony umysł jeszcze ślepszemu czynią; albo błogosławieństw, które pysznego ducha naszego zamiast napędląc pokorą i wdzięcznością, odmą tem większą jeszcze pychę? Któż wie, czy rok poczynający się nie jest brzemieniem gromami wojny, chłostą głodu, różgą ognia i zalewów, albo obdchem zarazy? Któż na koniec wie, czy z obłoków, które minto niezliczonych wieków nie starzeją się i nie giną, a które i w tym roku namioty swe nad głowami naszymi rozpinąć będą, nie zstąpi Jezus, by sądzić żywe i umarłe? Ah, najmiłsi! Któż wypowiedzieć zdola to wszystko, co się kryć może w łonie jednego roku? Kto przeniknąć, czem nas dotknąć jest w stanie każdy z owych trzystu sześćdziesięciu pięciu dni? Toż w każdej minucie dnia, a minut tych liczy każdy dzień tysiąc czterysta i czterdzieści, w każdej, mówię, takiej minucie możemy stracić mienie, żonę, dzieci, część, żywot doczesny, — nawet żywot błogosławionny, wieczny! Przypomnijcie sobie to w dniu dzisiejszym, a nie będziecie spoglądać w przyszłość jak dziecię, które nie znając palącej siły ognia, myciga do niego rączką, gotowe je włożyć w straszne płomienie. Przypomnijcie sobie grzechy dni i lat ubiegłych, zmarnowaną młodość, źle użyte czasy dojrzałego wieku, zbutwiałą starość, lekkomyślne i bezmyślne ignoranie z waszą niesmiertelną duszą, haniebną poddawanie się żądzą ciała i świata, uparte zaniedbywanie słowa Bożego, szatańskie znieważanie dnia świętego, szalone rozrywanie szaty świętości, w którą was Bóg oblekł w dniu Chrztu, — a zaprawdę! upadnięcie na oblicze i zawołanie; Panie, Panie! wielki w miłosierdziu: dzięki Ci, że jeszcze doczekał dzisiejszego, gdyż nie chciałeś śmierci grzesznika, ale chcesz, aby się nawrócił i żył!

Najmiłsi, jeżeli westchnienie żalu i strachy serce wasze przejmują, przypomnijcie sobie, com wam tej uroczystej chwili mówił o imieniu Jezus! W imieniu Zbawiciela wołajcie na progu przyszłości, aby On, który się nazywa Jezus, to jest „wybawiciel od grzechu“, odpuszcł wam i zgładził grzechy przeszłości. W imieniu Jezusa wołajmy wszyscy do Ojca w niebieszech, bo Ten, który umikował świat tak, iż dał zań na śmierć Jednorodzonego Syna swego, jest Bogiem miłosierdzia i chce, aby całemu światu imię Jezus stało się imieniem zbawienia i pokoju. Wołajmy i prosimy, aby imię Jezus zapisał Duch święty ognistemi zgłoskami na sercach naszych! Wołajmy i prosimy, aby każdej chwili imię Jezus stawało nam na pamięci; abyśmy imieniem tem, jak tarczą osłaniając się, gasili płomieniste strzały szatana: abyśmy

w imieniu tem szukali pokoju dla duszy, mądrości dla rozumu, uświęcenia dla ciała, a dla całego człowieka żywota wiecznego i wiecznego zbawienia. Chryste Panie, zmiłuj się nad nami! Wierzymy, jaka przyszłość nas czeka, lecz grzeszni, upadli, w sercu naszym zepsowani, wołamy i prosimy: zmiłuj się, zmiłuj się w Twojem, Jezusowem imieniu pozwól nam znaleźć odkupienie, poświęcenie, doczesną świętość i wieczne zbawienie. Amen.

Praca wzbogaca.

Oj! bieda, bieda na świecie! Człowiek już nie wie gdzie ma głowę. W domu kłopot po za domem kłopot. Żona przędzi, córki próżnują, i tylko im stroje w głowie; dobrej czeladzi to i na leśarstwo nie znajdzie; drożyna wielka, wciąż dawaj a dawaj, a tu niema zład; roboty źle płacą, a materjał drogi. Człowiek płacuje i pracuje, a niczego dorobić się nie może! Tak to nieraz rzemieślnik, jak mu bieda dołuczy, sam ze sobą gawędzi; a ta gawęda na czem się zwykłe kończy? Na frasunek dobry trunku! Z nasuwa czapkę na głowę, bierze łaskę do ręki, zatrzaśnie drzwiami i wychodzi z domu! Ale gdzież on idzie? Może do kościoła, bo to jeszcze rano, drzwi kościelne otwarte. Może idzie przedłożyć Bogu nędzę i biedę swoją, a prosić o pomoc i błagać, aby się Bóg zlitował nad jego niedolą, używał mu światła potrzebnego, i obdarzył go cierpliwością w znoszeniu przeciwności; może idzie starać się o materjał potrzebny, aby nabywszy go podwojoną pracą naprawić złe interesa? Może idzie do mądrego, przeczornego przyjaciela, aby u niego rady zasięgnąć? O nie! On idzie do zwykłego rzemieślnika swego, a tem rzemieślnikiem, to pijatyka. On dostojnie w niem wojster. I nie baw, kiedy wiernie w niem się ćwiczy. Idzie do dobrego przyjaciela swego. Który już z kieliszkiem w ręku nie może się doczekać jego przybycia. Idzie do zwykłego kościoła swego, — do szynku. Okropne to zaiste! Nie mógł sobie lepiej poradzić i z biedy się otrząść. Na co pracować, męczyć się, — kiedy najłatwiej się upić i o wszystkim zapomnieć!

I cóż dziwnego, że panowie i gospodarze, widząc co się w twoim domu dzieje, żadnej nie chcą ci powierzyć roboty. O bracia, to już serce boli, na co to ten stan rzemieślniczy zeszedł u nas? Stan taki piękny, pożyteczny i zbawienny. A przyczyna tego, wyznajmy szczerze, to z bardzo małemi wyjątkami nałóg pijaństwa, tak rozszerzony i zaforżeniony między rzemieślnikami, nałóg, który tyle rodzin w trąca w przepaść zepsucia i boleści, i zabija szczęście doczesne i wieczne! Dzień powszedni i poranek, a w warsztacie niema pana majstra; robota pilna obstalowana leży jeszcze nie rozpoczęta; czeladź zaspana wyciąga się i gawędzi, a biedna matka z dziećmi płacze rzewnie w ubogiej izdebce! A pan majster gdzie? Zasiadł sobie wygodnie z podobnymi sobie towarzyszami za stołem w szynkowni, w dymie fajekany jak w obłoku; nikt nie rozegna kto tam siedzi, tylko słychać gwar i brzęk kieliszka, a spora flasza

anyżówki jak by bożyszczce jakie świeci przed nimi.

I tu dopiero rada się rozpoczyna.

Co tu robić, jak tu biedę z domu wypłoszyć, jak tu się z nędzy podzwignąć? Lecz gdzieżby to złowief, będąc z pełną prężą rozumie, mógł coś obrze radzić! Tu rozum w ucho ciagle ci szepcze: Wróc do domu, wstąp do kościoła, pomódl się, a potem zabierz się szczerze do roboty, to najlepsza, to jedyna rada; w szynku nie mądrego nie uradzisz! Bo jakże tu radzić można, gdzie głos sumienia wszystkich sztył mięsza, i ciagle się odzywają: Nie będzie w domu błogosławieństwa Bożego, kiedy ty w szynku prześiadujesz. Więc trzeba, koniecznie trzeba pozbyć się natrętnego gościa, i rozum ściemnić, i sumienie zgłuszyć; wtedy dopiero coś mądrego, forzystnego się uradzi! I trąży kieliszek po kieliszku; szynkarz z radości się uśmiecha, i stoi już z drugą flaszką na zamówienie. Dcny poczynają się iskrzyć, twarze czerwienieją, języki się płaczą; ale jakoś do ładu i porządku przyjść nie można; jeden radzi tak drugi inaczej; nie się tu do końca nie trafi; trzeba się zdać na sąd jakiego przyjaciela rozumnego, doświadczonego i rozumnego. Przyjaciel ten już czeka. On napróżd już wyrachował swoje zyski lichwiarskie! No o cóż to mam idzie? O to, słuchaj panie gospodarzu! Mam zamówioną pilną robotę. Pieniądze na zadatek dla skupienia materiału już się wzięły, lecz się gdzieś rozeszły, a tu nalegają na oddanie roboty, bo termin już dawno minął; racie więc, co tu teraz robie? No czemuście pierwszej tego nie powiedzieli. Panowie majstrowie zawsze tak łaskawi i do mnie przychodzicie, ja także zawsze najchętniej szyn na wasze usługi. O to 13 marek dam je na czesć miesięcy i na niewielki procent: tylko 2 i pół fen. od 30 fen. na miesiąc. Ale potrącę zaraz połowę procentu, i trzy marki, któreście winni za wódkę. I wziął pan majster trzy marki, a zaciągnął dług na pół osma marki, a dziękuje jeszcze umiżenie za usługę. Prawdziwie tylko przy wóдке można zrobić takie interesa. Następują ciałe pożegnania, i panowie majstrowie obiecują zawsze przychodzić po radę i zapomogę do tak dobrego przyjaciela. Cała czułość wysypała się w szynku, a w domu dla żony i dzieci zostały tylko słowa grubiańskie i żelzywe. Kłnie na czem świat stoi bo mu żona niesmaczny obiad przyrządziła, a on przecież na ten obiad ani fenyga nie zarobił! Na ten fawalek mięsa i tych kilka kartofli żona z dziećmi całą noc bezsenną pracowała. Krwawym ich potem ten obiad zaprawiony!

Pójdzie pieniądz za wódkę, dla tego mało który talacz ma sucha drzewo, szynkarz ochoczo umiatałona kórę, kował hartowne żelazo; spuszcza się majster na czeladź, frawieć źle przytroi, a szwaczka źle uszyje; a gdy przyjdzie płacić, to się domagają takiej zapłaty, jakby za najporządniejszą robotę! I cóż dziwnego, że każdy woli albo towar, albo samych rzemieślników sprowadzać z obcych krajów, bo robota idzie sporzej, żwawiej i lepiej. Mówisz; nie mam roboty; a jednak gdy masz zamówioną,

to doprosić się jej nie można. Poład jaki grosz w kieszeni, to ani myśli o pracy, a kiedy bieda przyciśnie, to pełno narzekania i jęku. Mija jeden, drugi i trzeci termin, a ty się ze słowa nie wywiązujesz, i roboty nie odnosisz. Jakże ja odnieść, kiedy jeszcze nie zaczęta! Zadatek się zmarnował, a gdy przychodzi co do czego nie masz ratunku innego, jak tylko zastawić rzeczy żony i dzieci, i wziąć pieniądze na lichwę. O mój bracie! kiedy raz w lichwiarskie dostaniesz się szpony, to już nie dla siebie, nie dla żony, nie dla dzieci twoja praca, ale dla lichwiarza. Tyś jest sługą, niewolnikiem jego; twoja praca, jego płaca! Wieluż to jest takich rzemieślników, którzy jeszcze niedawno temu dobrze się zachowywali i dobrze im się powodziło, a dziś przez lichwę do takiej przyszli nędzy, że ledwie ręki po jałmużnę nie wyciągają z Skądże to? Bo jak im Pan Bóg błogosławił, korzystac nie umieli. A gdyby ten czas, na szynk zamarnowany, a czasami pieniądz był użyty do pracy i do zakupienia materiału: ileżby to i zdrowia, i szczęścia, i błogosławieństwa Bożego, i grosza przybyło!

Rozwiązanie z nr. 50.

Moje mili przyjaciele —
Posłuchajcie jak was wiele:
Roku 1896 usłyszelim coś nowego
Wyszła nam z Otku gazeta
I to nie jest jaka pleta.
Ludowa się nazywa,
Dwa razy w tydzień do nas przybywa.
Także z ewangelickim bezpłatnym
I ten jest nam bardzo jasnym,
Przynosi nam dość czytania,
Jako i śliczne kazania.
Też i zagadunek wiele —
Które rozwiązuje śmieie,
Z numeru pięćdziesiątego
Z układu takiego:
Raz się trafiło,
Ze się przybyło
Pod drzewo zielone,
Wiele rozkrzewione;
Tam ja coś zoczył
I wraz podstoczył,
Zoładź urwałem
I mi się przyjrzałem.
Od brzegu pudelko
Przy końcu szudelko
I jaderka we środku
Masz półcie mój chłopku.
Ze skorupy kołyski
Sę uklon niski

Wydawnictwo Księgarni i Drukarni w Otku

Rozwiązanie zagadki z nr. 51.

Pasek.

Zagadka.

Stoi dąb, na debie konop, na konopi glina,
na glinie świnia.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Ar. 2.

Ciż, na niedzielę dnia 10 stycznia.

1897.

Piosenka na Gody.

Muz.: „Wo findet die Seele, die Heimath, die ruh?“

Ma duszo, przybliż się do łobu Pana!
I chciej też przywitać Jezusa z rana
Cherubinów poczet z Niebios zstąpili
A wdzięcznie i mile Jego chwalili
Łącznie — wdzięcznie, Mu śpiewajmy
Króla, ach z niebieskich mile witajmy :.

Aniołów cne grono w światłości stali
Jezusa pasterzom tam zwiastowali
K' Betlehem pasterze, śpieśnie lecieli
A cóż radosnego tam uwidzieli?
W łobie — k' tobie Król spoczywa
Dboż też Jezusa matka szczęśliwa :.

Gdzie leży Król niebios i Pan nad pany?
Raju On właściciel Jezus Kochany
On leży w stajence tam w twardym łobie
Dziś przyszedł na ziemię i woła k' tobie:
Krążyj — dążyj, przychodź do mnie
Ustawac dziś będę, z tobą w twym domu :.

Tak przystąp ma duszo dziś do Chrystusa
O jaka szczęśliwa ty będziesz dusza
Koronę ozdobią, ach przyniosł k' tobie
On, Jezus, który tu leży dziś w łobie
Miejmy — siejmy, wiarę w Niego,
Pan Jezus z nas zbawi zawsze wiernego :.

Oj błogo, i mile z Jezusem bywać
Nuż chciejmy radośnie Go do się wzywać —
O Jezu przywitaj nas tej to chwili
Wdzięcznie nas prowadź sam bym z Tobą byli
Ach przyjdź i wniądź w nasze progi
Paskawie Cię prosim, Jezu nasz drogi :.

Michał Rajta.

Noworoczny dar Boży.

Evangelia św. Łukasza 2. 21.

„A gdy się wypełniło osm dni, aby obrzezano ono dzieciątko; tedy imię jego nazwane jest Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwszej niż się w żywocie poczęło.

Wiele ruchu jest między nami w dzień Nowego Roku. Chodzą ludzie do ludzi, i życzą sobie nawzajem szczęśliwego i dobrego nowego roku, a

pozyczy ani nadążyć nie mogą, aby porozysłać listy i karty i telegramy z życzeniami najrozmaitszymi. Wiele jest w tych życzeniach szczerości serdecznej i przyjacielskiej życzliwości, lecz wiele też tylko obowiązkowej czynności, albo tylko towarzyskiej grzeczności, oprócz tego i wiele żebrania i nawet obłudy. Czekają też wszyscy bardzo tych gratulantów noworocznych, i to nawet z pewnym zabo-
bonem, bo radzi widzą człowieka młodego, co im pierwszy składa życzenia, a strach ich ogarnia, gdy jako pierwsza osoba wlezie im w nowy rok w drogę; dajmy na to, stara baba. Ach, i wieleż to takich ludzi biednych, opuszczonych i smutnych, do których żadna miła dusza nie zawita z powinszowaniem żadnem! Marne jednak są wszystkie te życzenia ludzi słabych i szajtelnych, bo któreż życzenia spełnić oni mogą? Ostatecznie zawisto wszystko od Boga, co on człowiekowi dać raczy, albo czego on mu zechce odmówić. I najszczęśliwsze i najpiękniejsze życzenia ludzkie tylko wtedy spełnić się mogą, jeśli Pan Bóg spełnić je raczy. Otoż wступujemy w rok nowy nie tylko za porządkiem przyrody i według ustanowienia ludzkiego, ale także jako chrześcijanie, i świadczymy, że nie tylko ludzkiego serca umieją innym i dawać co dobrego, ale owszem że miłość najwyższą, sam Bóg wieczny i wielki, życzę ludziom co najlepszego, a to żeby nikt nie zginął, ale żeby każdy udał się do pokuty, nawrócił się i żył. A takie życzenie Boże nie tylko jest ukryte w sercu, albo opowiedziane słowem jego, lecz objawione i potwierdzone jest uczynkiem najwyższej miłości, tym uczynkiem, że co miał najzacieńszego i najmilszego i najdroższego, to nam dał Dzieciec niebieski, dał nam Jednorodzonego Syna swego. W porządku przyrody niema roku nowego, każdy ponawiający się po kolei rok jest rokiem starym, podobnym do wszystkich swoich poprzedników, jako rok człowieka starego, co się psuje przez pożądliwości oszukiwające. Nowe lata i czasy nowe rozpoczynają się prawdziwie dopiero od tej chwili, gdy on nowy człowiek z nieba zstąpił na ziemię, i osobę i życie swoje zespolił i złączył z osobą i z życiem człowieka. Jako dziecko, położone w betlehemijskim łobie, stawiał się na ziemi on nowy człowiek z nieba. Lecz wtedy on był tylko darem dla matki jego, dla onej służebnicy Pańskiej, był darem dla Józefa, człowieka sprawiedliwego po starotestamentowemu, był darem dla onych pasterzów, co

go pierwsi powitać śmieli, ale nie był jeszcze darem dla całego narodu, ani przez naród ten darem dla świata całego, i darem także dla ciebie. Dopiero w dniu ósmym swego ziemskiego pobytu, gdy przyjął obrzezanie, stał się on darem dla wszystkich Izraelitów, bo został Izraelitą. I gdy przyjął imię człowieka, stał się darem dla wszystkiego świata, i dla każdego człowieka, co jako osoba też po imieniu nazywany bywa na świecie. Wtedy w tym dniu ósmym, a był to właśnie dzień noworoczny, gdy za zarządzeniem Ojca niebieskiego dano Synowi jego Jednorodzonemu obrzezanie starotestamentową i imię człowiecze, zadokumentował ten Dzieciec niebieski, że ten Syn jego jest noworocznym darem jego dla wszystkiego świata i dla każdej duszy w nim, dla wszystkich czasów i dla każdego w nich roku.

Pięknie są tedy dobrane ustępy z Pisma świętego do kościelnego użytku w dzień noworoczny. Lekcja bowiem z listu do Galatów wyraża skutki Bożego daru noworocznego, jako ludzie stali się jednym w Chrystusie i nasieniem Abrahomowem i dziedzicami. A ewangelia stawia nam przed oczy sam dar noworoczny, mówiąc: A gdy się wypełniło ośm dni, aby obrzezano ono dzieciątko, tedy imię jego nazwane jest Jezus, którem było nazwane od anioła, pierwszej niż się w żywocie poczęło. Zniwala nas tedy ewangelia noworoczna oglądać

Noworoczny dar Boży

1) jako dzieciątko, 2) dzieciątko obrzezane, 3) dzieciątko nazwane przez ludzi i przez anioła.

1. Noworocznym darem Bożym dzieciątko.

Już w on czas, gdy pierwszy człowiek na ziemi zgrzeszył i stał się starym i skazitelnym i śmiertelnym Adamem, prochem, co w proch obrócić się musi, obiecał mu Pan Bóg dać dziecię, bo nasienie niewiasty; i dziecię dziwne, które wężowi potrzebie głowę; i dziecię boleści, bo je wąż ufaści w pięcie. I tego dziecięcia też czekali ludzie od samego początku świata. Już Ewa pierwsze swoje dziecię nazywa Kainem, to jest darem, wyzłaskany od Jehowy, od Boga łaski. A przed potopem, Lamech, dziecię, które mu się urodziło, nazywa Nochem, to jest pociechą, dzieciątkiem, otrzymanem od Jehowy, od Boga pociechy, i ufa, że z tem dzieciątkiem nastanie czas nowy i dzieje nowe, czas pociechy i dzieje pociechy. A później, taki prorok Izajasz, też prorokuje o dzieciątku jako o przemożnym pocieszycielu, i tak mówi: Dziecię narodziło się nam, a syn dany jest nam, i będzie panowanie na ramieniu jego; a nazowię imię jego: Dziwny, Nadny, Bóg, Mocny, Dzieciec wieczności, Księżę pokoju. A tu rozmożeniu tego państwa i pokoju, któremu końca nie będzie, usiądzie na stolicy Dawidowej, i na królestwie jego; aż je postanowi, i utwierdzi w sądzie i w sprawiedliwości, odtąd aż na wieki. Uczyni to zawiśnię miłość Pana Zastępów (Izaj. 9, 6—7.) Gdy tedy nadszedł pierwszy rok prawnego nowego, bo rok spełnionych obietnic Bożych, i rok spełnionych nadziei i oczekiwań ludzkich, to witają ludzie jako noworoczny dar Boży dla świata także dzieciątko, i nazywają je: Jezus to jest Zbawiciel.

Tak, działo się tak przed wiekami, że oglądali ludzie oczami własnymi dzieciątko, uwinione w pieluszki i leżące w żłobie. Ale dziś na schyłku wieku dziewiętnastego, ludziom dzisiejszym, czy jako dar noworoczny też trzeba postrzegać ono starodawne dzieciątko? i czy dla dzisiejszego czasu nie ma innego tekstu noworocznego, jak ten jeden wiersz o onem dzieciątku, co było obrzezane i nazwane Jezus? Tak, wiemy to ku naszej radości, że ten Jezus już nie jest dzieciątkiem, uwinionem w pieluszki, ani do religijnej uroczystości obrzezania i nadania mu imienia wyjętem z żłobu; lecz że to Pan nas pany, Ten, co siedzi na prawicy Ojca, i ma wszelką moc na niebie i na ziemi, i w swoich dłoniach trzyma klucze piekła i śmierci, a kiedyś przyjdzie, i będzie umarłych budził i wywoływał z grobów ich, i wszystkich ludzi stawiał przed stolicą sądu swego, i od każdego żądał rachunku z żywota jego, i z niedowiarstwa jego. Lecz wtedy to już nie będzie rok nowy, to będzie już ona wielka chwila, gdy się kończy doczesność i wszystkie jej lata nowe, a nastawa wieczność, w którą, jak rzeki w morze, spływają wszystkie lata doczesne. Jeszcześmy nie doczekali tej chwili znikania doczesności i zanurzania się jej w wieczność; jeszcze przebywamy w doczesności, więc jeszcze pojawiający się w niej rok nowy także nam jako noworoczny dar Boży oglądać dzieciątko.

Potrzebujemy właśnie tego dzieciątka jako świadectwo o miłosierdziu Bożem z nami, i o nie-daremnych nadziejach naszych.

Wyobraź sobie człowiecze, co by się działo dzisiaj na świecie, gdyby w dzień nowego roku już nie przedstawił ci się Pan Jezus jako dzieciątko, obleczone w pieluszki opowiadanego słowa Bożego i sakramentów świętych, i żądające obrzezania serca twego, ale gdyby stanął w świecie w Majestacie swego Bóstwa. Nieopisaną przestrach ogarnąłby wszystkich ludzi; a ci, co dzisiaj są największymi siłaczami i krzyfaczami, przestraszyliby się tak bardzo, żeby oni pierwsi wołali na góry: padnijcie na nas, i na pagórki: przyfrujcie nas i zafrujcie nas przed gniewem tego Baranfa (Objaw. 6, 16). Przeciż to przestraszył się Heród i wszystko Jerozalem z nim, gdy tylko mędrcy ze wschodu przyszli tam pytać się, gdzie jest on narodzony król żydowski! A gdy już siłacze i krzyfacy przestraszyć by się musieli bez miary, to cóż powiedzieć o ludziach zwyczajnych i małych? Uczuliby oni siebie przedewszystkiem jako grzesznych i potępienia godnych, i niktby nie miał tej śmiałości, żeby zawołać: Synu Dawidowy zmiłuj się nademną, ratuj mnie! Lecz Syn Boży za pierwszym przyjściem swoim, nie przyszedł, aby sądzić świat, ale aby zbawić świat. Dla tego też przyszedł w poformie i miłej postaci dzieciątka, aby się nikt nie przestraszył jego przyjściem, ale aby każdy mógł mieć śmiałość i ufność, żeby przystąpić do niego i przyjąć go. Każdy, nawet człowiek najłichszy, i nędzarz nawet najbardziej upadły. Wzgardził nim Izraelici, ponieważ przyszedł był jako dzieciątko; ale jednak było w takim przyjściu jego miłosierdzie Boże, bo przecież znaleźli się maluczy, co przyjęli ono dzie-

ciątko. Gdyby nie był przyszedłbył jako dzieciątko, niktby go nie był przyjął, bo wszyscy byliby pouciekali i pokryli się przed Majestatem jego, i nikt nie byłby wówczas był zbawiony. I dziś też tak. Jestto tylko miłosierdzie, że Pana twego i przysłego Sędziego twego daje Pan Bóg w ewangelii noworocznej jeszcze oglądać ci jako dzieciątko. Tak to zniża się Bóg nieskończony w Majestacie swej osoby i swojej mocy do ciebie, że dzieciątko kładzie przed tobą. Kładli inni przed tobą co innego: wielkie mądrości, zdumiewające nauki, z którymi nie wiesz, co począć; szumne obietnice i ludzkie przechwałki, które ci się na nic nie zdadzą; a oto nie marny dźwięk słów, lecz coś rzeczywistego i żywego kładzie ci Dziecie niebieskie na łono twoje: dzieciątko! Ach, nieraz gdy ludzimi biednym przybędzie dzieciątko, przybędzie im troska i kłopot i fatyga. Ale to dzieciątko od Dica niebieskiego, ono nie przynosi ci kłopotu i troski, ale przynosi ci dar, prawdziwie noworoczny dar, bo pisze apostoł, jakoby Bóg wszystkiego z niem nie darował nam (Rzym. 8, 32.). Wszystko chce ci Dziecie niebieskie darować; wszystko, co ci potrzebne na krótkie, czy długie lata doczesności, i wszystko, czego ci trzeba na całą wieczność nieskończoną. Jestto dar tak wielki, że wobec niego stoisz, jak głupi, i nie wiesz, co począć; czy przyjąć go, albo zląkasz się wielkości jego, uciec od niego. Otóż aby człowiek nawet najłepszy był bez wymówki, daje Dziecie niebieskie dar swój noworoczny każdemu w postaci dzieciątka. I któż dzieciątka nie przyjmie? Nawet lichy żebrak przecież przytuli je do siebie, i okryje choćby łachmanami swemi. I nawet dziecię żebraka jeszcze widzi jakieś ubogacenie swoje w tem, gdy przyjąć może dzieciątko. Nawet zatwardziałemu zbrodniarzowi zmieknie serce, gdy przyjąć ma dzieciątko. Toż i my jeszcze święcić możemy rok jako nowy, kiedy nam przysmieca w nim miłosierdzie Boże w postaci dzieciątka.

Święcąc rok nowy jako chrześcianie, rozpoczynamy go też z nadzieją. Dzieciątko, obrzezane i Jezusem nazwane w dzień noworoczny, objawia nam, przedewszystkiem, że nadzieję ma sam Bóg, Bogiem nadziei nazwany w Piśmie świętem (Rzym. 15, 13.). Miał Bóg tę nadzieję, że to dzieciątko, które kładzie do betlehemskiego żłobu, nie tylko samo wyrośnie, ale że z niego rozrodzi się także coś dziwnie wielkiego, bo cała ludzkość odkupiona, poświęcona i zbawiona. Była to droga krzyża, którą dzieciątko to iść miało; rozpoczęła się ona w żłobie, a zakończyła się na Golgocie, na krzyżu. Lecz nadzieje nie omyliły tak, co do samego dzieciątka, jak i co do świata. Dzieciątko to wyrosło także jako syn człowieczy do tej wielkości, że mógł Jezus być wzięty do nieba i usiąść na prawicy Bożej. A tych, co przez niego także dziećmi Bożemi się stali, już jest poczet tak wielki, że go ludzki rachunek już zliczyć nie może, a potęga Imienia jego na ziemi już jawna jest jako tak wielka, że jej ani bramy piekielne nie przemożą.

Na tej Bożej nadziei polegają też wszelkie nadzieje ludzkie, i nadzieje każdej jednostki. Jako człowiek, z grzesznego człowieka zrodzony, jesteśmy

wprawdzie każdy wpleciony w grzech i w przekleństwo grzechu, to jest w marność i w szafitelność, w cierpienie i w śmierć, i nie mamy nadziei, nie mamy roku nowego. Ale jako wszczepieni w Chrystusa, jesteśmy wstawieni w dzieje łaski i w dzieje zbawienia, tak osobą i pracą swoją, i mamy nadzieję, i święcić możemy rok nowy. Mamy dla osoby swojej nadzieję zbawienia, bo mamy obietnicę, że kto uwierzy, a ochrzci się, zbawion będzie (Marek 16, 16.); i mamy nadzieję także dla pracy swojej, tę nadzieję, iż praca nasza nie jest daremna w Panu (1. Korynt. 15, 58.). Może praca nasza, jako ludzi maluczkich, może ona być maluczką, i ubierać się w niepořadne tylko pieluszki, lecz wiemy, że Pan panów i Król królów, też stanął się na ziemi jako maluczek, jako dzieciątko, i przyjął pieluszki i żłób ludzi ubogich. A jednak jest on już teraz wywyższony nad wszystkie niebiosy.

Stosując to do pracy „Ewangelika“, toć przychodzi on jeszcze do czytelników jako maluczek, w sukience ubogiej, w pieluszkach, w jakie obciąć go mogą ludzie maluczy. Lecz nie pogardźcie tą pracą maluczką, którą służąc wam chcą żyć, służyć w imieniu i na chwałę tego Pana, który do nas ludzi biednych też przyszedł jako maluczek, jako dzieciątko. W jego to jest mocy, nawet z małego ziarenka wyprowadzić owoc hojny. Ach, wesprzyj nas Panie Jezu, i wspomóż każdego, co w porę serca swego w Tobie pokłada swe nadzieje, i w Twojem imieniu wstępuje w rok nowy. Amen.

Rozanie woźnicy.

Bogobojny jeden Francuz opowiada o takim zdarzeniu z życia swego:

Potrzeba mi było raz w młodych moich latach odbyć pieszo drogę z Brestu (miasto we Francji) do wioski o 2 mile drogi oddalonej. Było to w porze zimowej, gdy silne śniegi góry zaścielały, a mroźny wiatr, od morza wiejący, pozawiewał wszystkie drogi. Po parogodzinem umęczeniu się w głębokim śniegu, uczulem takie osłabienie, że usiąść musiałem. Coraz wyraźniej poznawałem, że sen, który się w takich razach śmiercią kończy, ogarnia mię zupełnie. Zaledwie byłem w stanie polecić ducha swego w ręce Boga, kiedy też straciłem moc nad sobą i usnąłem mocno.

Nie czasu tak przeleżałem, nie wiem. Naraz jednak poczułem silne trącenie, tak, że mi się przebudził. Przedemną stał woźnica w niebieskiej bluzie robotników francuzkich, a opodal był wóz jego. Za pomocą wina, które mi wlał do ust, przywrócił mię do życia, i wziął mię do wozu swego. Kiedym tak przybył szczęśliwie do swojej wioski, dziękując serdecznie swemu wybawcy, chciałem mu dać kilka trojaków, wedle możności swojej. On jednak stanowczo przyjęcia ich odmówił, utrzymując, że to jest przystuga, którą każdy człowiek bliźniemu swemu wyświadczyć jest obowiązany. Prosiłem go więc, żeby mi powiedział nazwisko swoje, abym przynajmniej mógł go wspominać w modlitwie. Z tego mi odmówił, a po

Chwili rzekł: Powiedzże mi Pan, jak się nazywał miłosierny Samarytanin? Naturalnie odpowiedzieć na to pytanie nie umiałem. Wybawiciel mój więc rzekł: Ponieważ Pan, jak widzę, nazwiska jego nie wie, niechaj i moje nazwisko tajemnicą dla Niego będzie. To powiedziawszy machnął batem, i znikł mi przedko z oczu nazawsze.

Nie jest-że to kazaniem dla każdego z nas? Zapamiętajmyż je sobie, mili czytelnicy, i przypominajmy, ilekroćśmy chcieli pochwalić się jakim dobrym uczynkiem.

Jaśnieje wewnętrzne wszech chrześcian życie,
Choć słońca na zewnątrz opalił ich żar:
Co Władca niebieski udzielił im skrycie
Nieznaniem jest dotąd, choć wielki to dar.
To czego nikt nie wie,
Co tajne się krzewi,
Promienne światłością umysł ich zdoła,
I tem je do Boskiej godności sposobi.

We wszystkim Adamu są dziećmi zwykłemi:
I znamieniem grzeszności kazano im żyć,
I krewność cielesna ich dręczy na ziemi,
I zmusza po ziemsku pożywać i pić.
W zmysłowej też sprawie
W spoczynku na jawie
Szczególną od innych nie różnią się cnotą,
Prócz że się litują nad światą marnotą.

Lecz w duchu z Boskiego są szczepu zrodzeni,
Bo Pan Swojem słowem im życie dał Sam
Jestiera wytrysnął z niebieskich płomieni
Co Jerozolima syć je nam.
Gdy z nimi i chór
Aniołów się z gór
W dziecinnym śpiewaniu łączą radośnie
Ta w niebo uderzą wspaniale, rozgłosnie.

Bielgrzybi na ziemi, a patrzą w niebiosy;
Bezbronni są sami, a strzegą od zła;
Choć zament dookoła, spokojne ich losy;
Maluczy — przyjmują, co niebo im da.
W cierpieniu wytrwali,
D rozkosz niebbali,
Na pozór stępieni się zdają zmysłowo,
A jednak ich wiara ożywia duchowo.

Gdy Chrystus ich życie, potęczy się z nimi,
Gdy kiedyś objawi się jakim jest Sam,
To oni z Nim razem, jak władcy tej ziemi
I przepychem wspaniałym ukażą się nam;
I będą rządzili,
I będą świecili
Pochodnią, na niebie płonąca rzesiście,
Aż radość na ziemię powróci wieczyscie.

Tryumfuj ty ziemi! tryumfuj padole!
Je ziarno zbawienia już w łonie swem masz,
Bo w tem jest poręka, że jeszcze twą rolę,
Jehowa przyjmie w swą pieczę i straż.

Więc w bujnym rozkwicie
Zabłyśniesz obficie:
Gdy chrześcian wewnętrzny się żywot rozwinie,
To chwila tęsknoty dla ciebie przeminie.

O Jezu, ukryty, dusz wszelkich żywocie!
Co blaskiem swym zdołasz wewnętrzny nasz świat
Daj, byśmy do Ciebie zbliżyli się w enocie,
Choć trudno w stóp twoich wstępować nam ślad,
Więc tu znieśławiani,
W wieczności uznani
Tu w Ojcu z Chrystusem przeżyjmy tryumfie,
By potem do nieba z Nim wstąpić widomie.

Rozmaitości.

— Niezwykła katastrofa zaszła w tych dniach w Irlandyi pod miastem Castle Irland. Z kamieniołomów, położonych nad rozległemi torfiskami, wydobyt się z gwałtowną siłą późno wieczorem szlam, który się toczył razem z dwóch stron przez całe torfiska i pola na przestrzeni 9 mil angielskich długości. Ludzie zbudzeni po g. 3 w nocy ogromnym szumem uchodzili zaledwo ubrani z życiem. Po drodze lawa szlamu doszła do miasta Kilarney, zalała gazownię, wyrzucając wszystko, co spotkała, chaty obory i stodołki. Zagrode rodziny Donelly, stojącą na pustkowiu, zalała całą; ciało tej rodziny znaleziono o milę dalej w szlamie; wszyscy byli tylko w koszuli. Dopiero po półtora dnia zatrzymał się dalszy napływ szlamu.

Rozwiązanie zagadki z nr. 1.

Wielmożny Panie Redaktorze,
Jak w gospodzie tak we dworze,
Zagadki wasze rozwiązuje
Gdyż się o to usiłuje.
Tak też u nas na Westfalii,
Górnik także jest chętny
On też się o to usiłuje
I z numeru pierwszego rozwiązuje.
Stoi stół dębowy,
Na stole z konopiu obrus nowy.
Na obrozie misa z gliny,
A na misie kawał świni.
• Róż widelec dam do tego
Jedz człowiecze co smaczniego.

Górnik J. Kłodzka z Gelsenkirchen.

Zagadka.

Siedzieli sąsiedzi,
Okoł miedzy
A się nigdy nie widzieli.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Ar. 3.

Cyf. na niedzielę dnia 17 stycznia.

1897.

Mowy pasyjne

opracował według Malleta ks. W. de P.

Przedmowa.

Kiedym pierwszy raz wstąpił na kazalnicy obejmując urząd kaznodziejski w zborze drożkowskim na Śląsku, to treścią mego kazania było słowo Pawła św. Albowiem, nie osądziłem za rzecz potrzebną, co innego umieć między wami tylko Jezusa Chrystusa, i to onego utrzymowanego. Tego Jezusa utrzymowanego opowiadałem już 25 lat za łaską Bożą i nic innego do samej śmierci nie pragnę. A kiedy mnie powołano na pasterza dusz do zboru gąskowskiego na Mazurach już od 7 lat, to dowiedziałem się, że lub ten jest nader ubogi w księgi treści religijnej, aby temu niedostatkowi zapobiedz, zdecydowałem się wydać krótkie kazania pasyjne o Jezusie utrzymowanym i podaje je do druku ku zbudowaniu ludu Bożego i ku chwale utrzymowanego Pana Jezusa, któremu niechaj będzie cześć i chwala na wieki. Amen.

Gąski w nowy rok 1897.

Wydawca.

1. Jezus i Piotr.

Łuk. 22, 54—62.

Wszyscy czterej ewangelisci opowiadają ten wielki upadek meża, którego Pan Jezus skałą czyli opoką nazwał. A to czterofrotne powtórzenie tej smutnej historii, ma być nam ostrzeżeniem, na-pomnieniem i pociechą. Niechajże więc i dzisiejsze rozpamiętywanie przyniesie nam owoce zbawienne i dla tego tu zbudowaniu naszemu rozważać będziemy.

1) Niebezpieczną drogę, którą Piotr szedł
2) niebezpieczne miejsce, na którym on przebywał.

Kiedy Pan Jezus oddał się w ręce swych nieprzyjaciół, wtedy opuścili go uczniowie jego. Zapewnie z początku opuścił go i Piotr, ale skoro sobie wspomniął na przyrzeczenia, które Panu Jezusowi uczynił, że go nie opuści, zawstydzil się swej bojaźliwości i słabości, więc po krótkim czasie wraca i postępuje za zgrają prowadzącą Zbawiciela do Jeruzalemu, ale jak ewangelista powiada

„zdaleka.“ A tak idzie Piotr sam jeden. Ani z Panem nie jest, ani też z współuczniwami swemi. Oderwał się od tych, z którymi do tej godziny w serdecznej i świętej społeczności przebywał, a idzie sam jeden w śród ciemnej nocy. Jużto i Salomon powiada: „biada temu, który sam idzie,“ a słowo pańskie zapewnia, że nie dobrze jest człowiekowi być samemu, bo on nigdy sam sobie nie wystarczy. Gdyż jako człowiek stworzonym jest od Boga, to też on należy do społeczności Bożej i ludzi! A błogo mu, jeżeli na nim oko pańskie i łaskie spoczywa. Taki węzeł krwi, jak i bieda, ale i miłość łączą nas współcześnie. A skoro tylko by się człowiek oddalił od oblicza pańskiego, pozna w krótkie jak wielki mu brak pomocy i opieki jego. O jak straszną jest trwoga dziecięcia, skoro samojedno się znajduje. Każdą razą, kiedykolwiek nam trwoga grozi, i uciekamy się do ludzi nam miłością przychylnych. A kiedy oko matki lub ojca ciebie strzeże, ochroni cię pewno od niejednego upadku i grzechu.

Kiedy Ewa sama stała pod drzewem znajomości złego i dobrego, wtenczas przybliżył się do niej szatan. Kiedy Dawid sam był, upadł i zgrzeszył bardzo ciężko. A wtenczas kiedy Zbawiciel sam się na puszczy znajdował, przystąpił do niego kusiciel, mniemając, że to będzie najsposzniejsza chwila, aby go skusić.

Gdyby był Piotr pozostał z innymi uczniami razem, w prawdzie też byłby się smucił i płakał i wstydzil się, że Pana opuścił, ale nie byłby tak ciężko upadł.

Albo on chciał pokazać swe męstwo i odwagę. Chciał dowieść prawdy swych słów: „Panie, gotowym z tobą iść i do więzienia i na śmierć.“ Ale cóż, Piotr szedł za nim z daleka. Żadne oko nad nim nie czuwało, żadna ręka go nie prowadziła, przed nim nie mógł ulżyć ciężkości serca swego, nikogo nie było, co by go pocieszył i wzmochnił. Gdyby Piotr mógł być sobie powiedzieć, nie jestem ja sam, ale Pan jest ze mną, byłoby to wcale co innego. Boć są godziny świętej i błogosławionej samotności i pokoju. Wiele to razy sam Pan Jezus szukał spokoju i samotności, aby być sam ze swoim ojcem niebieskim. Ale i nam radzi on w godzinach modlitwy zamknąć się osobno w izdebce, by tylko z Panem Bogiem rozmawiać. Pójdziesz pewno raz tą drogą samotności, drogą doliny i cienia śmierci, kiedy cię

własnych opuszczają, sam jeden, ale i wtenczas nie kłaniasz się trwożąc, jeżeli sobie powiedzieć będziesz mógł: „albowiemś ty ze mną: łaska twoja i tój twój te mnie cieszą.“ Przy Piotrze Pana nie było. Bo droga, którą sobie obrał, była przeciwko woli Jezusa, on chciał położyć, że potrafi dotrzymać tego co raz wyrzekł, była to droga uporu i frąbności, chciał na swoim położyć. A taka droga jest bardzo niebezpieczna, kiedy człowiek ani na ludzi, ani na słowo boskie nie słucha, wtedy jest on sam jeden, ani innego człowieka, ani też Pana nie ma przy nim!

Mój Boże, o jakże często taką drogą idziemy. Cóż więc dziwnego, że błądzimy, upadamy, a stąd tyle nieszczęścia i biedy, chociaż im ciągle brzmi słowo pańskie: „pójdźcie do mnie wszyscy i naśladowujcie mnie!“ Wiele to dni w życiu naszym poczynamy bez Pana, drogi obieramy według naszego podobania, a rzadko Pana o to prosimy, aby z nami szedł. Bez ciebie o Panie dalej nie pójdziemy, wyrzekł raz Mojżesz. Bez Pana nie chciał ani jednego kroku postąpić nawet przez puszcza do Kanaan. Jazdziesz inaczej my sobie postępujemy. Do pracy robisz przygotowania, idziesz na gościnę, to ubierasz i stroisz się, puszczasz się w drogę niebezpieczną, to oglądasz się za towarzyszem, któryby ci był pomocą w razie nieszczęścia, ale chociaż byś się na wszystkie sposoby zabezpieczył, a zapomniał byś o Bogu, to ci wszystko nie nie pomoże, gdyż co pocniesz i gdzie jesteś bez Boga, prędko cie nieszczęście spotkać może. Wierzaj, mi bracie, bez Boga każda droga jest niebezpieczna. A tak czy idziesz do pracy, albo na gościnę, czy na jarmark, albo do domu Bożego, czy między ludzi, albo do kómkorci, idź z Panem razem, z Panem, który powiedział: a ja jestem z wami po wszystkie dni. Pamiętaj, abyś mu na to w prawdzie odpowiedzieć mógł; a ja też o Panie jestem z Tobą po wszystkie dni żywota mego.

Tak idzie Piotr samotną drogą co raz dalej i dalej, aż na koniec wszedł w dom najwyższego kapłana i według swej własnej woli znajduje się na bardzo niebezpiecznym miejscu. Tam stoi, gdzie Jezus nic nie znaczą, ale gdzie świat jest wszystkim, tam mają znaczenie Jezusa nieprzyjacielem. Dotychczas prowadzony będąc ręką pana Jezusa w towarzystwie współluczników, należał do maluczkich i ubogich, z takimi. żył i obcował. Świat był mu marnością, a kiedy Jezus stanął pośród wielkich i możnych tego świata, to tam objawiał on swoją chwałę i wielkość. Tu na tem miejscu wszystko inaczej. Otoczenie było Piotrowi obcem, stanął we świecie, którego wcale nie znał.

Otoczony murami domu najwyższego kapłana poznał, że całe otoczenie jest mu nieprzyjacielem. Pierwszy raz stanął między rąkami, mężami wysokiego rodu, posiadających moc i wpływ. Kapłani i uczeni, starsi zboru i książęta okazali mu się w całej wielkości i świetności, nic dziwnego, że ci wszyscy wywarli na nim nieprzyjemne wrażenie i obudzili w sercu jego bojaźń i

trwogę. Do tego była noc, a pochodnie i światła paliły się, co jeszcze więcej podnosiło w duszy Piotra uczucie strachu i bojaźni. Wszystkie te ganki i gmachy, broń lśniąca i błyszcząca, te oblicza, na których odbijała się weselość i namiętność, przerażały go. A było i zimno dlatego rozniecili na podwórzu ogień, do którego się wszyscy cisnęli. Jedni odchodzili, drudzy zaś przychodzili mężczyźni i niewiasty, oficerowie i żołnierze, słudzy i obywatele Jeruzalemu, cieszyli się oni, że się im udało pojmać Jezusa. Tam słyszał żarty i bluźnierstwa, błażnistwa i plugawe mowy, śmiechy i szydactwa, przekleństwa i złorzeczenia.

Tam to wśród tego świata i takich ludzi zabłąkał się biedni Piotr. Jest tam wprawdzie i Pan wśród tego świata i ludzi, ale jak wielka zmiana zaszła! Świat wzgardzony, stał się wielkim. Jezus, którego uczniowie uwielbiali jakże tam małym się stał. Oni teraz są bogaci, Pan ubogi, oni mocni, on słabym, oni mądrymi, on głupim, oni wspaniali, on wzgardzonym, oni sądzianymi, on ubogi grzesznik, wysławiany, żyty, zeplwany. W takim miejscu ma pokuszenie wielką potęgę, tam panuje księżę tego świata.

Moi mili! Podobne domy, jak ów najwyższego kapłana, nie są jeszcze poburzone, o! nie zniknęły one z tej ziemi. To są twierdze mocne otoczone murami, aby światłość niebieska się nie przecisnęła. Tam mieszkają po największej części bogaci i możni, panowie książęta, a na ich usługi czekają pacholki, gotowi wykonać, choćby najgorsze rozkazy. W tych pałacach antychrysta panuje ciemna noc, noc grzechu, rozpusty i pijaństwa, nieczystości i niewiary, a zimno tam jest, bo straszne samolubstwo, skąpstwo, zazdrość, które zamrażają miłość swoim lodem, ogień się tam też pali, ogień lubieżności, upał żądz i namiętności, dziki rozkosz, jest to uroczystość bezbożnych i suchwatych.

Prawda, że się tam i Jezus znajduje, oni znają jego imię i historiją — nie jest im nieznajomem jego słowo, jego znamiona i cuda, które on do dziś dnia w swoim zborze czyni. Nawet Wiczerza Pańska odprawioną bywa i ich członkowie przez chrest przyjmowani bywają w liczbę członków kościoła chrześcijańskiego, lecz mój Boże, wprawdzie, jest on według Państwa u nich najwzgardzniejszym i najpodlejszym mężem boleści. W takim to świecie żyjemy, od takich to ludzi otoczeni jesteśmy, w takie to miejsca niebezpieczne wpadamy. Czyż jeszcze może kto wątpić, że takie niebezpieczeństwo jest małym. Unikaj więc takiego towarzystwa, i takich miejsc, uciekaj od takich ludzi, abyś się Pana, tak jak Piotr, nie zaparał. Gdybyś zaś był upadł, to niechaj oś łaski Jezusa spojrzysz na ciebie pełne miłości, abyś ty czempredzej opuścił taką drogę i miejsce i z Piotrem za grzechy gorzko płakał. Amen.

Medaljon brylantowy.

Ciebie, Piotrze, za dług wtrącić do więzienia, i to za dług spowodowany chorobą, za dług, o którym gospodarz wie, że chętnie byś go spłacił, gdybyś był tylko w możności? O nie, on nie będzie miał serca uczynić tego!

Słowa powyższe wyrzekła Helena St. do męża swego stojąc z nim w małym sklepie, w tej chwili prawie zupełnie ogołoconym ze sprzętów i towaru. Biedni ludzie wysprzedali wszystko, bez czego w najgorszym razie obyc się mogli, aby zapłacić komorne i długą chorobą spowodowane wydatki.

A jednak Heleno, niewątpliwie tak uczyni. Do człowieka twardego serca; niechaj mu Bóg przebaczy! — odparł Piotr z głębokim westchnieniem.

Niedola dojmującym ciężarem ugniatała biednego człowieka. Handel sześć niepomyślnie, tak, iż zaledwie dochód ze sprzedaży pokrywał wydatki, a przytem choroba żony, a następnie własna ciężka niemoc, zmusiły go do spieniężenia sprzętów domowych sztuka po sztuka. W obecnej chwili był winien za komorne nieopłacone już od kilku miesięcy dość znaczną kwotę, a w kieszeni nie miał już ani grosza. Gospodarz miał zamiar nieszczęśliwego swego lokatora wtrącić do więzienia za dług, co w dawniejszych czasach niestety często się zdarzyło, a młodą kobietę z niemowlęciem wypędzić z mieszkania wśród zimy, aby gdzie indziej szukała schronienia.

Czyż nie ma żadnego sposobu do odwrócenia od nas tego nieszczęścia! — zawołała biedna kobieta łkając.

Musimy znosić w milczeniu naszą niedolę, czekając na pomoc Bożą — odparł Piotr.

Helena spojrzała trwożnie w wynędzniałą twarz męża; widocznym było, że chciała coś powiedzieć, nie mogła jednak zdobyć się na słowa. Wreszcie rzekła nieśmiało.

Przypominasz sobie, że mniej więcej przed rokiem pewien pan przyszedłszy do nas na szklaną kawę, zgubił futerał z medaljonem, który dopiero po jego odejściu znaleźliśmy na podłodze. Czyniłeś wszystko, aby odezwać poszkodowanego; nasz ksiądz podał zawiadomienie do gazet, toż samo ze swej strony uczyniła policja, lecz dotąd nikt się po ten kosztowny przedmiot nie zgłosił. Sąsiad Tomasz utrzymuje, że brylanty w medallonie są prawdziwe, i że wielką posiadają wartość. Ach Piotrze, czyżby to było bardzo nieuczciwie z naszej strony, gdybyśmy teraz, będąc w tak ciężkiej potrzebie, a od tylu miesięcy czekając nadaremnie na odbiór medaljonu, spieniężyli go.

Nie wódz mnie na pokuszenie, — odrzekł Piotr. Czyż sądzisz, że szatan i mnie tego samego ucha nie szeptał? Czyż mi nie mówił: Po cóż chcesz dać się zaprowadzić do więzienia za dług, i dozwolic, aby żona twoja i dziecię z domu wypędzono, skoro posiadasz kosztowny medaljon, po którym się nikt nie zgłasza? a jednak Heleno pomimo tych podszeptów szatańskich, ani jednej chwili nie wacham się jaką dać odpowiedź. Medaljon

ten nie jest moim; sprzedać go byłoby toż samo co ukrąść; wszak stoćroć lepiej mieć cierpienia, niż duszę swą tak wielkim grzechem obciążyć.

Rozmowę ciężko przynęcionych małżonków przerwało w tej chwili wejście sąsiada, którym wodziła Helena. Znali się z Piotrem od lat dziesięciu, nie łączący ich jednak węzły przyjaźni, i o nieważ obu usposobienia i przeżycia były zupełnie odrębne. Jednak pomimo tego nie było prawie dnia, żeby Tomasz nie zajrzał chociaż na chwilę do mieszkania sąsiadów. Jak zazwyczaj tak też i dzisiaj wszedł do izby z fajką w ustach, i powiedziawszy dzień dobry, w braku trzesła usiadł na stole sklepowym i w przykry sposób dożasnionych małżonków, w te odezwał się słowami:

Mam nadzieję, mój stary, że to nieprawda o czym prawie całe miasteczko mówi. Wprawdzie wszyscy wiedzą, że wasz gospodarz nie ma serca, jak oto ten kawał drzewa, ale pomimo tego nie podobna, aby ciebie, któryś nie z własnej przebieżki winy popadł w dług, chciał bez litości wtrącić do więzienia.

Milczenie Piotra dostateczną na to było odpowiedzią.

A cóż się stanie z Heleną i dziećmi? — pytał dalej natarczywie sąsiad.

Znajdą dzięki Bogu pomieszczenie dla siebie — odparł Piotr. Mój kuzyn w najgorszym razie ofiarował się przyjąć je do swego domu.

Nie świetne w istocie położenie dla was obojga — ciągnął dalej bezlitośnie Tomasz. A wy wciąż dotąd byliście pełni ufności, sądząc, że was Bóg nie opuści. No, myślę, że na przyszłość uleczycie się z podobnych myzerek.

Tomaszu — odrzekł zubożały człowiek z wielką powagą — niepozwalam, abym w moim domu oddał w taki lekkomyślny sposób. Ja się zupełnie dośkiej oddaję opiece, zawsze jeszcze ufam, że Pan wszystko ku dobremu zmieni, i mówię jak Bóg: „Bóg dał, Bóg wziął.”

Tomasz wzruszył pogardliwie ramionami i zwrócił się do Heleny, mówiąc:

Zapewne wszystko spieniężyliście, co tylko mogło być sprzedanem?

Biedna kobieta zamiast odpowiedzi spojrzała ze smutkiem na puste ściany, Tomasz zaś pytał dalej:

A wieleż dostaliście za medaljon brylantowy? Powiadam wam, że wiele byłoby rozsądniej, gdybyście mnie byli powierzyli sprzedać takowego; byłbym bez wątpienia dostał za niego przynajmniej pięćdziesiąt dukatów.

Fajkę medaljon posiada wartość, nie nasza to rzecz go takować — odpowiedział Piotr za żonę — on nie jest naszą własnością.

Przecież nie będziesz tak nierozsądnym i nie oddasz siebie i swoich na pastwę nędzy i hańby, będąc w posiadaniu takiego kosztownego przedmiotu? — badał dalej Tomasz.

Nie jestem w posiadaniu tego klejnotu, lecz mam go tylko w zachowaniu — odparł biedak z mocą. Jestem wprawdzie człowiekiem zrujnowanym, lecz przy pomocy Bożej nigdy nie będę nie-

ucieżnym. Wolę raczej cierpieć, aniżeli ciężkiego dopuścić się grzechu!

Tomasz widząc stanowcze postanowienie sąsiada i przekonawszy się, że namowy jego na nic się nie zdadzą, wyszedł ze sklepiu mrużąc pod nosem: „głupiec”, „szaleniec.” Należał on nieśmiertelny do większej liczby tych, którzy w świecie i w dobrach tego świata szukają jedynie dla siebie korzyści. Jeść, pić, czas przyjemnie spędzać, pieniądze zbierać — oto było wszystko, o co się troszczył; o swej duszy nieśmiertelnej, o żywocie wiecznym zapewne w całym swym życiu nigdy nie pomyślał i nie dbał o słowa Bawiciela: „Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł? albo wiem co w zamian da człowiek za duszę swoją?” (Mat. 26, 27).

W parę godzin potem Piotr zaprowadzony został do więzienia, a jego biedna, opuszczona żona, łzami zalana, z niemowlęciem na ręku puszcza się w drogę przez pola śniegiem pokryte, idąc do wioski leżącej dwie mile za miasteczkiem, gdzie mieszkał kuzyn męża, który jej przyrzekł gościć pod swym skromnym dachem. W jednej ręce niosła male zwiniatko, które zawierało w sobie wszystko co jej pozostawiono, a mianowicie, parę sztuk odzieży i Pismo Święte. Niedaloniem staranie opakowany leżał pomiędzy sukniemi.

Na dworze zimno było przejmujące, lecz jakże o wiele więcej przejmującym był ból srogi, szarpący serce zniechęconej kobiety! Ach, jakież smutne i posępne było teraz jej życie? Ziębnięte stopy za każdym krokiem głęboko w śnieg zapadały, i nie była jeszcze uszła połowy drogi, gdy się uczuła tak zmęczoną, że parę razy zatrzymała się aby wypocząć. Gdy znowu stanęła na chwilę chcąc sił zaczerpnąć, uczuła nagle, że ją ktoś chwycił za ramię. Obejrzawszy się, ujrzała przed sobą Tomasza, którego kroków nie słyszała z powodu miejskiego śniegu.

Powiedz mi Heleno, czy masz przy sobie megalion brylantowy? — zapytał głosem, który samotnie idącą kobietę przejął dreszczem przerażenia.

Cóż to was może obchodzić? — odparła ze brzeniem.

Masz zamiar do dzwigania, ja ci ujmę ciężaru, mówił dalej Tomasz, wyciągając rękę po zwiniatko.

Biedna kobieta spojrzała trwożnie w około, lecz wśród gwałtownej zamieci śnieżnej, nigdzie w pobliżu nie mogła dojrzeć żadnego domostwa.

Dziękuję wam, sama mój pakiet poniosę — odrzekła z niepokojem.

Tomasz nie czekając dłużej, wyrwał jej z mocą zwiniatko z ręki i szybko się oddalił. Helena wielce tą napaścią przerażona i zmartwiona, poczęła wołać za uciekającym, lecz prośby jej i błagania bynajmniej nie wzruszyły zuchwałego złodzieja. Nieszczęśliwa kobieta przygnębiona do reszty tym smutnym wypadkiem, uczuła się tak

osłabioną, że prawie sił jej zabrakło do dojścia do celu swej podróży.

O mój Boże! — zawołała bólem przejęta — biedny mój Piotr wołał raczej pójść do więzienia, niżeli spieniężyć ten kosztowny przedmiot, a teraz staje się on zdobyczą niegodziwego złodzieja.

(Dokończenie nastąpi)

R o z m a i t o ś c i .

— Trzęsienie ziemi miejscami dość gwałtowne, dało się w tych dniach odczuć w Bawarii, i to głównie w okolicy tak zwanego „Bawarskiego Lasu”. Tu i owdzie przestraszeni ludziska wybiegli z domów i przez dłuższy czas siedzieli pod gołym niebem.

— Zegarek srebrny znaleziono niedawno w żołądku zabitej krowy. Przeleżał on w tej dziwniej komurce przez kilka lat a pomimo to krowa nigdy nie chorowała. U ludzi byłoby to inaczej.

— Dziwny wypadek zdarzył się w Warszawie. Wedle doniesienia „Kuryera Codziennego” umarła tamże dnia 30 grudnia w wieku 38 lat Helena Potocka. Zwłoki jej złożono po odbytem nabożeństwie w grobowcu rodzinnym na cmentarzu powązkowskim. Krótko potem powstała w rodzinie wątpliwość, czy ona rzeczywiście umarła czy leży może tylko w letargu, to jest bardzo silnym śnie, podobnym do śmierci. Za pozwoleniem władzy otworzono trumnę, i okazało się, że zwłoki jeszcze wcale się nie psuły. Ale lekarze stwierdzili, że śmierć u niej nastąpiła i zwłoki napowrót odniesiono do grobowca.

— Poseł Ahlwardt, znany antysemita wyjechał okrętem z Nowego Jorku do Niemiec. W Ameryce nie szczególnie robił interesa na antysemityzmie.

— Do portu Plymouthis w Anglii przybył okręt z Indyi, na którym podczas drogi zmarło 3 angielskich i 2 indyjskich marynarzy na cholere. Na okręcie jest jeszcze kilku ludzi chorych na cholere, dla tego do okrętu nie ma nikt przystępu z portu.

Rozwiązanie zagadki z ur. 2.

Dezy.

Zagadka

Staniam się panno tymczasem,
Że stoi chmura pod lasem.
Wyjdzie z niej deszcz, albo nie,
Żak się dąb ze sosną powala,
A ci zagrają co rogata pyski mają,
A żywego pochowają wtedy rójdzie.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Ar. 4.

Ciż, na niedzielę dnia 24 stycznia.

1897.

2. Jezus i Kajfasz.

Ent. 22, 66—71.

Sądź mnie, o Boże, a ujmij się po sprawę moję: od narodu niemilosierdnego, i od człowieka zdraźliwego i niebożnego wyrwij mnie. To serdeczne wołanie człowieka niewinnie prześladowanego, który się odwołuje na sprawiedliwy sąd Boga, przeciwko niesprawiedliwości złośliwego świata, stosuje się zupełnie do słów co dopiero przepytanych. Do jeżeli kiedykolwiek świat takiego niewinnego prześladował i nieskutecznie osądził, to pewno niktogo tak, jak syna Bożego, który wpadł w ręce grzeszników wysokiej rady i to stał przed sądomą stolicą Kajfasza.

Winien jest śmierci, wyrok o pomstę do nieba wołający, a świat tak jak długo stoi nie słyszał jeszcze tak niesprawiedliwego wyroku! Ten święty, którego całe życie zadaniem było czynić wolę Ojca niebieskiego, którego on uwielbił na ziemi, został jako bluźnierca na śmierć skazanym. Tego największego przyjaciela ludzkości, który światu zbawienie i pokój i żywot i wierną szczęśliwość przyniósł, jego własny naród na śmierć wybrał. Oj ty żył, bezbożny i zaślepiony świecie, skazując tego niewinnego na śmierć, wydając wyrok sobie samemu! A chociaż ta godzina, w której ten straszny wyrok śmierci w domu kapłana najwyższego wyrzeczonym został jest najciemniejszą ze wszystkich świata tego, to jednakowoż w tej godzinie poznajemy nieśkończoną miłość ku nam syna Bożego, który w tej godzinie to przeżłębienie za nas na siebie wziął, poznajemy miłość ojcowską Boga, wydającego dla zbawienia naszego syna swego. jednorodzonego na straszną śmierć krzyżową, patrząc okiem wiary na jego niewinność i cierpliwość.

Bluźnik! Winien jest śmierci! otóż to wyrok najwyższego kapłana. Postuchajmy, co on takiego przewinił, co świadkowie przeciwko niemu świadczą, jakież jego zeznanie? Kiedy się go najwyższy kapłan pytał o jego uczenie, i o naukę jego, odpowiadał mu Jezus: „Jam jawnie mówił światu; jam zawsze uczył w bóżnicy i w kościele, gdzie się zewsząd żydowie schadzają: a potajemnie nicem nie mówił. Cóż mi pytasz? Pytaj tych, którzy słuchali, com im mówił: ci oto wiedzą, com ja mówił.“ To były sprawy trzech letniego urzędu Pana Jezusa publicznie przed Bogiem i

światem spełnione, a tak przyjaciele jego jako i nieprzyjaciele wiedzieli dobrze co czynił, i jak żył. A cóż? może w oczach tych niesprawiedliwych sędziów to było złem, że lud uczył jako moc mający, a nie jako nauczony w piśmie, albo że uczniów zebrał, a lud za niem szedł, że czynił dobrze, lub że uzdrowiał chorych w sabat, że z celnikami i grzesznikami siedział za stołem i jadł, że się zmiłował nad niewiastą kananejską i uzdrowił jej córkę, że małe dziaćki kazał do siebie prowadzić, aby je błogosławić, że czynił cuda jak żaden z kapłanów i proroków, że diabły wypędzał, za to, za to winien jest śmierci. Ach czemu się nie pytali tych, którzy jego nauki słuchali, tych co jego sprawy boskie widzieli, jego miłości doznali. Czemu się nie pytają chorych, których uzdrowił, grzeszników, których nawrócił, umarłych, których zmartwych zbudził, ubogich, którym ewangelią opowiadał. Zaprawdę, przed takim winowajcą musimy utęskniać, to nie taki kapłan najwyższy jakim jest Kajfasz, ale święty, niewinny, niepokalany, oddzielony od grzeszników, i który się stał wyższy nad niebiosy. Taki święty nie potrzebował się leść oskarżenia, jego życie było jasne jako słońce. Niechajże każdy i dzisiaj zagłębia się w jego święty żywot, w jego słowo i sprawę, a jeżeliby się jeszcze znaleźli coby podejrzewali jego naukę, postawiać i osobę, to proszę, spojrzycie na tych grzeszników, których on nawrócił i ciągle jeszcze nawraca, przypatrzcie się tym zaszczytnym, których on pocieszył i pociesza, na cuda, które czyni, na królestwo, którego i dzisiaj bramy piekielne obalić nie mogą, za co my mu zaśpiewamy pieśń pochwalną: Gódzien jest baranek zabity wziąć moc i bogactwo, i mądrość, i siłę i cześć, i chwałę, i błogosławieństwo.

Woi mili, pytajmy się dalej, coż potępienia godnego znaleźli świadkowie na nim. Prawda, wielu fałszywych świadków przychodziło, ale nic nie znaleźli przeciwko niemu, a świadectwa ich się sprzeciwiały nawzajem. Któż za to może, jeżeli ludzie w głupocie swej jego nauki nie rozumieją, że w złości swej, słowa jego przetręcają jako on świadek uczynił, który powiadał i skarżył na niego, że powiedział: „Mogę rozwalic kościół Boży, a za trzy dni zbudować go“, a Pan rozumiał w tych słowach kościół ciała swego. Wszelak najczystsza woda, kiedy w nią wrzucisz plugaństwo, zamęci się. Ach jeszcze i dzisiaj wynajdują przeciwnicy Jezusa

na niego to i owó, a jednakowo sprzeciwiają się między sobą. Porównaj wszystkie te księgi, które uczeni przeciwko ewangelii świętej napisali, nie znajdziesz ani dwóch, choć się ze sobą zgadzały, jeden uczony zbija drugiego. A gdybyś zgromadził wszystkie zarzuty rady najwyższej tego świata poczynawszy od Ananiasza i Kajfasza, aż do dnia dzisiejszego, to one znoszą się i zbijają się nawzajem. Jednym jest prawda ewangelii głupstwem, drugim rzeczą niepojętą i niezrozumiałą, innym jest chrześcijaństwo za surowem, drugim niebezpiecznem.

Już to przeszło 1800 lat nieprzyjaciela Chrześcijaństwa stawiają fałszywych świadków przeciwko niemu, ale tak, jak za czasów Kajfasza, nie na niego znaleźć nie mogą, a co wynajdują, jest tylko bluźnierstwem przeciwko niemu. Ale na nich oglądać się nie będziemy, ani do nich też nie pójdziemy; raczej uczynimy jak to Symon Piotr: „Panie, do fogóž pójdziemy? ty masz słowa żywota wiecznego.”

A skoro Jezus nie uczynił nic złego, ani świadkowie nie na niego potępienia godnego nie znaleźli, posłuchajmy co sam o sobie Pan powiada; czyliż przeto winien jest śmierci? A najwyższy kapłan, rzekł mu: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abyś nam powiedział, jeżeli ty jest Chrystus, on syn Boży?” Rzekł mu Jezus: „Tyś powiedział.” Tedy najwyższy kapłan rozdarł szaty swoje, mówiąc: „Bluźnit! Cóż jeszcze potrzebujemy świadków.” Cóż się tu dźwicić ciemnocie i przesądowi i zarozumiałości, że najwyższy kapłan w onym słowie Jezusa: „Tyś powiedział,” bluźnierstwo odnalazł. Ciało nigdy ducha nie rozumie i nie pojmie, a człowiek cielesny o duchowych rzeczach wyrozumienia mieć nie może. Ale kto oczy ma ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu i serce ku zrozumieniu prawdy sposobne, kto duchy rozróżniać potrafi, ten musi przyznać, że kto w obec zbliżającej się śmierci, w obec tylu świadków tak śmiało i niezachwianie o sobie powiedział może, jak to oto Zbawiciel uczynił, mieniąc się synem Bożym, tego świadectwo i wyznanie musi być prawdziwem, a sumienie jego dobrem, ten jest z Bogiem, a Bóg z nim, ale i duch prawdy w nim. Kto tak mówi, tak naucza, tak się modli, tak żyje, i cierpi i umiera jako Jezus nasz Pan, ten nigdy a nigdy bluźniercą nie jest.

Każdy, który Pana poznał, a na sobie oświadczył prawdę słowa jego i na sobie moc Ducha św. poznał, ten całem przeżonaniem i wiarą wyznać musi, tak o Jezu, tyś jest prawdziwym Synem Bożym i dodał: „A myśmy uwierzyli, i poznali, żeś ty jest Chrystus, on Syn Boga żywego.” A jeżeliś jeszcze nie zupełnie uwierzył, i jeszcze nie doładnie poznał, to jego wyznanie przed najwyższym kapłanem utwierdzić cię musi, że on jest prawdziwym Synem Bożym. A tak mój Panie, w ciebie ja wierzę, ciebie się trzymam, przy tobie chcę zostać, dla ciebie żyć, cierpieć, i w tobie umrzeć.

Nietylko jest on niewinnym, ale i cierpliwym. Ten Sędzia całego świata policzonym został między złoczyńców, stawiony przed sąd grzeszników, posłuszny Syn Ojca niebieskiego ostarżony jako

bluźnierca, król chwały policzowany od zuchwałych sług, ksiązę pokoju na śmierć skazany od tych, którym łaskę i błogosławieństwo przyniósł. O jak to strasznie, jak okrutnie, jak boleśnie! Z cierpliwością anielską znosi wszystkie obelgi. Z łagodnością odpowiada temu śladze, który mu wyciął policzek: „Jeżeli źle rzekł, daj świadectwo o złem, a jeżeli dobrze, przecie nie bijesz?” Któż pojmie cierpliwość z jaką słuchał potwarzę na niego rzucane przez fałszywych świadków, na które on milczał i nic nie odpowiadał, lecz skoro go najwyższy kapłan z urzędu swego pyta i zaprzysięga czy jest Synem Bożym, już nie milczy więcej, ale jako pokorny i posłuszny swojej zwierzyńności, odpowiada mu na żądane pytanie: „Tyś powiedział, jam jest.” Z jakąż pokorą i cichością przyjmuje na siebie wyrzeczony wyrok śmierci i poddaje się takowemu jak baranek niewinny.

Czyż możesz, duszo chrześcijańska, widzieć tak coś wzniostego, ale i pokornego, tak cichego jak prawie w Zbawicielu, który był wydany w ręce nieprzyjaciół swoich! Chcesz być jego uczniem, to ucz się od niego, żebyś był cichym i pokornego serca. Pamiętaj Bogu zawożę służyć, a bliźnich twoich miłować, czyni dobrze, a unikać złego, zaprzęży siebie samego, a przewyćczaj świat. Cała wartość twoja na tem zależy, jeżeli umieć będziesz cierpieć, przebaczać, znosić! Znosić niewdzięczność jaka cię spotka, przesładowanie jakiego ci nie brakuje, nieodpłacając za złe złem, ale okazując się dla wszystkich uprzejmym i miłym. Patrząc na obraz doskonałości Jezusa Chrystusa, o którym Piotr św. pisze: „Ktoremu gdy złorzeczono, nie odzłorzeczył, gdy cierpiał nie groził, ale poruszył krzywdę temu, który sprawiedliwie sądzi.” Amen.

Medaljon brglantowy.

Byłaby jeszcze dłużej poddawana się daremnej rozpacz, a w końcu ze zmęczenia i żalu na drobne może upadła wśród śniegu, gdyby żalostny płacz niemowlęcia nie był jej innych myśli nasunął. Z troskliwością macierzyńską przytuliła do piersi swą płaczącą pieściłką, ostanając ją starannie ciepłem otrocim, a śląc do Boga głębokie westchnienie, aby jej dozwolił przybyć szczęśliwie pod gościnny dach krewnego, puściła się dalej w drogę odważnie, i wreszcie stanęła u upragnionego celu swej podróży.

Biedna kobieta upadając ze znużenia, serdecznie przyjęta została w domu ubożego rolnika. Nałożone na kominie drzewo wnet jasnem zapłonęło ogniem, oświecając pokój, w którym Helena postrzeplona gorącą żupą przyszła do siebie. Najwięcej jednak uspokoiło i dodało świeżych sił znużonej kobiecie serdeczne przyjęcie poczywch krewnych, którzy uprzejmem słowem starali się złagodzić jej boleść. Helena naturalnie opowiedziała o niegodziwej kradzieży, postano zatem niezwłocznie parobka do miasteczka, aby zawiadomił policję w celu pojmiania Tomasza, zanim tenże ze zdobyczą swą zdoła się gdzie utryć. Jednak pomimo szybko poczynionych kroków wszelkie starania i po-

szukiwania okazały się daremnymi, ponieważ zło-
dziej nie pomógł już do domu, lecz wprost podą-
żył do miasta portowego, aby wsiąść na okręt,
który niebawem miał odpłynąć do Ameryki. Ra-
pitan przyjął Tomasza bez wszelkiej przeszkody i
tym to sposobem odalił się od miejsca swego
niegobziwego czynu.

Dzień, który małżonkowie tak smutnie rozpo-
częli, zakończył się dla nich niespodziewanie szczę-
śliwie. Helena rozmawiając z krewnymi o ciężkiej
swej niedoli, a szczególnie o dniu tak boleśnie
przeżytym usłyszała nagle głos dobrze jej znany.
Zerwała się szybko z krzesła i do drzwi pobie-
gła — nie pomyliła się. Był to on w isiocie, jej
mąż ukończony, który stał przed nią wprawdzie
bardzo zmęczony, grubą warstwą śniegu okryty,
lecz z twarzą jaśniejącą szczęściem i radością.

Czyż nie mówiłem, że Bóg nas nie opuści?
rzekł głęboko wzruszony. Zmieniwszy następnie
przemoczoną odzież na suchą i podobnie jak He-
lena poprzerpiwszy się jabłkiem i napojem, począł
szczegółowo opowiadać o wydarzeniach dnia ubie-
głego.

Nawet nie przestąpiłem progu więzienia —
rzekł radośnie. Zanim tam się udałem, pierw-
szej poszedłem z policjantem do naszego księdza. Wszak
wiesz jaki on dla nas jest zawsze dobry i uczyn-
ny — niechaj mu to Bóg wynagrodzi łaskawie!
Posłuchaj jaką nam znowu wyrządził przysługę.
Oto chodził od domu do domu i zbierał składkę
dla biedaka, który nie przez lenistwo lub marno-
trawność, lecz z powodu choroby w wielkie popadł
długi. Bóg miłosierny otworzył pocziwne serca
ludzkie. Hojne posypały się datki i nasz dług
nietylko, że został spłacony, lecz mam w kieszeni,
droga Heleno, tyle jeszcze pieniędzy, że będziemy
mogli na nowo cośkolwiek rozpocząć. Ale szko-
da medaljonu i żal mi Tomasza, który go tobie
utrał, bo zdobył za z pewnością szczęścia mu nie
przyniesie. Zawsze utrzymywać będę, że lepiej
cierpieć niżeli postępować nieuczciwie!

Piotr z Heleną i dziecięciami pozostali u
gościennych krewnych, dopóki nie odzyskali tyle sił,
iż mogli znowu zająć się pracą. Dla człowieka
tak uczciwego i sumiennego, jakim był Piotr, nie
trudno było o pozyskanie miejsca.

Pewnego dnia, na początku wiosny, szczęśli-
wi małżonkowie siedzieli przy obiedzie w pokoiku
schludnie i porządnie umeblowanym, gdy nagle
Helena spojrzawszy na ulicę, zawołała:

Patrz Piotrze, dorozka zatrzymała się przed
furtką i jakiś pan z niej wysiadł. Ciekawem bar-
dzo co nieznajomego sprowadza w nasze strony,
i czego on może od nas żądać.

Piotr przypuszczając, że przybysz prawdopo-
dobnie zbłądził, podniósł się, chcąc mu wskazać
właściwą drogę, lecz zanim zdążył wyjść do sieni,
nieznajomy zastukał do drzwi i w następnej chwili
stał już na progu, uprzejmym uśmiechem witając
małżonków.

Czy mnie nie przypominacie sobie dobrzy
ludzie? — zapytał, spoglądając na Piotra i na
Helena.

Nie, proszę pana, powiedział Piotr, podczas

gdy Helena poruszeniem głowy również zaprze-
czała.

A tego, czyście także nie widzieli — ciągnął
dalej nieznajomy z uśmiechem, wyjmując z kieszeni
medaljon brylantowy i podnosząc go w górę.

Piotr i Helena odpowiedzieli jednocześnie o-
kazywaniem pełnym podziwienia. Nie przypuszczali,
że kiedykolwiek zobaczą jeszcze znaleziony przez nich,
a przez Tomasza skradziony medaljon.

Moi pocziwi ludzie, jestem wam nieskończe-
nie wdzięczny, żeście go tak długo u siebie prze-
chowali — mówił dalej nieznajomy. Wyszedł-
szy od was ze sklepu, znalazłem się wkrótce na
ulicy w tłoku, gdzie mi złodziej z kieszeni wycią-
gnął sakiewkę, sądziłem zatem, że ten sam niepo-
dobnie ograł mnie i z kosztownego medaljonu. Ponie-
waż musiałem niezwłocznie udać się w podróż do
Ameryki, obawiając się zatem, żebym się na okręt
nie spóźnił, zaniechałem wszelkich poszukiwań, a
nawet nie poświęciłem tyle czasu, aby pójść do
sklepu, w którym piłem kawę, będąc przekonany,
że to wszystko napróżno.

Teraz przypominam sobie pańską twarz, cho-
ciaż tylko raz jeden pana widziałem — rzekła He-
lena, spoglądając bacznie na nieznajomego.

Jest to jehna! dla mnie zagadka, jak pan do-
szedł do odzyskania swego medaljonu — zawołał
Piotr — również nie pojmuję, jakim sposobem
pan odszukał?

Z skąd pan wie, że mój medaljon ten u sie-
bie przechowali? — dodała Helena.

Dowiedziałem się o tem od biednego umiera-
jącego złodzieja, który zeznał, że odebrał go prze-
mocą pewnej uczciwej kobiecie, która wolała raczej
głód, zimno i nędzę zność, niżeli przywłaszczyć
sobie, co nie było jej własnością — objaśnił
nieznajomy.

Umierający? czyż dobrze słyszałem, umie-
rający złodziej? — zapytała trwożnie Helena.

Nieznajomy usiadłszy, w krótkich słowach opo-
wiedził jak się rzecz miała.

Przed niedawnym czasem bawiłem w Rwe-
beku. Zanim powróciłem do fraju, zwiadałem
tamtejszy szpital w towarzystwie znajomego duchow-
nego.

W jednej sali dozorczyńni zwróciła uwagę
mego towarzysza na pewnego chorego, który pra-
gnął koniecznie obecności księdza. Mówiła, że zda-
je się jej, jakoby biedak miał coś na sercu, z cze-
go chciałby się wypowiedzieć.

Wkrótce razem z duchownym staliśmy u
łoża chorego, wskazanego nam przez dozorczynię.
Pojmiecie łatwo, moi dobrzy ludzie, jak wielkiem
było moje zdumienie, gdy chory wyciągając medal-
jon, który natychmiast poznałem jako moją włas-
ność, zawołał ochrypłym głosem: „O panie, pro-
szę zatrzymaj to przy sobie, a gdy umrę, odeślij
pocziwym ludziom, którym ten kosztowny przed-
miot utracę. Od chwili, w której popełniłem
ów czyn niegodziwy, nieustający dręczy mnie nie-
pokój!”

Poczęto naturalnie badać biednego chorego, tak,
iż wkrótce wszystko na jaw wyszło. Umarł jesz-
cze tego samego dnia wśród ciężkich cierpień ciała

i walki duszy, jako grzesznik pokutujący, a mam nadzieję, że łaskawie do chwały Bożej prawięty będzie. Gdybym powrócił do Anglii mem pierwszym staraniem było odszukać was moi poczciwi ludzie, a to, com tutaj usłyszał, potwierdziło tylko zeznanie umierającego Tomasza. Przyjmijcie teraz ze spokojnem sumieniem, to na coście zasłużyli.

I kładąc na stole sakiwkę pełną złota, nieznanomy dodał uprzejmie:

Przyjmijcie to, proszę, odemnie, jak również i serdeczne me podziękowanie za przechowanie medaljonu z włosami, które mi są tak drogie, że za żadną cenę nie mogłym je dostatecznie okupić. Niechaj córeczka wasza, gdy dorośnie, nauczy się ze szlachetnego postępu swych rodziców, że jakiegokolwiek bądź pokusy człowieka nawiedzą, zawsze lepiej jest cierpieć, aniżeli grzeszyć?

Grzesznicy, Bóg wasz idzie.

Grzesznicy, Bóg wasz idzie!
Zbawienia słysząc róg!
Bóg z łaską do was zniździe,
Przychodzi Pan do sług.

Powstańże ludu Jego
I ofaz radość swą;
Przywitaj Króla twego,
I wpuść: niech wniździe On!

Królestwo Jego bliskie
Jest z nieba, nie jest ząd;
Lecz ziemskie państwa wszystkie
Do Jego legną rząd.

Ten świat chce On zawalić
Do Jego tronu tór;
Przec złota On obalić
Samego pietra mur.

Ach! tam, gdzie On przebywa,
Umilka żądry szal,
Tam pycha się rozpływa,
Nieszczęścia pierzchną w dal.

Choć w duszę wpadły chmury
I wzrok się łzami cni,
On tęcza jasną z góry
W zbolałą duszę łni.

A gdzie zamieszkał stale
Tam już minęła noc,
Tam piekło już omblate
I w więzach grzeszna moc,

Tam znikła Dół i zyciel,
A Boża łaska tchnie,
Nienteje pokusiciel,
Emieré traci żądło zle.

O, Królu nad Królami,
Zawitaj do nas raz,
Zawładnij całkiem nami,
Stolicę żałóż w nas!

Wdziej na nas wiary zbroję,
Niech mimo życia burz,
Królestwo będzie Twoje
I w nas widome już!

Nam bardzo tego trzeba
Byś wznowił w nas Twój mir,
Bo wciąż nam spokój nieba
Zawichrza świata wir.

Zajaśnij, niech zwycięży
Na ziemi światło Twe!
Zabobon niech poleży
I w nicość wgrząży się!

O, przybądź do nas, Panie:
Zawiści płomień zgasz,
Złącz w jedno nas kochanie,
My bracia! Ty Król nasz!

Niech Tobie serc miliony
Swą cześć i chwałę da,
O, bądź, bądź pochwalony!
Hosanna! Hosanna!

Rs. W.

Barth i domcypy.

— U malarza. Czy pan małos?
Nie mam losów żadnych!
Jako? kiedy mi mój faktor powiedział, że
pan maluje i wiernie trafi w moja gięba?
To pan chcesz mieć portret?
Jo!
W takim razie służę panu!
Also machen Sie gleich!
W jakiej pan chce mieć pozycji profil... en face?..
Jak to? pro wiel... pro 50 mr., aber will nisch
am Jass... wolę zieby mi pan zrobił am fotel!..
A czy wodnemi farbami czy olejnymi?
Wie heist? pan mnie chce malowacz pro 50
mr. z wodą? Nie ja chcem być w oleju, albo lepiej
niech mnie pan zrobi w nafcie... bo nafta teraz
dobrze stoi.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.

Ułogi młodzian swej miłej się pyta
Czy przyjdzie pod las gdzie stoi faryta
Co na nią czeka bo rodzice bronią
Ponieważ wielkie majątności mają
Gdy ojca matkę twarzą syn powali
Wtenczas koguty tylko będą piali
Gdy świeca zgaśnie, która niby żywa
Kiedy ty pójdziesz, tam ja pójdę z tobą.

Znawid na Stąsku.

Bagadka.

Maisto, sławne z wesela, z przydaną literą
okręty na swym grzbiecie niesie.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.”

Ar. 5.

Głk, na niedzielę dnia 31 stycznia.

1897.

3. Jezus i Płat.

Łuk. 23, 1—7.

Na każdym kroku drogi krzyżowej Pana Jezusa widzimy spełnienie się jego własnego słowa. Sam o sobie wyrzekł: „Syn człowieczy będzie wydany w ręce poganów, a ci go obciążą, udręczą i zabiją,” a mówił to do uczniów swoich. Nic dziwnego, że słowa te były im niezrozumiałe. Prawda, że żydzi pomiędzy sobą byli rozdwojeni, ale przeciw poganom trzymali się współczuć i jedności jako jeden mąż, a nawet najgorszego żyda nie byłoby wydał w ręce poganów. I nikt by był pomyślał ani nawet najwięksi nieprzyjaciele Pana Jezusa, żeby go kto mógł był wydać poganom. A czego nikt by był nie mógł pomyśleć, stało się! Tak jego własny naród wydał go w ręce poganów, a ci go ubiczowawszy osądzili na śmierć sromotną krzyżową. Pójdźmy więc za Panem, patrzymy nań jak stoi przed PONTSKIM PIŁATEM.

Wysoka rada żydowska wstała, aby Pana wydać w ręce pogan; żeby ci go na śmierć osądzili, a całe miasto JERUZALEM było od tej chwili w poruszeniu, wszystko oczekowało z niecierpliwością tych rzeczy, które miały nastąpić. Od tego czasu, kiedy lud mu jako mesjaszowi, prorokowi pot dawał i królem go swoim chciał obracać, musiała się cała ta sprawa rozstrzygnąć, albo rada najwyższa zgodzi się z narodem, a Pan uznanym zostanie jako król JERUZALEMU, przeciwnie zaś muszą się starać, Jezusa stracić! Lotem błyskawicy rozszła się po całym mieście ta straszna wiadomość, że rada najwyższa skazała Pana Jezusa na śmierć, a oto teraz powstał, aby go zaprowadzić do PIŁAT i wydać w ręce poganów. Kto by to mógł był uwierzyć, a kiedy się otwartą podwoje domu najwyższego kapłana, a starsi zboru i kapłani wywlekli Pana Jezusa to na widok jego, lud czający przed domem w milczeniu i przestraszony odprowadził Jezusa przed sądową stolicę PIŁAT, ten już czekał na nich przychodzących. Ale PIŁAT zna dobrze ten lud zatwardziały i mściwy, nie ma on ochoty być narzędziem ich zemsty, a tyle jeszcze ma poczucia sprawiedliwości, że nie chce ofiarować się być sędzią przeciw temu, którego kłóść i nienawiść zatracić pragnie i dlatego najprzód odprawia ich od siebie powiadając, to nie moja sprawa sądzić takiego, którego obstarżacie za

bluźnierstwo przeciwko Bogu, sami sobie go osądźcie, mnie ta sprawa nie nie obchodzi. Lecz oni stoją niezachwianie i szukają środków, któremi PIŁAT zmusili, by on Jezusa na śmierć skazał. U nich nie masz śladu ani bojaźni Bożej, ani nawet jakiej sprawiedliwości. Tak, tak, spełnia się tu na tem miejscu co o nich Pan powiedział, że nie są z Boga, ale z diabła; to też i sprawa ich jest djabełską. A gdzie nie ma prawdy, tam kłamstwo panować musi, a że prawda nie mogła postępować, to uciekają do kłamstwa, a to im zaraz pomogło do obstarżenia przed PIŁATEM, który się już cofnąć nie mógł. Powiadają, że Chrystus był nie tylko religijnym i kościelnym, ale przedewszystkiem politycznym burzycielem i wicherzycielem ludu, człowiekiem bardzo niebezpiecznym.

Nie tylko uczynił się Synem Bożym, ale też i królem, a zakazywał dawać daniny cesarzowi, lud buntował przeciwko rządowi cesarskiemu porzucając od Galilei aż do JERUZALEMU. Tak skazując, tak kłamią, aby ino PIŁAT zmusić, żeby on poszukiwanie przeciwko Jezusowi rozpoczął. A tak wchodzi Pan na ratusz do PIŁAT, aby go sądził i stoją obydwa sami ze sobą.

Tak stoi Pan Jezus przed PIŁATEM. Jezus król niebieski, PIŁAT przedstawiciel, zastępca królestwa tego świata. Jezus, który z nieba przyszedł, PIŁAT zaś ze Rzymu. Pana, Bóg zstał, PIŁAT, przysłał cesarz rzymski. Jezus uniżył się z miłości ku nam, PIŁAT wyniesiony do najwyższej godności i mocy i potęgi, Jezus może wszystko, a wydaje się być statym i niemocnym; PIŁAT nie nie może, a jednakowoż ma moc nad życiem i śmiercią! PIŁAT wychował się na dworach możnych i wielkich panów, więc patrzy na Jezusa z góry. Mój Boże, cóż u niego znaczą ten pojmany, powiązany! On widział wielkich królów tej ziemi w ich chwale i wielkości, on to widział i obcował z cesarzem rzymskim, któremu prawie cały świat ówczesny należał, to też śmieszne mu się wydaje, aby ten człowiek przed nim stojący, który nie miał gdzieby swoją głowę skłonił, mógłby się królem mienić, aby ten ubogi Rabi narodu pogardzonego, żydowskiego mógłby być jego cesarzowi niebezpiecznym. Zadowolwień mu się to śmieszne wydaje, to jednakowoż pyta się Pana: „Tyżes jest król żydowski?” pewnem będąc, że Jezus zaraz zaprzeczy i powie „nie.” PIŁAT jednak prze-

żył dnia tego czego nigdy jeszcze w życiu swem nie marzył ani nawet nie przypuszczał. Ten pojmany rozpoczyna z nim mówić jakoby był rzeczywistym królem, a nawet zadaje mu pytanie mówiąc do niego: „A samże to o sobie mówisz, czylić inisi powiedzieli o mnie.“ Przed Annaszem nie wyrzekł ani słowa, lecz milczał. Radzie najwyższy odpowiedział, kiedy go zaprzysiężono, tu z Piłatem chce się zapuścić w rozmowę, bo mu żal Piłata, który wyrosł tylko w ciemności pogaństwa i kłamstwa, a nie wiedział co jest prawda. Tu nie milczy, chce z nim mówić, pragnie go wyratować ze zguby, wyrwać z zatracenia, oświecić i przyprowadzić do prawdy. Była to godzina, która wybiła dla Piłata, godzina miłości i miłosierdzia boskiego, ratunku i zbawienia, albo przeciwnie wiecznego zatracenia, gdy odepchnie od siebie rękę, która go wyratować chciała. Ale ten dumny Rzymianin obraził się. Urażonym został, że na tem miejscu, na którym on królował, śmiał się go ktoś pytać i naruszać jego sumienie, i pukać do tego twardego serca, tu on tylko ma prawo pytać, każdy musi zaś na pytanie odpowiadać. Wzgardził i odepchnął tę rękę, która go chciała wyratować, mówiąc dumnie i przechwalając się: „Nie wiesz, że mam moc ukrzyżować cię.“

Ale jakież było zdziwienie się Piłata, kiedy ten związany więzień na jego pytanie odpowiada te głębokie słowa: „Ty pomyślasz, że ja jest królem: ja ni się na to narodził i na tom przyszedł na świat, bym świadectwo wydał prawdzie.“ Z tych słów przeformuje się Piłat, że to nie jest żaden marzyciel. Cała jego postawa, istota, mowy i milczenia wskazują, że co on mówi jest jego przeformaniem, gdyż na jego świetem obliczu panuje spokój, a w jego oku jaśnieje czyste światło Ducha św., a chociaż ten człowiek ubogi, opuszczony, związany, potępiony i w obec zbliżającej się śmierci stojący, przecież twierdzi i świadczy pewno i niezachwianie, on jest królem, a jego królestwo jest niebieskiem, on jest królem pomazaniem Bożym, Zbawicielem świata i sędzią, który kiedyś sądzić będzie tak żydów jak i poganów, on na to urodził się, by świadczyć o prawdzie, a takie świadectwo wydaje teraz tej prawdzie, która mówi, że jest królem.

Jakkolwiek Piłat tych słów przyjąć nie może, to one mu jednakowoż nie chcą wyjść ani z myśli ani z serca, zawsze i wszędzie stoją one mu żywo przed oczyma, a pozbyć się ich nie może. Już odprowadzonym Jezus został na Golgotę, a Piłat myśli i myśli o tym królu, myśli o tem słowie, które mu Jezus we cztery oczy powiedział, a te słowa nie dają mu pokoju, że aż zaczął na krzyżu napisać na świadectwo całemu światu w łacińskim, greckim i hebrejskim języku: „Jezus Nazareński, król Żydowski.“ Te słowa jaśnieją na krzyżu nad głową tego ukrzyżowanego Jezusa. Trzy wieki pracowały nad zatraceniem jego królestwa, trzy wieki burzyły go, a mimo tej walki strasznej rzymskie królestwo upadło, a królestwo Jezusa trwa, a bramy piekielne nie przemogą go. A chociaż i teraz mocy piekielne przeciwko Jezusowi i królestwu jego powstają i radeby kościół chrze-

ścijański zburzyli, to jednakowoż czy na górach czy w dolinach jaśnieje krzyż, a na nim napis, Jezus Nazareński król Żydowski, a jego królestwu nie masz końca, w którym my mamy pokój i zbawienie w życiu i w śmierci. Amen.

Modlitwa sługi.

W Krafowie była służąca u pewnego urzędnika. Pewnej niedzieli wieczorem, gdy miała pójść na spocznęk wzięła według zwyczaju książkę od nabożeństwa, żeby się modlić, poczem w imię Boże spać się położyła, książkę zaś otwartą na stole przy łóżku. W nocy gdy wszyscy spali, zakradł się złodziej do domu. Zaczął on gospodarzkę w kuchni; pozbierał miedziane statki, ułożył do worka, do tego dodał tuzin łyżeczek srebrnych i bieliznę, jaką mógł znaleźć. Nikt mu nie przeszkodził, bo wszystko w całym domu spało. Rozglądając się dalej, przyszedł do łóżka sługi. Ta jednak dobrze się zabezpieczyła, bo przy niej leżała książka od nabożeństwa. Złodziej poświecił sobie swoją latarką złodziejską i zajrzał do książki.

Po niedługim czasie pani domu zrywa się z przestraszeniem z postania. Co to takiego? Słyszała wyrażenie, że ktoś mocno zatrzasnął drzwi wiodące z kuchni do sieni. Biegnie do kuchni, godzina była pięta z rana. Budzi sługę i rozgląda się z nią po domu. Cóż widzą: miedź, srebro bielizna, — wszystko poskładane w kuchni, ale nie nie brakuje. Dlaczegoż złodziej nic nie zabrał? Nadaremnie gubili się w domysłach, aż spojrzali na książkę od nabożeństwa leżącą na niej obcy ołówek, a tym ołówkiem na brzegu książki były wypisane słowa: „Dzień Ci Jezus!“ Teraz wszystko zrozumiał. Złodziej czytał w książce; słowo Boże przenikło duszę jego jak miecz obosieczny Archaniota; syn marnotrawny usłyszał słowo swego Zbawiciela, a światło przenikło jego serce. Dlatego złodziej uciekł, wypisawszy wprzód jeszcze dziełczynienie Pani.

Książka sługi ochroniła dom cały, bo stało się to co tam złodziej czytał: Psalm 127. Jeżeli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuwa ten który go strzeże.

Pobożna modlitwa i innym ludziom także się przyda.

Zbawienne postanowienie.

Pewien człowiek będąc zagrożony wielkim niebezpieczeństwem, miał do wyboru dwie ostateczności: utratę życia, lub stratę całego mienia ciężko zebranego w pocie czoła. Był to poszukiwacz złota, który wracając z Australii stał na postawie okrętu, mając przed oczyma już niedalekie brzegi ojczyzny. Wielu towarzyszy było z nim razem mających również nadzieję ujrzenia następnego poranku utraconych żon i dzieci, pozostawionych w kraju rodzinnym, oraz spełnienia świetnych rozeń i marzeń, ktorými się poili podczas długiej podróży, a mianowicie, by ostatnie dni życia w lubej spędzić ojczyźnie, żyjąc z oszczędności,

jakie przez długie lata moralne pracy w kopalniach złota zebrali. Ale przysłówie mówi: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.“ Noc ciemna zapadła, a z nią naciągnęła groźna burza, która nie tylko okret, lecz również wiele bogactw, pragnień i nadziei bezpowrotnie zniszczyła. Gdy blady zaświtał poranek, ukazała się straszna rzeczywistość pod postacią śmierci ponuro zagładającej rozbitkom w przerażone oczy. Wzburzone batwany ze złowrogim szumem, piętrzyły się wysoko po nad okretem wiotanym wichrem i spienioną falą; łodzi niepodobna było spędzić na szalejące morze, jakkolwiek tam w dali widniał w mgle poranku tak gorąco upragniony brzeg rodzinny, a na nim setki zawoźzącego ludu. Pozostawała tylko jedyna nadzieja ratunku, lecz niestety wykluczone z niej były drżące, wybladłe niewiasty, płaczące dzieci i słabi, trwogą przyjęci mężczyźni. Tylko dzielni, odważni pływacy przy pomocy Bożej mogli wyzwać do walki żywioł złowrogi. Jeden z mężczyzn, stojący na pokładzie, uwiązał do biodor ciężki worek skórzanym napełniony złotem w znoju zebranym, co widząc towarzysze, poszli skwapliwie za jego przykładem, a następnie wszyscy jeden za drugim w szumiące sfoczyli morze. Lecz daremna nadzieja! Po krótkiej straszliwej walce zginęły w pochłanianych falach; ciężkie złoto, które mieli przy sobie w morską pogrążyło ich głębie. Człowiek, o którym mówiliśmy powyżej, widząc śmierć towarzyszy odwiązał z wolna od pasa ciężki wór skórzanym pełen czyszczonego złota, które w niedalekiej przyszłości urzeczywistnić miało błogie jego sny i rojenia stokrotne. Chciał kupić sobie wiosce, wieść żywot bez troski, zyskać znaczenie i poważanie u ludzi, i jeszcze dużo innych pięknych i połączonych rzeczy! A wieleż to on poniósł trudów, wieleż ciężkich doznał przeciwności! Dwoc fruwającego znoju, nadzieja życia bez troski i kłopotów, złote na jawie marzenie — wszystko mieściło się w tym worcu skórzanym. Odrzuci go, to zostanie żebrakiem, gdy utrzyma przy sobie, umrze bez wątpienia. Raz jeszcze przeważa go w ręku i patrząc nań długo ze smutkiem w oku, rzuca wreszcie daleko w fale rozchłupane. Zbawienne postanowienie! Zatonął fruszec marny w głębi morskiej, a za nim wolno od ciężaru sfoczył i on w spienione batwany, i prując je silnym ramieniem, wkrótce szczęśliwie dopłynął do brzegu. Dobrześ uczynił dzielny pracowniku! postanowienie twoje było roziunem! Ale skoro człowiek porzuca całe swe mienie żeby uratować życie zagrożone, czyli nie powinien tem więcej poświęcić wszystko co posiada, dla uratowania swej duszy grzesznej.

Zaprawdę, stokrot lepiej utracić złoto, niżeli łaskę Przedwiecznego! Lepiej na słabych ramionach dźwigać frzży ciężki, niż utracić foronę żywota wiecznego.

Skrzypce.

Pewnego dnia, chcąc uporządkować szafę do frąg, wszedłem do niego gabinetu, w którym na fortepianie leżały skrzypce i biblja. Właśnie za-

bierałem się do pracy, gdy przeszkodziło mi w tem przybycie małego chłopczyka, któremu poprzednio przyobiecałem pokazać piękne obrazki. Matka jego była kobietą ubogą, którą używałem do posługi, a mój jej synek był moim ulubieńcem. Ośm lat swego życia przepędził w ubogiej wiosce w chacie wieśniaczej; dopiero od kilku dni bawił w mieście i formalnie był ośniony całym swym nowym otoczeniem. Podobnie jak wszystkie dzieci, pytał ciękawie o każdy przedmiot, który zwracał baczną jego uwagę. Chodził na palcach po pokoju, oglądając szczegółowo każdy przedmiot, a nareszcie zatrzymał się przed skrzypcami.

„Co to jest?“ zapytał z zajęciem.

Wymieniłem nazwę instrumentu, lecz to nie wiele go objaśniło. Pozwoliłem wziąć go do ręki i bliżej się przypatrzeć, — potrząsnął głową nie nie pojmując.

„Do czego to jest?“ pytał dalej.

„Jest to instrument, na którym pięknie grać można“, objaśniłem malca.

Kiedys posiadał mój flecif dziecienny i przypominał sobie, iż chcąc wydać ton nałży weń dźwięk, począł zatem dąć nieśmiało na skrzypce, naturalnie bez żadnego skutku. Pokazałem mu smyczek, — sądził, że to bat. W tej chwili wszedł do pokoju syn mój, który wcale nie źle grał na skrzypkach, poprosiłem go zatem, aby co zagrał. Uczynił zadość memu życzeniu, a ja patrzyłem bacznie na chłopca, na którego ożywionej twarzy czułem, malowały się zadziwienie i radość. Syn mój następnie zagrał jeszcze parę melodyjnych sztuczek, aby zadowolnić chłopczykę, który tak się zachwycał jego piękną muzyką.

Tymczasem frągki moje uporządkowawszy w szafie, spostrzegłem leżącą biblię, wziąłem ją zatem z fortepianu, aby również schować, gdy po raz drugi przeszkodziło mi w tem odwiedziną jednego z moich znajomych. Był to znany artysta, wielce wykształcony i roziunny. Wiedziałem jednak o nim, że jest nieprzyjacielem wszelkich religijnych zasad. Prowadził zawsze życie lekkie, swobodne, był ogólnie podziwiany i uwielbiany w świecie, i dla tego nie wiele myślał o Bogu i świętych Jego sprawach. Trzymając wciąż księgę w ręku, usiadłem przy nim i chwilę rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych; następnie opowiedziałem mu o małym chłopczyku i skrzypkach. Usłniał się serdecznie, poczem podniósł się czyniąc uwagę, że może przeszkodził mi w czynności bibliotekarskiej, gdyż szafa z frągkami była jeszcze otwartą.

Begnając się ze mną, zapytał co to za frągka, którą wciąż jeszcze w ręku trzymałem. Otworzywszy spojrział na kartę tytułową, usmiechnął się i oddał mi napowrót. Zrobiłem uwagę, mówiąc: — Jest to zapewne ostatnia fręga, którą pan i ja będziemy potrzebowali.

Wziął ją powtórnie i począł obojętnie oglądać. Czy jego przebiegały po kartach, na których wypisane były cudowne obietnice Boże, które dla wielu stały się życiem i siłą; na nim jednak żadnego nie robiły wrażenia. Potrząsając głową rzekł:

Nigdy nie mogłem zrozumieć, czem właściwie

ta księga taki wpływ sobie zyskała. Dla mnie jest ona zupełną zagadką.

Odrzekłem mu na to poważnie:

Przed chwilą opowiedziałem panu o małym chłopczyku, który nigdy przedtem skrzypiec nie widział. Nie miał on pojęcia o cudownych dźwiękach, jakie z nich wydobyć można, nie wiedział, iż tysiące dusz mogą się wzruszyć i przejąc do głębi, za poruszeniem tych czterech małych strun. I pan trzymasz księgę w ręku, przewracasz jej karty, oglądasz oprawę i odkładasz na stronę, bo nie wiesz, jakie dźwięki ona wywołać może, nie masz pojęcia jak potężnemi akordy serca poruszyć zdolna, i wznieść się ku temu, co jest najwyższem, najświętszem, wiekniem.

Stał przez chwilę w milczeniu głęboko zadumany, wreszcie rzekł:

Masz pan słuszość, biblia jest instrumentem, na którym ja grać nie potrafię, jakkolwiek wielu jest nauczycieli.

O bez wątpienia, — odrzekłem — jest ich bardzo wielu, lecz najlepszym nauczycielem, który dobrych uczniów wykształcił, jest cierpienie.

Nie chciałbym w wyższej szkole składać egzaminu — odpark zwolna.

Nie możemy zawsze sami wybierać naszych nauczycieli — zauważyłem.

W milczeniu podał mi rękę i wyszedł. Nigdy przedtem nie widziałem go tak poważnie usposobionego.

Dzieła i drogi Boże.

O Boże dzieła Twoje
Dowodzą Twej bytności,
Gdzie zwrócę oko swoje
Spostrzegam ślad Boskości.

Ten świat, co nas zdumiewa
Wielością tworów wszędzie,
Tyś nim stworzył i śpiewa:
Bóg jest i wiecznie będzie.

Kto niebo, ziemię stworzył?
Kto drogie światła skarby
W ożywczem słońcu złożył?
Kto ujął morze w karby?

Kto pzbawieszał w górze
Złocistych kwiat tysiące?
Kto zsyła grzmoły, burze,
Po świecie strach szerzące?

To wszystko Twoje, Panie;
Te nieba, ziemia, słońca
Wystawiać nie są wstanie
Dobroci Twej bez końca.

Robaczek w ryle drobny,
Złocisto ziemskiej trawy,
Motylek w barwy zdobny
Są psalmem Twojej sławy.

Niech część Ci wieczna będzie
O Boże nasz na niebie!
Choć wielu jest w obłędzie
I nie chce wierzyć w Ciebie.

Spraw Panie! niechaj wierni,
Co w Tobie ufność mają,
Od ostrych wolni cierni,
Dpieki Twej doznają.

R.

Jerycho.

Przez lat czterdzieści szli drogą pokutną,
Przez lat czterdzieści milczeli pod młotem,
I pierś ich w ogniu, jako pancerz kutny,
Jeno się głuchym skarżyła łoskotem,
Aż własnem ciałem stali się pancerni:
Kruszył się na nich oszczep, nakształt cierni.

I ducha swego nie trwonili w słowach,
Siebziął on w głębi zasklepiony twardo,
I ledwie czasem z rękoma na głowach,
W cieniu siadali milcząco i hardo.
A gdy ich boleść do żywa dojadła,
To z chmurnych oczu ledwie łza im spadła.

Nie frymarczyli oni łzą, nie skargą,
Nie rwali dłoni, nie miotali włosem,
Ale zaciętość stała przed ich wargą.
Każdy drżał w sobie skamieniałym głosem,
A na dno duszy swej to tylko składał,
Co w strasznych grzmołach groźny Bóg powiadał.

I z tą potęgą tajonego wnętrza,
Jako tulące przyszli pod Jerycho;
Stoma wieżami ono się napiętrza,
Cielesnej siły zbudowane pychą,
A w swoim łonie trzyma lud plugawy,
Lud zwierzęcy, bez jutra, bez sławy.

Izrael widząc kraj polisty, śliczny,
Wyborny Liban, rozłóg za rozłogiem,
Podniósł krzyk wielki, straszny, jehowiczny:
„Chwała naszemu Bogu, miecz nad wrogiem!”
Krzyk ten z głosami trąb zmieszany razem,
Uderzył w mury miasta, jak żelazem.

Nie dotrzymały one tego ciosu:
Runęły baszty, rozwarły się bramy —
Izrael zdobył je potęgą głosu,
I wzniezionym mieczem poszedł przez rozłamy,
I nie zostawił już nic w grodzie onym,
Prócz trwi i węgla.

Rozwiązanie zagadki z nr. 2.
K a n a, K a n a k.

Zagadka.

Dzieci przyniosł dzieciom obiad,
A obiad potem dzieci zjadł.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej”

Ar. 6.

Ciż, na niedzielę dnia 7 lutego.

1897.

4. Jezus i Heród,

Łuk. 23, 7—12.

Cieżyło było dumnemu Płatowi na sercu, jak długo widział Jezusa oskarżonego przed sobą stojącego. Wiedział on dobrze o tem, że Jezus sam stojąc na tym świecie, wzgardzony i oskarżony od mężów mających wielkie znaczenie w narodzie Izraelskim, nigdy nie może być niebezpiecznym rzymskiemu cesarzowi, ale przecież mu dziwnem było, że ten więzień odważył się z nim tak śmiało i bez trwogi mówić o mocy, którą on posiada, że jest królem, że się na to narodził i na świat przyszedł, aby świadczyć o prawdzie, a choć jego postać była tak uniożoną i wzgardzoną to jednakowoż z jego słów przebija się majestat i godność, które przewyższają ubóstwo i niżłość, w której się obecnie znajduje. Bo włożą złotą koronę na głowę jebrafa, a przyrodziej króla w łachmany, zawieszę jebrafa zostaje jebrafiem, a król królem. Patrząc na Jezusa ofiem duchownym, poznasz w nim, choć tak poniżony, że on pochodzi z gór, z nieba i wyższym jest po nad wszystko ziemskie. Coś podobnego widział w nim i Płat nie chciał go więc stracić, ale słysząc w poszukiwaniu, że pochodzi z Galilei, postanowił go odesłać do Heroda, który właśnie z całym swoim dworem znajdował się w Jerozalemie. I tak przysłała godzina nawiedzenia i łaski na Heroda, który nią wzgardził, to też i wzgardzonym został.

Zaprowadzili Pana Jezusa do Heroda. Pomyśl, kiedy go wiedziono przez ulice miasta związanego, jak wielkiej doznał hańby i wstydu, był on prawdziwie pośmiwiskiem pośpółstwa jak psalm 22 o nim powiada: „Allem ja robiak a nie cztowiek, pośmiwisko ludzkie i wzgarda pośpółstwa, wszyscy, którzy mnie widzą szydzą ze mnie.” Zbawiałoby się, że Heród go uczi, bo słowo Boskie powiada, że Heród go zdawna pragnął widzieć dla tego, że wiele o nim słyszał. Piękne to świadectwo, bo zbawienie przychodzi do tego człowieka, który pragnie Jezusa widzieć, ale chce go i słyszeć, przez słowo wchodzi zbawienie do duszy naszej — ale z drugiej strony może przynieść potępienie. Bo wielka różnica zachodzi w jakim celu chcesz słuchać słowa Bożego. Nie jeden szuka w piśmie św. w tym celu, aby dojść do wiary, inny znowu na to czyta lub słucha słowa Bożego, aby się w niewierze mocniej ugruntować, i aby

mógł tem bardziej szydzić i nasłmiewać się z religii. Te drogie obrat Heród, on pragnął Jezusa widzieć, a raczej jaki cud od niego uczyniony, aby się on i cały dwór jego nad pojmanym Jezusem nacieszyli, rozrywali, nasłmiali i z niego szydzili, o zbawienie duszy swojej wcale nie miał starania, a tak bliskim takowego był, bo gdzie Jezus, tam też i zbawienie bliskiem jest. Lecz serce Heroda dalekiem było od pragnienia zbawienia, serce jego utopione w rozkoszach świata, zabawach, ucztach, szufali tylko tego, co świat dać może, a więc pożydlwość oczu, pychy żywota, pożydlwość ciała. Jego pragnienie było cielesne, światowe!

Kiedy więc posłyszał, że Płat do niego Jezusa przysłał, to ucieszył się, że życzenie jego spełnionem zostanie, ale ta radość nie pochodziła z głębi duszy pragnącej zbawienia, lecz była to radość tylko cielesna, bo spodziewał się, że na ucieśnej rozmowie przedzej mu czas zejdzie, że coś dziwnego szczególniejszego zobaczy. Tak jak na widowisku rozweselają się ludzie i nasłmieją, kiedy są na komedyi, to sądził i Heród tak sobie widowniskiem Jezusa dzień uprzyjemnić i rozweselić, tem więcej, że spodziewał się od niego jakiego cudu lub znaku. Zgromadził więc około siebie liczny dwór jak to oficerów, możnych panów i panie wysofiego rodu, a kiedy tak wszystko z niecierpliwością widzenia nowości oczekują, więźnia, a za nim wstępują przez Herodem i oskarżyciele jego.

Ten Jezus, który ubogim ewangelią opowiadał, stoi na końcu żywota swego ziemskiego przed królami i możnemi tego świata.

Tu są wszystkie stany zgromadzone. Tak księżta ziemscy jako kościelni, uczeni świat, mądrzy i uczeni duchowni i świeccy, przed wszystkimi tymi wielkimi według świata, stoi Jezus w ostatnich dniach żywota swego ziemskiego, do wszystkich wyciąga rękę zbawienia, tak jako kiedyś w on dzień ostateczny staną kiedyś oni wszyscy na sądzie przed Jezusem. Jezus i Heród stoją sobie naprzeciwko. Z Jezusem zgają oskarżyciele, z Herodem cały świetny dwór. Jezus jako ubogi grzesznik wydzany na wzgardę, Heród w spaniałości i wielkości. Wita go duszo, na którego stronie pragnąłabyś się znajdować czy obok niżkości Jezusa, czy obok wielkości Heroda? Tutaj to patrzą sobie w oczy sprawiedliwość i grzech, niewinność i zbrodnia; majestat Boży,

przed którym się wszystko uniać powinno i uformowana nieczemność. Stoją w tym samym pałacu, w którym przed 33 laty mędrcy ze wschodu wstąpili, pytają się o nowo narodzonego króla Izraelskiego, bo widzieli jego gwiazdę, więcby pragnęli mu pokłon i część i uszanowanie oddać. Nie wspomniali sobie Heród, żeby mu się należało tak samo uczynić jako oni mędrcy ze wschodu, którzy Jezusa prawdziwie pragnęli widzieć, a szukając go, znaleźli, tuż przed oczyma swojemi widzieli Jezusa, a zamiast zadrzeć przed majestatem jego, uczul się wyniesiony pochlebstwem Pitata, który Jezusa do niego odesłał. W zarozumiałości i pyśle swojej czuł się nad wszystkimi wywyższonym i widzieli tylko siebie we wielkim majestacie. Lecz właśnie ta godzina chwaty, była najciemniejszą życia jego — godziną odrzucenia, godziną sądu.

Tuż raz przyłożono masę na oczy jego, aby ujrzał światłość prawdziwą, kiedy Jan Chrzciciel w domu jego posłute opowiadał, teraz stoi Jezus przed nim i wyciąga rękę zbawienia i ratunku do niego, lecz wszystko napróżno. Wzgardził masą posłute, odepnął rękę go ratującą. Jezus stoi przed nim, a on go nie widzi, nie poznaje. Takich Herodów dość na tym świecie. Odnaczają się wielkością i wspaniałością, dostojenstwami i bogactwami, potęgą i mądrością, są to mistrze sztuki i wykształcenia, a przecie ślepi, bo Jezusa nie widzą, ani znają. Wbiję i im kiedyś godzina, kiedy wołać będą i pragnąć światłości, lecz będzie za późno, bo ślepi i słońce nie pomoże.

A przecie pismo św. powiada, że Heród ujrawszy Jezusa, uradował się bardzo. Tak ujrzał go oczyma cielesnemi, oczyma spragnionemi widzieć coś nowego, ciekawego, ucieśnionego. Heród był człowiekiem wykształconym i był więcej w towarzystwie Greków jak Żydów i dobrze znał świat, a ten świat był w jego sercu z całą potęgą. Tem bardziej obudziło się w niem pragnienie coś ciekawego i nadzwyczajnego ujrzeć i zobaczyć, tego wszystkiego spodziewał się od Jezusa, było to coś dla niego interesującego, powalnego, ucieśnionego.

Kiedy Pana Jezusa do sali wprowadzono, nastąpiła grobowa cisza. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, wszyscy czekali na słowo królewskie, sądząc, że w krótko rozpocznie się rozmowa między niem a Jezusem, że wnet coś nowego usłyszą i zobaczą. Można sobie wyobrazić, jak wszyscy z napięciem słuchają, skoro król napoczął przemawiać. Jego królewski majestat okazywał się bardzo łaskawym, bo zniżył się do pojmanego więźnia i poczyną go pytać o niektóre rzeczy. Dowiaduje się o jego pochodzeniu i ojczyźnie, a jako już słyszał, wie o tem, że pochodzi z Galilei. Ale o dziwo, jakich doznają słuchający, na pytania mu stawione, nie daje żadnej odpowiedzi. Król ośmiela go, aby mówił, nie ma być trwożliwym, widząc takie wspaniałe otoczenie, nie ma się bać, ani lękać, ale on wiezień milczy.

Nie ma zamiaru król go sądzić, on tylko żąda jakiego cudu, chce się z nim do Pitata nawet wstawić, ale ani słowa na to nie wyrzekł na ojmany więzień. Ze wszystkich stron proszą go,

aby co królowi odpowiedział, który mu tyle względów wyświadcza, napominają go, aby uwzględnił i pomyślał przed kim stoi, lecz wszystko daremnie. Tak samo jako przedtem, kiedy stał przed Kajafaszem, na wszystko co do niego mówiono, nawet przeciw oskarżeniu fałszywych świadków, ani słowa nie wyrzekł, tak i tu przed Herodem, żadna ludzka siła nie jest w stanie zmusić go do mówienia. Nareszcie całe to położenie jest im wcale nieprzyjemnem, bo się przekonują, że milczenie nie pochodzi z trwogi lub bojaźni, widzą, że toją naprzeciw potędze, której przezwyciężyć nie są w stanie. Wstyd i hańba dla nich wszystkich, bo czują to dobrze, że milczenie jego jest tylko wgardą ich, jakoby im mówił: nie jesteście warci ani jednego mego słowa. Tego król jeszcze nigdy nie słyszał, tak nikt się z nim jeszcze nie obszedł. A to spotkało go nie od jakiego wysoko położonego męża, ale od tego, który zawsze i wszędzie był pokornego serca, który ubogim ewangeliką opowiadał, a który dla najniebezpieczniejszych jego poddanych czynił cuda i znaki, a który dla grzesznych ludzi nie szczędził żadnej największej ofiary.

O jak źle musiało być z nimi wszystkimi tam zgromadzonemi, skoro niegodnemi byli choćby słowem jedno od Jezusa usłyszeć. Tak są ludzie, co się szczycą i chlubią z tego, że do ich serca żadne słowo Jezusa nie wchodzi, żadne słowo wołające ich do pokuty i nawrócenia, słowo napominające o wieczności, żadne takie słowo nie ma wstępu w ich światowe serca! Jest świat, świat, który liczy się do mądrości i wykształcenia, który sobie sam światynie buduje, a w tych ich światyniach, opiewają moc i chwałę krzyża Jezusowego lub chwałę jego w dźwiękach muzyki, a niewinność narodzonego dzieciątka Jezusa, piękność niebieską jego oblicza, wspaniałość nieba i przyjsie na sąd w obrazach, które zawieszają w swoich domach, przedstawiają. Oni wszystko to widzą i słyszą nawet podziwiają, Pan Jezus stoi w pośrodku nich, ale tylko w ten sposób jak to u Heroda było. Od niego samego, nie usłyszą ani słowa, nie doznają żadnego znaku i cudu. On dla nich jest tylko na obrazku. Jestto najsmutniejszy stan człowieka, bo uszy jego są otwarte na wrzask i krzyk świata, a wtenczas Jezus milczy, oczy widzą go, ale serce go nie czuje. Straszne to milczenie! Za cichość podobną onej, która burzę poprzedza! A chociaż tobie się zdaje, żeś pozbył się słowa Pańskiego, żeś wyrzucił Jezusa ciebie napominającego, że będziesz miał spokój od napominania, że cię znaki Jezusa już więcej niepokoić nie będą, to jednakowoż myślisz się bardzo! Nigdy się słowa Pańskiego nie pozbedziesz, a ręce Pańskiej nie ujdiesz. Gdyż albo dasz się wyratować od zatracenia wiekiściego i przyjmiesz Jezusa z jego słowem do serca twego, lub pamiętaj, że staniesz na sądzie, a tam usłyszysz słowo gromu. Dajże się więc ochronić od wiecznej zguby jak długo głos Jezusa słyszeć możesz, daj się pociągnąć znakami łaski jak długo żyjesz, mów Panie, bo sługa twój słucha. Amen.

Historija o głupim Janku.

Opowiem wam historję o głupim Janku, Tak go wszyscy przezywali. Starzy śmieli się z niego, a dzieci mając z nich przykład wysmiewały go także. To jednak niedobrze, bo nigdy nie trzeba się śmiać z człowieka, dla tego że jest ukornym i kaleką. Matka zaś Janka po trzykroć nad nim płakała. Pierwszy raz, gdy się urodził, a widziała, jaki jest brzydki. Drugi raz, w dniu pogrzebu męża jej, w dniu pogrzebu męża jej, bo wtedy spottkała Janka, który miał już rok jedenasty, obkopującego mogiłę mogiłę ojca. Na pytanie matki, co robi, odpowiedział, że chce ojca przyprowadzić znowu do domu. Żalana łamii rzewnemi uściskami wtedy swoje dziecko i odprowadziła do domu.

W czytaniu, pisanu i rachowaniu Janek postępów nie wiele robił, ale historje biblijne i pieśni nabożne dobrze pamiętał. Kiedy mu matka opowiadała o męce Chrystusa płakał tak namiętnie, że musiała przestawiać. Gdy zaś mówiła mu, jak uzdrawiał chorych, jak sam zmartwychwstał i wspiął na niebiosa, wtedy słuchał z rozwartemi szeroko ustami, aż podśmoczynwszy tańczył po izbie i skakał. Dla tego też w nauce konfirmacyjnej wcale ostatnim nie był, a kiedy nadszedł egzamin publiczny, rozległ się po całym kościele szmer podziwiania. Do odpowiedzi Janka, choć trochę zanadto krzykliwym głosem dawane, były zawsze trafne. Znowu płakała matka jego, ale tym razem z radości.

Potem jeszcze po raz trzeci gorzko na nim zapłakać musiała, gdy w krótkie po owej konfirmacyi umierać jej przyszło. Bo kiedy uprzedzała go o rozstaniu, on słysząc o tem nie chciał, ale prosił rzewnie, żeby go zabrała ze sobą. Wtedy zapłakać nad nim musiała. „Jezus z tobą pozostanie, mówiła mu osłabionym głosem: On cię do mnie do nieba przyprowadzi, gdy będzie pora na to. Kochaj go zawsze i rób to, co on rozkazał.“ Te słowa widocznie uspokoiły chłopca, bo przeniósł teraz, że matka umarła, że ją pochowano, a jego samego oddano do kremnej, która była za gospodarzem we wsi sąsiedniej. Długi jeszcze czas wntarzał on ustawicznie słowa zmarłej matki: Kochaj Jezusa zawsze i rób to, co on rozkazał.

Ale teraz nastały dla naszego Janka bardzo ciężkie czasy. Żaden promień dobroci lub miłości życia jego już nie oświecał. Z dnia na dzień słyszał tylko łajanie i był bity, niemilosiernie. Jedynie tylko siedmioletnia córeczka jego opiekunów, Elżbietka, osłabiała mu cokolwiek życie: skraśbała się potajemnie do niego, gdy plagi odebrał i pytała ze współczuciem: „Czy cię to bardzo bolało, głupi Janku?“ Gdy zaś to potwierdzał, dawała mu na pocieszenie swój chleb albo jabłuszko. Było to niewiele, ale dla biednego sieroty stanowiło jednak najradośniejsze chwile, terazniejszego życia.

Najmilszą była dla Janka pora, gdy mógł wieczorem pójść do swej zagrodki w oborze, gdzie spłakał. Tam po pewnej walce wewnętrznej, zdo-

bywał się nawet na to, że się mógł pomodlić za swych ciemiężców. Czynił to codziennie, bo mu tak matka nakazała, mówiąc: rób wszystko co Jezus rozkazał.

Pewnej nocy zbudziło Janka rozpaczliwe wołanie: gore, gore, pali się! Gdy się Janek zerwał ze swego barłogu, już się przepalona strzecha zapadała. Słyszał często, że w razie pożaru, trzeba najprzód bydło z obory wyprowadzić. Uczynił to więc pospiesznie i drzwiami obory zatrzasnął. Gdy wyszedł na podwórze już dom cały objęty był straszliwym płomieniem.

W tem rozległ się okrzyk: „Gdzie Elżbietka?“ Wołali tak rozpaczliwi rodzice, a setki głosów wołanie to powtórzyły. Nagle ktoś krzyknął: Głupi Janek wskoczył do ognia! Dwie minuty czekałi wszyscy z największym przerażeniem. „Udusił się w dymie!“ mówili już mężczyźni. W tej właśnie chwili filka krofwi spadła, rozsypując tysiące iskier, i rozniecając ogień jeszcze bardziej. Aż tu wołają: Janek idzie. Osmolony, dymiący się wyskoczył ze drzwi, dźwigając dziecko na ręku. Ale ledwie postąpił filka krofów, gdy pad zemdłony. Porwano go na ręce i złożono pod jabłonią Elżbietka żywa była i zdrowa; Janka zaś gospodarz długo docucić nie mógł. Elżbietka pobiegła do niego, wołając: „Janku, Janku, obudź się; ojciec już cię nigdy bić nie będzie!“ przyczem spojrziała błagalnie na ojca i matkę, których serca wzrosł jej i słowa przesywały do głębi.

Jeszcze raz otworzył Janek oczy, ale po to tylko, żeby się przetęnąć, czy mu się udało Elżbietkę uratować. Chwycił ją jeszcze za ręce i wyszeptał powoli: „Matula mi mówili: rób wszystko co Jezus rozkazał, On cię do mnie do nieba zaprowadzi. Teraz...“ Ostatnie były to słowa jego. Paraliż serca dni jego przeciął.

Gospodarz i żona jego nie mieli sposobności uczynić, co sobie postanowili, widząc swoje dziecko uratowane, mianowicie obchodzić się z Jankiem jak z własnym dzieckiem. Znalazł on spokój i szczęście u Tego, który nie patrzy na to co jest przed oczyma, ale które serce bada.

Unija.

U podnóża gór Kaukazkich, pomiędzy Albaniją i Armeniją, oddzielona od reszty Azji przez wysokie pasma gór, leży górzysta kraina, która niegdyś nosiła nazwę Zberyi, a teraz ze stołecznem swem miastem Tyflis stanowi część kraju Zakaukazkiego. Niezliczona ilość szumiących potoków leśnych przeżytna krainę, łagodząc potrosze surowy charakter, który jej dają góry, połyskujące latem i zimą śnieżnym śniegiem. W kraju tym powietrze jest łagodne; urodzajne doliny wydają wino i zboże; w łonie skał kryją się metale i kamienie drogic, a dobrze i silnie zbudowani mężczyźni i piękne kobiety zamieszkują ten kraj, którego historja jest bardzo starą. Dawne podanie utrzymuje, że już apostołowie Symon i Andrzej opowiadali ewangelię Zberyjczykom, czyli późniejszym Gieorgijczykom;

pomimo to pogaństwo panowało niepodzielnie w
 całym kraju jeszcze wówczas, kiedy cesarz Rzymski
 Konstantyn już uginął kolan przed Dzieciątkiem
 Betleemskim; — a król Miryjan panujący wtedy
 nad Iberyją był gorliwym sługą bożka Mitry,
 uważanego przez Persów za najwyższe bożyszcze.
 Iberyjczycy byli ściśle podzieleni na kasty, czyli
 stany. Wojownik nie miał łączności z kupcem, ten
 znów nie łączył się z rzemieślnikiem; — a
 wszystkie kasty z pogardą spoglądały na niewol-
 ników, którzy żadnych praw nie mając, zdani byli
 zupełnie na łaskę i niełaskę swoich panów. Nie-
 wolnicy pochodzili przemajnie z innych zwyciężonych
 na wojnie narodowości; Iberyjczycy bowiem byli
 narodem nieustrasżonym i wojowniczym.

Za rządów króla Miryjana, w początkach
 czwartego stulecia, jednym z najwplywowszych i
 najwięcej znaczenia mających członków wysoko po-
 ważnej kasty wojowniczej był Bafar, który w nie-
 jednej bitwie dzielnie wspierał króla, i dla tego
 wielkie u tegoż miał zachowanie. Z tego powodu
 Bafar prawie ustawicznie przebywał na wojnach
 albo na dworze królewskim, tak, że mało tylko
 mógł poświęcić czasu domowi swemu, którym za-
 rządziła żona jego Gadani, jedna z najpiękniejszych
 kobiet kraju.

Pewnego dnia jednak powrócił niespodzianie
 do domu, i nakazał żonie przyrzadzić wspaniałą
 ucztę. Niezadługo Gadani siedziała u boku jego,
 przyodziana tak jak i on w szaty kosztowne, zdo-
 bne w perły i drogie kamienie. Bafar złożył
 broń swoją, zatrzymawszy tylko miecz, którego od
 boku nigdy nie odejmował. Gadani ozdobiona
 była w złote łańcuchy, naramienniki i nagołenniki;
 pięknie przystrojone były także niewolnice, które
 podczas uczy śpiewały, tańczyły lub głośno wy-
 krzykiwały, gdy im pan albo pani ich rzucali owoce
 i pieniądze. Jedna tylko z niewolnic nie śpiewała
 i nie tańczyła, nie chwyciła owoców i pieniędzy;
 spokojnie i poważnie usługiwała ona swoim chle-
 bodawcom. Nie była ona przystrojona w różne
 błyskotki, jak inne dziewczęta, i włosów swoich
 stucznie nie spletkła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Alfność w Bogu.

Pan zaprawdę z nami!
 Tych co go miłują,
 Rządzi tak drogami
 Że się rozradują.
 On w głębokiej ich toni zbawia.
 W wyżynach stawia.

Gdy rozumiem swoim
 Sami się rządymy,
 Niekto się ostoim,
 Zgubę swą ujrzymy
 Ręka tylko wszechmocna Jego
 Postramia złego.

Nim się dni narodzią,
 Już są Panu znane,
 Chociaż nas uwiodzą
 Mroki niezbadane.
 Więc fieruje też bacznie okiem
 Człowieka krokiem.

Chociaż ciężka nieraz
 Nas dotyka dola,
 Jednak wiemy teraz,
 Że nam święta wola
 Pana Boga ochroną była,
 Przed złem chroniła.

Gdy nieprzyjaciele
 Na nas nastawali,
 I w swej złości śmieje
 Zgubę gotowali:
 Pan wyciągnął prawicę swoją,
 I był nam zbrogą.

Ich zaniary wrogie
 W niwecz on obrócił,
 I radości mnogie
 Nam po smutku wrócił.
 Dni Boga narzędem byli,
 Choć złe czynili.

Dawno z upragnieniem
 Serce myślało,
 Co za ich rządzeniem
 Teraz otrzymało
 Gdy w spoczynku i w wiernych zborze
 Czcic Boga może.

Więcej pracować chcemy
 Pilnie w Twojej winnicy,
 Życie wieść pragniemy
 Jako bojownicy
 Prawdy Twojej, o Święty Panie,
 W zbawionych stanie.

Przymiż w ofierze
 Dzieła Twojej ręki:
 Serca, które w wierze
 Wzroszą szczerze dzięki.
 Pobłogosław nam wielki Boże,
 Prosim w pokorze.

Rozwiązanie zagadki z nr. 5.
 Bocian zlapał w szpony kota
 Zaniósł nakarmić młodzieńca,
 Kot się długo nie namyslał,
 Bocięta pozajerał.

Znwalid na Ślasku J. R.

Zagadka.

Ani ciała, ani duszy,
 wiatr zawieje, sam się ruszy.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.”

Nr. 7.

Ciśk, na niedzielę dnia 14 lutego.

1897.

5. Jezus i lud.

Łuk. 23, 12—25.

Pan Jezus raz wpadłszy w ręce ludzi, już się więcej wyrwać nie mógł, a tak podają go sobie z rąk do rąk. Najprzód zaprowadzili go do Annasza, potem do Kajfasza, następnie do Piłata, a od niego do Heroda a na koniec znowu go odprowadzili do Piłata. Straszne to drogi, któremi chodzić musiał, straszniejsi ludzie, przed któremi stał, a wszędzie brudy grzechów przed oczyma jego odkrywały się. Taką to jest droga przez świat, niebezpieczną, grzeszną, a tylko kto się trzyma Zbawiciela uchronić się może upadku i zatracenia i dojść do królestwa niebieskiego. Ta droga szeptu Pan, cichy, baranek niewinny prowadzony na rzeź, na stracenie. Odczołony ludem, który go promadził, stanął znowu w ratuszu Piłata sędziem swoim, otaczając go miłością i nauczając prawdy. Teraz zaś już milczy, bo jego święte słowa nie przyjęto, aleć tak Żydzi jako i poganie wzgardzili niemi, ach nie poznali co tu ich pokojowi służy. Także ważnym on dzień był dla Piłata! Głosy z innego świata ostrzegaly go i napominały, lecz podobno sumienie jego własne niepofoiło go, ale i to on zagłuszył, bo mu więcej uchlebiała uprzejmość Heroda, którym Piłat onegoż dnia stał się przyjacielem, bo sobie przedtym byli nieprzyjaciółmi, którą przez to okazał, że odesłał Jezusa zaś do Piłata. Tak to czynią ludzie światowi, więcej im zależy na przyjaźni możnych, jak Jezusa. Z drugiej strony Piłat nie stracił nadziei ocalenia Jezusa od śmierci, i przyszedł do przekonania, że zamiaru tego nie osiągnie, jeżeli zda się na łaskę rady wysokiej, bo ci za nic by w świecie Jezusa nie wypuścili z rąk swoich. Ale mu wpadła nowa myśl, w jaki inny sposób mógłby Jezusa uwolnić. Widzi on liczące zgromadzone lud, a słyszał, że tenże o Jezusie wiele trzymał i na nim polegał i postanowił, że lud ma rozstrzygnąć, czy Jezus ma umrzeć lub zostanie uwolnionym. W duchu się cieszył, że onego dnia stał się przyjacielem Heroda, a teraz ufał, że się stanie przyjacielem ludu. Tą myślą według jego zdania szczęśliwym był zwyciężaj, z ludowi wypuszczano na święta wieloletnie więźnia. Prawie znajdował się więzień, który dla niejakiego rozruchu w mieście uczynionego, i dla meżobójstwa był wsadzony do więzienia. Tego stawili przed lud, on miał roz-

strzygnąć między temi dwoma, który miał być uwolnionym i wypuszczonym, a którego miano stracić. Już w duchu tryumfował, jak Jezusa uwolnią i we chwale prowadzić będą, już widział jak się kapłani i raba gniewać będą, jak on im tę nienawiść przeciwko Panu Jezusowi zapłaci. Lecz biedny Piłat nieprzyjawszy miłości Jezusa i jego prawdy wpada z jednego błędu w drugi, a wszystkie środki, których się chwytą są próżnemi. Naturalnie, że lud zrazu patrząc na Jezusa obok Barabasa uląkł się. Bo, moi mili, czyż na świecie jest coś z czemby można było Jezusa porównać, albo nad Jezusa przenieść. Czyż Jezus nie jest droższym nad ojca, matkę, brata, siostrę, żonę itd. Ach powiedźcie sobie w głębokości serca twego: „Nie puszczę cię Jezu mój.” Cate swe życie poświęcił Pan ludowi dobrze czyniąc, świadcząc dobrodziejstwa i otaczając go miłością. Czyż on nie jest wyższym po nad wszystkich ludzi i stworzenia, czyż go nie powinni wszyscy po nad wszystko czcić i nad wszystko miłować?

A oto przypatrz się człowiecze, obok niego postawili zbrodniarza i mordercę, patrz co za straszne przeciwieństwo. Ale okrutność ludzka nie ma granic, a Piłat nim Jezus został ukrzyżowanym łaskał go biczować. I znowu wydano go w ręce dzikiego i okrutnego narodu, który nie miał ani trochę litości i pocucia ludzkiego, a któremu męczenie i katusze sprawiały uciechę. Tak Jezusa niewinne ciało było smagane, krew czysta i święta przelewana. A ten najpiękniejszy z ludzi został tak strasznie zranionym, ubitym i utrapionym, że nawet Piłata serce twarde zmiękczyło się patrząc na jego postać, i zabłysła mu jeszcze nadzieja wyrwać Jezusa ze śmierci. Jeszcze raz chce próbować i przemówić do litości ludu, mniemając, że na widok taki lud zmięknie i rozczuli się. Wychodzi więc z Jezusem tak sromotnie ubiczowanym do ludu i stawia go przed nim, że go mogli dobrze widzieć i oglądać. Na głowie jego korona cierniowa, a cały krwią zboczony, ciało święte posiekane, przypodziały płaszczem purpurowym i obdzwina się do ich serc mówiąc: „Oto człowiek.” Ale oni przecież wołali, mówiąc: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!” Jeszcze Piłat nalegał na lud, umywszy ręce swoje, powiadając: „Nie jestem ja winien krwi tego sprawiedliwego, wy użycie.” A odpowiadając wszystkim lud rzekł: „Krew jego na nas i na dziaćki nasze.” Tak woła szalony lud.

Nie masz podobnego przykładu w całej historii. Ten święty i pomazaniec Boży stoi przed swoim ludem i obecnie przed Żydami i poganami, cały zraniony i skrwaszony — ani się nie skarży, ani nie grozi. Świat, który on chciał uszczęśliwić swoją miłością, życiem, słowami i czynami gardzi nim. A właśnie ci co go znali, których miłował i błogosławił są przeciwko niemu i wołają: „Ukrzyżuj go, ukrzyżuj go.” A ci właśnie, którzy o nim nie jeszcze nie słyszeli poganie, starają się go wyrwać ze śmierci. Żydzi obchodzą się z nim jako ze zbrodniarzem, a poganie pytają się: „Cóż wtedy złego uczynił.” Żydzi biorą winę śmierci jego na siebie i wołają: „Krew jego na nas i na dziaćki nasze”, poganie zaś drżą na myśl, że wielką odpowiedzialność na siebie biorą, wydając na śmierć tego sprawiedliwego. Ale od tej godziny następuje wielka zmiana. Słońce zachodziło ludu Izraelskiego, a wschodzi dla pogan. Tam gdzie wprzódy jasno było, teraz ciemność nastąpiła, a gdzie dawniej ciemności lud ogarnęły, zabłysła światłość. Na dom Boży przyjdzie straszny sąd, a kamień na kamieniu nie pozostanie. Tam zaś gdzie świątynie pogańskie stały; założy Pan namiot swój, zgromadzi sobie nowy naród, który będzie jego narodem i wśród tego założy królestwo niebieskie, aż do skończenia świata trwające.

Opór Piłata został złamanym. Izrael odrzucił swego króla, związek, który go łączył z Bogiem potargali i ściągnęli gniew i sąd Boży na siebie i na dziaćki swoje. Piłat nie może tego pojąć i zrozumieć co widział i słyszał, a my również pytamy się musimy czy to może być co się stało? Jest to możliwe? pytamy się, patrząc na całą historię narodu żydowskiego. Jak mógłby ten naród być na to wszystko tak ślepy i głuchy. Do Jana na puszcze wychodziła cała Jeruzalema i dali się chrzczyć na pokutę. Na własne uszy słyszeli kazanie opowiadane: „Czynicie pokutę, albowiem królestwo Boże się przybliżyło. Pan blisko jest.” A co dopiero kiedy Jezus stanął w środku ludu, a jeszcze więcej miał uczniów jak Jan. Sam lud świadczy. Wielki prorok powstał między nami. Wielbiono go, że większym jest, niżeli kapłani i uczeni w piśmie. Z zadziwieniem przyznali, że tak jeszcze nikt nie uczynił. Chwalili nawet za to Boga, że ludziom dał taką moc, jaką miał Zbawiciel, którego Bóg ludzkości zesłał. W ostatnich dniach wzrosło jeszcze więcej poważanie Jezusa. Uznali w nim proroka, króla swego. A jaką wielkością ostrył się Pan, wzbudzając Sazarza do życia! Wołając Hoşanna, okrzyknęli go Synem Dawidowym i w tryumfie promadzą go do miasta i świątyni. Odbiła się w sercu tego ludu nadzieja odkupienia z biedą i nędzą, a Jezus był uczonym jako pryncypał ludu, był przedmiotem ich wiary, nadziei i miłości. To były błogosławione początki obudzenia się narodu ze snu, nawrócenia się do Boga podobne do wschodzącego słońca, ale oto chmury się gromadzą na horyzoncie kraju żydowskiego, słońce się zaćmiwa i zakrywa, aż po za temi czarnymi chmurami znikło, tak i to serce narodu zapomniało o wdzięczności, lud ten niestety tu

Jezusowi daje się obalamucić, chmury nienawiści gromadzą się i znikają, promyki reszty miłości, a natomiast widzimy nienawiść i zatwardziałość, że wołają: „Precz z nim, ukrzyżuj, ukrzyżuj go!” Krew jego na nas i na nasze dzieci. Jak to być mogło? pytamy jeszcze raz. Prawda, że się wielu obudziło ze snu grzechu, ale tylko niektórzy nawrócili się prawdziwie. Więcej oni szufali tego co widomem ziemskim i doczesnem, to też ich serca się mało ci odmieniły. Daleko jeszcze byli od rzeczy niebieskich, duchownych. Ich pragnieniem była doczesność. Gdyby ich Pan był wołał do wojny przeciw Rzymianom i założy królestwo ziemskie ludowi Izraelskiemu i w tem królestwie, gdyby znaleźli skarby i bogactwa tego świata, to byłiby z nim poszli na wojnę, a nawet Rzym chcieliby byli podbić. Ale Jezus wołał ich do królestwa niebieskiego, to w tem dawał im dary niewidzialne, pokój serca i zbawienie, ale żądał walki przeciw grzechowi i nawrócenia się do Boga, takie królestwo, taka walka podobać się nie mogła. Ukrzyżuj grzech, wołaj i ty sercu twemu, walcz ale z Panem przeciwko grzechowi, nawróć się całym sercem do Pana w ten czas znajdziesz zbawienie w królestwie jego. Amen.

Stara i nowa wiara.

Razu jednego jechali razem koleją żelazną ksiądz i fabrykant zapalek. Wzięli ze sobą rozmowę. Fabrykant zaczął się chwalić swemi milionami, jakie przynosi mu ona fabryka. „Patrz księżo,” wołał z zadowoleniem, „jak bogatym dziś jestem, a takim statem się przez moją ciężką, bezustanną pracę, jedynie przez mądry rozwój sił duchowych, które spoczywają we mnie. Czy ksiądz ma pojęcie o fabrykacji zapalek?” — „Nie wiele,” odpowiedział ksiądz obojętnie, „gdyż ja jestem, jak pan widzisz duchownym.” „Tak! a to bardzo dobrze,” zawołał fabrykant zadowolony, — „już dawno pragnąłem porozmawiać z duchownym i zadać mu jedno bardzo ważne pytanie teologiczne. Mój wielobny księżo; dziś tak wiele mówią o starej i nowej wierze. Bądźże więc łaskaw, a wytłomacz mi co to jest stara a co nowa wiara?” Ksiądz okazał się chętnym do dania odpowiedzi na ono pytanie, wymówił sobie tylko, że odpowie na to przez podobieństwo. Zgodził się fabrykant a ksiądz zaczął w te słowa: „Patrz, mój panie, jeżeli Pan Bóg kogoś błogosławi w ziemskim powołaniu i pomnaża z każdym rokiem majątek jego, a ten człowiek z bogactwem czuje się w sobie pokornym i matym, bo sobie myśli: Tego wszystkiego ja nie zasłużyłem, żądaje to pochodzi, że mnie dobry Bóg tak hojnie błogosławi? Bóg zaś dobry nie przestaje i nadal błogosławić małego człowieka i czyni go nareszcie wielkim bogaczem; człowiek zaś ten mimo swego bogactwa staje się jeszcze mniejszym i pokorniejszym i woła z głębi serca: „Panie! nie jestem godzien Twej łaski i miłosierdzia, jakie mi okazujesz w Swojej dobroci, naucz że mnie używać tych dóbr doczesnych dla Swojej chwały i dobra bliźnich moich!” — „Patrz pan:

oto jest stara wiara. Nowa zaś wiara jest ta, jeżeli kogós Pan Bóg obdarzy hojnie dobrami ziemskimi, a ten człowiek nie pojmuje, że one dobra są prośbą pokory i wdzięcznej miłości dla Boga. Zamiast stawać się codziennie mniejszym i wdzięczniejszym, staje się codziennie większym, pyszniejszym i zapomina na swego niebieskiego Dobrodzieja tak dalece, że w końcu w podróżyach swych mówi do towarzyszy: „Patrzcie się na mnie, kto ja jestem!” Widzisz pan: to jest nowa wiara.”

Nunija.

(Ciąg dalszy)

W skromnych fałdach sukni jej szara spadała po wysmukłej postaci — odkrywając ją aż do szyi, ramiona jej chowały się w długich rękawach, a biała zasłona na głowie ułożona i u szyi zawiązana okłaniała jej twarz, oczy miała spuszczone, jak gdyby nie chcąc widzieć zachowania się swoich towarzyszy, które zwyczajem pogańskim stawalo się coraz bardziej wyuzdanem.

„Co to tam za pódzja szara?” spytał Bafar, wskazując na ciąż niewolnicę, i ujmując oburcz ciężki puhar złoty, aby wychylić zawarte w nim wino.

„To Nunija — odrzekła Gadani — niewolnica, którą kazałam kupić przed kilku tygodniami. Jest ona bardzo dziwna ale wierna i pracowita. Chodź tu Nunija, rzekła do młodego dziewczęcia, weź te owoce!”

Nunija podziękowała, ale nie skosztowawszy pięknych owoców, ukryła je w fałdach swojej sukni.

„Co to ma znaczyć?” zapytał Bafar surowo.

„Panie, — odrzekła potornie — małżonka twoja daje mi tyle pokarmu; ile cięciu potrzeba; pozwól żebym zaniosła te owoce chorej Katewanie; leży ona w silnej gorączce, którą te owoce złagodzić mogą.”

„Katewana ciebie biła — wtrąciła Gadani — a ty chcesz jej dobrze czynić?”

Nunija podniosła ciche swoje oczy na panią swoją, mówiąc: „Bóg mój kazał mi tak czynić.”

„A któż to jest twoim Bogiem?” zapytał Bafar. „Czyliż nie słyszysz Witrze o dziesięciu tysiącach oczów?”

„Nie, służy Panu nieba i ziemi, który Syna swego jednorodzonego wydał za nas; jestem chrześcianką.”

„Chrześcianką — rzekł Bafar pogardliwie, — którego Bóg umarł na krzyżu; dużo słyszałem o tej dziwacznej religii, którą podobno nawet cesarz rzymski przyjął, alem jeszcze z niej wyznawców niktogo nie widział. Więc umarły wasz Bóg powiedział wam, żebyście tym dobrze czynili, którzy was biją?”

„Mój Bóg nie jest umarłym; — odrzekła Nunija — o żyje i króluje na wieki, i on nam rozkazał kochać wszystkich ludzi, — nawet i nieprzyjaciół naszych.”

„Brzmi to jak baśń”, — rzekła Gadani wstrząsając głową. „Baśń! — zawołał ożywiony nagle Bafar, który tak jak wszyscy południowicy lubiał słuchać baśni. Opowiedz nam baśni o twoim Bogu; czy nie czynił on cudów i nie spełniał czynów bohatereskich?”

„Czynił to rzeczywiście, — potwierdziła Nunija — ale nie jest to baśń, tylko prawda wieczna, której nie godzi się opowiadać w chwili poświęconej zabawie.”

„Opowiadaj!” zawołał rozkazująco Bafar, wyciągając się na miękkim dywanie, gdy tymczasem niewolnice przysiadły na podłozie.

Ważała się jeszcze Nunija, ale potem pomodliła się pocichu: „Panie, daj moc słowom moim, żeby też i poganie poznali twoją prawdę.” Potem opowiedziała w prostych wyrazach o Zbawicielu grzeszników, który przywoływał do siebie nawet i najwzgardzeńszych a umarłych z grobów wskrzeszał. W oczach niewolnic żyły stanęły; podziwiała one w najwyższym uniesieniu tego meża, który obiecywał biednym niewolnikom toż samo zbawienie, co i bogatym i możnym. Dumny Bafar jednak wzruszył ramionami pogardliwie.

„Baśni twoje wcale mi się nie podobają. Niechże ich dalej słuchać,” rzekł ponuro.

Oddawszy mu niemy pokłon Nunija opuściła salę; ale Bafar nie mógł zapomnieć opowieści o Zbawicielu chrześcian, i często o nich rozmyślać, chociaż był z nich bardzo niezadowolony.

Osobliwy orszak ciągnął przez miasto. Dla czele postępowała niewiasta w grubej żałobie; za nią szły dwie niewolnice, niosąc kotłystę, w której leżała dziecina o twarzy rozpalonej przez gorączkę, o szeroko rozwartych, okłupiatych oczach. Konwulsyjnie drgały delikatne jej członki, a monotonny śpiew niewolnic zdawał się drażnić ją raczej niż uspakajać. Zatrzymywali się przed każdym domem, a kobieta w żałobie, matka dziecięcia, cichym błagalnym głosem wołała; jeżeli w tym domu znajduje się kto, co by wiedział jaki środek na uzdrowienie dziecka, niech mi go powie. Wychodzili tedy mędrzy mężowie i doświadczone niewiasty, ale tylko potrząsali głowami a środki zaradcze nie wiedzieli. Wtedy niewolnice podnosiły kotłystę, i dalej szedł orszak według zwyczaju tego kraju, w którym lekarzy nie znano. Tak przyszli też i do domu Bafara. Gadani sama wyszła, ale nie wiedziała, czemuby dziecku w jego cierpieniu ulżyć mogła. W tem jedna z niewolnic przypomniała jej w jak wielu rzeczach Nunija umiała dobrze poradzić. Poszła po nią chętnie. Nachyliła się Nunija nad dzieckiem; litość nad niem zawładnęła jej sercem. „Środka żadnego, któryby mógł pomóc nie wiem, rzekła, ale mogę pomodlić się do swego Boga, może On raczy dopomóc.” Ukłękła przy kotłystce, a gorąca serdeczna modlitwa wzniosła się do tronu Bożego. Lud zebrany otaczał ją w wielkim uszanowaniu, a widząc jaśniejące jej oblicze i poruszające się jej wargi, mniemał, że wymawia formuły czarodziejskie. Ręce miała wyciągnięte nad kotłystą, a jeszcze podczas modlitwy otaczający widzieli jak się członki dziecka stopniowo

uspokojały, jak gorączka ustępowała z twarzy; i nakoniec zamknęły się oczy do snu spokojnego. Po krótkiej modlitwie dziękiżnej Nunia powstała. Matka dziecięcia z płaczem przypadła jej do nóg, i chciała ją obsypać bogatemi darami. Nunia ich nie przyjęła, i oświadczyła stanowczo, że nie ona, lecz Bóg uzdrowił dziecko. Cicho i spokojnie pękła ona dalej swoje obowiązki, ale wieść o niej wszędzie się prędko rozeszła, i sam nawet Bafar opowiadał o swojej cudotwórczej niewolnicy-chrześciance na dworze króla Miryjana. Mikołaj on znał miarę u króla, tem uważniej słuchała go królowa Nino. W ojczyźnie swojej miała ona sposobność słyszeć często o chrześcianach; życie i wiara ich nie były jej tak obce, jak mężczyznom, którym nie chciało się pomieścić w głowie, żeby można cesa oddawać umarłemu na krzyżu Bogu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żłoto, kadzidło i myrra.

Gdy niedostatki nas gniotą,
Gdy zbytki nas zgubić mogą,
Chryście, przodkowi ubogo,
Ty pobłogosław nam złoto!
Gdzie wieśniał ginie bez chleba,
Gdzie jęcza w łachmanach chorzy,
Tam złota wiele potrzeba,
Tam się niech złoto przysporzy.
Kiedy występek słyda
Na złota ile zamarzy,
Królu, potomku Dawida!
Daj go na chleb dla nędzarzy.
Gdzie nie masz pola do pracy,
Gdzie wattle siły żywota,
Błagamy, jako żebracy:
Daj złota, Boże! daj złota!

Kadzidło — to symbol chwały,
Należy tylko Jehowie;
A przecież w człowieczej głowie
Dymy aromat rozlaty.
Bogactwo wziętość lub władza,
Piętno zatarty w nas boże;
A dym kadzidła przeszkadza,
Że człek być człkiem nie może.
Błagaj nas w braterskie ognio,
Daj nam zasługę prawdziwą,
Której kadzidel nie trzeba!
Gdy piekiel pycha obrzydła
Z Tobą się mierzy zuchwale,
Przeżegnaj garstkę kadzidla,

Myrra — to symbol cierpienia,
W niej pobłogosław łzy nasze!
Gdy ciera nam serce opasze,
Niechaj się wiara nie zmienia.
Niechaj kadzidła potrzebę,
Niech miłość wstrzeżni nadzieję,
Że jutro będzie nam lepiej,
Że się nam słońce zaśmieje.

Ośmiał nas — że mamy prawo
Zaufać Tobie, jak Dju!
I Tyś w oliwnym Ogrójcu
Pocik się łzawo i krwawo!
Gdy cierpień wpiją się miecze,
Gdy pęka serce sieroce,
Chryście! żbotały człowiecze!
Błogosław myrry owoce!

W. S.

Pieśń o Panu Jezusie.

O Panie Jezuu, gdy k'nam przychodzisz,
Wnet pokój błogi do serc przywodzisz;
Miłosierny wzrok Twój tak uszczęśliwia,
Że nam ciało i duszę ożywia
Do wdzięczności.

My cielesnemi oczyma swemi
Ogląda Ciebie tu nie możemy:
Lecz dobroci pełne oblicze Swoje
Poznać bajesz wiernej rzeszy Twojej
Niewidziane.

O ktoby tylko Twemi słowami
Napawać serce nocą i dniami
Wiernie chciał, ten byłby już tu szczęśliwym
I z zachwytem wołałby prawdziwym:
Kto Ci równie!

Być miłosiernym, dobrym niezmiennie,
Odpuszczając winy nasze codziennie,
Leczyć, koić, cieczyć, — to Twoim celem;
Wiernym naszych być dusz przyjacielem,
To Twoja radość.

O niech błogiego pewność zbawienia
Już ziemskie życie nam oromienienia
Niechaj dusze nasze gorliwe będą
Szukać Ciebie, aż łaskę posiędą
Wieluistą.

Będziemy wtedy Cię wystawiali,
I jako dziatki się radowali;
Choć nam czasem jeszcze łzy zroszą lice,
Wnet pocieszają nas Twe obietnice,
I ukoją.

Tak wiernie tu nam wyciągasz rękę,
Wskazujesz tryz Swoją i ciężką mekę,
Że, wzruszeni Twoją dobrocią bez miary,
W szczerych łzach przynosimy ofiary
Dziękczynienia.

Rozwiązanie zagadki z nr. 6.
Liść.

Bagałka.

Stoi przy drodze na jednej nodze;
Kto go tknie, tego dągnie.

Evangelik

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej”

Ar. 8.

Głk, na niedzielę dnia 21 lutego.

1897.

6. Jezus i płaczące niewiasty.

Lukas 23, 27—31.

A tak Płat przyszedł, aby się dość stało żądności ich. Temi słowy osądzono Jezusa na śmierć krzyżową. Nikt nie ma nad nim litości. Bóg ojciec niebieski wydaje Syna swego jednorodzonego z miłości ku nam grzesznikom na okrutną śmierć krzyżową — a ludzie z nienawiści ku niemu wołają: „Strać go, utrzymuj go.” Już wyrok śmierci zapadł, włożono na jego święte ramiona krzyż ciężki, wyprowadzono go za miasto, dwóch złoczyńców towarzyszą mu na drodze prowadzącej na stracenie, jakoby on im był kiedy podobnym, a tak spełniono się na nim słowo pisma św., że policzonym był między zbrodniarzy. A tak postępuje orszak pogrzebowy przez ulice miasta Jeruzalemu. Wszystko co żyje tak mężowie jako i niewiasty powstało, aby oglądać wykonanie wyroku. Mężczyźni się stroją i bluźnią, niewiasty płaczą i narzekają, bo one widziały niedawno temu jego niebiańskie oblicze, oblicze jaśniejsze i piękniejsze od anielskich, a teraz pod ciężarem krzyża, po ubiczowaniu i zepłowaniu, widzą go najwzgardzniejszego i najpodlejszego z ludzi, męża boleści. Dotychczas, idąc Pan drogą śmierci, milczał, a nie otworzył ust swoich; jako baranek na zabicie wiedziony, lecz skoro ujrzał ich w oczach niewiast, obraca się do nich mówiąc: Górkę Jeruzalemskie! nie płaczcie nademną, ale raczej same nad sobą płaczcie i nad działkami waszemi.

Cóż za słowo miłości, ale i słowo świętej powagi! Ostatnie te słowo na drodze ku śmierci przemówione do ludzi. Począł on jako prorok kazaniem na górze, zakończył zaś kazaniem krzyżowym, który na ramionach dźwigał. A wołaniem jego od początku żywota, aż do końca było wołanie do pokuty, bo ona tylko może nas wyrwać ze śądu, który nas czeka. Do niewiast wprowadzie tylko Jezus przemówił, ale ważne to słowa dla wszystkich i na wszystkie czasy.

„Nie płaczcie nademną” powiada Pan najprzód. Bo ta droga, którą szedł, była drogą Bożą, którą mu Ojciec niebieski przeznaczył, a postępuje nią w św. posłuszeństwie. Dla tego nie chce, aby go żałowano, pewnym będąc, że droga według woli Boga nie prowadzi na zatracenie i zgubę, lecz do chwały wiecznej. Jakkolwiek ona ciężka jest i choćby nie wiem gdzie prowadziła; czy

to na krzyż lub na śmierć, czy do grobu lub piekła zawsze ona zaprowadzi do nieba, przez śmierć do żywota, przez krzyż do korony. Nie chce więc, abyśmy go dla tego żalowali, bo cały świat i jego zbór mają się uczyć od niego, że drogi Pańskie, choćby najtrudniejsze i najboleśniejsze, choćby nam się zdawało jakoby nas Bóg opuścił, choćbyśmy sobie stopy na ostrych kamieniach i cierniach pokaleczyli, zaprowadzą nas do zwycięstwa, przyniosą pokój, radość i zbawienie. Bo wiedział Pan sam o sobie, że chociaż go zawieszą i przybiją na krzyż, a choć go i Ojciec niebieski opuści, to nad jego krzyżem jaśnieje korona chwały, która przynajmniej jego cierniami pokrąwioną głowę.

Żyna zaś droga, którą człowiek idzie, a kiedy ta nie pochodzi z woli Bożej jest straszną i zgubną, jakkolwiek ona wydaje się piękną i wspaniałą. Kto bez Boga drogą idzie, nad tym trzeba gorzko zapłakać, tego trzeba serdecznie pożałować, bo choć się zdaje, że ta droga prowadzi do szczęścia i sławy i chwały, to koniec jej jest przekleństwo, zguba i wieczne zatracenie. Dla tego napomina Pan nas ostępnie, „ale raczej same nad sobą płaczcie i nad działkami waszemi.” On też sam nieraz zapłakał, lecz nigdy nad sobą samym, ani nad krzyżem, który mu włożono, ale płakał nad zatwardziałością i zaślepieniem ludzkim, nad Jeruzalem i narodem, tak nad temi płakał co go przeklinali, jako też nad temi niewiastami, co go żałowały, jako też nad ich działkami. Krzyż ich nie ciśnie, ani rany ich się nie broczą, ale niestety znajdują się oni na drodze strasznej prowadzącej na potępienia. Dlatego ich ostrzega: „Albowiem ponieważ się to na zielonym drzewie dzieje, a cóż będzie na suchym?” Przypatrz się straszliwemu sądowi sprawiedliwości Boga, który się wykonuje na Jezusie umierającym za grzechy świata na krzyżu. Patrz to się dzieje! o czym Pan Jezus do niewiast przemawia.

Miłość go na świat zesłała, on jest tem słońcem, z którego wszystkie promienie wychodzą. Ale skoro został ranionym dla występków naszych, starty dla nieprawości naszej i kiedy nie-może nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił i został zraniony, ubity od Boga i utracony, wtedy stanął jakoby w pośród płomienia ognistego. On to jest tem zielonym drzewem. A cóż możesz sobie piękniejszym wyobrazić jak zielone drzewo pełne mocy, soku i życia, pełne zielonych

liści, ozdobione pięknymi kwiatami, bogate w dojrzale owoce, forzenie jego tkwią głęboko w ziemi, a gałęzie szeroko rozłożone, a korona wznosi się ku niebu. Tak stoi Jezus na roli tego świata wszczepiony ręką Boga samego, jako przedmiot jego największej miłości i upodobania. Żaden robot tej ziemi nie nadgryzał jego forzenia, żaden listek nie zwiędł od upału i gorąca, żaden kwiat nie odpadł, a żadnej gałązki nie zerwała burza tego świata, a jego korona wzbija się do samego nieba — a gałęzie, obciążone kosztownymi owocami, nachyliły się ku ludziom, dając im żywot wieczny, a przecież to zielone drzewo ogarniają płomienie sądu Bożego, że wyznać musimy, że został zraniony dla występków naszych, starty dla nieprawości naszej. To co Mojżesz w obrazie widział, kiedy Bóg Jehowa z nim o odkupieniu Izraela rozmawiał, to stoi teraz przed nami przed całym światem i Jeruzalem w rzeczywistości. On jest tem gorejącym trzem, z którego Bóg Abrahama do Izraela, a wszechmocny Stwórca nieba i ziemi do nas przemawia. Płomienie ogarniają go, on czuje ich wpalenie, ale spalić go nie mogą. On zgasi je swoją czystą, świętą krwią, a z tego ognia wnijdzie słonice łaski i zbawienia na widnokrąg grzesznego świata, aby świecić na wieki.

Szczęście biada temu człowiekowi, który nie szuka schronienia w tem świetle słonecznem, wstanie on tem suchem drzewem. Także obrzydliwem takie uschnięte drzewo, forzenie jego pogniły, pień martwy, już nie masz na gałęziach jego ani listeczka, stoi jako szkielet, a kiedy takowe drzewo ogień ogarnie, choć je wyratuje, kto ocali. Takim ofiarnym patrzy Zbawiciel na stracone owieczki z domu Izraelowego, których z taką gorliwością szukał, które mu tyle trudów i pracy zadały grzechami swojemi, a które z taką upartością słowo miłości i żywota wiecznego, które im do nich przemawiał od siebie odepchnęli. To są drzewa suche martwe. Już ostatnie liście opadną, wnet, wnet, a nadejdzie dzień straszny, dzień sądu pańskiego, a ogień straszny ogarnie ich i spali od wierzchołka aż do forzenia. Wtenczas wszystko się przemieni, radość w najgłębszy smutek i narzekanie. Te, które jako samotne pożatowania godnemi były, które nieodzowny ucieszył jakie rodzinne życie przynosi, te będą nazwane szczęśliwymi w pojęciu rodzinnem, będą najwięcej pożatowania godne, kiedy nad swemi dziaćkami, temi najdroższymi flejnotami serca macierzyńskiego z bólem zapłakać i wyznać będą musieli: lepiej by wami było gdybyście się byli na ten świat nie narodzili. Tak chwytła Pan za serca one niewiasty, tak im maluje przed oczyma żywą biedę, nad którą on sam zapłakał. Oj gdyby były przyjęły to słowo do serca swojego, gdyby były zapłakały nad sobą samemi i dziaćkami swojemi i mężami własnemi, ach, gdyby były nad niemi nie przestały płakać z bólem wielkim, rozdzierającym serca ich i wołały, nawróćmy się póki jeszcze czas, nawróćmy się i nie odkładajmy pokuty do jutra, byłoby Jeruzalem nie było zburzonym.

Alle to słowo Pana Jezusa przebrzmiało o uszy ich, osuszyły łzy z oczu swoich, a poszły

drogą zguby, razem ze swoimi mężami i dziaćkami, ogień zatracenia na nich przyszedł i spalił te suche drzewa i pożarł je na wieki.

Ten ogień, mili moi, nie przestał się palić, a kiedyś zajmie się i na suchych drzewach. Piśmo święte porównywa bardzo często człowieka do drzew. Był on palmą stworzenia, pielęgnowaną nad brzegami wód niebiańskich, nigdy nie miały liście jego zwiędnąć, a miał owoce przynosić ku upodobaniu Bożemu, ale niestety z grzechem weszła w nas potęga śmierci, która życie nasze prawie do ostatniej isierki wytępiła.

Alle mimo tego jeszcze istnieje w nas iskra żywota, jeszcze nie wytraconem zostało z serca naszego pragnienie wieczności, jeszcze nie zatraceniem poznanie grzechu i nędzy, w jakiej się znajdujemy, a z tej isierki może się rozniecić światła boleść nad grzechami i tęsknota są odkupieniem i zbawieniem, jeżeli człowiek da się pociągnąć miłością Boga, a słowo o pokucie i nawróceniu przyjmie do serca swojego. W przeciwnym zaś razie, gdy odepchnie od siebie to słowo wołającego do pokuty i nawrócenia się, i nigdy nie zdoła zapłakać nad sobą samym, jeżeli tak mężczyźni jako i niewiasty ślepemi zostaną i nie widzą ani nie czują swej choroby śmiertelnej grzechów, nie poznają jak są nędznymi i ubogimi, nie poznają, że lecą na ślep w paszczę śmierci, jeżeli powiadam, mężczyźni i niewiasty, a one swych mężów wiodą do zguby i coraz bardziej odpadają od Boga, a lecą w przepaść świata tego, kiedy, Boże ucho, już matka ani łaski nie ma, aby zapłakać nad straconym dziecięciem, albo aby go jeszcze uratować od zguby i do Zbawiciela przyprowadzić, albo co gorsza zły przykładem od Zbawiciela swe własne dziecię odwodzi i pędzi go siłą złego przykładu w zgubę świata tego, wtedy nie dziwnego, że wkrótce wgaśnie w ich sercach isierka żywota niebieskiego, że to piękne drzewo potraci liście zielone, obumrze i uschnie ze wszystkimi gałązkami, aż do samego forzenia. Nie unikną oni tego dnia straszego, w którym to, co im za życia było najdroższem i najmiłszem, stanie się męczarnią i obrzydliwością, kiedy rodzice dzieci swe a dzieci własnych rodziców prześlinać będą. Niechże więc we łzach boleści stanie się nasze odrodzenie — podlejmy i zwilżmy to drzewo, nas samych łzami pokuty, aby się rozwinęło i zakwitło, a owoce do królestwa Bożego sposobne wydało, wtenczas rodzice i dziaćki, będą błogosławieni. Amen.

Unija.

[2] (Ciąg dalszy)

Od czasu uzdrowienia chorego dziecięcia Unija doznawała ze strony swej wladczyni niemal szacunku; nie używała tego jednak na swoją korzyść. Owszem spełniała i nadal jak najsumienniejsze wszelkie włożone na nią dawniej obowiązki. Wpływu swego używała tylko na ulżenie doli towarzyszy swej niemości. Bezpośrednie oddziaływała ona także i na samą panią swoją. Gadani była

wprawdzie dobrą, ale nadzwyczaj poręczną kobietą. Teraz, widząc cichą pokorę i cierpliwość niewolnicy, która nigdy nie złorzeczyła, groziła lub unosila się, — zawstydzila się swej niecierpliwości, i starała się pohamować popędliwość swoją. Sam nawet Bafar* powstrzymywał się od gwałtownych czynów, gdy słyszał Nuniję modlącą się cicho o życie zagrożonych współników niedoli; zdawało mu się czasami, że Bóg używany jednak musi być silniejszym, niż pierwotnie sądził. Pośród niewolników zaś, skutkiem powtarzanych opowiadań Nunji, w niejednym sercu zakiełkowało miłość ku Zbawicielowi; niejedni byłby pragnęli być ochrzczonym, aby mógł wyznać Chrystusa; biedna niewolnica jednak wiedziała jak niedostępną była jej nauka; a księdką chrześcijańskiego nie było w całym kraju.

W tym czasie zdarzyło się, że królowa Nino ciężko zaniemogła. W obawie o życie ufochanej matłonki przypomniał sobie król Mitryjan omą cudotwórczą chrześcijankę, i rozkazał Bafarowi przystać ją na dwór królowej. Jakże jednak zadziwił się Bafar, gdy Nunija stanowczo oparła się usłuchać tego wezwania, mówiąc, że nie jest czarodziejką. Zapalił się gniewem Bafar, grożąc jej śmiercią; ona pokornie nachyliła głowę, aby przyjmując raz śmiertelny, a broń wypadła mu z ręki. Prawie więcej jeszcze rozgniewał się król, gdy mu Bafar o oporze niewolnicy opowiebdał. Ale go królowa uspokoiła, a natomiast wydała rozkaz, żeby ją zaniesiono przede drzwi Bafara, tak jak owo chore dziecko, była pewna, że widok jej cierpienia wzbudzi litość w sercu Nunji.

Dotczona niezliczonym mnóstwem niewolników i wielkim orszakiem dostojników królewskich, zbliżała się leżącą, w której leżała chora królowa, do domu Bafara. Na kłęczkach ucałowała Gadani wychudłą rękę swej pani, i rozkazała przywołać Nuniję. Stawiła się ona, skromnie jak zawsze odkryta żółtą swoją. Podniosła się wtedy królowa i rzekła błagając: „Chrześcianko, słyszałam, że Bóg twój wysłuchuje każdego, kto go szczerze wzywa; użal się boleści moich i prosz go za mną.“

Błaganie temu Nunija oprzeć się nie mogła: utęskla i długo się modliła. Królowa nie odwracała wzroku od niej, a flegy podniosła się znowu, podała jej rękę i rzekła: „Dziękuję ci; wiem, że cie Bóg twój wysłuchał.“

Cierpienia królowej ustały rzeczywiście od owego dnia, i w krótko wyzdrowiała zupełnie. Wyzdrowienie to przypisywano powszechnie modlitwie Nunji. Król więc chciał ją obsypać najszlachetniejszymi darami, i wypuścić ją z niewoli; ale go królowa od tego powstrzymała. „Słyszałam w ojczyźnie swojej. — rzekła — że chrześcijanie pogardzają ziemskimi darami, a tylko to uważają sobie za nagrodę, jeżeli kto z nimi cześci Boga.“

Król Mitryjan wzruszył pogardliwie ramionami i zamilkł. Ale królowa odtąd często wzywała Gadani z Nuniją do pałacu swego, i dużo zadawała pytań o wierze chrześcijan, aż utworzyły

się oczy obojga niewiast, tak, że zapłaty serdecznem pragnieniem poznać mężów swoich dla wiary chrześcijan.

Czasami musiała Nunija opowiadać koleje swego życia. Była ona córką bogatego kupca chrześcijańskiego; w wojnie z Zbernicykami rodzice jej zostali zabici, dom ich spalono, a ona sama wzięta do niewoli została sprzedana na targu niewolników i kupiona przez ochmistrza Gadani. Nigdy nie skarżyła się na los swój smutny, nigdy nie wyrażała życzenia otrzymania wolności. Pan daleko więcej cierpiał niż ja, mawiała; Bóg też wie najlepiej dla czego mnie tu zawiódł; w Nim wolną jestem, będąc biedną niewolnicą. Tylko kiedy mówiła o rodzicach swoich, oczy jej napędniały się łzami. Ale pocieszała się nadzieją, że ich znowu w chwale ujrzy, a na tę myśl właściwa jej cicha radość powracała na lica. Gadani zaś i Nino jej więcej niewolnicą nie nazywały, tylko siostrą, a wtedy oczy jej żywiej jeszcze jaśniały radością: zresztą pozostała ona i nadal tak samo wierna, uległa i usługująca niewolnicą.

Król Mitryjan znajdował się na łowach z przedniejszych dworzanami swymi, pomiędzy którymi znajdował się także Bafar. Po wojnie najmiłszem jego zajęciem było polowanie, i niejedni wilk i niedźwiedź padł od oszczepa i strzał jego. Jak zwykłe tak i dziś król wyprzedził wszystkich na rączym swoim rumaku; coraz więcej oddalał się od orszaku swego, i nakoniec znalazł się sam pośród dzikich urwisk skalnych, z których nie mógł znaleźć wyjścia. Przysiem niespodzianie ściemniło się niebo, i gęsta mgła zakryła wszystko nieprzeżytym całunem, z którego tylko wycie wilków go dolatywało. Koń drżał pod nim ze strachu. Zesłoczył z niego i wznosił ręce do bożka swego Mitry, wołając: „O Mitro, który ze straszną palką w ręce przebiegasz przestrzeń pomiędzy niebem a ziemią, który tysiącem uszów słyszysz, a dziesięciu tysiącami oczów widzisz, który zwyciężo malczyysz przeciw Nrymanowi, pomóż mi nie wienemu wojownikowi swemu, który tajemnicie świętej służby zbadał poddawszy się wszelkim próbom, i otrzymał święcenie na orła, — pomóż mi!“ Ale widocznie żadne z tysiąca uszów Mitry nie słyszało tego wołania, — bo król który w zapale kowiekim od samango rana nie miał w ustach, łafnął teraz straszliwie, a wycie wilków coraz bliższem się zdawało, grożąc mu zagładą. Rzucił się na ziemię i wołał coraz rozpaczliwiej i głośnie, ale na próżno; mgła tylko gęstsza się stawała, i wycie wilków zbliżało się coraz bardziej. W ostatniej rozpacz wspomnił na ufochaną królową, której łagodnego oblicza widzieć, a słodkiego głosu widzieć, a słodkiego głosu słyszeć już więcej nie miał.

Czyżby ona dla tego wyrwana została z pałacu śmierci przez modlitwę chrześcijanki, żeby on jej teraz został zabranym, i to w sposób tak haniebny? Modlitwa chrześcijanki! Ona głośno nie krzyczała do Boga swego, ona nie tarzała się rozpaczliwie po ziemi, tylko wargami ruszała, a on ją jednak wysłuchał, pomimo że wisiał mar-

twy na krzyżu, już kilka set lat temu. Czyby i jego miał wysłuchać? Nie, to nie możebne! Wszakże nie był sługą jego; chyba tylko śmiał z niego żartować sobie! Pomimo takich myśli, które się cisnęły do duszy jego, zawołał w rozpacz swej: „Boże chrześcijan, wysłuchaj mnie w mojej nędzy, pokaż mi wyjście z tej puszczy, a będę ci służył całe swoje życie, wyrzekając się Mitry zupełnie.”

Czego natarczywie domagał się od Mitry, który w mniemaniu jego obowiązany był wiernemu swemu słudze, będącemu w dodatku królem, dopomóc w niebezpieczeństwie, — tego dopraszał się bardzo potornie od Boga chrześcijan, dla którego nic jeszcze nie był uczynił. Przeciwnie, przypomniało mu się teraz, że ten Bóg już dla niego coś uczynił, uzdrawiając mu królowę, oraz że słyszał, jakoby On nie więcej nie żądał, tylko żeby mu część oddawano. Jeszcze raz poganin powtórzył ślub, uczyniony, w bojaźni swego serca, — a oto, mgła rozstąpiła się. Miryjan spostrzegł teraz wąską dróżkę górską, po której mógł dojść do towarzyszy swoich.

„Dziękuję ci, Boże chrześcijan, żeś wysłuchał modlitwy mojej, zawołał z głębi serca; i ja również wiernie chcę ci dochować ślubu swego.” Wskoczył na konia, a po krótkiej jeździe po nad przepaściami, podczas której ponownie polecał się Bogu, napotkał niespodzianie kilku ze swoich towarzyszy, którzy go w najżywszem zaniepokojeniu szukali, a teraz powitali radośnym okrzykiem.

— Zdumieni się oni, widząc króla bardzo poważnym i cichym! nie opowiadał nic o tem, jak się z puszczy skalistej wydostał; tylko zbliżywszy się do miasta zawołał Bafara, i rzekł mu: „Przyślij jutro swoją niewolnicę, Nuniję, do zamku.”

Bafar skrzyżował ręce na pierś, na znak posłuszeństwa, a król pożegnał swój orszak.

Kiedy Bafar, wróciwszy do domu, zawiadomił żonę o rozkazie królewskim, ta ostatnia nie pomału zdumiała; tak samo i Nunija nie mogła odganiać jego przyczyny, ale posłusznie mu się poddała. W pałacu królewskim kazała się naprzód zaprowadzić do królowej, do której zawsze miała przystęp.

(Dokończenie nastąpi.)

3 Bogiem, 3 Bogiem.

3 Bogiem, 3 Bogiem każda sprawa,
Tak mawiali starzy,
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się darzy.

* Masz się uczyć choć niewiele:
Wezwij łaski Bożej, —
To oddali myśli płochę
Piśmość twą pomnoży.

Jdziesz w drogę, chociaż blisko,
3 Bogiem wychodzisz z progu!
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie
To podziękuj Bogu.

Szukasz pracy, szukasz szczęścia,
Westchnij przy robocie!
Bóg przeżegna, że poczciwie
Skończysz ją i w cnocie.

3 Bogiem, 3 Bogiem każda sprawa,
Tak mawiali starzy;
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się darzy.

Nadzieja Nasza.

3 świata tego
Chciałbym do Jezusa mego
Odejść już, bo mem pragnieniem:
Być pod skrzydeł Jego cieniem,
I przed tronem Jego stać.

Światło drogie,
Co rozpraszasz chmury wrogie:
Kiedyś kiedyś z wybranymi,
Przed Twój tron dopuszczonymi
Ujrze świętą Twoją twarz?

Gymn wspaniały
Wnosi chór aniołom cały.
Dusza rwie się do polotu,
I od ziemskich nędz kłopotu
Do Syonu dąży wzgórzy.

Tak to będzie,
Gdy wybawionych świętym rzedzie
Do Salemu bram wkręcymy,
Ciebie, Panie, tam ujrzymy:
Jakaż będzie radość tam!

Raju miły!
Tak twój owoc wzmacnia siły!
Jako którzy śnią, będziemy,
W cieniu drzew twych gdy staniemy,
Daj nam, Panie postać rai!

Rozwiązanie zagadki z nr. 7.
Oset.

Zagadka.

Ma nogi — nie chodzi,
Ma rogi — nie bódzie.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej.”

Nr. 9.

Ciż, na niedzielę dnia 28 lutego.

1897.

7. Jezus i złoczyńca.

Łukas 23, 39—42.

Może żadna choroba nie jest tak zaraźliwą jak choroba grzechu, przechodzi ona z łatwością z jednego na drugiego, a w krótkie przenosi się na całe rodziny, zbory na wszystkie lud. Do samo widzimy pod krzyżem, bo nawet ten, który był z Panem Jezusem utrzymywany, słysząc jak lud i żołnierze z Jezusa się nasmiwali począł mu uragać, mówiąc: „jeżeliś ty jest Chrystus, ratujże siebie i nas.” Sami we wielkich boleściach patrzy w oblicze śmierci się zbliżającej, lecz potęga grzechu jest mocniejszą, aniżeli boleści śmierci spruwadżające. Bo tak jako lud uniesiony gniewem i nienawiścią, ku Chrystusowi urągają z niego, tak i on z tych samych przyczyn zapala się złością, i urągają Jezusowi, nasmiwając się z niego, że przybrał sobie imię Chrystusa, ale niemi nie jest, skoro ani siebie, ani ich od śmierci wyratować nie może. Ale też spełniła się przepowiednia proroka mówiącego, że był najwzgardzeńszy i najpodlejszy z ludzi, bo tak lud jako żołnierze a nawet złoczyńca z nim razem utrzymywany, nasmiwają się z niego i urągają mu. A chociaż to godzina najciemniejsza w życiu Jezusa, która dla niego wybiła, ciemności te, ale w krótkie ustąpią, a Chrystus ofażę się w swoim majestacie, mając moc nawet na krzyżu udarować królestwem Bożem. Tak rozwija się rozmowa ważna pomiędzy temi trzema utrzymowanymi tak pod względem okoliczności towarzyszących jakoteż według treści. Rozmowę tę napoczął złoczyńca na lewej stronie Jezusa utrzymowany, a zwracając się do swego towarzysza z prawej strony, zagaduje Jezusa. Lecz nie jest to głos człowieka odzywającego się według psalmisty. „Z głębokości wołam do ciebie, o Panie!” ani nie jest to wołanie serca, pokutującego, pragnącego odpuszczenia grzechów, głos miłej duszy wyzywającej Pana o ratunek, lecz jest głos człowieka, który wpadł głęboko w sidła zepsutego świata. A mowa jego zdradza, że należy do rodzaju ludzi nasienia djabelskiego, którzy z Boga Chrystusa urągając, przepisują mu, co ma czynić. Na takie bluźnierskie słowa nie ma Pan żadnej odpowiedzi, lecz one dosięgły uszów tego złoczyńcy, co był po prawej stronie utrzymowany, a te go tak przerażyły i przestraszyły, że nie mógł na nie milczeć, lecz odpowiada mu na nie, a

odpowiedź jego pochodzi z serca przepelnionego uczuciem jakiego doznał patrząc na niewinnie utrzymowanego Jezusa. On też głęboko upadł w grzechach swoich, on też człowiekiem pochodzącym z grzesznego nasienia, lecz jego słowo jest wyrazem pokuty i żałości nad grzechem człowieka, który w całej głębokości swą zgubę poznał. Na krzyżu spodfakły się dwa rodzaje grzeszników, jeden rodzaj szatańskiego pochodzenia, drugi narobzony z niewiasty!

Zaledmo on złoczyńca z lewej strony wyrzekł: „Jeżeliś jest Chrystus ratujże siebie i nas”, a zaraz otrzymał odpowiedź na nie od onego drugiego złoczyńcy, która uderzyła jako piorun w jego zatwardziały sumienie, aby go obudzić w ostatniej godzinie ze snu śmiertelnego, mówiąc mu i gromiąc go: „I ty Boga się nie boisz, chociaż jest w temże skazaniu? A myć zaiste sprawiedliwie: bo godną zapłatę za uczynki nasze bierzemy.” W tych słowach widzisz wiernie wymalowany obraz bezbożnika. Dziwisz się zapewne, mity w Panu, nad bżkością onego utrzymowanego i umierającego złoczyńcy po lewej stronie, że jest jeszcze w stanie błuźnić i uragać się. Lecz do tego stopnia złości nie od razu doszedł, powoli, powoli wstępował ze stopnia na stopień, aż stanął na wysokości zepsucia i bezbożności. Każdy człowiek rodząc się na świat rodzi się i ze sumieniem, a bojaźni Bożej nie daleko jest oddaloną od serca naszego, a jedno słowo Boże może ją w nas obudzić. Lecz człowiek potrafi głos sumienia przytłumić słowem Boże z daleka od siebie zatrzymać, idzie tam gdzie bluźniercy się zgromadzają, wstępnie na ich drogę grzechu, wpada coraz głębiej z grzechu w grzech, a tak siedzi on w dolinie cienia śmierci. Co w człowieku jeszcze brzemie dobrego, zasypia zupełnie, a na koniec umiera w nim wszystko co z Boga jest. Tak działo się i z onym złoczyńcą z lewej strony. Nie był on poganinem, lecz żydem, a od młodości swej pukało do serca jego słowo żywota. Ale nie słuchał na nie, nie uwierzył prawdzie, która go zbawić chciała, posłuchał kłamstwa to pofochał i poszedł, odwróciwszy się od Boga, za głosem kusiciela, który jest kłamcą od początku. Tak uspiło się w jego duszy sumienie i zanikło na zawsze, tak żył bez Boga i wpadł w coraz to cięższe grzechy, aż stał się zbrodniarzem, aż na koniec przybił go na krzyż, a w boleściach straszliwych stoi przed nim sąd i wie-

czność. Całe życie nie znał Boga to i w śmierci nie masz Boga dla niego. A gdzie Boga brakuje tam nie masz i bojaźni Bożej tam nie ma trwogi przed przykazaniami Jego świętymi, tam stracił grzech swe żądło. A słowa gromu o Bogu karzącym, o sądzie i wieczności są mu obce, nie pojęte, niezrozumiałe. A gdyby jeszcze uszedł śmierci, to znowu zwróciłby się na drogę grzechu i obrażył Boskiej. Chrystus, Zbawiciel, który grzechy może odpuścić i ratować od zatracenia wiecznego, jest mu zgorzleniem i głupstwem. Straszne to jest, ale niestety prawdziwe, że tej bezbożności tyle na tym świecie, a nawet na łożu boleści już prawie samem skonanem, nie mogą się odciąć z tego uśpienia grzechowego. Służ to chorym a nawet umierającym trzeba by zawołać: „I ty się Boga nie boisz?” Leżą, wijąc się w cierpieniach i boleściach na łożu śmiertelnym, a już cień śmierci ich ogarnął. Coraz słabiej i słabiej uderza serce, a oddech ucieka, siły ustają, oczy widzą tylko przez mgłę, nad ich łożem kłęzą się złożnemi rękoma ich najdroższe osoby, wołają o ratunek i zbawienie ich duszy, sługa Boży uderza jako młotem o skamienia ich serca i woła do pokuty i nawrócenia, opowiada Zbawiciela grzeszników, przynosi łaskę w imieniu Jezusa, lecz on nie widzi i nie słyszy, a ostatnimi siłami odwraca i oddala od siebie łaskę i miłosierdzie Boga! A są coraz bliżej, a za tą bramą doczesności, czeka go wieczność. Ale to mu wszystko obojętne ha, gdyby mu zdrowie wróciło, gdyby jeszcze raz mógł wstać z łoża boleści, a znowu dalej i dalej puścić się drogą grzechu, aby jeszcze bardziej bliźnić przeciw Bogu i pomazańcowi Jego, ha, wtenczas radowałaby się dusza Jego. To są jego myśli, to jego pragnienie, ale nie myśli o straszności grzechu i karze ani o Zbawicielu, który jest ratunkiem i pomocą grzeszników. Ach wielki Boże, czyż to jest możliwe, westchnąć musimy, czyż to podobnem między temi, którzy noszą imię Chrystusa!

Tego co zupełnie stracił ten jeden złoczyńca, nie stracił wszystkiego z łaski Boga ów drugi. Prawdę wyznać musimy, że i on był złem człowiekiem i on był grzesznikiem umiarkowany świat, a swój grzeszny żywot zakończył jako zbrodniarz, za co go też zasłużona kara spodziała.

Sumienie jednak jego nie uciekło, a bojaźń Boża tkliła się w jego sercu od czasu do czasu jako iskra w popiele, lecz nigdy zupełnie nie wygasała. Wprawdzie wpadł i on w ręce bezbożników i szedł drogą grzechu, lecz nie raz doznał obrzydzenia w obcowaniu z bluźniercami. Jeszcze było i żyło w nim coś, za co ręka Boża uchwycić go mogła, a łaska Boża do duszy jego zbliżyć się potrafiła. Kiedy więc wydanym został w ręce sprawiedliwości, a w ciemności więzienia miał sposobność rozmyślać nad grzechami popełnionymi, to sumienie obudziło się w nim; a kiedy mu wyrok śmierci wyrzeczono, to ta iskra bojaźni Bożej wybuchła płomieniem, który mu zaświecił do głębi duszy i rozświecił te noce, co je w grzechach pędził, a kiedy krew z ran mu płynie, to przeraził go grzech, a bodziec śmierci stawiał go przed bramą strasznej wieczności. Wisi na krzyżu, a pyta

się co się z nim stanie? co go czeka? co z nim będzie? Straconyś, zgubionyś na wieki, woła głos sumienia, a trwoga śmiertelna przejmując serce jego. Teraz poznaje, że grzechami swymi zasłużył sobie na haniebną śmierć na krzyżu i wyznaje przed Bogiem i światem: „Myż jaiste sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki nasze bierzemy, ale ten nie złego nie uczynił.” Wielkie i prawdziwe to wyznanie. Oddaje tak prawu Boskiemu jako i ludzkiemu słusność i sprawiedliwość. Sam siebie obwinia, sam sądzi i potępia. Jakkolwiek takie wyznanie rzadkiem i trudnem jest, przecież powiada: jam zgzeszył, a teraz za to odbieram na com sobie zarobił, cierpię, bom zasłużył. Świat utrzymuje wprost przeciwnie, a kiedy nastaną godziny boleści, nie wiedzą, czemu sobie na nie zasłużyli, sądząc, że są niewinnymi, na wszystko winę składają tylko nie na siebie, to ludzie, to nawet Bóg, powiadają jest niesprawiedliwym i okrutnym, że na nich niewinnych złożył ciężar boleści i cierpień! Lecz ta mowa człowieka pyzznego i niepokutującego powinna przerazić serca nasze, pomnąć na słowo Jana Chrzciciela: „Rozdajcie jażdżorczy, któż wam pokazał, żebyście uciekali przed przyszłym gniewem?”

Kiedy zaś człowiek w pokorze serca swego wyzna: Ja sam zgzeszyłem i nieprawość popełniłem, jam zasłużył na sąd i skazanie, cierpię, bom na to zarobił wtenczas rozbroisz gniew sprawiedliwy Boga, a sąd zamieni ci się w miłosierdzie. Nie wynosi on się po nad swego towarzysza z lewej strony, nie masz różnicy między nimi, oba upadli, oba zgzeszyli, oba w jednakowym potępieniu, a co sobie zasiali to też i żąć będą.

A tak jak z jednej strony poznał on swój grzech i wielką winę, tak z drugiej strony światłoczu o niewinności Jezusa, chociaż on równo z nim w jednakowym potępieniu się znajduje. „Ten, woła złoczyńca, nie złego nie uczynił.” My winni jesteśmy, on zaś jest niewinnym. My grzesznymi, on sprawiedliwym. Co on zbiera, to inni zasiali, że on cierpi, to temu inni zawiniли. Wszyscy ludzie przyznać muszą, skoro jest mowa o zapłacie grzechu lub karze za grzechy, żeśmy sobie sami na to zasłużyli, a tylko on sam jedynie, ten który w pośrodku na krzyżu umiera jest wyjątkiem, bo ten nie złego nie uczynił i takim okiem patrząc na umierającego Jezusa zrozumieć możesz tajemnicę krzyża. Tylko ten komu to światło zaświeci, znajdzie drogę przez żal nad grzechami do królestwa Bożego, gdzie sprawiedliwość jest, pokój, gdzie tron łaski, aby dziecię stracone rzuciło się w objęcia miłości ojcowskiej, który otrze łzę pokuty z oczu jego i uzdrowi rany bolesne.

A kiedy Jezus to szczerze i prawdziwe wyznanie posłyszał, zabrzmiato ona mu jako śpiew anielski, lecz przecież milczy, aby on złoczyńca miał czas wyrzucić wszystkie uczucia serca swego. Bo do pokuty jaką on złoczyńca czynił, brakowało jeszcze wiary, aby mu mógł łaskę wyświadczyć. Więc milczy Pan czekając, wyglądając, spodziewając się od niego jeszcze jednego słowa, słowa

ufności i wiary, aby mu mógł zapewnić, nie bój się ja ci pomogę, ja cię wyratuję i zbawię. Jak nigdy tak i teraz Pan się nie omylił, i nie długo potrzebował czekać na słowo wiary ze serca złoczyńcy pochodzącego, bo oto obraca się on grzesznik pokutujący do Jezusa; a pełen wiary i ufności wypowiada słowo, na które Jezus czekał, a które zbawić miało duszę jego, a ewangelista dobitnie powiada: I rzekł do Jezusa: „Panie! pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa twego.” Cóż to za słowo! jakiego mu podobnego nie znajdziesz, jakkolwiek wiele słów wiary wzniósł się ze serca pełnego żalu przed tron Boga, wiele modlitw z głębokości trwogi i bojaźni zanieślonemi zostały do Pana, ale podobnego temu trudno jest znaleźć. Panie, woła on, Panem nazywa tego, co się z nim w równym potępieniu znajduje, Panem go mieni, choć na krzyżu rozpięty, którego kapłani i uczeni w piśmie na śmierć wydali, a lud odrzucił od siebie. Panie, ale i królu, bo wierzy w jego królestwo, do którego przez śmierć krzyżową wstąpi w królestwo, które sobie śmiercią zdobędzie i na tym świecie założy, w królestwo łaski i wiecznej szczęśliwości, królestwo, w którym on na froncie zasiądzie, aby sądzić żywych i umarłych. Była to wiara podobna onego setnika z Kapernaum, a jakiej Pan w Izraelu nie znalazł, aż dopiero tu, tu na krzyżu w sercu złoczyńcy.

Pan Jezus słysząc taką wiarę już dłużej miłować nie mógł, aby smutnego nie pocieszyć, ufającego nie zapewnić, wołającego nie wysłuchać i zapewnia go słowem swej Boskiej potęgi: „Zaprawdę powiadam tobie, dziś ze mną będziesz w raju.”

A on, który płakał, pocieszonym został, który wierzył, zobaczył, ta owieczka, która była złądzika, znalazła swego pastora, który ją wziął na ramiona swoje i zaniósł do domu Ojca swego niebieskiego.

Te trzy krzyże na Golgocie niechajże żywo i zawsze przed oczyma twemi stoja, z nich czytać możesz całe prawo ewangelii św., z jednego grozi ci palec potępieniem, z drugiego wskazuje ci na Chrystusa, a z trzeciego wyciągają się ręce miłości ku tobie i obdarzają cię rajem! Amen.

Nunija.

Nino nie mniej od innych się zdziwiła, bo po powrocie z wczorajszego polowania król jeszcze słowa do niej nie przemówił. Sama pręto zaprowadziła Nuniję do króla, który wezwawszy ją, żeby przy nim pozostała, zwrócił się z uroczystą powagą do niewolnicy i rzekł: „Przez ciebie na przód słyszałem o Bogu chrześcian wszechmocnym i miłosiernym: do Niego wczoraj zwróciłem się, będąc w wielkim niebezpieczeństwie; On mi też dopomógł, podczas gdy mój Bożeś Mitra opuścił mię hańbie. Wtedy ślubowałem Jemu, że Jego samego czcić i Jemu obdą służyć będę.”

Kto zdoła opisać radość obydwóch niewiast,

gdy król mówił dalej: „Ponieważ w całym moim kraju nie masz nikogo, któryby o tym Bogu wiedział; ty więc będziesz mię nauczała, jak trzeba Jemu służyć, i jak padobać się Jemu można.”

Z radością najwyższą w sercu odrzekła Nunija pokornie: „Kim-że ja jestem, biedna niewolnica, żebym miała nauczać króla; na to potrzeba księdza.”

„A gdzież takiego znajdę?” spytał król.

„W państwie Rzymskiem jest ich wielu, odpowiadziła Nunija; idą oni na wszystkie świat, i opowiadają ewangelię nawet tam, gdzie ich biją i zabijają; o ileż chętniej przyjdą tam, gdzie ich uprzejmie zaproszą.”

„W takim razie kaze napisać list do cesarza Konstantyna, żeby mi przysłał nauczycieli, którzyby mię uczyli służyć Bogu jego; tymczasem jednak odpowiedz ty mi, co wiesz o Nim.”

„Tego nie potrzeba, królu mój, rzekła Nunija; ile ja wiem, tyle też wie królowa wasza. Niechaj ona będzie nauczycielką waszą.”

Tym sposobem dowiedział się Miryjan, że królowa i wiele innych niewiast jego, podobnych oddają już część Bogu chrześcian. Tem też uważniej sam słuchał słów królowej Nino.

Z ust króla dowiedział się także i Bafar o tem, co zaszło; ale rozgniewało go to nadzwyczaj. Groził żonie wypędzeniem, a Nunii sprzedaniem, gdyby za ich sprawą miała nastąpić w kraju zmiana religii. Wprawdzie obawiając się gniewu królewskiego-groźb tych nateraz nie wykonał; w domu jednakże obie kobiety musiały znosić z jego strony straszne okrucieństwa, a serce jego zatwardziało do tego stopnia, że Nunii prośby i modlitwy już nań wpływu nie wywrzeć nie mogły. Nigdy jednak ani słowem jednym nie żaliła się, znosząc wszelkie udreczenia w potęgę. Bafar nareszcie zabronił żonie i Nunii widzenia się z kimkolwiek; pod pozorem choroby ich oddał wszystkim, chcących je odwiedzić. I rzeczywiście Gadani od doznanych udreczeń, a więcej jeszcze ze zmartwienia nad zatwardziałością swego męża zachorowała i umarła. Nunija zaś, osadzona w tajemnym więzieniu była tak strzeżona, że nawet królowa przybywszy na pogrzeb Gadani, który Bafar z wielkim przepychem i okazałością wyprawił, nie mogła jej i do niej się dopytać. Bafar wołał nawet narazić się na nietasę króla; sądził bowiem, że ten z czasem o Nunii zapomni, a wtedy też i nowej religii wspominać więcej nie będzie. Znał on rodaków swoich, i wiedział, że życie kobiet zaprzątały tylko stroje i różne błachostki; mężczyznom zaś wojny i łowy nie pozwalały zaprzątać się dłużej jaką myślą poważną. Pewnym więc był, że Nino tak samo jak i Miryjan o chwilowym kaprysie prędko zapomni. Ale ziarno ewangelii zbyt silnie już było zakorzenione w sercu królowej, ona też u króla pielegnowała troskliwie iśkierkę wiary, żeby nie przygasła. Prócz tego bez wiedzy Bafara dawno już był wyprawiony do cesarza Konstantyna list z prośbą o nauczycieli.

Zniecierpliwiony oporem Bafara, który wzbra-
niał się stanowczo przyprowadzić Nuniję do dworu,
a nawet królowej do niej puścić nie chciał; Miry-

jan wezwał go do siebie i zagroził mu śmiercią, gdyby niewolnicy żywej nie wydał. Zarazem uwięziono go, aby powodowany nienawiścią przeciwko chrześcijaństwu nie zaczął sprzątnąć Nunii; królowa zaś sama z orszakami udała się na jej poszukiwanie w domu Bakara. Długo jednak na żaden ślad biednej męczennicy natrafić nie zdołano, aż nareszcie jeden ze starych niewolników przypomniał sobie straszny tajemny loch podziemny, w którym nieszczęśliwą rzeczywiście znaleziono.

Jakby w tryumfie zaniesiono biedną kobietę do króla; na której obliczu pomimo przebytych męczeń, widniał błogi pokój, z ciałą najwyższą cisnęli się po drodze wszyscy do niej, aby choć szaty jej ucałować. Z przerażeniem ujrzała królowa ślady okropnych męczeń na ciele Nunii; król postanowił takowe zemścić, skazując ciemiężce na śmierć. Dowiedziawszy się o tem Nunia nagle jakby nadludzką siłą zdawała się ożywioną: ze wznieślonemi rękoma pobiegła za królem i zakryła ciałem swoim prześladowcę swego. To przekłamało błąd nienawiści poganina; łączył się do oczu jego, — łączył się mu ob dziecinstwa, — i padł przed Nunią na kolana. Ta zaś nieprzebrała prosić i błagać, aż uzyskała u króla ulaskawienie; wtedy dopiero opuścili ją siły, i zemdlona padła na ręce królewskiej swej opiekunki.

Męczarnie doznane zbyt były ciężkie; Nunia już więcej z łoża boleści powstać nie mogła. Pomimo to jednak sama jeszcze nauczwała Bakara tej wiary, która każe kochać nieprzyjaciół, i przebaczać urazy doznane. Jedno tylko pragnienie ożywiało jej duszę, żeby przed śmiercią jeszcze mogła widzieć księdza chrześcijańskiego, któryby jej udzielił komunii świętej, której tak długie lata była pozbawiona. Bóg spełnił to jej życzenie. Ksiądz chrześcijański przybył od zachodu, pobożny ksiądz Eustachyusz z Antyochii udzielił jej ciała i krwi Pańskiej i ochrzcił Miryjanę i królową Nino; a gdy ci w białych szatach chrześcijańskich stanęli przy jej łożu, wtedy nachyliła głowę i zasnęła w Panu.

Miryjanę i Nino wspominali ją z wielką czcią, i starali się naśladować pod każdym względem. Para królewska stała się parą nauczycielską. Przy pomocy i za wskazówkami księdza Miryjanę uczył mężów swego ludu, Nino zaś kobiety. Wkrótce wzniósł się światynie chrześcijańskiej w całej Zberii; chrześcijaństwo szerzyło się coraz bardziej. Po kilku latach działy Bakara, nazywany Tomaszem, wyszedł do sąsiednich krajów jako apostoł tejże religii, dla której tak ciężko prześladował niewinną swoją małżonkę i pobożną Nunię. Poniosł też śmierć męczeńską od sąsiedniej pogańskiej narodowości.

Od owej pory wiara chrześcijańska panowała niepodzielnie w Zberii. Półkoczowniczymi wprawdzie usiłował walczyć przeciwko krzyżowi, ale bezskutecznie, a w niejednem podaniu ludowem przechodziło się imię Nunii, której choć była tylko słabym dziewczęciem, Bóg dozwolił dostąpić zaszczytu, że przez nią zaszczerpione zostały pierwsze po-

czątki wiary chrześcijańskiej do serca całego narodu Zberyjskiego.

(Koniec.)

Rzuc człowiecze marny świat.

Rzuc człowiecze marny świat,
Oddaj serce Chrystusowi,
Tak unikniesz świata zdraj,
Niebezpiecznych grzeszników.
Jezus drogi łaska Twoja
Wiernie serce niech mi da!

Ach, gdy zajrzę w serce me,
Jleż jest w nim takich rzeczy,
Co mi skryły niebo twe,
Jem je przestał mieć na pieczy.
Ożuję Zbawco! w duszy mej,
Jem z natury w mocy mej.

Ty swym duchem we mnie rzadź
Bym dał odpór światu złemu.
Mej miłości celem bądź,
Bym się skłonił ku dobremu.
Odziesz Ty, Jezu, z duchem Twoim,
Tam już koniec żądzom złym.

Nie zapragnie serce me
Dóbr znikomych doczesności,
Gdy ty sam zapełniasz je
Dobrem wiecznem Twojej miłości.
Jedna tylko miłość Twoja
Spokoju skarb mi da.

Nie poświęcę moich sił
Na usługę nieprawości;
Prawdą zawsze będę żył,
Gdybym się pełen Twojej miłości;
Boś Ty, Zbawco, prawdy chiał
I w niej żywot wierny dał.

Zapekni serca mego czczość
Twojej miłości dobrem światem,
Bym nie przestał nigdy rość
W życiu Duchem Twoim poczętem.
Daj mi zawsze w Tobie być,
Bym mógł Twojem życiem żyć.

Któżby o cześć ziemską dbał,
Mając godność Bożych dzieci?
W tej godności bierze udział,
W kim Twoja miłość, Jezu, świeci.
Kto cię kocha, ten już ma
To, co wieczną chwałę da.

Rozwiązanie zagadki z nr. 8.
Stół.

Zagadka.

W boru święte, w domu wygięte
U owiec leżało, u koni wisiało.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Nr. 10.

Łódź, na niedzielę dnia 7 marca.

1897.

Niedziela zapustna.

List św. Pawła 1 do Koryntów, r. 13., w. 1—13.

Zastanawiając się nad dzisiejszą lekcją, chcę tę myśl obszerniej wyłożyć.

Ty zaś o Panie, Boże nasz! błogosław nam, błogosław słowo Twoje, i pomóż nam zborowi Twemu, abyśmy nie byli tylko słuchaczami ale też czynicielmi słowa Twego. Wierny, miłosierny Boże, któryś jest tarczą wszystkich, co w Tobie nadzieję pokładają, nakłoń się ku nam i bądź nam miłościn, bośmy ubodzy i nędzni. Amen.

Apostoł w lekcji dzisiejszej dowodzi, że miłość jest mocą Bożą wykonywającą dobre uczynki, że musi być jądrem uczynków. Mówi bowiem w pierwszym wierszu: „Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brzęcząca, albo cymbał brząkający, to znaczy: choćbym strunienie największej, porывającej wymowy z ust naszych płynęły, choćby piękne wzniosłe obrazy mowę naszą zdobity, choćbyśmy nie wiem jak rozumnie i przeformującą kazali, jeżeli atoli dla tego się to dzieje, że chcemy błyszczeć, zadziwić i być podziwiani, tedy mowa nasza jest miedź brząkająca; tedy słowo nasze jest cymbał brząkający. I zaiste, Pan Bóg nasz dał nam język nie na to, aby jak apostoł Jakób mówi, był „ogniem i światem niesprawiedliwości, ale na to, aby Dzia i Syna chwalił i wielbił, aby Bogu śpiewał psalmy i hymny. Powinniśmy mówić i kazać o Jednorodzonem, zwiastować Ukrzyżowanego, opowiadać o Tym, który jest miłością, ale mówić, kazać nie tylko językiem, nie tylko wargami wspominać święte imię Jego, ale usta powinny Go zwiastować, bo serce pełne miłości ku Niemu, naszemu Bogu i Zbawicielowi. Znaczej — jesteśmy chrześcianami tylko ustami, chrześcianami, co wiele mówią o religii, o wierze, o świętobliwości, o Jezusie Chrystusie, ale gdyż w sercach naszych niema miłości ku Panu, jesteśmy jako miedź brząkająca, albo cymbał brząkający.

Nawet ma się rzecz z duchownymi darami. Można bowiem mieć prorocstwo, to jest dar wykładania Pisma świętego, można wiedzieć tajemnice królestwa Bożego, można mieć umiejętność, to jest ducha dociekającego prawdy, a przecież niczem nie być, niczem przed Bogiem. Nawet, co jeszcze większa, mówi apostoł: „Choćbym miał

wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.“ „Choćbym miał wszystką wiarę, a miłości bym nie miał, — toć przecież jasno rzeczone! A więc nie wiara nas zbawia, nie z wiary bywamy usprawiedliwieni, ale z miłości, to jest z uczynków. Tym wyrokiem tedy wszyscy na głowę pobici, którzy z wiary usprawiedliwienia szukają, a więc też i nasz luterski kościół? Bynajmniej, umilkowani! Apostoł w tym wierszu jak w całej lekcji pragnie opisać zacność Chrześciańskiej miłości, powiadam Chrześciańskiej miłości, to jest tej, która mieszka w sercu na nowo narodzonem, a nie w sercu oddanem grzechowi. Taką miłość sprawia sam Bóg w naszych sercach, bo Bóg jest miłość, ale sprawia ją jedynie w sercach tych, którzy wierzą w Jego Syna, bo mówi Chrystus: „Nikt nie przyjdzie do Ojca tylko przez mię,“ a więc nikt nie może tej miłości mieć, kto niema Syna.

Gdy apostoł mówi: „Choćbym miał wszystką wiarę“... jakąż wiarę ma na myśli? Zaiste nie wiarę usprawiedliwiającą, wiarę w Jezusa Chrystusa, ukrzyżowanego i zmartwychwstającego, Zbawiciela Żydów i całego świata, gdyż ta wiara nie może być bez miłości. Lecz można też mieć inną wiarę, mianowicie tę, którą Pan w Ewangelii Mateusza w r. 7 opisuje mówiąc: „Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie! wnidzie do królestwa niebieskiego: ale który czyni wolę Ojca mego, który jest w niebieszech. Wiele ich rzeczy mi dnia onego: Panie, Panie! izajęśmy w imieniu Twojem nie prorokowali, i w imieniu Twojem wiele cudów nie czynili? A tedy im wyznam: Zem was nigdy nie znał: odstąpcie odemnie, którzy czynicie nieprawość.“ Taką wiarą to wiara uczynków, — i ona wielkich dokonała rzeczy, a przecież Pan jej proroków potępia, bo choć w wierze w Niego prorokowali i cuda czynili, przecież nie przez wiarę i z wiary w Niego jako pojednawcę i Zbawiciela szukają usprawiedliwienia, ale z uczynków, które wykonali. Nie czynią tedy woli Ojca, bo Dzieciec Syna swego nam dał, aby był naszym Zbawicielem, i nikt też nie może być zbawiony, tylko jedynie przez Jezusa Chrystusa. Przeto musimy Go miłować, bo On nas najprzód umilkował, musimy wierzyć nie tylko w Jego na Golgocie dokonane dzieło pojednania, nie tylko w słowo Jego, ale musimy Jego jako tego, który nas odku-

pił, wybawił i wyzwolił z całego serca i nade-
wszystko miłować. Jeżeli tedy apostoł mówi:
„Choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry
przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest”,
to tyle znaczy jak gdyby mówił: Choćbym miał
moc wiary cuda czyniącą, a nie miałbym wiary,
że jestem nędznym grzesznikiem, że nie z własnych
uczynków, ale jedynie z łaski zbawionym być mo-
gę, nicem nie jest, ba jestem zgubiony i potępiony.
Przeto też niezliczeni chrześcijanie są zgubieni,
mimo wszystkich swych uczynków przed Bogiem są
niczem, bo nie mają miłości, miłości ku Synowi
jako Odkupicielowi, jako temu, który za nas zapła-
cił; bo Go nie miłują jako tego, który przyszedł,
aby zbawił to, co było zgineło.

Apostoł mówi tu tedy o fałszywej wierze
oświadczaając, że choćby wiara taka wielkie czyniła
cuda, choćby nawet góry przenosić mogła z miejsca
na miejsce, jeżeli jest bez miłości, bez prawdziwej
miłości ku Jezusowi Chrystusowi, uczynki jej ni-
czem są. Potwierdza to również słowem: „I
choćbym wynalazł na żywność ubogich wszystką
majętność moję, i choćbym wydał ciało moje,
abym był spalony, a miłości bym nie miał, nic
mi to nie pomoże.” A to dla tego, bo Bóg nie
patrzy tylko na to, co jest widzialne, ale do-
świadcza naszego serca i chce, aby uczynki nasze
nie były uczynkami załonu, ale uczynkami miłości,
to jest owocami prawdziwej wiary. Jako wiara
może być fałszywa, tak też i miłość, to jest: my
często mniemamy, iż mamy prawdziwą miłość, a
przecież jej nie mamy. Przeto nam ku nauce i
przestrodze opisuje apostoł tę z wiary w Jezusa
Chrystusa ściśle połączoną miłość: „Miłość jest
długo cierpliwa, dobrotliwa jest,” to znaczy: ko-
mu Pan dał ją w serce, ten przeoczy i przebaczy
wyrządzoną sobie krzywdę, i jest dobrotliwy za-
wsze bez zmiany: przy wszystkich zmianach, w każ-
dem położeniu, po wszystkie czasy jest łagodny i
pogodny jak słońce wiosenne. „Miłość nie za-
żbrości,” to znaczy, ona nie zna zawiści, nie nie
chce mieć wyłącznie dla siebie, przeciwnie, im wię-
cej sere Panu się odda, tem więcej się raduje.
Lecz jeżeli kto ujmuje chwałę Bogu, jeżeli dusze
chrześcijańskie pragną pogodzić miłość tego świata
z miłością Chrystusową, wtedy się gorli, i świętą
gorliwością broni chwały Zbawiciela. „Miłość
nie jest rozpustna”, bo jest uświęcona miłością,
którą nas Chrystus umiłował i brzydzi się wszel-
ką nieprzystojnością. „Miłość nie nadyma się,”
ale znając własne swe grzechy trwa w pokorze i
nie wynosi się nad bliźniego. „Miłość nie szuka
swego,” nie kieruje się samolubstwem, nie szuka
własnej chwały, ale jest płomieniem rozpalonym
i podsyganym przez płomień miłości Bożej obja-
wionej w Chrystusie Jezusie. Taką będąc nie
jest przystępna podszeptom kusiciela, ale mocno
trzyma się Boga. „Miłość nie jest porymcza do
gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niespra-
wiedliwości, ale się raduje z prawdy,” a tak i w
tem podobna jest Dcu niebieskiemu, który czyni,
że słońce Jego wschodzi i na tych, którzy Jego
światła i ciepła używają jedynie ku wypelnieniu
swych rozlicznych złości. Miłość nawet niewdzię-

cznością nie da się zrazić i powstrzymać od do-
broczynności, i mówi jak Luter: „Tak żył nie
jesteś, abys i mnie naklonił do złości; ja chce do-
brym pozostać i ustawicznie dobrze ci czynić.”
Tak, to czyni Boska miłość, a nadto: „wszystko
okrywa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spo-
dziewa, wszystko cierpi.” Taka miłość nigdy nie
ustanie. Wszystko kiedyś ustanie; prorocтва, je-
zyki, umiejętności, wszystko. Gdy Pan przyjdzie
sądzić żywych i umarłych, wtedy nie będziemy po-
części znali i po części prorokowali, ale doskona-
łość będzie działem naszym. To też mówi apo-
stoł: Pókim był dzieciąciem, mówiłem jako dziecią,
rozumiałem jako dziecią, rozmyślałem jako dziecią;
lecz gdy się stał mężem, zaniechałem rzeczy dzie-
cińskich,” bo mamy rość i pomnażać się, coraz
podobniejszymi mamy się stać Temu, który jest
naszą głową, naszym zbawieniem, naszym jedynym
skarbem. A przecież tu w doczesności my go le-
dwie przeczuwamy, doświadczamy na naszych ser-
cach skutków wiecznej miłości, mamy filka pojęć o
Tym, który jest Wieczny i Wszechmocny; jest o
ten sam Bóg, w którego tu wierzymy, i którego
tam oglądać będziemy, ale to jest różnica, jak
apostoł Paweł mówi: „Albowiem teraz widzimy
przez zwierciadło i niby w gadce, teraz poznawam
po części, ale na on czas” — kiedy? Wtedy,
już nie będziemy żyli w ciele i na ziemi, ale uwol-
nieni od brzemienia doczesności, zmartwychwstali,
odnowieni, oczyszczeni, nie będziemy w Boga wie-
rzyli, ale będziemy Go oglądali twarzą w twarz.
Wtedy umiłowani znając nie będziemy znali po
części, słowo Boże, samo przez się jasne i chwa-
lebne ale dla nas dla grzechu naszego ciemne, nie
będzie nam już zwierciadłem, nie będzie tajemnicą,
ale będzie jasne i zrozumiałe. O będzie to błogo-
stawiona chwila, bo jako nas Bóg teraz zna, jako
i to co najskrytsze w nas. Temu nie jest skryte,
tak i my Go poznamy, tak i my będziemy patrzyli
w Jego ojcowskie serce.

Byśmy atoli nie szemrali i nie narzekali na
doczesną niedolę, tedy mówi apostoł — w docze-
sności tej zostawa nam jako największa pociecha
„wiara, nadzieja, miłość, te trzy rzeczy; lecz z nich
największa jest miłość.” „Tu”, mówi Luter,
„mędrkowie wielce się pomylili, poniżając wiarę
dla tego, że apostoł mówi, iż miłość jest większa
niż wiara i nadzieja: według swego zwyczaju na
oślep rzucili się na literę i wyrwawszy jedno sło-
wo na inne nie zważali i nie porozumieli św. Pa-
wła, który wielkość miłości wyklada poprzędzają-
cemi i obojętne stojącemi słowami. Że miłość jest wię-
ksza niż wiara i nadzieja, toć zaiste jest dobrze
rzeczone, boć dłużej trwa, a wiara krócej, docze-
śnie. Lecz również mogę rzec, że chrześcijaństwo
jest większe na ziemi niż Chrystus. Mówiąc tak
zaiste nie chcę rzec, że chrześcijaństwo samo przez
się jest większe i godniejsze niż Chrystus, ale to
chcę rzec, że na ziemi jest dłużej i więcej rozszer-
zone niż był Chrystus, który tylko przez trzy lata
żył w małej mieścinie. Tak też miłość jest dłu-
ższa i szersza, niż wiara i nadzieja, bo wiara je-
dynie w sercu i tylko docześnie zajmuje się Bo-
giem, a miłość Bogiem i całym światem wiecznie

się zajmuje. A przeto rzecz ma się tak: wiara usprawiedliwia przez słowo i krzewi miłość. Ale oboje, słowo i wiara ustana, lecz sprawiedliwość i miłość przez nie sprawiona trwa na wieki: równie budynek nie powstanie bez rusztowania, lecz budynek trwa a rusztowanie ustanie.“ O przeto umiłowani! nie dajcie się zwieść, ani własnemu sercu, ani przez dumne fałszywe mowy. Nie myślcie, że miłość utoruje wam drogę do nieba; nie myślcie, że gdy tylko miłość macie, wszystko inne jest obojętne. Najprzód zważcie to, co wy miłością zwiecie, zważcie i porównajcie to z tem, co apostoł w listach dzisiejszej wylicza jako znamiona miłości. Brałujeli jedno z tych znamion, macie może ziemską, ludzką, ale nie macie boskiej i niebieskiej miłości.

Źródłem, z którego miłość płynie, jest serce. Jeżeli źródło nieczyste, jeżeli źródło pełne brudu i kału, to też nie czystego z niego płynąć nie może. Czystymi, nienagannymi, nowymi i świętymi czyni nas jedynie i wyłącznie krew Jezusa Chrystusa. Jeżeli tedy w Niego nie wierzymy, jeżeli nie wierzymy, że bawamy usprawiedliwieni i zbawieni nie przez własną ale przez Jego zasługę, jeżeli nie wierzymy, że nie przez własny rozum i siły nasze w Jezusa Chrystusa Pana naszego uwierzyć ani z nim połączyć się możemy, ale że nas Duch św. przez Ewangelię powołał, darami swoimi oświecił i poświecił — to niema w nas miłości, i możemy wiele czynić dobrych uczynków, możemy dawać ofiary jałmużny, wzbogacać ubogie, wydać ciało na spalanie, możemy mieć wielką umiejętność, głębokie zrozumienie Pisma, a przecież nie być zbawionym. Przeto najmilsi! strzeżcie się! Czućcie i módlcie się, abyście nie przyszli w pokuszenie! W naszych dniach świat wiele mówi o miłości, a pragnie wiarę poniżyć i potępić. Ale jak ptak bez skrzydeł nie może latać, tak my bez wiary w Tego, który jest naszą sprawiedliwością, nie możemy miłować. Apostoł Paweł wystawiający wielkość miłości jest równocześnie największym kaznodzieją wiary, a kładąc Galatom wiarę pisze (r. 1., w. 8): „Ale choćbyśmy i my, albo anioł z nieba opowiadał wam Ewangelię miano tę, którąś my wam opowiadali, niech będzie przekleństwo.“ Trwajcie w miłości, ale trwajcie też w wierze, a będziecie zbawieni. Amen.

Walka i zwycięstwo.

„Służcie Panu z weselem, przychodźcie przed oblicze jego z radością. Albowiem dobry jest Pan, na wieki trwa miłosierdzie jego, a od narodu aż do narodu prawda jego.“ (Psalm 100, 2, 5).

Zimny, północny wiatr dmąc gwałtownie zamiatł po ulicach tumany śniegu, który upadł dnia poprzedniego. Przez zamazane ulice strzypiące na mrozie jadą pomyślnie, omnibusy, dorozżki i firy ładowane, a ludzie otuleni w płaszcze i futra w różne ciągną strony. Zdaje się jak gdyby każdemu bardzo było pilno. Spieszno jest bez wątpienia i

pewnemu młodemu człowiekowi, który wyszedł z jednej z bocznych ulic miasta i walcząc z podmuchem silnego wiatru, co mu śniegiem oczy zasłupuje, szczególnie zapina pod szyję lekkie swoje palto i sztywnym frokiem naprzód podąża. Młodzieńcem tym jest Stanisław Karcki pracujący w kanttorze bogatego kupca Ruehnemana. O, jakże zimno biedakowi! Jedną ręką trzyma kapelusza, żeby go wiatr z głowy nie zerwał, a w drugiej niesie ciężki worek z szarego płótna; w worku tym znajdują się pieniądze, które nie są jego własnością; zwierchnik Stanisława bogaty kupiec Ruehnein, polecił mu zapłacić kilka zaległych rachunków w odległych dzielnicach miasta. Mógłby być wprawdzie pieniądze doręczyć młodemu człowiekowi w banknotach i ulżyć mu tym sposobem ciężaru, nie uczynił jednak tego i całą znaczną sumę wypłacił w srebrze.

Jak pan załatwisz interes możesz pójść do domu, jutro oddasz mi pokwitowane rachunki — rzekł do młodzieńca patrząc nań wzrokiem posępnym.

O co kupiec tak niechętnie spogląda na swego pracownika? Dawniej, parę lat temu bywało zupełnie inaczej; wówczas Stanisław był ulubieńcem pryncypała, który mu powierzał najważniejsze prace w kanttorze, jednak pewien wypadek w życiu młodego człowieka stał się powodem zmiany jego położenia. Serdeczny i jedyny przyjaciel Stanisława utonął w falach rzeki.

W milczeniu, ani jednej łzy nie wylawszy, siedział młodzieniec dniami i nocą przy trumnie, spoglądając ustawicznie na spokojne oblicze zmarłego, które nawet i po śmierci jeszcze pięknem było. Zamknięte na zawsze usta Kochane, a jednak w głębi serca młodego człowieka uita potężną dźwięczą słowa pełne spokoju i miłości, które niedługo przemawiał doń przyjaciel drogi: „Stanisławie, zbudź się ze snu!“ „Nawróć się do Boga!“ „Jezus, twój Zbawiciel stoi u wrót serca twego, ać wpuść go! spiesz się, ratuj duszę swoją!“ „Dzisiaj, skoro słyszysz głos Boga, nie zamknij serca twego.“

Zmarły był prawdziwym dziecięciem Bożem, i najgorętszym życzeniem jego było, żeby najserdeczniejszy przyjaciel również się nawrócił.

Teraz gdy ukojane oczy zamknęły się nazawsze, poczęło się rozjaśniać w duszy Stanisława. A gdyby ten najdroższy przyjaciel, ten wierny druh jego miał w istocie słuszność? Głęboka cisza panuje w komnacie nieboszczyka, cisza tak uroczysta, jakby w niebios przedśionku. Wśród wieńców barwnych kwiatów, wśród białych róż i lilii spoczywa ten, który był mu najdroższym na ziemi; — na szlachetnym obliczu zmarłego maluje się spokój. Stanisław pada na kolana i chwytając w swe gorące dłonie złożone jak do modlitwy martwe i zimne ręce przyjaciela, — długo tłumione łzy płyną z serca przepełnionego żalem i boleścią, i są zasiewem, z którego zwolna lecz pewnie, pocznie nowe kielkować życie, życie w Bogu i dla Boga.

O tej pamiętnej chwili położenie Stanisława w domu Ruehnemana bardzo się zmieniło.

Ludzie oddani wyłącznie życiu światowemu natychmiast potrafią poznać w kim mają przymierzeńca.

Stanisław od pewnego czasu stetryczał, stał się obłudnikiem i świętoszkiem, ufał go za to — rzekł do siebie pryncypał i dotrzymał słowa. Dodał młody człowiek wystawiony był na różne docinki swego zwierzchnika, który obrał go za przedmiot drwin złośliwych, i często obrażał niegodnem podejrzeniem.

Z godnością prawdziwego chrześcianina znosił młodzieniec to złe obęście i nigdy ani na chwilę nie zawahał się z całą otwartością wyznawać prawdę i głęboką wiarę swoją.

Teraz, gdyśmy poznali bliżej naszego młodego przyjaciela, podążmy za nim po uciążliwej drodze, jaką przebywa wśród śnieżnej zimy. Ponieważ znajduje się niedaleko rodzicielskiego domu, to jest małej ubogiej izdebki, w której mieszka jego rodzina, postanawia, zanim załatwi interesa swoje, wstąpić, aby się dowiedzieć o stanie zdrowia ojca, który od pewnego czasu był obłożnie chory.

Matka wychodzi na spotkanie syna z oczyma czerwionemi od płaczu.

Ach, dzięki Bogu mój Staśu, żeś przyszedł — rzecze z ciężkiem westchnieniem — bo w wielkim jesteśmy kłopotcie. Dziecie wciąż ciężko chore, nie mamy ani grosza w domu, a dzisiaj musimy koniecznie zapłacić zaległe komorne; czy nie możesz nam dopomóc?

Z mówiąc to matka spoglądała z ufnością swemi pocziwemi oczyma, których wejrzenie Stanisław zawsze tak dobrze rozumie. Pragnąłby swoje serce złożyć u nóg matki ukochaney aby jej dopomógł, lecz niestety ani jednego talara nie posiada w kieszeni; ostatnie 50 fenygów, któremi chciał opłacić swój skromny dzienny posiłek, odbaje jej mówiąc:

Ach młoteczko droga, jakżebyś pragnął być ci pomocnym, ale Bóg widzi, że nie mogę! Może pan Kuehnemann zechce naprzód wypłacić mi moją pensję. Będę się modlił do Boga, wszakże on posiada starby nieprzebrane, a ty młoteczko módl się także i wierz głęboko, że Pan Bóg nas nie opuści.

Matka jednak smutnie potrząsa głową; nie umie ona z wiarą stać modłów do nieba, nie umie wołać z głębi serca: Panie mój, i Boże mój! Ten zupełny brak ufności w miłosierdzie Boże bywał nieraz powodem ciężkiego zmartwienia dla Stanisława.

Małe rodzeństwo widząc wchodzącego brata otoczyło go łotem, a najmłodszy Zózio pochwylił za ręce i nachylając się do ucha szepnął: „Staśu, mnie się jeść chce!” Dziecie leżąc na ubożem pościeliu podał rękę synowi i westchnął ciężko nic nie mówiąc. Biednemu młodzieńcowi naraż zdaje się, że nędza z całą swą przerażającą grozą tłoczy udreżone jego serce. Jednak zwraca się do siostry i chcąc jej dodać odwagi, mówi:

Nie rozpaczajmy Kochana Helenko; niegdyś z rozkazu Pana króli zносиł prorokowi Eliaszowi chleb i mięso; jeżeli się Bogu spodoba, to i dla

nas cud uczyni. Nie smućcie się, wieczorem do was raz jeszcze zajrzę.

Uściskawszy rodziców i rodzeństwo zabrał swój worek i zeschł szybko ze wschodów. Dostając jednak swoim otuchy sam ciężkim dręczył się skutkiem. Śląc do Boga modły gorące o pomoc dla rodziny, schłódł od domu do domu płacąc rachunki i odbierając pokwitowania.

Tymczasem wieczór nadszedł, a na ulicach pozapalano latarnie; cienie posępnej nocy zimowej odpowiadały zupełnie obecnemu jego usposobieniu. Pozostawał mu tylko jeszcze jeden rachunek do zapłacenia u pewnego starego bankiera, który zajmował wspaniały dom na jednej z pryncypalnych ulic miasta. Siedział on w swym kantorze przy biurku i sam odebrał pieniądze. On jeden uprzejmie wstał młodzińcowi frzesko i podając pokwitowany rachunek z życzliwością spojrział na Stanisława, który powstał i z ukłonem pełnym szacunku kantor opuścił.

Dzięki Bogu — szepnął — już wszystko załatwione, ale cóż to jest? tu są jeszcze pieniądze, a przecież już wszystkie rachunki zapłaciłem.

Przy świetle latarni ogląda worek i widzi, że pozostało się jeszcze około pięćdziesiąt talarów. Zdziwiony i zamyślony biegnie Stanisław do domu rodziców, i już na wschodach słyszy donośny głos sługi sądowego, który liczy nędzny dobytek biednej jego rodziny. Pełen przerażenia wpada do izdebki — ach jakże widok okropny! matka otoczona zgłodniałemi dziećmi siedzi z załamaniem rękoma u łóża chorego ojca, a trzy gorzkie płyną po zapadłych jej policzkach.

Stanisław stoi nieruchomie we drzwiach, nie mogąc ani jednego słowa przemówić. Nawet w sercu sądowego sługi przywykłego do takich scen bolesnych budzi się litość; zbliża się do Stanisława i szepcze z cicha:

Idzie tutaj tylko o czterdzieści talarów. Czy nie mógłbyś pan dopomóc?

Młodzieniec bólem przejęty smutnie potrząsa głową; nie może ani jednego przemówić słowa, a w duszy budzi się jakaś myśl szczególna; natężyło ją niebo, czyli też piekło? — Mam przecież jeszcze pięćdziesiąt talarów — czyż nie jest to zarządzenie miłosiernego Boga, który w ciężkiej niedoli chce nam dopomóc? Pięćdziesiąt talarów, jest to drobność dla bogatego pana Kuehnemanna — nigdy się nie dowie, on taki niebdały w swych interesach pieniężnych; — zimny dreszcz przejmie młodzieńca; już chce usta otworzyć i zawołać: Oto są pieniądze, wy-sprzedajacy i kupujący, nastąpcie natychmiast z ubogiej izdebki mych biednych rodziców!

„(Ciąg dalszy)”

Rozwiązanie zagadki z nr. 9.

Skrzypki.

Bagadka.

Wiele szyb potrzeba do całego ofna?

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej”

Ar. 11.

Gł., na niedzielę dnia 14 marca.

1897.

Druga niedziela postna.

List św. Pawła 1. do Tessaloniczów 4, 1—8.

Z upadkiem pierwszego człowieka rozpoczyna się i historia upadków rodzaju ludzkiego — a w tej historii jakby jedno tło, jedna główna barwa wszędzie ważne miejsce zajmuje żądza. Z obudzeniem się w sercach naszych pierwszych rodziców tego szatańskiego uczucia, kusiciel te serca opanował. Mieli wszystko, na każdym kroku, na każdej pędzi błogosławionego raju napotykali ślady miłości Stwórcy, dobroć i miłość Jego zlały na nich dary ziemskie jak najobficiej — lecz szatan rzekł do niewiasty: możesz być równą Bogu — i szczęście raju zniknęło z przed jej oczu, niezadowolona zapragnęła czegoś więcej, zapragnęła właśnie tego, co jej było wzbronione. To pragnienie, ta pożądliwość, ta chęć łaknąca, nigdy nie syta, sięgająca zawsze po to, czego nie mamy, po osiągnięciu gardząca przedmiotem nabytym — jest jarem, które gniecie miliony ludzi — jest pragnieniem, które pieką serca — napawa je męką; jest ogniem piekła, który gorze w piersi ludzkiej, prowadzi do zguby duszy, do zbrodni i występku, do czynów kainowych i judaszowych. To pragnienie, ta pożądliwość jest jak kameleon, mieni się w kolorach tęczy, przeinacza, objawia w tysiącach postaciach, — w tem jedna i jednaka — że zawsze przed sądem Bożym pociąga za sobą potępienie. O jednym objawieniu takim, jednym a przecież podwójnem, mówi apostoł w liście dzisiejszym — słowa tego listu rozważmy, aby się z nich nauczyć:

Je Bóg powołał nas, nie ku nieczystości, ale ku poświęceniu.

Apostoł przypomina Tessaloniczkom, iż poprzednio już nawiązywał i uczył ich, jak postępować mają, aby się przypodobali Bogu — zwraca uwagę ich przy tem na to, iż co mówił, czego uczył, w czem ostrzegał — nie czynił tego z własnej myśli, z własnej mądrości, ale z rozkazu danego przez Pana Jezusa, danego w objawionem słowie Bożem. To odwoływanie się apostoła do Jezusa jest ważne z dwóch przyczyn, raz, że wykazuje wielkość ubiżać się mających przestróg, drugi raz, iż kładzie tamę wszelkim użaleniom się i obrazom ostrzeżonych, gdyż apostoł przemawia nie jako sługa ludzki, lecz jako powołany sługa Boży.

Przypominając to Tessaloniczkom zwraca się do głównego przedmiotu, to jest, powiada im, że wola Boga jest poświęcenie wasze, a zatem winniście się powściągać od wszeteczności, wola Jego jest poświęcenie wasze, a więc nie powinniście się dopuszczać oszukaństwa i uciśku. Pożądliwości przeto cielesne i oszukaństwa były panujące w onym zborze, do którego się apostoł odzywa. Tessalonice było wielkie miasto, wrzasa w niem zabawa, rozrywki i uciśki. Draz było to miasto handlowe, zgromadzające w sobie zyski i bogactwa. Jako zazwyczaj w wielkiem mieście, rozwieliżoność się i tutaj nadewszystko grzechy wszeteczności i cielesnej sromoty. Grzechów tych dopuszczał się także zbor chrześcijański w Tessalonice, bo jeszcze pogańskie zwyczaje nad nim panowały. Moc zwyczajów, moc wyobrażeń i uprzedzeń jest wielka, lecz od tej mocy silniejszą być powinna w nas moc Chrystusa.

Powiecie może, lecz słowa listu, przynajmniej dotyczące pożądliwości, nie dotyczą nas, a przynajmniej mało kogo. Powiecie może, zresztą czy gdzie się o podobnym przedmiocie mówić? Może zechcecie być cenzorami Pisma, może byście chcieli miejsca podobne jak wierzą trzeci listu dzisiejszego i bardzo wiele w tym rodzaju znajdujących się w Starym i Nowym Testamencie wykreślić, usunąć. O, wykreście je z serc waszych a nie będą razie uszu. Bł. myśli, pożądliwości, wychodzą z serca, tam je zniszcz, tam je wymaż, tam niech będzie skromność a razie nie będą. Zresztą dla czego i żąd ten fałszywy wstyd? Dla czego i żąd? Zapytaj, dla czego za dotknięciem rany chorej porusza się i jęczy! Grzech pożądliwości plugawo spojem ubogie i bogactwo, całe rodziny, i całe narody i rzuca tysiące ludzi w nie-dolę szatanowi. Gdzie niema wstydli i skromności, gdzie pożądliwość cielesna objawia się, w słowach i uczynkach, w zwyczajach i ubiorach, tam przestano służyć Bogu, tam zdeptano przykazania Boskie, tam wyparto się Jezusa Chrystusa.

O niech każdy z nas spojrzę w serce swoje, niech każdy roztrząśnie swe myśli, a niemal każdy będzie się musiał uderzyć w pierś i rzec: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, tem bardziej, jeżeli sobie przypomni słowa Pisma świętego, że ciało nasze ma być mieszkaniem Ducha świętego. Zniwierzając je, niewładając niem w

świętobliwości i uczciwości, znieważamy Boga i zasługujemy na wieczne potępienie.

Gdzie pożądliwość ciała, tam i uciśki i oszu-
faństwo, tam nie szukaj prawych rzemieślników,
rzetelnych kupców i urzędników, nie szukaj ludzi,
którzyby na widok złota nie byli gotowi sprzedać
własnego sumienia. Bo kto ciało plugawi, kto
jego żądzą nieczystą dogadza — jakże ten ma
się oprzeć chciwości? Wszeteczność, zbytek, roz-
pusta, potrzebują środków, bo w ogóle wszystko,
co w świecie się znajduje, nie może być nabyte
darmo — trzeba pieniędzy, trzeba tych posłanni-
ków ksiąg i ciemności. Żądź chęć nieprawych
zysków, żądź oszukaństwa, które powszechnie nazy-
wa się tylko zarobkiem. Żądź wzdzieranie sobie
majątków, chęć posiadania co największych dostat-
ków, chęć nabycia ich za jakąkolwiek cenę, chęć
zbudowania tu na ziemi raju, w którym by mo-
żna nic nie robić, wszystko mieć, niczego nie po-
trzebować od Boga, wszystko mieć w sobie, dogad-
zać swoim namiętnościom, a jednak być cnotli-
wym.

O ile bracia moi ulegacie temu grzechowi, o
ile z pożądliwością ciała jest w was złączona po-
żądliwość nabycia złota i dóbr, roztrząsajcie
sumienie, roztrząsajcie, bo i wszetecznik, jakim-
kolwiek on jest, czy jawny, czy skryty, czy uczyn-
kowy czy słowny, i oszukający, czy dozwolnym czy
nie dozwolnym sposobem — jest, będzie i musi
być potępiony, zatracony i zagładzony na wieki.
Nie sądźcie, że Bóg nie będzie tak srogo karał
uśmierzności temperamentu, ciała, czasu i wychowa-
nia, — pamiętajcie co apostoł powiada: Kto to
odrzuca, ten nie odrzuca człowieka, ale Boga, który
nam też dał Ducha swego świętego. Nie odrzu-
cajcie więc słów tych.

Niech ciało wasze będzie czyste, niech chęć
zysków nie pobudza was do szukania nieprawych
zysków — a dopniecie tego tylko wtenczas, gdy
jednego szukacie, a jedno prosicie będziecie, o to je-
dno, co na każdej drodze jest potrzebne, to jest o
wiarę w Chrystusa. Bo wszelkie upomnienia ze-
wnętrzne, wszelkie pochwały, cnoty i piękności oby-
czajów nie nie pomagają — żądza jest silniejszą
od morałów — uwierzcie, że Chrystus Bóg mie-
szkał jako człowiek w ciele waszem, że Chrystus
dla zbawienia ciała tego umarł, a nie będziecie go
plugawić, nie dozwolicie nieczystym żądzą i my-
ślom mieszać w tem ciele i sercu. Uwierzcie, że
Chrystus okupił was krwią swoją, że ją wydał za
was wszystkich, że zapłacił za was nie złotem ani
srebrem, ale swoją świętą, drogą krwią, tudzież
niewinną męką i śmiercią swoją, i że tą śmiercią
swoją połączył was w jedno, w jedno święte chrze-
ścianstwo — a nie będziecie oszukiwać i uciśkać,
bo miłość Błagomy nauczyciel was miłości bliźnich,
braci waszych. Tak najmilsi! Postępujcie tak,
abyście się nie przypodobali ciału i z pożądliwo-
ściom waszym, poznajcie wasze grzechy, pokutujcie
— a zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, Bóg
wybawi was, wybawi teraz i na wieki, wybawi z
pod władzy grzechu i świata i nie będzie nawie-
dzał na was grzechów ojców waszych. Amen.

Czerpcie tylko.

Tak temu filka, okręt kupiecki, płynący do
Brazylji, spostrzegł statek, dający sygnały, że się
w niebezpieczeństwie znajduje. Na szczycie ma-
sztów powiewała flaga, którą zwykłe w razie nie-
bezpieczeństwa wywieszają, a strzały armatnie co
chwila słyszeć się dawały. Statek ów wszakże nie
mógł być burzą miotany, ani nie utkwiał na rafie
podwodnej, bo wybrzeża jeszcze widać nie było,
a słońce zwrotnikowe ciskało palące promienie na
gładką i spokojną powierzchnię morza. Zaskolwiek
więc zrozumieć nie mógł przyczynę tych sygnałów,
kapitan okrętu kupieckiego pośpieszył odpowiedzieć
na przesłane mu wezwanie, i zbliżywszy się na
odległość głosu, spytał załogi statku, co jest przy-
czyną alarmu. — „Wody już nie mamy — odpo-
wiedziano — umieramy z pragnienia.“ — „Tylko
to? — odrzucił kapitan — czerpcie tylko tuż
obok okrętu, jesteście u ujścia Amazonki.“

Amazonka jest największą na świecie rzeką.
Wypływając z wysokich gór Peruwii, nieopodal od
wybrzeża Oceanu Spokojnego, przepływa Amerykę
Południową tam, gdzie ma ona największą szerokość,
i niesie do Atlantyku ogromną masę swoich
wód, zwiększoną dopływem filki rzek, którym ró-
wnych pod względem wielkości niema w całej Eu-
ropie. W tej środkowej tętnicy Nowego Świata
wszystko kolosalne jest rozmiarów: od samego
źródła, — licząc w to wszystkie jej zakręty na
równinach Brazylji, aż do ujścia. Amazonka ma
długości nie mniej jak 1400 mil. Często na milę
szeroka, jest tak głęboka, że w niejednym miejscu
sonda 300-stopowa nie może dna jej dosięgnąć.
Wartkie to może oblewa najżyźniejsze w świecie
okolicę. Bujna roślinność rozwijająca się na wy-
brzeżach pod zjednoczonym działaniem wilgoci i
zwrotnikowego gorąca przechodzi wszystko, co wyo-
brażnia nasza pojęć zdolność. Rzeki toczy swe fale
przez nieskończone lasy dziewicze, stojące nad brze-
ganiami ścianą pni, zwartych jak kłosa, a prostych
jak kolumny. Wpłynawszy w któryś z kanałów,
okrążających liczne wysepki na rzece rozrzucone,
nierzadko pochylające się nad wodą najróżnorodniej-
sze drzewa, okryte bujnym liściem, lub kołyszące
nad falami kwieciste wieńce lian. Wzdłuż brzo-
wisk wszystkich tych pni drzewnych pną się, czepiają,
okręcając najrozmaitsze i najzadsze rośliny. Pod
tem olbrzymim sklepieniem zieleni rozpościerają
się wszystkie przepychy przyrody, i patrząc na nie,
wzruszony widz pojmuje ten naiwny wykrzyknik
Indyanina, który służąc Humboldtowi za przewo-
dnika wpośród tej puszczy, mówił mu: „U nas jak
w raju!“

Skapawszy w swoich falach rozległe równiny
Brazylji, majestatyczna rzeka rzuca się do Oceanu
ujściem zajmującym całą przestrzeń pomiędzy dwoma
przylądkiem, obległymi jeden od drugiego bli-
sko na mil 75. Taka jest siła prądu porywają-
cego płynną tę masę, że w porze deszczów, Ama-
zonka toczy swój bieg wśród fal Oceanu, przynaj-
mniej na jakie dwieście mil od brzegu, nie łącząc
zielonkawych wód swoich ze słoną wodą morską.
Żądź wynika, że okręt płynący do Brazylji może

żeglować po słodkiej wodzie Amazonki na blugo przedtem, nim ziemię spostrzeże, i w takim właśnie położeniu znajdował się wyżej wzmiankowany statek. Płynął on Atlantyką nie mając już ani tropelki wody do picia zdanej.

Żdziwne położenie tych żeglarzy, umierających z pragnienia na niewyczerpanem morzu wody słodkiej, czyż nie przypomina nam położenie wielu, z imienia tylko chrześcian, którzy także, i to od dawna może, żeglują po wzburzonym oceanie świata, jęcząc nad gorącą unoszącą ich falą, zamiast czerpać zbawienną wodę łaski, do której dostępu Bóg im udzielił. Jak przebywający puszcze Izraelici, nie znaleźli ani w Maru żywej wody bieżącej, której się nadzieją cieszyli, lecz słonawą i zdrowiu szkodliwą wodę. Co chwila podnoszą oni okrzyk na trwogę i nieustannie powtarzają, że świat ten zepsuty nie odpowiada ich potrzebom. Podróżni to są w ucisku i obawie, którzy chętnieby z zagłogą naszego statku powtórzyli: „Umieramy z pragnienia.“

Wielu także znajdzie się strapiionych, których dusza cierpieniem jest zgnębiona. Stracili oni może przyjaciela, który droższym im był nad życie; starbem był dla nich i radością, i w rozpacz swojej wszelkiej pociechy odmawiając. W sercu ich zrobiła się próżnia niczem niezapełniona; doznają potrzeby miłości, a nie znajdują na ziemi nic, co by temu pragnieniu zaspokoić doświadczyć mogło. Gryzota, która ich trawi, wszystko goręczą im zaprawia, całe ich życie zatruwa. Stali się pastwą smutku, który śmierć radzi; dusza w nich usycha, i mdleje w braku prawdziwego dobra. Oni także zawołaliby mogli: „Umieramy z pragnienia.“

Wielu nareszcie jest takich, którzy, by osiągnąć niebo, cel ziemskiej swojej wędrówki, starali się zbierać przez całe życie obfite zasoby cnót, dobrych uczynków, których doniosłość ich samych uderzać zaczyna. Długo pewnymi czuli, że odwaga swoją, dobrą wolą, panowaniem nad sobą, są w stanie sprawiedliwość Boską zadowolnić. Kilka częściowych zwycięstw nad grzechem, życie powierzchnie uczciwe, utwierdzały ich w tem złudzeniu. Z upodobaniem liczy dobre uczynki swoje, dzięki składali Bogu, że nie są takimi, jak wszyscy. Ale oto zbliża się ten podróż; znaczące symptomy, śmierci zwiastuny skłoniły ich do wniknięcia w samych siebie i do zdania sobie na dobre sprawy z istotnej w oczach Przenajświętszego Boga wartości tego życia, które się skończy niebawem. Sumienie ich się budzi i wszędzie im ukazuje pychę, próżność, samolubstwo. Zapas cnót, na których się wspierali zmniejsza się z dniem każdym; nie blugo nie mają już nic, boby ich potrzebom odpowiadało; wszystko ich sprawiedliwość zamienia się w goręć, i w urzędzeniu swoim rzucają ten okrzyk trwogi: „Dcaćcie nas, ginimy.“

I tak trawią się tysiące nieszczęśliwych, zapominając, że mają tuż obok siebie obfite źródło życia, w którym o każdej godzinie z łotwością i bez żadnego kosztu czerpać mogą.

Waska i zwycięstwo.

Wtem wzrok jego pada na otwartą biblię leżącą na łóżku ojca, i oto słowa, które czyta: „Zaden, gdy bywa kuszony, niech nie mówi: Do Boga kuszony bywam; bo Bóg nie może kuszonym być we złem, a sam nifogo nie fusi.“ (Jak. 1, 13). Stanisław wzruszony do głębi duszy biegnie na strych do małej komórki i zamknąwszy drzwi na klucz pada na kolana, wołając:

O Boże mój, o Panie mój, — przebac mi! — o mało co, żem nie został złodziejem. Dzięki, dzięki Ci za udzieloną przestrożę — o nie, nie, pieniądze te pan Ruehneman musi znowu odebrać, i to natychmiast, Ty o Boże i tak nam dopomóżesz, a jeżeli nie zechcesz, to jednak niechaj będzie część i chwata świętemu imieniu Twemu. Ale, o Panie mój, miej litość nad biednymi memi rodzicami i nad zgłodniałym rodzeństwem, dopomóż im łaskawie!

Stanisław potrzepiony na duszy powstał i zeszedł na dół, nie mogąc jednak znieść głosu sługi sąbowego, wybiegł szybko na ulicę, nie pozegnawszy się z rodziną.

Niepokojem dręczony chodzi po ulicach rozmyślając jak ma postąpić, aby uratować rodziców z ostatniej nędzy.

Małże pana Ruehmana prosić o wcześniejszą wypłatę mej pensji? albo też zwierzyć się jednemu z moich przyjaciół? Ach mój Jezu, mój Jezu najdroższy, Tyś mym jedynym, najlepszym przyjacielem; do Ciebie zwracam się o pomoc, Ty słyszysz me błagania, Ty mi dopomóżesz!

Tak rozmyślając i modląc się przybył Stanisław do domu, w którym zajmował małą izbę. Znużone jego członki potrzebowały wypoczynku; zapalił lampę i przeczytawszy jeden ustęp z Pisma Świętego, położył się do łóżka. Dnia tego nie prawie nie jadł — nie czuł jednak głodu; smutek, który go dotąd udręczał, ustąpił, a nawet w miejsce jego błoga ufnosć napełniła duszę.

Obdziedz się podziata troska, która dręczyła me serce? — mówi do siebie młody człowiek — zapewne Bóg miłosierny dopomógł mym rodzicom!

Potrzepiony tą nadzieją zasypia spokojnie i budzi się dopiero rano.

O godzinie ósmej jak zazwyczaj jest tuż przy swem biurku w kantorze pana Ruehmana. Gdy tenże zajął swe miejsce, Stanisław zbliża się do niego i podają mu poświadczone rachunki.

Dobrze — rzecze przyneypał — położy je pan na stole.

Może pan będzie łaskaw przejrzyć poświadczenia?

Kupiec bierze je do ręki i pobieżnie przejrzawszy, rzecze krótko:

Idź pan do swego zajęcia; czemuż jeszcze stoisz?

Panie Ruehneman — odpowiedział Stanisław pewnym głosem — po spłaceniu wszystkich

rachunków pozostało się jeszcze pięćdziesiąt talarów.

Dobrze — mruknął kupiec z jakimś dziwnym wyrazem twarzy i wskazał młodzieńcowi, żeby poszedł do swego zajęcia. W tejże samej chwili wszedł służący do kantoru i szepnął coś na ucho swemu panu.

Powiedz mu, że nie potrzeba, niechaj odejdzie, odpowiada pan Ruehneman.

Cale przedpołudnie upłynęło Stanisławowi przy zwykłym zajęciu, myślał jednak ciągle o swych rodzicach mając przeczuć, że Bóg im dopomógł.

W porze obiadowej wyszedł z bióra, nie dla tego żeby się pościł, bo ani grosza nie miał przy sobie, lecz chciał przejść parę ulic i zajrzeć do rodziców.

W bramie spotkał się ze służącym pana Ruehmana. Starzec przystanawszy spoglądał ze współczuciem na młodzieńca.

Janie — rzekł Stanisław — cóżecie tak tajemnie rozmawiali z panem Ruehmanem? przecież nie o mnie?

Ach, wolalbym, żeby mnie pan wcale nie pytał — odpowiadał stary sługa. — Oto te pięćdziesiąt talarów były pułapką, w którą pan miał się złapać; policyant był już zamówiony, żeby pana odprowadzić do cyrkułu. Tym razem wiedziałem, że na próżno się cieszysz.

Ciemny rumieniec oblał bladą twarz młodzieńca. Gniew i oburzenie, wstyd i wdzięczność naprzemian serce jego przejmują. Najchętniej byłby natychmiast ten dom opuścił, żeby już wcale nie powrócić. Nigdy nie byłby posądził przynajmniej swego o taką złośliwość i niegodziwe postępowanie. Jan spogląda na niego dobrodusznie i biorąc za rękę mówi:

Bardzo miżernie dzisiaj wyglądasz panie Stanisławie, chodź do mego pokoju, moja żona przyrzadziła już obiad, bądź pan naszym gościem.

Dobry, pocziwy przyjacielu — odrzekł młodzieńcy człowiek wzruszony — dziękuję ci serdecznie, ale jeść nie mogę — nie, nie mogę, Bóg mi świadkiem — muszę pójść trochę na świeże powietrze, duszę się kompletnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Bal się człowiecze Temu jedynie.

Bal się człowiecze Temu jedynie,
Co cię sam tylko zrozumieć może;
Po moim upadku, po ciężkiej winie,
Dźwignąć mnie możesz o dobry Boże.

Gdy grzesznik Ciebie błaga w pokorze,
Ty winy jego strącasz w otchłanie,
I ja pod krzyżą padam podnóże,
Odpuść mi grzechy, o dobry Panie.

Ty, coś przez straszne krzyża katusze,
Zadość uczynił za grzesznych Dcu,

I tak się kornie za nasze dusze,
Modliłeś Panie, za nas w ogróju,

O bądź miłościw grzesznej mej duszy,
Która tak wiele kosztuje Cię,
Dla której zniósłeś tyle katuszy,
I skrucą, z pokorą uprasza Cię,

Byś mię ustroił w swoje zasługi,
I swoją łaską ozdobił mię,
Skladam Ci u nóg ciężkie me długi,
W każdym ucisku użalając się.

Ośądź sam ciężkie swe przeminienia,
A Pan potępić ciebie nie będzie,
Do niego doznasz ulaskawienia,
Gdy cię sumienie oskarżać będzie.

Wyrzecz się własnej sprawiedliwości,
Tylko w Jezusie szukaj pociechy,
On ci użyczy błogich radości,
Odpuszczając ci wszystkie twe grzechy.

Nie przestawaj błagać prosić
W ranach Jego ukryj się,
On co uczynił zadość,
Przez swą dobroć zbawi cię.

Choć jeszcze w grzechy wpadam,
I tak słabym czuję się,
Jednak ufność w Tym pokładam,
Co umarł za grzechy me.

Bo im więcej cześć uznaje,
Swoje grzechy, słabość swą,
Więcej Bogu się oddaje,
I ze skrucy błaga łzą.

Temu jaśniej łaska świeci,
Większa miłość w sercu tkwi,
Ufny do Jezusa leci,
Tam mu tylko pomoc łni.

Człowiek widzi że sam z siebie,
Jest bezsilnym, a więc chce
Drugim pomoc nieść w potrzebie,
Nad każdym lituje się.

My tylko łaski błagamy,
Tylko łaską możemy żyć,
Tylko w łasce Twojej ufamy,
Wiecznie pragniemy Ciebie czcić.

Rozwiązanie zagadki z nr. 10.
Ani jednej.

Bagażka.

Co to za kościół, co nie ma drzwi a pełno
w nim ludzi?

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Nr. 12.

Cik, na niedzielę dnia 21 marca.

1897.

Trzecia niedziela postna.

List św. Pawła do Efezów, r. 5., w. 1—11.

Wielka godzina zmartwychwstania, dzień zwycięstwa nad śmiercią, święto wielkanocne, nadchodzi, a kościół, mając w pamięci wszystko to, co uczynił Zbawiciel i Odkupiciel nasz, zwraca uwagę i serca nasze na drogę, wiodącą na Golgotę. Tam wiedzie nas i napomina: naśladowajcie Tego, który miłością wieczną umiłował was, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, idźcie za Nim drogą, którą On szedł, a porzucicie ciemne manowce pożądliwości i świeckiej rozkoszy, bo tylko w Nim jest żywot i zbawienie. Wszystkie niedziele pasyjne, cała Biblia i także dzisiejsza lekcja, napominając nas, jednogłośnie wołają na nas: pokutujcie i doświadczajcie samych siebie, czy słuchacie głosu Bożego, czyście złożyli z siebie starego człowieka, czy chodzicie tak, jakoby rzeczpospolita wasza była w niebiesiach? Albowiem najmiłsi! życie nasze jest pielgrzymką; początkiem jej Bóg — i Bóg też przystąpił, do której zdążyć winniśmy. Nie jest zabawą żywot nasz, ale talentem, powierzoną nam od Najwyższego, i będziemy musieli zdawać rachunek, jakśmy talentem tym szafowali. Drogośmy odtuleni, w boleściach Jezusa Chrystusa zrodzonymi dziećmi, przyjętymi za dzieci w Chrystie świętym. Toż jako dzieci Boże winniśmy żyć i umierać i dobry bóg wiary bojować. To samo mówi też apostoł w lekcji przeczytanej. Rozważmy tedy napomnienie jego

Chodźcie jako dzieci światłości, odpowiadając na te dwa pytania; czy siedzimy w ciemnościach — i jako chodźcie mamy w światłości.

1.

Czy siedzimy w ciemnościach, — pytanie to najmiłsi! jest bardzo poważne. Przy tem pytaniu boleśnie dotykać się, głęboko trzeba ranić serce człowieka, a to rzecz niebezpieczna; trzeba przedeć powierzone błyskotki i powiedzieć słowo prawdy bez ogródki, a to razi; niweczy pytanie to obojętność z trudnością zachowywaną, i budzi oskarżający głos sumienia, a to sprawa niepokój w używaniu rozkoszy światowych. Lecz czy nie dotykać się wrzodu i nie wyrzynać go dla tego, że to choremu boleść sprawia? Czy śpiącego, gdy dom jego się pali, nie budzić dla tego, aby go nie przestraszyć? Tak też czy na ono pytanie nie da-

wać odpowiedzi, ponieważ ona tak brzmi: że wszyscy zgrzeszyli, i nie dostawa im chwaty Bożej? Tak, przyjaciele moi! jeżeli kiedy, to właśnie w tym czasie, w którym mekę Pańską rozważamy, trzeba głębiej spojrzeć w serca nasze; a jeźliby ciemności światowe oslepiły oczy wasze, to oto jakby pochodnią przyswieca wam apostoł, gdy mówi w lekcji przeczytanej: „Bądźcież tedy naśladowcami Bożymi, jako dzieci miłe.“ Tak, naśladowcami Bożymi być winniśmy. Lecz powiecie może: jesteśmy przecież na świecie, żyjemy w społeczeństwie ludzkim, więc trzeba nam czynić, co inni czynią, a radości niewiary nauka Jezusowa też nie zabrania. Jakkolwiek pięknie brzmi i sprawiedliwą być się zdaje obrona podobna, jednak jest ona lichą. „Nikt nie może bowiem dwiema panom służyć,“ a Ten, który za was umarł na krzyżu, za wszystką swą mekę, za wszystkie swe boleści nie żąda niczego, oprócz serca waszego, ale serca nierozdzielonego, serca całego. Nie możecie Bogu służyć i mamonie, — jednego miłować musicie a drugiego mieć w nienawiści, bo to wiecie, iż żaden wszechcnotnik, albo nieczysty, albo łakomca nie ma dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem. W doczesności chodźcież trzeba jako we dnie, żyć w prawdzie na świecie, ale nie dla świata, chodźcie, ustawicznie czuwać i modlić się. Albowiem którejże rzeczy nie splamił grzech, i którąż rzecz na świecie pozostawił kusićiel czystą? Oto miłość — ta miłość, którą Bóg wiał w serca nasze — którą w małżeństwie dwojga ludzi ma spajać i uszczęśliwiać — jakżeż często wyradza się w dziłą namietność, jakżeż często rzuca się na bezdroża nieczystości, jakżeż często nie obawiając się w uczynkach, jednak ziele jadłem w myślach i słowach. Cóż szlachetniejszego nad miłość rodzicielską — a jednak — jakżeż często bywa źle rozumiana i źle wykonywana. Oto uważają to za miłość ku dziecieniu, gdy dogadzają zachciankom jego; zdawają się miłować dziecię, gdy kształcą je w wszystkich sztukach i umiejętnościach, ale naukę o Bogu, modlenie się do Ojca niebieskiego, wychowanie w karności i napominaniu Pańskiem mają za rzecz podrzędną, przestarzałą i nie przynoszącą żadnego pożytku. — Cóż naturalniejszego jak troska o chleb powszedni? Jakżeż atoli mało tych, co pamiętają o słowie Pańskiem: „Nie starbcie sobie starbów na ziemi, ale w niebie, albowiem gdzie jest starb wasz, tam jest i

serce wasze." Zbierają, troszczą się, szukają, lecz tylko dóbr doczesnych — pieniądze ich jest Bogiem ich. — "Wysoko o sobie nie rozumiecie, nie bądźcie chciwy próżnej chwały, niechaj nie będą rianowane między wami błazeńskie mowy i żarty, które nie przystoją, niechaj was nikt nie zwodzi próżnemi mowami, albowiem dla tych rzeczy przychodzi gniew Boży na syny uporne, nie bądźcież tedy uczestnikami ich." A jednak biegają i gonią za marną chwałą, nie zważając na sposoby nabycia jej — tylko wielkim, ubóstwianym, podziwianym i czczonym być od wszystkich chce się człowiekowi. A choć przy tem cierpi sumienie i szkoduje dusza, to mówią, że nie można zważać na duszę i sumienie, ani sobie czynić zbytecznych skrupułów. Albo gdy znajdziesz się w szumnym towarzystwie, to trzeba się czemś przyczynić do powszechnej zabawy, trzeba coś powiedzieć, trzeba światłością swoją błyszczyć przed ludźmi, a choć przytem rzeknie się niejedno niepotrzebne słowo i błazeńska mowa, choć imię Jezusowe łżone bywa, jednak trzeba wraz z innymi gadać i żartować, bo inaczej za pobożnisia cię ufrzyczą. Może myślicie, że trzeba zastosować się do ludzi, gdyż nie można zapominać, żeśmy tylko ludźmi ułomnemi, a nie aniołami. Zaprawdę, zaprawdę, o tem pamiętać należy, że właśnie dla słabości naszej unikać musimy siębł kusić. Musimy wyznać, żeśmy tylko biedni grzesznicy, synowie zgubieni i córki zgubione, jesteśmy oni ślepi i głusi, co siedzą na drodze żywota. Pamiętajcie, że można publicznie unikać wszystkich grzechów, które apostoł w lekcyi wzmiąnuje, a jednak w sercu je chować i pielegnować i należeć do tych, co uczynki ciemności miłują. Jeżeliśmy tego jeszcze nie poznali, i nie uczuli boleści i przyczyny skazania serca naszego, jeżeli nie wierzymy jeszcze, że szczerą prawdą jest słowo Pańskie, które mówi, że myśł serca człowieka zła jest od młodości jego, to trzeba o nas powiedzieć, że nie tylko byliśmy niegdys, ale jeszcze jesteśmy ciemnością. Tak, najmilsi! ciemna łaska obojętności i faryzeuszońskiej zarozumiałości zdarta być musi z oczu naszych, choćby boleść to sprawiła, zdarta być musi, choćby bogato ubrani i przystrojeni panowie zamienić się musieli na żebraków, musi to nastąpić, inaczej bowiem nie mamy zbawienia w królestwie Chrystusowem i Bogiem i nie możemy chodzić w światłości. — Przejdźmy tedy do pytania drugiego:

2.

Jako w światłości chodzić mamy?

Aby wiedzieć to, trzeba przedewszystkiem poznać Tego, który jest światłością i prawdą. Cóż On uczynił? Oto z miłości ku nam — tak zwiastuje apostoł — Chrystus wydał samego siebie na ofiarę i na zabicie Boga ku wdzięcznej wonności. Przyjmijcie najmilsi! do niebieskie zwiastowanie, otwórzcie mu serce i rozum wasz, bo jest to wielkie, jest to Boskie zwiastowanie. Syn Boży, Ten, który ziemię i niebo stworzył, Ten, pod którego nogami błyszczą słońce i gwiazdy, który siedzi na tronie Ojca, przyjmuje niewolniczą postać człowieka, leży w żłobie w Betleemie, cichy i spokojny, otoczony pasterzami ubogimi, ro-

śnie w mądrości łasce u Boga i u ludzi, przyjmuje Chrystem nad Jordanem, naucza jako moc mający, czyni cuda, płacze nad ociężonym grzechem a jednak niepokutnym ludem w Jeruzalemie, walczący w modlitwie w Getsemane, bywa pojmany, biczowany, oplwany, niesie krzyż, nosi koronę cierpiową, i On, król chwały, On, Pan nieba i ziemi, umiera pomiędzy dwoma zbójcami na krzyżu! Dla czego zaś stało się wszystko to? Oto aby nas najmilsi! nas, cośmy w Chrście świętym imię Jego otrzymali, aby nas i nawet ludzkość całą odkupić od mocy szatana, grzechu i śmierci, aby nas, cośmy z winy człowieka raj utracili, znowu przywrócić do raju. Chcelymi tedy znowu osiąść ten sad niebieski, w Jego ślady wstępować, Tego naśladować winniśmy, którzy za wzór nam położony jest. Lecz czy pamiętacie, czego On żąda od nas? Oto tak On mówi: "Jeżeli kto chce iść za mną, niechajże samego siebie zaprze, a weźmie krzyż swój, i naśladuje mię." Tak, Najmilsi! poświęcić muszę, co mówi jeden z wiernych świadków Jezusowych: "Bonażną sprawą jest Chrześcijaństwo prawdziwe: mało ich jest, co je zna, a jeszcze mniej tych, co je ma. Więcej trzeba być prawdziwym Chrześcianinem, aniżeli poddać rozum w postuszeństwo słowa Bożego, więcej aniżeli naukowo trzymać się wiary ojców, więcej aniżeli pilnować uczciwego, kościelnego, cichego żywota. Droga jest wązka. Nawrócenie jest dwójakie, fałszywe i prawdziwe; jedno ku śmierci, drugie ku żywotowi. Fałszywe jest tylko powierzcho-
wne, prawdziwe jest zupełne; fałszywe tylko łatanina, prawdziwe odnowieniem ducha i umysłu; fałszywe podobne do węża, które żrucia starą skórę, ale mimo nową błyszczącą skórę pozostaje żmija jadowitą; prawdziwe nawrócenie podobne jest do gasienicy, która umiera, lecz z śmierci powstaje jako nowe stworzenie, jako motyl w piękne skrzydła przystrojony i tołyszający się na kwiatkach światów. Nic przed Bogiem według Jego własnego świadectwa ostać się nie może, oprócz tego, co nowem stworzeniem w Chrystusie się stało, — poczęte z Ducha świętego, narodzone w żłobku ubóstwa w duchu, na cierniach smutku według Boga i pokuty." Tak na cierniach smutku i pokuty, a kto tych nie zna, kto łze syna marnotrawnego jeszcze nie płakał, kto pokuty unika, — ten może chodzić drogami cnoty światowej, lecz nie idzie jeszcze na cierniowej drodze odkupienia. Niech zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój — te słowa Pańskie są i te wykonać należy. Zaprzaj samego siebie, to znaczy, nie czyni tego, co twoja osoba chce, czego żąda miłość własna, czego życzy sobie ciało twe, — lecz czyni wolę Bożą, a wtedy jesteś dzieckiem Bożem. Lecz rzekniecie może, jakżeż to ciężko człowiekowi tak zaprzecz samego siebie. Nie jest to lekko, lecz pamiętaj, czy był lekki krzyż, który Zbawiciel nosił? A tybys go nosić nie chciał? Czy skódką była Jego śmierć — a ty nie chcesz umrzeć dla świata, aby z Chrystusem zmartwychwstać? Ciężko? tak trudno jest być prawdziwym Chrześcianinem. Wązka jest droga, wiodąca do żywota, lecz czy nie mamy stanąć na niej? Jest jeszcze inna droga.

Czy na tę udać się chcecie? Jest ona wygodniejsza, i wesoła na niej, chodzą tam ubodzy i bogaci, w łachmanach i w drogich płótnach i jedwabiach, bez żalości i troski, wśród śmiechu i żartów, — a droga ta jest szeroka i brama przestronna, a wie-dzie na potępienie.

Potępienie! Wyraz, co razi świątynie ucho, a jednak nie jest to wyraz tylko, lecz rzeczywistość, rzeczywistość miła, która wiecznie trwa. Krótka tedy radość bezbożnych, znikoma jest chwala grzesznika, ale nagroda jego — wtedy gdy życie ziemskie kończy się — rozpoczyna się jako inne, jako wieczne życie kary. Nawróć się tedy, co siedzisz w radzie niepobożnych i mieszkasz w dolinie ciemności, — nawróć się, póki jeszcze czas. Najmilsi! pamiętajmy, że chodzić mamy jako dziatki światłości, a to tylko wtedy jest możliwym, gdy mamy wiarę, lecz nie przez nas urobioną wedle własnego widzimisie, ale wiarę, którą zwiastuje Biblia, Pismo święte, które Jezus Chrystus krwią swoją zapieczętował. Przyjmijcie Jezusa Chrystusa, lecz nie onego bohatera cnoty, nie onego wielkiego człowieka, ale Jezusa, Syna Bożego, który przyszedł szukać owieczki zgubione, Zbawiciela grzeszników. Do Niego idźcie, bo oblubienica i biskupa waszych dusz, nie odziani w szatę własnej sprawiedliwości, samochwalstwa i pychy, lecz jako ubodzy, znęcani, zgubieni, trędem rażeni grzesznicy, a przyjmie was w łasce swojej i rzeknie wam: odpuszczone są grzechy wasze; a wtedy i tylko wtedy chodzicie w światłości. Lecz światłość tę, wielki dar ten, jakóż przyjąć? Kupić go nie można, bo Chrystus owszem nas kupił, wymową ani gwałtem wziąć go nie można, — wyprosić, wy-błagać, wyzbrać go trzeba. Tak, przyjaciele moi, z łaski, tylko z łaski zbawionym być można. Aby zaś łaska ta dostała się nam, trzeba byśmy grzechy swe poznali, i w Jezusie Chrystusie łaski szukali. Taka jest nauka naszego kościoła ewangelicznego. Nie porzucajcie jej, bo jest perłą kosztowną. Nie zapominajcie jej wy chrześcijanie ewangeliczni, bo wielkie rzeczy powierzył wam Bóg, naukę, która rdzeń i fundament swój w Biblii ma. Trzymajcie mocno, co macie, nie bądźcie obojętnymi względem starbu waszego. Wielki skarb dany wam, wielka też jest wasza odpowiedzialność przed Tym, który siedzi na prawicy Dja. Zbierzcie Jezusowi, chodź w światłości, aby nie rzeczo-no kiedyś o tobie, jako o zborze laodyceńskim: bo-dajżeś był zimny, albo gorący. A tak jednak po-nieważes letni, a ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich. Najmilsi! weźmy do serca sto-wa lekcyi dzisiejszej. Zaffolwiek obey u was, lecz jako sługa Pana naszego, jako domownik wiary, wołam na was: nie chodźcie w ciemności, ale w światłości, aby nie rzeczo-no o was w dzień sądu: Zważonyś, zważony, a znaleziony lekki i odrzuco-ny. Amen.

Walka i zwycięstwo.

Z podawszy starcowi uprzejmie rękę, wybiegł na ulicę.

Dla czego niektórzy bogaci ludzie takie złe

mają wyobrażenie o biednych? — myślał mło-dzieniec ze smutkiem — dla czego zastawiają na nas sidła, aby omotać biedną duszę i unieszczęśliwić docześnie i wicznie? Dla czego pchają do zguby zamiast nam, przed którymi wszystkie drzwi są zamknięte, podać rękę pomocną?

Takie oto myśli ranią dotkliwie serce Sta-nisława. Czyż nie ma nikogo koby zlitował się nad nieszczęśliwym? Dla czego więzienia i domy oblężanych są tak przepełnione? Gdy się nad tem zastanowimy, dojdziemy do przeżenania, że często, niestety, brak miłości bliźniego jest przy-czyną zepsucia i niedoli ludzkiej.

O Panie, o Boże mój, wesprzyj mię Twoją potężną prawicą, aby nie zawąpiła dusza moja! — woła nieszczęśliwy — o Jezus Chryste, jedyny, najlepszy przyjacielu, ulituj się nad nami, weź nas w Twoją opiekę!

I oto Pan w istocie ulitował się nad ciężką niedolą młodzieńca, wszystko zmieniając ku dobremu.

Bankier Skalski człowiek w podeszłym już wieku, któremu Stanisław na samym końcu za-placił rachunek, siedział zadumany przed swym biurkiem; oświadczył nim dziwny jaskis niepokój, a wybladła twarz młodzieńca stała mu ciagle przed oczyma.

Albo wielkim znajduje się kłopot — mó-wił do siebie starzec — lub knuje coś złego!

Przejęty współczuciem dla nieznanego, za-myśla się w swym gabinecie i modli się za niego z głębi serca: „Panie, strzeż go od grzechu, u-chroń od rozpacz, dopomóż mu łaskawie!”

W parę godzin potem znajdujemy go w po-foju żony, siedzącego wygodnie przed kominkiem z cygarem w ręku.

Jesteś taki dzisiaj zamysłony i milczący, cóż ci to mój mężu? — zapytuje troskliwie żona.

Nic mi nie jest chwala Bogu, ale, rzecz dziwna, ciagle stoi mi przed oczyma ów młody człowiek, który dzisiaj był u mnie z wypłatą ra-chunku firmy Ruehneman. Nie mogę zapomnąć jego bolesnego wejrzenia; był to młodzieniec pełen szlachetnego obojętęcia. Żałuję bardzo, że go nie zapytał o jego stosunki.

Możesz bardzo łatwo dowiedzieć się kto on jest, kochany mężu.

Własną stuszną, jutro zaciągnę o nim bliż-szych wiadomości.

Bo chwili bankier wstaje.

Nie, moja droga — rzecze — nie mogę cze-fać do jutra; jeszcze dzisiaj muszę się coś bliż-szego o nim dowiedzieć. Do widzenia, wróćcie będe z powrotem.

Z zarzuciwszy płaszcz na ramiona pan Skal-ski szybko wyszedł z domu. Wróćcie dowiedzia-wszy się kim jest ów młody człowiek i gdzie miesz-ka, pośpiesznie udał się do rodziców, gdyż powie-dziano mu, że w wielkiej znajdują się nędzę. Właśnie licytowano hotel, stary zabytły rodzinny z lepszych jeszcze czasów, a płacz kobiety i dzieci łączył się bolesnie z uderzeniami młotka auty-orytatora.

Moi ludzie — pyta pan Skalski, którego postać olbrzymia otulona płaszczem futrzanym iście królewski miała wygląd — o jakąż tu sumę idzie?

Proszę pana — odpowiedział sługa sądowy — idzie tutaj o czterdzieści talarów należnych za forniture, których ci biedni ludzie zapłacić nie mogą, a o które koniecznie dopomina się właściciel domu.

Co, tylko czterdzieści talarów, nie więcej? i dla takiej to bagateli niepokoi się biedną rodzinę? O to są pieniądze — mówi dalej pan Skalski kładąc pięćdziesiąt talarów na stół. — A teraz moi ludzie bądźcie tak dobrzy i opuśćcie to mieszkanie.

Radosne zadziwienie maluje się na twarzach wszystkich obecnych. W parę minut potem w izdebce pozostała się tylko rodzina i nasz zacny bankier. Chory ojciec, przy którego łóżku usiadł pan Skalski, chciał dziękować swemu dobroczyńcy, lecz nie był w stanie ani jednego przemówić słowa. Kobietą zbliża się, aby wyrazić mu swą wdzięczność, lecz starzec szlachetny przerywa jej, mówiąc:

Cicho, cicho, nie ma za co dziękować, przede wszystkim trzeba pomyśleć jak wam dopomóż na przyszłość. Potrzebujecie teraz chleba, pieniędzy i doktora; wkrótce wszystko mieć będziecie, zaufajcie tylko Bogu, który chce wam dopomóc. A teraz bawajcie zdrowi, spijcie spokojnie, Pan ma was w Swojej opiece.

I mówiąc to pan Skalski pożegnał się ze wszystkimi i pośpiesznie izdebkę opuścił. W godzinę potem służący jego przyniósł pełen koszyk żywności, a dla chorego ojca poduszkę i ciepłą wełnianą kołdrę. Niezadługo przyszedł również doktor, który żadnej nie zapisał recepty, polecił tylko choremu dawać wino, dobrze go odżywiać, starać się to, żeby miał spokój. Dwa pierwsze polecenia doktora łatwo było wykonać dzięki zacnemu dobroczyńcy, który rodzinie na pierwsze potrzeby dość znaczną pozostawił sumę; pożądany spokój chory również wkrótce odzyskał.

Noc, która nadeszła po owym dniu tak pamiętnym, była dla ubogiej rodziny obfitą w błogosławieństwo. Lody bowiem przełamane zostały, a serca dotąd zimne zagrzały się miłością ku Bogu, który w tak cudowny sposób okazał im łaskę Swoją.

O miłosierny Zbawicielu — dziękujemy Ci z głębi duszy — ufamy Ci niezachwianie, wstydzimy się naszej niewiary i miłujemy Cię sercem całym; Panie, błogosław nam! — modlili się uszczęśliwieni biedacy zamykając powieki do snu spokojnego.

Pan Skalski pragnąc zobaczyć się jeszcze dnia tego ze Stanisławem, przeszedł parę ulic w nadziei, że może spotka się z nim przypadkiem; jednak szukał go na próżno.

Jutro zobaczę się z nim — rzekł wreszcie do siebie i z radosnem uczuciem w duszy do domu powrócił.

Następnego dnia około południa udał się w stronę mieszkania pana Ruehnemana, mając nadzieję, że się spotka ze Stanisławem. Gdy tenże w smutnych pogrążony myślach jakby śpiący podążał ulicą, uczuł nagle, że go ktoś silną ręką chwycił za ramię. Obejrzał się zadziwiony i ujrzał przed sobą zacnego bankiera, który nań żywym spojrzał okiem.

Gdzież to tak szybko, młody przyjacielu? Czy jesteś już pan po obiedzie? Jeżeli jeszcze nie, to proszę bardzo, bądź moim gościem.

Uprzejmie dziękuje łaskawemu panu — odparł zmieszany Stanisław — chciałem się tylko cofnąć przejsć.

Nie odmawiaj mi pan, proszę bardzo. Pójdziemy uia obiad do hotelu „Pod orłem.“

Zanim Stanisław mógł się zastanowić, siedział już z panem Skalskim w małym gabinecie przy osobnym stoliku, na którym stopniowo kelner postawił smaczne potrawy i doskonałe napoje. Podczas gdy znużone jego ciało posilało się dobrym darem Bożym, duszy jego również podano pokarm potrzepiający. Nie jako obcy, lecz jak ojciec rodziny, odezwał się zacny starzec do młodego człowieka.

Zdaje mi się, mój młody przyjacielu, że nie jesteś zadowolony z obecnego twego położenia?

Bolesny wyraz odbił się na twarzy Stanisława.

Proponuje panu miejsce w moim kantorze z podwójną płacą — rzekł pan Skalski zrozumiałym młodzińca — możesz je objąć natychmiast. Znam osobiście pańskiego pryncypała, zatem sam z nim się rozmówię, a pan nie będziesz już potrzebował przestępować progu domu, w którym tak niegodnie z tobą postępowano.

Stanisław zmieszany, zachwycony, uściśnął z wdzięcznością ojcowską rękę swego dobroczyńcy.

Cóż lepszego mogłoby mi się wydarzyć nad to, że mogę usługi moje ofiarować tak zacnemu człowiekowi!

Więcej nie mógł wypowiedzieć słowami do głębi serca wzruszony młodzieniec. Wdzięczność i uwielbienie przepełniało jego duszę.

Do tego dnia Stanisław objął miejsce w kantorze swego opiekuna, z którym już się nie rozłączył przez całe życie. Początkowo będąc tylko pomocnikiem, wszedł następnie w półkę z bankierem, a w końcu został jego zięciem.

Jakże mam Panu i Bogu memu odplacić za wszystkie Jego dobrodziejstwa, które na mnie zleła, — mówił nieraz z wdzięcznością, a wdzięczność ta dla Stwórcy przez całe życie pozostała w głębi jego duszy.

(K o n i e c .)

Rozwiązanie zagadki z nr. 11.
Ogórek.

Zagadka.

Rogo suknia zdoł?

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Ar. 13.

Ciś, na niedzielę dnia 4 kwietnia.

1897.

Przecie domowe Filipa Melanchtona.

„Błogosławiony wszelki, który się boi Pana, który chodzi drogami Jego. Bo prace rąk twoich pożywać będziesz, i będziesz się dobrze działo. Zona twoja będzie jako winna macica płodna po bokach domu twego, działki twoje jako latorośle oliwne około stołu twego. Oto taki będzie ubogostawiony mąż, który się boi Pana.“ Psalm 129.

Gdy rozważamy życie znanych mężów, gdy sobie przed oczyma stawiamy wielkie dzieła, które wykonali, tedy wydają się nam ci mężowie, jakby wyższymi istotami. Gdy się atoli przypatrzemy jak w domu swoim, między swoimi żyli, wtedy się przefonywamy, że byli takimi ludźmi jak my. Jest to ciekawem przypatrzeć się jak mężowie znani w pozycjach domowych się sprawowali; a gdy życie ich było przykładnem, wtedy nam takie uważanie jest miłym i budującym.

Niedawno obchodziliśmy 400-letnią pamiątkę urodzin sławnego reformatora Filipa Melanchtona, przy czemśmy sobie przypominali, ile ten mąż Boży pracował, jak wielkie zasługi około reformacji kościoła położył i jak imię jego wówczas i teraz głośne jest w całym świecie. Nie będzie więc od rzeczy, jeżeli się przypatrzemy życiu domowemu tego znakomitego męża.

Melanchton należał do tych ludzi, którzy nie mają czasu do żenienia. Przyjaciele jego życzyli sobie, żeby się ożenił, szczególnie z dwóch przyczyn: najprzód, ponieważ był słabego zdrowia i dla tego potrzebował żony, któraby go pielegnowała; powtórnie, ponieważ go chcieli w Wittenberdze zatrzymać. On pisał o tem: „Proszę mnie, żeby się żenił i żeby tem sposobem położenie moje polepszył. Gdybym wiedział, że mi to nie będzie przeszkadzać w moich pracach i studiach, tedybym się dał do tego nakłonić. Ale teraz się to nie stanie. Znałem wielu mężów młodych, którzy wiele obiecywali, ale ożeniwszy się, zostali w sprawy familijne zaplątani i zawiedli piękne nadzieje, które w nich poładano.“ Lecz przyjaciele jego nie dali się takimi rozumowaniami przekonać, a ponieważ on się ożenić nie chciał, dla tego oni

go ożenili. Czcigodny burmistrz miasta Wittenbergii, imieniem Hieronim Krapp, miał nadobną 23-letnią córkę Katarzynę, z którą Melanchtona w sierpniu 1520 r. zaręczono. Ślub młodej pary odbył się w listopadzie tego samego roku. Melanchton tego roku nigdy nie żałował. Pisał on: „Wszystkie przyczyny co do żenienia się obmyślałem i usłuchałem rady przyjaciół. Nienawidzę mizantropicznych rozumowań, według których niektórzy częściej w tym pośladają, że płcią żeńską pogardzą i od małżeństwa się odciągają. Jeżeli więc żeńska ma swoje słabości, mają je i mężczyźni.“ O swej żonie tak powiada: „Ona jest osobą, nad którą sobie lepszej od Boga wyprosić nie mogłem.“ Pewnemu przyjacielowi pisał: „Ona zasłużyła lepszemu mężowi.“ Przyjaciel Melanchtona Camerarius jej cnoty tak opisuje: „Była bardzo pobożną żoną, która męża swego serdecznie miłowała; do tego była pilną i skrzętną gospodynią, szczerą i dobroczynną w obec wszystkich, o ubogich tak dbała, że w udzielaniu darów nie tylko na swoje siły zapomniiała, ale także u innych usilnie za ubogich prosiła i za nimi się stawiła. Najwyższą nienaganną życia i obyczajów była jej właściwością i starając się ciągle o pobożność i cnotę, nic nie dbała o wykwintne ucztę i wystawne suknie.“

Dom, w którym Melanchton mieszkał, zachował się aż dotąd. Na zewnątrz nie wygląda pożądnym, ma małe okna z matami szybami, osadzonemi w ołowianych ramach. Wewnątrz było wszystko proste i skromne. W pokoju stał w kącie wielki piec kaflowy, na pośrodku wielki stół z dębowego drzewa, około stołu kilka stółków, łóżko ścian ławy i kilka skrzyń.

Melanchton pobierał rocznej płacy najprzód 200, potem 300, a nareszcie 400 złr. Względem ubogich był nadzwyczaj szczerym, ubogim studentom dał ostatni grosz, który miał w domu. Zachował się według słów Jana Chrzciciela, który powiada: „Kto ma dwie suknie, niechaj udzieli temu, co nie ma; a kto ma pokarm, niech także uczyni“ (Łuk. 3, 11.) Zdarzało się, że nie mając pieniędzy, srebrne kielichy i inne kosztowności, które w darze otrzymał, z domu wyniósł i u złotnika sprzedał, aby mógł ubogiemu udzielić. Jego więc powiedział: Raczej mi nic nie dajcie, on to przecie znowu rozda.“ Dla swej szczerobliwości miał często niedostatek. W pierwszych czterech

nie ani jednej sukni.

Porządek dzienny był w domu Melanchtona następujący: Ponieważ Melanchton miał bardzo dużo pracy, nie miał czasu długo spać, spał tylko 4—5 godzin; już o drugiej godzinie rano wstawał, zapalił lampę i szedł po cichu, żeby nikt go nie zbudził, do swego pokoju. Dwie godziny później przyszedł jego sługa Jan i przyniósł dużo listów, arkuszy z drukarni, książek i t. p. Niektórym profesorom musiał Melanchton wykładu napisać, które oni potem przed studentami czytali. O godzinie 7 rano szedł Melanchton do pokoju rodzinnego, gdzie się odbyło nabożeństwo ranne. Dom swój nazywał kościołem Bożym, w którym on był kapłanem. Sługa Jan przeczytał ustęp z Pisma św., który potem Melanchton wyłożył, po czym jeszcze zmówił modlitwę. Przy obiedzie zjawiano oprócz modlitwy stołowej Wierzę. Przed 8 godziną rano szedł Melanchton na uniwersytet. W drodze pozdrawiali go studenci i obywatele Wittenberscy z głębokim uszanowaniem. Czas od 11—12 godzin przepędził w kole swej rodziny. Tu sobie odpoczął od trudów i bojów; tu wśród dzieciątka stał się dziećciem. Pewnego razu przyszedł do Wittenbergii jakiś uczonec francuski, aby widzieć słynnego Melanchtona. Gdy go wprowadzono do pokoju, jakże dziwny obraz się mu przedstawił! Oto Melanchton siedzi przy kółku, jedną ręką kółkę, w drugiej trzyma książkę i czyta. Zapewnie sobie uczonec francuski słynnego nauczyciela Niemiec tak nie przedstawił. Pewnego razu siedział Melanchton w głębokich myślach zanurzony, przysnęłszy smutkiem nad niepokojem w kościele, mając łzy w oczach. W tem przybiegła córka jego, siadła na jego kolanach i otarła mu fartuszką łzy z oczu. To go pocieszyło. — Melanchton miał czworo dzieciąt, których imiona są: Anna, Filip, Jerzy, i Magdalena. Jerzy, chociaż bardzo utalentowany, umarł w 2 roku życia. Filip był dobroduszny, ale nie rad się uczył. Dziwna rzecz! Syn uczonego Melanchtona nie ma ochoty do nauki. Piękna i mądra córka Anna poszła w 14 roku za utalentowanego ale lekkomyślnego profesora Sabina. W małżeństwie nieszczęśliwa, umarła w 25 roku życia. Młodsza córka Magdalena poszła w 17 roku za lekarza Peucera, który był bardzo dobrym małżonkiem i zięciem. Węskich potomków Melanchtona już nie ma. Tylko potomcy jego córki Magdaleny znajdują się jeszcze dziś w Niemczech; jednym z nich jest słynny kuzyniec ks. Dr. Zimmermann w Wiedniu. — Oprócz żony i dzieci miał Melanchton w domu swoim sługę, Jana Kocha, który mu przez 34 lata wiernie służył. On był mu pomocnikiem nawet przy pracach literackich, starał się o wychowanie jego dzieci i zarządzał sprawami ekonomicznymi jego domu.

W jedzeniu był Melanchton bardzo miernym. Jego żona przysilała go do jedzenia tak, że nieraz narzekał, iż się żona jego boi, że z głodu umrze, jeżeli nie jest nasycony jak kielbasa. Żadał zwykle tylko raz na dzień. Jego ulubionymi potrawami były: Rosół, jarzyna, jaja i drobne ryby.

Nim szedł spać, co się zwykle działo o godzinie 9 wieczór, ponieważ sen przed północą uważał za najlepszy, wypił szklanę wyborowego wina, które mu przyjaciele jego z nad Renu przysłali. Czasem posłał mu także jego książkę zwierzyńny i wina.

Dużo Melanchton nie był miłośnikiem biesiady, przecie czasem gości u siebie chętnie przyjmował i tak wypełniał napomnienie ap. Piotra: „Gościnnymi bądźcie bez szemrania“ (1 Piotra 4, 9.) Jego zwykłymi gośćmi byli: Marcin Luter, profesorowie uniwersytetu Wittenberskiego, pokrewnieństwo jego żony i studenci. Takie ucztę musiał być bardzo dobrze ożywione, gdy zważywszy, że się zeszli profesorowie i studenci z różnych stron świata. Melanchton powiada, że niekiedy mówiono przy jego stole w 13 językach.

Przy stole, w gronie rodziny i przyjaciół, był Melanchton wesoły. Umiał o swych wielostronnych znajomościach opowiadać, przy czem lubił swe opowiadania powiastkami i żartami przeplatać. On powiada: „Mężowie uczciwi mają w uczciwych uczciwych upodobanie, aby znajomości odnowili, albo nowe zawiązali.“ „Jest mi to nieznośnem, jeżeli niektórzy przy stole na drugich z wyjętą patrzą uwagą, albo pokryjomu mówią, jakby szpiegowie, tylko na to czatując, żeby słowo wypowiedziane uchwycić, na złe obrócić i dalej powiedzieć mogli. Niektórzy mniemają, że przez to udowadniają wielką mądrość, ale jest to tylko brak wykształcenia.“ „Cóż jest życie bez wzajemnej wymiany myśli? Jeżeli chcecie być ludźmi, życie jak ludzie. Ireneusz opowiada, jak uprzejmą była rozmowa Jezusa z ludźmi.“ Aczkolwiek atoli Melanchton był w towarzystwie wesołym, przecie osoba jego była tak poważna i czysta, że w jego obecności nie pojawilo się żadne nieprzyстойne słowo.

Jak to w życiu rodzinnem zwykle się zdarza, że Pan Bóg krzyż i utrapienia różne dopuszcza, tak i nasz Melanchton doznał w życiu swém rodzinnem oboj radości i pociechy także wiele smętku i utrapienia. Pierwszy syn jego Filip nie był utalentowany i z powodu chorobliwości pomalutko rósł. Drugi jego syn Jerzy, pociecha i radość ojca, został mu przez śmierć odebrany w 2 roku życia. Melanchton pisze: „Nie mi nie było w życiu droższem nad tego chłopca. Ukazywały się u niego nadzwyczajne dary ducha. Jaka ranę mi ta strata zadała, tego nie mogę słowami opisać.“ Marcin Luter pisał o tym smutnym wypadku do swoich przyjaciół: „Naszemu Filipowi odebrał Pan Bóg minioną niedzielę jedno z jego dzieciąt. Możecie sobie myśleć, jak trudno nam tego męża, który ma tak kłliwe i czule serce, pocieszyć i uspokoić. On się bardzo martwi nad tą śmiercią, ponieważ jeszcze nie jest w tem wyćwiczony.

„Przyj. wudu.“

(Dokończenie nastąpi.)

Młody wędrownik.

Pewnego dnia, z wieczora, podczas srogiej zimy, żona rzemieślnika B. zbliżywszy się do okna, spostrzegła młodego człowieka, który idąc po przeciwnej stronie ulicy, wstępował od domu do domu. Człowiek ten szedł z wolna i drżał widocznie, ale bo też mroź dnia tego był nadzwyczaj silny. Dym z kominów naksztalt olbrzymich słupów wznosił się prosto w górę, mali chłopcy, ślizgający się na lodzie, chuchali w skostniałe ręce i dobiegłszy do końca ślizgawki i przystawszy na chwilę drżący z zimna przebiegli ją znów z powrotem; a kwiaty, które mroź szyby okien przyozdobił i które w południe stopniały już prawie, zakwitły znów w całej pełni.

To zapewne jakiś biedny rzemieślnik, — rzekła kobieta z widocznym współczuciem, bo sądząc z jego czystego ubrania, na coś lepszego wygląda; twarz jego nie mogę wprawdzie dojrzeć, lecz obuwie widzę mu tak lekkie, że patrząc na niego aż zimno się robi. Niechaj Bóg najwyższy strzeże każdego, od odbywania wędrowki podczas takiej srogiej zimy.

Zapewne — odparł mąż, — lecz młodzi ludzie bardzo często przez lenistwo, zuchwalstwo i złe życie dochodzą do takiej nędzy, że aż żebrac muszą; chociaż bywają i tacy, którzy są niewinni, którzy ubożeją w skutek choroby lub w skutek tego, że rzemiosło ich nie wszędzie opłaca.

To prawda, mój Boże! — zawołała żona. Kto wie jak się tam naszemu synowi na obczyźnie powodzi! Od trzech lat nie mamy żadnej od niego wiadomości, a i on także nie wie gdzie obecnie mieszkamy. Niewiedzieliśmy gdzie się znajdował i dlatego nie mogliśmy goawiadomić.

Nie kłopotuj się o to, moja droga, — odrzekł jej mąż. Niepodobna przecież było porzucić forystyn zarobek, jaki mi tu ofiarowano, i który przysłałem chętnie w nadziei, że go kiedyś z synem moim będę mógł podzielić; to też skoro zgłosi się do miejsca naszego dawniejszego zamieszkania, odnajdzie nas potem z łatwością i wszystko pójdzie dobrze. Lecz co się stało z nieznanym mi o którymś mówiłeś? nie widać go już, zapewne przeszedł na stronę po której mieszkamy. Wybierz też, moja kochana, z pomiędzy pończoch moich jedną gorszą parę i daj mu ją. Może znajdzie się znów jakiś pociągły chrześcijanin, który synowi naszemu przyjdzie kiedy z pomocą.

Kobieta z widocznym wzruszeniem zbliżyła się do szafy, a chociaż natrafiła zaraz na parę zujących już pończoch, nie wzięła jej jednak do ręki, gdyż przejęta litością dla nieszczęśliwego, wahała się nie wiedząc czy ma dać lepszą lub gorszą parę.

W tej chwili ktoś drzwi otworzył. Wtedy to kobieta, zwracając się do dziewczynny służebnej, która przy fotelworotku siedziała, rzekła:

Powiedz temu młodemu człowiekowi niech zaczeka chwilkę.

Służąca podniosła się szybko i wybiegła z pokoju, a pozostali małżonkowie usłyszeli w sieni

głosną rozmowę, której jednak zrozumieć nie mogli. Za chwilę weszła znów służąca do pokoju, niosąc w ręku kwiaty misternie wyrobione z kolorowego papieru i małe tekturowe pudełeczka.

Ach, pani moja, — rzekła, — ten człowiek wygląda tak uczciwie i przyzwoicie. Mówi, że jeszcze piętnaście mil musi iść pieszo, ażeby się dostać do rodziców swoich, których dotąd jeszcze ani razu o pomoc nie prosił; lecz teraz zmuszony jest, gdyż bwa mieszkając przeleżał w szpitalu, a ponieważ jest jeszcze bardzo osłabiony i pracować nie może, wyrabia te oto pudełka i kwiatki. Mówił, że może je kto na podarunek dla dzieci kupić, gdyż wstydzi się obbierać jałmużnę; chociaż dotychczas mało kto kupił od niego, choćby tylko przez litość nad biedakiem.

Słyszac to gospodarz domu skwapliwie wyciągnął rękę, a wybierając z pomiędzy wielu par pończoch najlepszą, zawołał:

Daj mu ją daj, droga żono, on wart tego! Trzeba mu także odegrzać resztę objadu naszego, niechaj się biedak posili i rozgrzeje.

Kiedy kobieta wyjawszy z szafy posiłek przeznaczony dla biedaka, wyszła z nim z pokoju, zaraz za drzwiami rozległ się głośny okrzyk:

Boże, toć to syn mój! — witaj mi witaj, moje drogie dziecko!

Ach, moja matko kochana!

Z zaniem gospodarz domu zdolał wydostać się z warsztatu swego, ujrzał już ukochanego syna swego i w objęciach małżonki, który wchodząc do pokoju, zawołał z radością:

Ojcie mój, drogi mój ojcie!

Klemens Boruta.

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górneg Szląska, które dotąd zachowały smą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencji, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborz, Lubliniec, Olkusz i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, Nędza pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że bosta mowa landratów, nie znajdując w swym abecable samogłoski nosowej, zastąpiła ją z półgłoską płynną i z Nędzy zrobiła Nędze. Sudowi natomiast nawet trólewsko-ziemiańska rejenera pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania Nędzy.

Naturalnie forystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszym świadectwem wiarygodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu 15 członków, najstarszym jednakże między nimi był Warzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Warzyniec, wówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wroble, a dniem kwił na siłła wrony, których

mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbił nie stało, a wrony zmagdzały, rozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleźć dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, jadł więc skwapliwie kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne boleści. Przełknięty, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem. uleczy. Chłopiec, zbudzwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chatą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my również zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczar dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się nim swoją strawą. Czasem było jadał skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiosnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowawcem suto biesiadę. Zgromadzwszy w lecie zapas forzeni, plótł on zwykle w zimie bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nade wszystko, gdy zdychać przestaly, stary rzekł do Klemensa:

No, spróbuj poszukać sobie chleba, Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swoim nowem dymkowem ubraui wyszedł, płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

A, hultaj, jesteś — zawołał rozgniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciagle leżał? Ruszaj mi w świat.

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ścianą porwał, zdmiuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potulawszy się więc za stodółkami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczar ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

Zawzięty kadu! — mrucał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zmarł gdzie? Nie przyszedłby to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorzynałem. Psy pojrą...

Pomimo że dorzynamie baranów w Rędzu musiało szeroko i ponętnie rozbrzmieć w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo

jeszcze wywiadywał się, nareszcie machnąwszy ręką, całkiem o ferlu mówić przestał. Upłynęło lat siedem. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

To i mamy napowrót Klimka.

Jakiego Klimka?

No, juści Borutę, tego, co z wami zimował. Jest tutaj?

A jaki fryc! Nie poznalibyście go. Zgodził się do pługa.

Brzost nie nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uspięte uczucia gniewu.

Dam po łbie batem, jak tu zajrzą — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad któremi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

„Morgen!“ — zawołał junako.

A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

Toc je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

Pójść stąd, żebyś go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, oplukł je i zgaszone schował do kieszeni.

Cemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędzać. Jak wilka. Przecież mam drzazgę za paznokcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

Kazali! — krzyknął stary — już ci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z nie chleba wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Barły i domcipy.

— Jakby Jasny Pan chciał — to ja mam afurat dla jasnego Pana cymes panienkę — ma 100 tyszców.

— Któż to taki?

— To panna Trzypszlyda.

— Ależ ona przecież tulawa.

— Oj waj — wielka rzecz — przecież Jasny Pan nie potrzebuje żony, żeby gonika zająców.

Rozwiązanie zagadki z nr. 12.

Tego, co umie w niej chodzić.

Bagadka.

Jle na niebie gwiazdeczek,
Tyle na ziemi dziureczek.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Nr. 14

Gł., na niedzielę dnia 11 kwietnia.

1897.

Życie domowe Filipa Melanchtona.

Módlcie się za niego, ile można, żeby go Pan pocieszył i napiszcie do niego list pocieszający. Wiecie, ile nam na tem zależy, żeby ten mąż był zdrowy i żył. My wszyscy jesteśmy z nim chorymi i smętnymi.“ Melanchton szukał w smętku swym pociechy w Słowie Bożem. Gdy biblię otworzył, wpadł mu do oczu słowa psalmu 100 w 3: „Wiedziecież, żeć Pan jest Bogiem; On uczynił nas, a nie my samych siebie, abyśmy byli ludem Jego, i owcami państwa Jego. Ten wyroł go pocieszył. Zakośmy już nadmienili, była najstarsza córka jego Anna w małżeństwie nie-szczęśliwą. Serce jego bardzo cierpiało z powodu nieszczęścia umiłowanej córki. Umarła ona w młodym wieku, w 25 roku życia. W nocy, w której z tego padółu płaczu odeszła, ukazała się ojcu swemu w śnie, jako uwielbiona w chwale niebieskiej. Czwooro dzieci, które po niej zostały, wziął Melanchton do swego domu i miał z nich taką radość, że i w wykładach swoich o nich opowiadał. Za to była młodszą córką jego Magdaleną w małżeństwie bardzo szczęśliwą z profesorem medycyny Peucerem, który należał do naj-milszych przyjaciół jego teścia. — Żona Melanchtona nie miała stałego zdrowia. Gdy na śmierć zachorowała, nie było go w domu. Nie mógł jej oczu zamknąć, gdy zasnęła w dzień 11 października 1557 r. Rektor uniwersytetu Wittenberskiego w ogłoszeniu o jej zgonie powiada, że dom jej zawsze był przytułkiem uciśnionych, jej ręka niewyczerpaną studnią ubogich. Każdodziennie modliła się słowa Psalmu 71 w 18: „Aż do starości i sędziwości nie opuszczaj mię, Boże!“ Gdy Melanchtonowi doniesiono o śmierci jego żony, podniósłszy oczy ku niebu rzekł: „Zegnaj! w krótko pójdę za tobą.“ Jeszcze krótko przed własnym swym zgonem napisał: Gdy codziennie na moich wnuków patrzę, przypominam sobie z ubolewaniem ich babkę. Ona się o całą rodzinę troszczyła, naszych wychowywała, chorych pielęgnowała, troski moje słowami pocieszającemi uśmierzała, dzieci modlić się uczyła. Dla tego wszędzie mi jej brakuje. A tak chociaż wszystkie przyczyny pocieszające zbieram, jako to: że małżonka moja w takim

wieku umarła, że się już wielu lat spodziewać nie mogła, że boleści, które od dawna cierpiała, coraz boleśniejszymi były, i że, gdybym ja był wprzód umarł, jeszcze więcej by cierpiała, przecie miłość do niej i do wnucząt, które tyle w niej utraciły, z taką gwałtownością się we mnie obudza, że pod ciężarem żalu mego prawie ulegam.“ Największą pociechą jego we wszystkim krzyżu było słowo Boże, szczególnie słowa ap. Pawła: „Jeżeli Bóg za nami, któż przeciwko nam?“ (Rzym 9, 31).

Widzieliśmy, jak pięknem było pożycie domowe naszego Melanchtona. Dbyśmy cnót jego, jakie w tym względzie okazał, naśladowali! W naszych czasach mówi się wiele o naprawie stosunków społecznych. Ta naprawa powinna się zacząć od domu, od rodziny, ponieważ rodzina jest podstawą społeczeństwa ludzkiego. Gdyby się życie rodzinne naprawiło, gdyby w każdej rodzinie zamieszkała cnota i pobożność, jak wielkie błogosławieństwo by z tego na cały naród wypłynęło!

R o n i e c.

Wielki tydzień.

Tygodniu cichy, bądź mi pozdrowiony!
Jakżeż mi myśleć tęskno, rzewno, błogo,
Jako ob jarzma śmierci uwolniony
Jestem Chrystusa skonem i krwią drogą;
Jdziesz jak śmierci święte przypomnienie.
A przecież pelen błogiego pokoju,
A miłość Boża, jako wiosny tchnienie
Cieszy nadzieją biedną duszę moją.

I jeszcze słońce wiosenne zakrywa
Twarz swoją za chmur cieniącą zasłonę,
Czasem, gdy promień te chmury przerywa
Wychodzi ono blade i stęsknione —
Ach! jeszcze święci tę straszną godzinę,
W której zaćmiło się oblicze jego,
Gdy na Golgocie za mych grzechów winę
Skonał Pan w mękach krzyża haniebnego.

Wprawdzie zakwita niejedna kwiateczek
W miejscu, gdzie słońce cieplejsze zagrzało,
Ale nieśmiało pod słaby listeczek
Chowa się jeszcze na chwileczkę małą;

Tu i tam krzewy zielenią się znów,
Lecz krzewu róży gałązki kolezyste,
Nagie — płaczą się w koronę cierniową
Na Twoje skronie, Panie Jezu Chryste!

Nie jeden ptaszek tu i tam już śpiewa
Pieśń o miłości, o kwiatkach i wiosnie,
A z pieśnią ona uczucia przybyma,
A z pieśnią ona chęć i rozkosz rośnie;
Lecz w tem się grywa cudnej pieśni watek,
I w śpiewnej pierśi słodki głos zamiera,
Bo smutno głoszą dzwony w Wielki Piątek:
Pan wszechstworzenia na krzyżu umiera!

Wprawdzie dnie dłuższe już zapowiadają,
Je blisko lato z swojną wspaniałością;
Ale się jeszcze dzień i noc równają,
Jeszcze jest ciemność we walce z światłością,
I jeszcze wieczór na ziemię zstępuje
Je świętym zmięrzchem, a więc w takiej dobie
Serce pobożniej i myśli i czuje
Przy Chrysta krzyżu i przy Chrysta grobie!

A kiedy jasny księżyc się wytoczy
Na niebo, czystą pogodą oblane,
To mi się ziemia w tej chwili uroczej
Zda być ogrodem cudnym w Gietsemane.
A gdy wiatr nocny zawieje od siola,
Wspomnę na powiew wiatru wieczornego,
Co uroczyste, by strzybkę anioła,
Wiał po nad grobem Zbawiciela mego.

A przecież — w grobach już się życie nowe
Budzi, — bo Ducha owiała je tchnienie, —
A przecie — sfery górne, zaświatowe
Drgają już cudne, dalekie harf brzmienie, —
Tam już anieli struny dzwiczne stroją,
Żeby zanućć Wielkanocne psalmy,
Zmartwychwstałemu księżycu pokoju
Gotują, niosą na przyjęcie palmy!

To też się dziecię doczekać nie może
Swej wielkanocnej sukienki różowej;
I to też wiosna na polu i w borze
Na w pogotowiu śliczny strój kwiatowy.
A więc ma duszo! z troski i żałości
Pobudź się, powstań, bądź nadziei mocnej!
I Wielkopiątkowej błysnie ci ciemności
Śliczny, wesóły ranek Wielkanocny!

R. G.

Biedny bogaty murzyn.

Fakto, zapyacie się zdziwieni, czyż można być
jednocześnie biednym i bogatym. Tak, moje ko-
chane dziateczki, murzyn, o którym wam mówić
będę, był biednym w pieniądzu i dobra ziemskie,
lecz zato bogatym w miłość i wiarę w Pana i
Zbawiciela swego. Bogatym był również jako
ojciec, ponieważ miał bogobojnego syna, którego
nie często napotkac się zdarza. Lecz bogatym był

jednocześnie i w długi, gdyż, wskutek nieszczęśli-
wych okoliczności, stracił cały swój majątek. Po-
szedł tedy dnia jednego do człowieka, któremu był
dłużny i rzekł: „Panie, nie jestem w stanie dłu-
gów mych spłacić, lecz weź mnie w zmian jako nie-
wolnika, a będę ci służył wiernie.” Ale człowiek
ten, słysząc to, rozgniewał się na murzyna i
sprzedał go wkrótce pierwszemu lepsшему handla-
rzowi niewolników, którego napotkał. Związano
nieszczęśliwego i zaprowadzono nad brzeg morza,
gdzie miał następnie wsiąść na okręt, na którym
już 600 innych murzynów leżało razem, w cia-
snej, wilgotnej i ciemnej przestrzeni. Wtedy to
biedak raz jeszcze spojrzał w niebo i rzekł: „O
Jezu, który przez miłość tu mnie przysłałeś na się
postać niewolnika, dodaj mi odwagi, ażebym i ja
również niewolę moją cierpliwie znosił.” Lecz
oto nagle, kiedy miał już na okręt siadać, przy-
biegł syn jego Jerzy, który był nieobecny, w chwili
gdy ojciec jego dom opuszczał, a rzucając mu
się z płaczem na szyję, zawołał: „Ach, ojciec mój,
dlaczegoś mnie raczej nie oddał za dług, przecież
miałeś, według ustawy naszej, prawo do tego;
pozwól mi zatem, drogi ojciec, ażebym w miejsce
ciebie wsiadł na okręt niewolniczy!” Lecz stary
ojciec potrzebował swą głowę, a ucałowawszy
swego syna, ze łzami w oczach odrzekł: „Nie,
mój synu kochany, pozwól że ja pojedę; jestem
już stary i mam nadzieję, że mnie Pan Bóg
wkrótce zamezwie do krainy wiecznej szczęśliwości
i swobody; ty zaś, moje dziecko, jesteś młody je-
szcze, pozostań zatem w domu i módl się za twe-
go rodzica.” Lecz Jerzy, nie zważając na słowa
ojca, pobił do handlarza i błagał go usilnie,
ażeby zamiast starego ojca jego na okręt swój za-
brał. Handlarz przystał z ochotą na taką zmianę,
ponieważ murzyn był piękny i silny.

Kiedy młodemu chłopcu okuto ręce w ciężkie
kajdany, raz jeszcze pozdrowił ojca, który stał nad
brzegiem, łzami zalany i wsiadł pośpiesznie na
okręt. Lecz ten, który z nieba na łzy nieszczęśli-
wego patrzył, zstał mu wkrótce swą pomoc.
Wzruszającej tej sceny, poniedział ojcem a synem,
był świadkiem pan bardzo zamożny. Jego to na-
tchnął Zbawiciel myślą pocziwą, bo zbliżywszy
się do handlarza, wyjął z kieszeni swoją złotą wy-
pełnioną i wypłacił mu znaczną sumę, którą za
niewolnika zapłacił. Następnie, zwróciwszy pro-
mieniącego Jerzego ojcu jego, zniknął pośpiesznie
w tłumie.

Odtąd sędziwy ojciec modlił się codziennie
wraz z synem za dobroczyncę swego, który za czyn
szlachetny już spełnił, zapewne w niebie nagrodę
otrzymał.

„Czcij ojca twego i matkę swoją, ażeby ci się
dobrze działo i ażebyś długo żył na ziemi”, brzmi
przykazanie, w którym się mieści obietnica Boska.

Niezbadaane są drogi Opatrzności.

U pobrzeża Ameryki stał okręt, z rozpiętym
już żaglem, mający wkrótce odплыć do Anglii.

Ropitan dał sygnał do objazdu, a w kilka minut potem olbrzymi okręt kotłował się już na falach oceanu. Chociaż nie wielu podróżnych znajdowało się na nim, czas im jednak schodził bardzo przyjemnie. Pomiedzy jadącymi, znajdowała się także młoda wdowa po oficerze angielskim, z jedynym swoim dzieciąciem, małym Williamem. Ładne to chłopię, o niebieskich oczkach i jasnych blond włosach, wijących się w naturalne pierścienie, było jedyną radością i pociechą matki, a wkrótce stało się też i ulubieńcem wszystkich podróżnych.

Młoda wdowa miała do dziecka swego piastunkę, murzynkę. Piastunka ta wyrzucała niejednokrotnie czulej matce, że zanadto przywiązana jest do swego dzieciącia i że przez to zapomina o Bogu. Pewnego dnia murzynka, zwycajam swoim, napominana znów młoda matkę, a podniosłszy w górę rękę, że tż w ofu rzekła: „Pani, ile robisz, że dziecę twe więcej kochasz nad Jezusa, nie czyni tego, bo skoro syna twego nad Bawiciela przenosisz, to On ci go wkrótce odbierze.”

Zdarzyło się, że po kilku dniach podróży okręt zatrzymać się musiał w mieście portowym, ażeby na dalszą drogę zaopatrzyć się w wodę i żywność. Wyprawiono zatem małą łódkę, dla nabrania wspomnianych rzeczy, a okręt tymczasem pozostał u portu. Prawie wszyscy podróżni znajdowali się na pokładzie, a w liczbie ich piastunka z małym Williamem. Skoro dziecę ujrzało ogromne miasto z jego pięknymi domami i wysokimi wieżami, rozliczne sklepy i masę ludzi, przechadzających się na brzegami morza, zaczęło z radości trzepotać rączkami i nóżkami i nagle — zanim piastunka spostrzeżę się zdołała, wypadło z rąk jej wspaniałe nurty morza, niżąc żywota, z przed oczu obecnych, pod piętrzącymi się balwanami. Na okręcie powstał zament i strach nie do opisania, gdyż niewiedzianno, jak sobie w nieszczęściu tem radzić. Nagle jeden z pasażerów, siedzący na drugim końcu pokładu, z księżką w ręku, słysząc rozpaczliwe krzyki, zbliżył się i zapytał: cóż to się stało takiego? „William wpadł do wody,” zawołało naraż kilkanaście głosów. Wtedy to podróżny, przywoławszy psa swego z rasy Newfoundlandkiej, zażądał aby mu dano jakąś część ubrania tonącego dzieciącia. Piastunka dała mu chusteczkę Williama, która jej w ręku pozostała, w chwili kiedy dziecę w morze wypadło i za pomocą której usiłowała nadaremnie je uratować. Podróżny wziął ją, a następnie dał psu swemu do powąchania. Pies obwąchał ją, poczem na znak dany mu przez pana swego, wskoczył z pokładu w fale morskie i zniknął wkrótce z przed oczu obecnych. Podczas gdy matka małego Williama wraz z piastunką, drżąc ze strachu i przerażenia śledziły ruchy psa, nagle balwany rozdzieliły się, a z wnętrza ich wynurzył się czarny i fedyerzawy łeb zmysłnego zwierzęcia, niosącego w pysku swym uratowane dziecę. Szybko spuszczone łódkę, do której wskoczył jeden z majtków, kierując w stronę wyczerpanego już z sił stworzenia. A przybył w samą porę, bo w chwili, gdy pocziwe psięko z drogin swym ciężarem zatonąc już miało.

Wtedy to nasz majtek schwycił psa za głowę i wraz z uratowanym Williamem wciągnął pospiesznie na przygotowaną łódkę.

Niebawem wszystko troje dopłynęli szczęśliwie do brzegu, witani przez stojących na pokładzie, głosnemi okrzykami radości. Młoda matka, odzyskawszy w tak cudowny sposób utracone dziecę swoje, przytuliła je serdecznie do łona, a zbliżwszy się następnie do psa, zbawcy jej drogiego Williama, objęła łeb dzielnego zwierzęcia rękami, strapiając go jednocześnie łzami wdzięczności. Następnie, zwracając się do właściciela jego, rzekła: Panie, odstąp mi psa swego, cały mój majątek oddam ci za niego, gdyż pragnę osiąść wybawcę mego dzieciącia. Lecz nieznamomy odpowiedział jej: Cieszę się niewymownie, droga pani, że pies mój wyświadczył ci tę przysługę, lecz sprzedać go nie mogę, gdyż póki żyć będzie, nie rozłączę się z nim. Wtedy to wierny pies, jakby rozumiejąc słowa swego pana, położył się u nóg jego, a patrząc nań z wdzięczności, zdawał się mówić: tak aż do śmierci nie rozłączymy się ze sobą.

Młoda matka zrozumiała myśl Pana naszego Jezusa Chrystusa, w doświadczeniu jakie na nią zeszła i całą duszą zwróciła się ku Niemu, uważając obdarzenie swoje jako dar łaski Bawiciela.

Matteusz 10, 37. „Kto miłuje ojca albo matkę nad mię, nie jest mię godzien; a kto miłuje syna albo córkę nad mię, nie jest mię godzien.”

Treny Jeremiaszowe 3, 22, 23, 24. „Wielkie jest miłosierdzie Pańskie, jesteśmy do szczytu nie zginęli: nie ustawiając zaiste litości jego. (23) Ale się na fałszy poraneł odnawiając; wielka jest prawda twoja. (24) „Pan jest działem moim, mówię dusza moja, dla tego mam w nim nadzieję.”

Klemens Boruta.

1] (Ciąg dalszy.)

O, ja wiem, zostales panem i dlatego nie chciales się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę: do nogi. Bal dyabli głupich.

Ja, pan? Do po siedmiu latach mam czem skórę przypodbić. Nie gadalibyscie po próżnicy. Zebyscie wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lażem, zanim wylażem, ile się szczeblów złamało...

Złazdę miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

O, może i wam w młodości tak bieda nie doobola — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie słońca, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem; w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła; z hanhofu za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu żłości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich słów zgadnąć, że stary jeździec się przestał. Podesunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykłe tka życie biedaka. Słuchając tej powszechniej doli sierocej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

Nie było ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrzał na swego wychowawcę i dostrzegł widocznie przekłamanie chrząstki nosowej.

Długo chorowałeś?

Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Dwczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palec brakło.

A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po masło, to feniga nie ustąpił. Wyślałem, że sobie łeb ufręce. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rymę; kiedy nie przysnie, burczy do kości zbój przepalił mi nogę.

Wziął but i odstąpił tydzień szeroka szramę po oparzeniu.

To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słowie pod poduszką posłania.

A no! — rzekł Boruta — może przecie koniec. Wnie i świdra dyabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wyfręce.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniem pana Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, tręąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a splecione jego ucieczką stado, bojaźliwie w łat się stłoczyło.

Wyślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Bureka, odrębiwszy go kilka razy w kółko. Pies zaskowycał i zaczął szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kacie.

Nie pójdziesz ty darmozjadzie! — krzyczał owczarz na Bureka, nie uwzględniając jego skuszonej racji gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla fuchatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

Na wasze — odpowiedział Klemens i pojął bliwie zanurzył w gardło potrzebującą szypkę.

Ostra! — rzekł, przymrużając oczy.

Trzmielówka — mówił stary z widocznym zadowoleniem. Sam sobie ją przyprowadzę. Biorę ofowitę od Kagera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem składę sobie trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, potrzywiego korzonka i cynamonu.

Ho! ho! — podziwiał Boruta.

Dobrze tyknąć, to każda choroba wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wieczoraj dorzuciłem — motyllica przez dusi.

Co ma tłusty poleć smarować, lepiej, że luzem da się pożywić. Czy pan sam często tu przyjeżdża?

Alte stąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Już ci zajrzy, pomacha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

Sudziwego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylał, to jeszcze mu za mało. Dziedzie, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nigogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy galgany, próżniaki, polskie szkodniki, aż pana przefona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

Niema nigogo.

Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zatrzychał, że młody, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie Klimku.

Czuję macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

Jakby człowieka polecało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi? — Do mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuzni, robi jakas siarkówkę, ale nie unywala się, chociaż na noszącą nieźla. Ho! ho! niedoczekanie, żeby mają trzmielówkę kto dobrał. Dwczarz zna ziola. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płac, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanalia kość i ty podjedź. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 13.

Ściernisko, rżnisko.

Bagadka.

Który święty ma dwie dusze, dwa noży, czworo oczu, cztery nogi i cztery ręce?

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej”

Ar. 15.

Głk, na niedzielę dnia 2 maja.

1897.

Kazanie po Wielkiej Nocy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Pan zmartwychwstał, Jezus Chrystus ukrzyżowany, żyje — oto zwiastowanie aniołów nad grobem, oto radosna nowina wielkanocna. Święto to obchodziliście dziś dwa tygodnie. Dzwony, które zamilkły w Wielki Piątek, odezwały się na nowo i ogłaszały zborowi, światu chrześcijańskiemu nowe życie, zwycięstwo Pana naszego Jezusa Chrystusa, zwycięstwo Baranka Bożego, który kładzie grzechy świata. Dziś w drugą niedzielę po tem wszystkim pieśni zmartwychwstania i tryumfu brzmią jeszcze w sercach naszych, Chrystus jeszcze przed nami stoi, serca nasze palają, a usta nasze mówią z Tomaszem w pokorze i uwielbieniu: „Panie mój i Boże mój!” Lecz nie dosyć uwielbienia. Jako Pan zwyciężył i my mamy zwyciężyć, inaczey daremnie święcimy Wielkanoc. Leczyna nasza niechaj nas nauczy i napomni.

Wbijamy świat zwyciężali.

Chrześcianin jest wojownikiem, walka życiem chrześcianina. Życie chrześcianina to nie sen, nie gnuśny pośój, to walka, w której się zdobywa nie mienie co zginie, nie ziemię, to walka, której nagrodą korona cierniowa, oznaką zwycięstwa krzyż, a zdobyczą pośój wieczny. Walką życie chrześcianina a nieprzyjaciela, z którym chrześcianin bój toczyć ma, potężny i wielki, nieprzyjaciela ten to świat. Jaki świat? Który świat? Jan powiada, wszystko, co jest na świecie, jako pożądliwość oczu, pożądliwość ciała i pycha żywota, to nie jest z ojca ale ze świata. Pożądliwość oczu, wpływ świata przez oko, rodzi pożądliwość ciała, pychę żywota. A chociaż to piękne, niewinne, chociaż świat wyszukuje i dobiera słówek, co na ciała siane bywa, to zginie.

Czyście ten świat zwyciężyli? Czyście zwyciężyli, oddaliwszy się znużeni nim — czyście zwyciężyli nie używając go dla tego, że nie znajdujecie gustu — czyście zwyciężyli uciekając w jakie ustronie? To ucieczka, to cofnięcie się, ale nieprzyjaciela niepokonany. Zewnątrz świata nie zwyciężysz, przed światem się nie zamkniesz, światu nie zabijesz formami, ni umartwieniem ciała. Bo ślad, dla czego pożądliwość oka, ciała,

dla czego pycha? Bo jest to, w co tysiące nie wierzą, co tysiące wysmiewają — bo serce nasze z natury złe i zepsute. Nie samo złoto ludzi, nie piękna twarz obudza pożądliwość ciała, w sercu leży zaród. Świat zewnętrzny wpływa, wewnętrzny przyjmuje, zespolone rodzą grzech.

Dla tego igrać nie należy, to wielki nieprzyjaciela; ale czy niezwyciężony? Dzięki Bogu, że tak nie jest. Wszystko co się narodziło z Boga, zwycięża świat, a to jest zwycięstwo, które zwyciężyło świat, wiara nasza. Wiara zwycięża. Wiara apostołów zwyciężyła stary Rzym, przed wiarą apostołów utworzył się świat, przed wiarą apostołów skrył się w ciemności szatan. Wiara to słowo, które gdybyście do serc wzięli, gdyby promień jeden wiary uderzył serca wasze, nie byłobyście sługami świata, mielibyście Boga, ukrzyżowali ciało, odrodzili się, nie byli ludźmi małego serca, ludźmi rachuby, ludźmi samolubnymi, szukającymi tylko tego, co wasze, co miłe dla oka i ucha, co głaszcze waszą próżność, podchlebia dumie serca — wy byście umarli dla świata, żyli dla Boga, wybyście wyrzekli się siebie i przestali myśleć o sobie i Chrystus byłby waszem życiem, waszą miłością.

To się nazywa wierzyć. Taka wiara nie ślepa, taka wiara nie w głowie, ona w całym człowieku, w całej istocie. To nie wiedza, nie powtarzanie pojedynczych zdań, nie rzecz pamięci — to życie z Boga, to narodzenie się z Boga, to nie rzecz, którą my sobie dać możemy, my wyrobic, my wyrozumować, to dar łaski, łaski okupionej przez Chrystusa. Dla tego to powiada apostoł: Któż jest co zwycięża świat? Czy ludzie wyżsi rozumem, ludzie wielkich zdolności, ludzie bogaci, ludzie dobrze wychowani, ludzie postępowi? — Nie, i jeszcze raz nie, tylko kto wierzy, iż Jezus jest Synem Bożym, tylko ten zwycięży świat.

Oto macie odpowiedź na wasze wyrzekania, dla czego tak źle na świecie. Bo przewrotność wzięła górę, bo szatan zwiódł miliony, poprowadził je w niewiarę. Jedni wierzą w Boga, ale przez siebie ulepionego Boga, drubny wierzą w Chrystusa, ideał ludzkości, ale któż wierzy, że Jezus jest Synem Bożym, kto wierzy, — to jest nie wie tylko, nie przypuszcza tylko, nie sądzi, że tak jest — ale kto życie i śmierć, nadzieję i ufność, duszę i serce, wszystkołożył na tej świętej, mocnej, wiekistej podstawie. Jezus Chry-

staż jest Synem Bożym, jednorodzonym z Dica wieczności, a jednak narodzonym z Maryi Panny? Spójrzycie w wasze serca — jesteście słabymi, nosicie pęta grzechu, robacie grzechu, pychy, dumy, zazdrości tóczy wasze serce, tóczy serce całej społeczności, bo nie ma wiary w Chrystusa, Chrystusa Syna Bożego. Ale On przyszedł do was przez wodę i krew, powiada apostoł, przyszedł z Boga z wieczności przez wodę, którą jest Stary Testament i Jego obmywanie, przyszedł przez krew, którą jest jego ofiara na krzyżu. On przyszedł przez wodę, to jest przez chrzest nad Jordanem, przez krew na Golgocie. Wątpicie? Trzej świadczą na niebie — Ojciec — Słowo — i Duch święty. Ojciec przy chrzcie Chrystusa — słowo, które się ciałem stało, Duch, który zstępuje z nieba, to świadectwo na niebie. Jest i świadectwo na ziemi: Duch — woda i krew. Duch to jest Bismo, woda chrzest, krew śmierć Chrystusowa. A ci trzej ku jednemu są, ku jednemu nie ku dwóm, nie aby serce wasze i to i tamto młotało, ku jednemu, ku temu, który was umiłował, za was umarł, ku Chrystusowi. Wielkie to świadectwo, kto nie wierzy, kłamcą czyni Boga. Kto wierzy temu świadectwu, temu dał żywot, żywot w Synu. Kto ma Syna, ma żywot, kto niema Syna, niema żywota. Żadnej pośredniej drogi, żadnych cnót i przymiotów, żadnych wymówek i tłumaczeń niema. Kto ma Syna Bożego, kto ma Chrystusa w sobie, w sercu, ten ma żywot, żywot wieczny, tu i tam. Kto niema Syna, to trup, kto niema Syna, to zbutwiałą grób, z wierchu pobielany może, z wierchu jaśniejący, zdołbny, wspaniały, wewnątrz próchnem, robactwem, zgnilizną napełniony.

Czy to was razi? Chciałbym, chciałbym tchnąć w was życie, chciałbym aż do krwi zranie serca, aby zabolęły, abyście w boleści uczuli życie, chciałbym, abyście raz raj mieli w sercu swem, zobaczyli jakie tam spustoszenie, raz spojrzeli w serce i uczuli jakie tam cmentarz i zapłakali choć raz łzę żalu, łzę pokuty, łzę skruchy. Sześć tysięcy stopi te lody co otaczają serce człowieka, kto złamie te żelaza uporu i dumy, którymi uzbroid człowieka pierśi swe? Nie człowiek, nie słowo ludzkie, tylko Syn Boży i Jego słowo i dla tego w imieniu Jego wyzywam was, wy, którym wydał świadectwo w wodzie i krwi, boście ochrzczeni i choć raz byli przy komunii świętej — nie depczcie tego świadectwa, bo ono stanie przed oczyma waszemi w dniu sądu. Napisałem wam to, mówi apostoł, wam, którzy wierzyacie w imię Syna Bożego, żebyście wiedzieli, że macie żywot wieczny i abyście wierzyli w imię Syna Bożego. On i dziś wam to ogłasza, On i dziś woła na was, świadczy, powiada, abyście wierzyli, iż macie żywot wieczny. Wiara w Syna Bożego, w imię Jezusa Chrystusa, to jest życie, wszystko inne ginie, pomija. Żadna nazwa, żadne imię nie da wam zbawienie, oprócz imienia Jezus Chrystus. — On Zbawiciel, On Pomazaniec, w Nim zbawienie, w Nim żywot. Wiercie, że śmiercią swoją was zbawił, że krwią swoją was wyfupił, a zwy-

ciężycie świat. Zwycięzycie nie siłą, ale wiarą, wiarą w Niego. Amen.

Klemens Boruta.

2) (Ciąg dalszy.)

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

Jaś umierzał — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mammy geby równe, jaś kieliszki, ha, ha, ha! — jaś kieliszki! — półkwartki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i geba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w polu małą kuropatwę; ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rzknąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój: Weg, weg!... owce zrosił! Cóż to one kopyt nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo bez dziur. Su — ha!

Moja gąsdo, stąpaj wąsko...

Moja szcota, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnęłaby...

Ba, rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na poślanie i przymykając radośnie zaskawione oczy.

Pójdziemy do karczmy, dziewek nalapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczerzać szklankami. A gardło od czego? Od picia — to będę pił, od śpiewania — to będę śpiewał.

Moja gąsdo, stąpaj wąsko.

Moja! wtórował Brzost, dmuchając przez nastraszono wąsy.

A nas było dziewczyn huf, tylko lucyfer nie pozwalał. Szymonie w wasze ręce.

W ręce! — odbił echem omarz, ale ująwszy butelkę, nie mógł jej do ust ponieść i na nodze oparł.

Tam na tańcu — mówił, skłaniając się do Brzosta Klemens — podpikę się, tu i na gniotek nie zabolę.

Przebieraj, przebiegaj,

Żebym ja ci nie przebrał...

Brat! — szepnął omarz chrapliwie.

Born nie wyfrunie mi z garści — bełkotat Boruta — ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię,

Że aż mi się zgęśla...

Na! Burek, psia wiara! No, Brzostcie, pójdziemy do karczmy; prawą w górę, lewą na dół...

Moja gąsdo...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. Z Boruta również rozpoczęły daremnie filka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek zbli-

żył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mieszać z wyziwem namozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Żywiłone owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrzewał je o złe zamiary względem jego pana, a na bawszy wszystko względem ukrytej w postaniu baraniny, odpędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokreślił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

Czuć cynamon.

Gdy Burek, naśladowując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słonie jasny potok wrześniowego światła. Na podwórzu również nie odbywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ufolysanych przez trzmielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbył się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuższy, w furtce i dużym kapeluszu, młody mężczyzna. Pojejrzał się na okół, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzdłuż grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

Zbyt wina śpiących była niewątpliwą i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu, ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę na progu, mierzył Borutę i Brzostą wzrokiem, z którego przebiegały uczucia gniewu, szyderstwa lub zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl błysnęła, cofnął się na podwórze, a sprostargęszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

Brzost leży chory — rzekł z drwiącym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić i hütte bis Abend, tam rechts od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdykał ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrzął to na śpiącego pana, to na przywłaściciela jego berta, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

Broście, i ty na taką zniwagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który obgłosy swego bieża znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

Nie przeszkadzać panom!

Odniośnij już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

Co pan kaze? — spytał.

Nie, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein — ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

Owce popędził? — wybełkotał strwożony sta-

rzec, oglądając się po pustej owczarni. — Zdręmnąłem się chwilę, jagniatki musiały odpocząć. Burek, psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię...

Kopnął psa, który zasłowywał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

Panie Brzost! — zawołał rząbca.

Co pan kaze?

Powtarzam, że ja panu nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan, przepawszys się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

Co to ma znaczyć, proszę pana?

To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pisał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

Alboż...

Milcz, zabieraj twoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

Otrze! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać, owczarnię zaśmędzając jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gąłganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł wznak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

Zbój — krzyczał, dźwigając się rząbca — łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

Ja cię, zbrodniarzu, przebode — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podle gnaty polskie! Ty może myślisz łbem rozbijać? — wrzasną do stojącego pokornie Brzosta.

Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

Wy wszystko równo — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryl, ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz! Ty w Boga wierzysz — co?

Zawsze.

No, jeśli ty w Boga wierzysz, to u sądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nisko skloniłszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania między wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, rzadka jedynie przekładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowaodził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich pól, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodoł. A słońce wrześniowe świeciło tak jasno, jak nad obrazem szczęścia i dostatku. Ach, to pocziwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obejdzie! Czasem za-

miast chleba położył swój obłask na stole bieda-
ka, jak gdyby go światłem nakarmił chciało. Do-
bre słońce, nie gaśnij, nie zastanij swego oblicza
dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na flocu pod chatą, od
której skręcał się na wieś gościniec dworski,
utkwiał wzrok w słońce. O czym myślał? Więcej
o tem, co z sobą robi, niż o tem, co zrobił z
Kleinem. Niezwietrzały jeszcze wpływ trzmielówki,
pewne oszobotwienie, gniewny półsen — wszystko
to tworzyło w jego głowie wir wrażeń, a nade-
wszystko nastrojało go zuchwale. Zwróciwszy
wzrok na pole, spostrzegł Brzostą, spieszącego do
owiec. Wstał więc z flocu, okrążył zabudowania
folwaru i podążył za owczarzem.

Szymonie! Szymonie! — wołał zdaleka.

Alle Szymon, pogrążony we wspomnieniach
świeżego wypadku, nic nie słyszał.

Cóż tak zagony liczyłeś? — krzyknął wre-
szcie Boruta, doganiając owczarza.

A co? nie gorzki migdał? — rzekł, zatrzy-
mawszy się Brzost.

Potłukłem go bardzo?

Chusty wieprz — nic mu się nie stało. Alle
co rymnął, to rymnął, jak kłoda.

Krzyczał, słyszałem; niech mnie za ogon złapie.

Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie
postawi, żebym przysiągł.

Niech skarży. Was zostawił?

Coż go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi,
to pójdę z torbą. A co ty?

Trzeba poszukać roboty.

Dyleś u Jana?

Po co? Że stryj, to nie pan i nie kupiec.
Chleba nie ma, a roboty nie da. A co, że w
chatupie przenocować pozwoli!

A ty głupi, chatupa jest do połowy twoja i
ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku
ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

Więc połowa chatupy i grodu moja? — po-
wótórzył Boruta zdziwiony.

Jakżeśmy żywi oba! Jdź tylko i powiedz,
kto jesteś. Dni cię sami poznają, siedem lat nie wieki.

Daj żeby Antośka
Kiedym tak bogaty.
Jak nie chcesz w stobole
To pójdziem do chaty.

Zaspiawał Boruta, skacząc uradowany po polu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczorna.

Tomaczyk M. Kapuściński.

Jam zmęczony, spocząć chcę,
Powieki mych oczu mknę,
Niech Twój, Dłacie, święty zwrok
Czuwa przy mnie w nocny mrok.

Jeżlim przez dzień czynił złe,
To, mój Panie, nie karz mnie,

Syna Twego święta Krew
Niech Twój Boży głodzi gniew.

Wszystkich, co mi bliscy są,
Nacz strzedz, Boże, ręką Twoą,
Wszelkich ludzi, wszelkiej płci,
Boże mój, polecam Ci.

Ty spoczynek chorym szlij,
Jch powieki słabe mknij,
Niechaj księżyc w gwiazdek ślad
Płynąc, patrzy w cichy świat.

O dobrego litościwego Boże.

O dobrego litościwego Boże!
Uznaj w skręśle i w potrzebie,
Żem tak ciężko obraził Cię,
Sumienie bardzo strofuje mię.

Jednak takie mam zaufanie,
Że nie chcesz śmierci grzesznika, Panie!
Lecz by się nawrócił do Ciebie,
By z Tobą wiecznie królował w niebie.

Ufny w obietnicy Twojej,
Przychodzę z uznaniem winy mojej,
Błagając kornie Twojej litości,
Odpuść mi Panie wszystkie moje złości.

Dla zasług Chrystusa Syna swego,
Przyjm Dzieje syna marnotrawnego,
Przez gorzką Twoą mękę i konanie,
Bądź mi miłościw o Chryste Panie.

O zastoń Panie grzechy me,
Zakuszę żem obraził Cię,
O zbaw mię przez zasługi Twe,
O co gorąco modły się.

O wspomóż przez Twe zmiłowanie,
Bym tu Twoą wolę pełnił, Panie,
A potem z Aniołami w niebie,
Wiecznem Hosanna wielbił Ciebie.

Rozwiązanie zagadki z nr. 14.

Święty stan małżeński.

Bagażka.

Żyje bez ciała, mówi bez języka, nikt go nie
widzi, a każdy go słyszy.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Pr. 16.

Głk, na niedzielę dnia 16 maja.

1897.

Czwarta niedziela po Wielkiej Nocy.

Evangelia św. Jana, r. 16., w. 5—15.

„Lecz teraz idę do onego, który mię posłał, a żaden z was nie pyta mię: Dokąd idziesz? Ale że wam to powiedziałem, smutek napelniał serce wasze. Lecz ja wam prawdę mówię, wamci to pożytecznie, abym ja odszedł; bo jeśli nie odejdę, pocieszyciel on nie przyjdzie do was, ale jeśli odejdę posłę go do was. A on przyszedłszy, będzie karał świat z grzechu, i z sprawiedliwości, i z sądu: z grzechu mówię, iż nie uwierzyli we mnie; z sprawiedliwości zaśię, iż do Dnia mego idę, a już mnie więcej nie utrzymacie; a z sądu, iż księżę tego świata już jest osądzony. Wamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszysz, mówić będzie, i przyszłe rzeczy wam opowie. On mię uwielbi; bo z mego meżnie a opowie wam. Wszystko, co ma Ojciec, moje jest; dla tegoż jest: że z mego weźmie, a wam opowie.“

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Dnia i społeczności Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Dzisiejsza Evangelia a w niej słowo Pańskie: „Lecz teraz idę do onego, który mię posłał,“ wielkie były powinny uczynić wrażenie na umysł uczniom, ale ponieważ serca ich nie były jeszcze oświecone Duchem Bożym, przeto nie dostąpili tego, czego mieli dostąpić: pociechy i pocieszenia, radości i pokoju. Podobnie dzieje się często i nam. Pan nas wie, Pan do nas przychodzi, Pan nas wzywa: „Naśladujcie mię“ — a my naśladujemy Go, dopóki droga, po której idziemy, równa, wygodna i przyjemna. Gdy się nam dobrze powodzi, jesteśmy pobożni, chwalamy Boga, miłujemy Syna Jego miłego całym sercem i całą duszą, lecz gdy się niebo nad nami zachmurzy, gdy przyjdą dni i godziny, w których trzeba znośić trzys i utrapienie, zniknie pokora, pobożność, miłość, wiara, ufność, zniknie wszystko, serce pełne smutku, niecierpliwimy się, szemrzemy i narzekamy, że nas Pan zupełnie opuścił, że nas zbyt surowo kara, że zbyt ciężki na nas wkłada krzyż. Tak, narzekamy i szemrzemy! a grzech ten tak powszechny, iż bez wyjątku wyznać musimy: „Wszystkim grzesznikami i nie dostawa nam chwały Bożej.“ Przeto też wszyscy potrzebujemy pociechy

i pocieszenia, którego szukać chcemy w dzisiejszej Evangelii rozważając słowa Chrystusowe:

Wam ci to pożytecznie, abym ja odszedł do Dnia.

Ty zaś, Zbawicielu grzeszników, Jezus Chryste, który siedzisz na prawicy Dnia, i jesteś naszym Dredownikiem, poslij nam i w tej godzinie nabżenstwa Ducha prawdy, aby nas wprowadził we wszelką prawdę. Pomóż, aby tenże Duch sercami naszymi kierował; daj nam, ach prosimy Cię, daj nam wszystkim takie serca, byśmy poznali, żeś Ty jest Pan, Bóg nasz, nasz Zbawiciel i odkupiciel. Amen.

„Idę do Onego, który mię posłał, a żaden z was nie pyta mię: Dokąd idziesz? Ale że wam to powiedziałem, smutek napelniał serca wasze.“ Ach, uczniowie byli smutni i strapieni. Straszna to dla nich była myśl, iż mogliby być odłączeni od Pana, mistrza swego. Jeszcze nie byli zupełnie wolni od miłości rzeczy ziemskich, jeszcze się serca ich nie wyrwały z pęt tego świata. Przeto ani nie przeczuwają pocieszenia, które jest tak blisko, nie przeczuwają błogostawieństwa, które na nich spłynie przez odejście Pańskie. Czyż tak i nam nie dzieje się często? Oddani boleści, zupełnie w troskach doczesnych pogrążeni, często nie jesteśmy zdolni, szukać pocieszenia tam, gdzie je znaleźć można. Szukamy go u świata, a świat nam go dać nie może, i musielibyśmy zginąć, gdybyśmy nie mieli arcykapłana, który ma litosć nad słabościami naszymi. Tej litosći, tej miłości, Jego doznali i uczniowie. „Lecz ja wam prawdę mówię“, powiada, „wam ci to pożytecznie, abym ja odszedł.“ Tak, najmiłsi! dziękować Mu, chwalić i wielbić Go mamy we dnie i w nocy za tę łaskę, bo gdyby Pan Jezus Chrystus nie odszedł do Dnia, nie mielibyśmy smutni pocieszenia, nie mielibyśmy grzesznicy pokoju, nie mielibyśmy radości w życiu, nadziei i ufności w śmierci, zgoła nie mielibyśmy zbawienia i żywota. Lecz mamy to wszystko, bo Pan nasz odszedł do Dnia. Że wrócił do Dnia, to nam rękojmią Bożej miłości ku nam, rękojmią naszego ułaskawienia i odkupienia; że jest u Dnia, w tem nasza pewność, że nie jest tylko dziećciem Bożem, jak my dziećmi Bożymi jesteśmy, ale że jest Bogiem, Bogiem wszechmocnym, co nam także poświadcza cała Evangelia. Jego odejście, Jego śmierć i uwielbienie to ostateczne zatwierdzenie Bożej ku nam miłości. Bo

czyż Bóg, który Synowi swemu nie przepuścił, ale Go za wszystkich wydał, miałby nas opuścić albo zapomnieć? O nie, najmilsi! Gdy grzech się w nas rozmnoży, gdy nas bojaźń i trwoga napętnia, cóż nas może podtrzymać? Nic, tylko odejście Pana do swego Ojca. Jezus Chrystus jest nasz lekarz i pomocnik, Jego odejście naszym ratunkiem od zatracenia, bo On wydany jest dla grzechów naszych, a zmartwychwzbudzony dla sprawiedliwości naszej, a wszedł do nieba, aby być naszym Odrędownikiem u Ojca. Dla tego, że odejść, myśmy własnością Pańską, a księżę tego świata nic w nas niema, jeżeli wierzymy i miłujemy Tego, który za nas umarł.

Ale — wielkie ale — jesteśmy też przystępnymi obfitości pociechy i błogostawieństwa zawartego dla nas w odejściu Jezusa Chrystusa do swego Ojca? Wielu, bardzo wielu słyszy dzisiaj Ewangelią, a nic z niej nie mają, choć to wszystko i dla nich nagotowano, i nad wieloma zostaje gniew Boży, chociaż miłość Jego tak chwalebnie się objawiła w Jezusie Chrystusie. Nie każde serce jest sposobne przyjąć łaskę Bożą i zbawienie nam w Chrystusie ofiarowane, ale musi wprzód być przygotowane i przysposobione do przyjęcia pocieszenia i błogostawieństwa Ewangelii. A któż ma je przysposobić? Kto, jeżeli nie ów Duch, o którym Pan mówi: „A on przyszedłszy będzie karał świat z grzechu, z sprawiedliwości i z sądu.“

On będzie karał świat, to znaczy, On go weźmie w swą Boską węć, będzie go nauczał, i pokazywał mu jego zepsucie, aby w sercach powstał ów smutek, który jest według Boga i sprawuje pokutę ku zbawieniu, której nikt nie żałuje. Duch Boży ćwiczy serca i sumienia ludzkie, aby się stały sposobnymi do przyjęcia zbawienia w Chrystusie objawionego a wychowywanie to wykonuje przede wszystkim przez kazanie słowa Bożego, mianowicie tak, iż naprzód przekonyje świat, że żyje w potępieniu godnem grzechu niewiary, jak Pan w tekście mówi: „Będzie karał świat z grzechu, iż nie uwierzyli we mnie.“ Niedowiarstwo, które odrzuca samego Syna Bożego, i czyni z Niego Bóg wie co, niedowiarstwo, które gardzi łaską Bożą pragnąc zbawienia z własnej sprawiedliwości, to właściwy korzeń wszystkich innych grzechów, jak mówi Luter: „To jedynie w Nowym Testamencie grzechem pozostawa, że świat nie chce poznać i przyjąć Chrystusa.“ W dziwnem, głupim zaślepieniu mniema człowiek, że nie potrzebuje Zbawiciela, że wystarczą do zbawienia jego własne cnoty i uczynki, jego własna szlachetność. Gdzie to niedowiarstwo panuje, tam słowo Boże musi pozostać bez skutku, tam pokój Boży nie może duszy uszczęśliwić, tam nawet powrót Jezusa do Ojca w niczem nas pocieszyć nie może. Albowiem zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, tylko kto wierzy w Syna Bożego, tylko ten ma żywot wieczny. A kto wierzy, temu Duch Boży objawi sprawiedliwość Bożą, jak mówi Pan: „Będzie karał świat z sprawiedliwością, iż do Ojca mego idę, a już mnie więcej nie ujrzycie.“ Toć pewno nie znaczy tylko, że przefona świat o

niewinności i sprawiedliwości Chrystusowej — albo, że świat pozna, jak niesprawiedliwie i bezbożnie Jezusa na śmierć wydano, ale przedewszystkiem tu mowa o uzyskanej nam przez śmierć Chrystusową sprawiedliwości, która jest odpuszczenie grzechów, a która bywa poczytana tym, co wierzą w Jednorodzonego Syna Bożego. O tem ma Duch Boży przekonać świat, a gdy przywiódł człowieka do znajomości grzechu, gdy w duszy obudził tęsknotę za pocieszeniem, pomocą i łaską, łaknienie i pragnienie sprawiedliwości, wtedy dokonuje swego dzieła, wtedy przekonywa dusze pragnące zbawienia, że księżę tego świata jest osądzony i nie ma mocy nad tymi, którzy są Chrystusowi.

Tak Duch Boży przysposabia serca, tak prowadzi nas we wszelką prawdę, jeżeli się chętnie prowadzić damy, oświeca nas i umiarkuje Chrystusa w duszach naszych. Przez Niego oświeceni poznawamy, jak bardzo potrzebujemy pocieszenia, poznawamy swój grzech, ale tu naszej radości poznawamy też, że Chrystus jest naszym Odkupicielem i Zbawcą, i poznawamy także, że pracuje w nas Duch Boży. Pracę Jego w nas tak Pan opisuje: „Jam ci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszysz mówić będzie, i przysze rzeczy wam opowie. On mnie umiarkuje, bo z mego weźmie, a opowie wam. Wszystko co ma Ojciec, moje jest; dla tego mówię: Ze z mego weźmie, a wam opowie.“ Nic tedy obcego, ale to, co Pan sam zwiastował, miał Duch ów uczyć, miał wykladać to, co w Piśmie stało napisane, miał u apostołów wykonywać i dalej wieść dzieło oświecenia i poświecenia. Jako też i Luter mówi: „Wierzę, że nie przez własny rozum ani siły moje, w Jezusa Chrystusa, Pana mojego uwierzyć, ani z Nim połączyć się mogę; — ale, że mnie Duch święty przez Ewangelią powołał, darami swymi oświecił, w prawdziwej wierze poświęcił i utrzymał, tak jak całe chrześcijaństwo na ziemi powołuje, zgromadza, oświeca, poświęca i w prawdziwej jedyniej wierze w Jezusa Chrystusa utrzymuje.“

Ten Duch pragnie też i wasze serca oświecić, wy młodzi chrześciane, wy konfirmandzi! On szuka was. Jezus Chrystus i dla was odszedł do Ojca, i wiódł was dziś do stołu swego. Przychodźcie tedy z sercem pragnącym zbawienia, przychodźcie z pokorną prośbą, przychodźcie z radością ufnością, przychodźcie do Jezusa Chrystusa, z którym dziś zawarłiscie przymierze. Konfirmacja to odnowienie przymierza w chrście z Bogiem zawartego, na nowo wyrzekłiscie się grzechu, a słubowaliście wierność Bogu i kościołowi chrześcijańskiemu, który tu w doczesności nosi nazwę luterskiego. Jeżeli wytrwacie w tem przymierzu, jakskolwiek wypadnie wam dola, wszędzie i zawsze okaże się nad wami miłość Jezusowa. Może czeka was ucisk i krzyż, niechybnie przyjdzie też i pokuszenie, przyjdzie świat z swem szyderstwem, ale Pana zawżdy się trzymajcie. W krzyżu będzie was pocieszał dobry pasterz, będzie was bronił,

Będzie was strzegł, będzie przy was z swą wszech-
moćną pomocą. Miłość swoją ofaże nad wami,
jak ją ofazał nad wami, rodzice dzieci konfirmo-
wanych, i nad wami wszystkimi. Jeżeli w nas
jest iskierka wiary, musimy wyznać, namci to po-
żytecznie, iż odszedł do Ojca. Jemu się oddajcie,
wy spracowani i obciążeni, On może, On chce
wam sprawić odpocznienie; Jemu się oddajcie wy
grzesznicy, a grzesznikami wszyscy jesteście, On
jest naszą sprawiedliwością: Jemu się oddajcie
wy dziewice i młodzieńcy, On jest waszym Zba-
wicielem. On woła: Pójdźcie do mnie wszyscy,
idźmy za głosem Jego, idźcie starzy i młodzi,
idźcie dzieci i rodzice, idźcie do Mego, On wasz
Zbawca i Odkupiciel. Panie, do Ciebie idziemy,
Panie przyjmij nas! Amen.

Klemens Boruta.

3) (Ciąg dalszy.)

Tak, tak! — mówił Brzost — to twoja oj-
cowizna.

Dziedzic, to po dziedzicu. Dziś się upijemy
Szymonie, ale bawarskiem.

To pewnie! Wyszczuły mnie jutro za dzie-
siąty kopic.

Nie bójcie się, mam łeb twardy.

Masz go dla siebie, a wreszcie ja tylko
trzmiełowkę... Bawarskie w głowie zawraca.
E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

Nie mogę, ja tylko moją...

Spróbujcie innej. Pójdę do stryja, a wie-
czorem potancujemy.

Przebieraj Marychna

Zebym ja ci...

No, do wieczora, Szymonie — rzekł, poda-
wszy rękę owczarzowi i wesóło odszedł.

Przynies jutro na pole kropkę, to skosztuję...
wołał Brzost.

Dwa ojcowizna, która tak niespodzianie zbo-
gaciła Borutę, była nędzną chatą, za którą waz-
kim językiem wyciągnął się ławałek ogrodu. Gdzie
mecz nie osłonił, tam przegnęte gonty rzesiście
wyhaftowały dach dziurami, które na jednej stronie
założono budyłem, zatkano gałganami lub chrustem.
Po tej to bowiem stronie mieszkał Jan Boruta,
stryj Klemensa i współwłaściciel nieruchomości,
zapisanej w księgach hipotecznych Nędzy pod Nr.
15. Zabłociona sień dzieliła dom na dwie poło-
wy. Na prawo znajdowała się dość obszerna
izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa, ko-
bieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, ma-
czała właśnie w szafliku furę, która na jaskach sie-
dzie chciała, gdy wszedł Klemens.

Dobry dzień!

Dobry dzień!

Nie poznajecie pewnie — Klemens.

A! — odrzekła, przyglądając mu się uważnie,
gdy ją pocałował w rękę. Skądże?

Ze świata. Cóż tu słychać?

A słychać. Kaszka ot leży, bo febra ją trze-
sie, a stary lewko dziś do szosy nogi zawlókł.

Z pod kożucha na łóżku odezwał się lekki jęk.
Czy stróżuje?

Stróżuje — z ryblem. Droge sypią do Ry-
bnika. Gdzież ty teraz?

Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

Ja co?

Bom się na godzinę spać położył.

To jaskinia nie dmó! Żeby ziemia się pod
nim zapadła. Gdzieś wracasz?

Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie
mi pokowę chałupy.

Słowiefu! — zawołała oburzona Janowa. —
nie boisz ty się Boga? Młody, zdrow, zabierać
nam tę głupią izbę!

A ona wam po co?

Na dworze prosiaki uwiążę, czy to psy?

O, spleciemy chlewę, będą stały.

Otten nie ma, przez pułap się leje.

Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by
się lato.

Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie!

Z oktarza by zdarł.

E, z wami gadać a miesiąccowi się przedrze-
żniać, to jedno — rzekł Klemens i wyszedł.

O ile Janowa z natury była chciwa, a z
biedy na wszystko łafoma, o tyle zawojowany
przez nią mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez
trudu więc tegoż jeszcze dnia pomógł synowcowi
przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens, nie
mając garści słomy, a prztem chcąc zagłuszyć
smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał,
zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do farcz-
my, gdzie ucieszawszy się tańcem i bawarem,
przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porząd-
kować mieszkanie. Wymiotł je, oczyścił z furzu,
pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie,
jakby je wywietrzył z woni poprzednich mieszkań-
ców, gdy wtem wyhawiała go z kłopotu niespodzie-
wana okoliczność: dostał wezwanie do sądu w
sprawie Kleina.

Pootwieram okna — mówił do siebie — je-
śli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wy-
wietrzeje.

Jakoż nie tyle może skutkiem zabiegów Klei-
na i zeznań Brzosta, ile skutkiem życzliwości, sąd
odgadując zapewne złe powietrze w mieszkaniu
Boruty ofiarował mu na dwa tygodnie koze.

Brzost nie tylko wyrzekł się „kropki“, którą
sobie u Klemensa zamówił, ale nawet widocznie
go unikał. Jako bowiem jedyny świadek powale-
nia Kleina, zeznaniem swoim na jego korzyść w
sądzie głównie przyczynił się do osadzenia Boruty
w koze. Ale w tem zeznaniu było prawdomo-
wności, a ile chęci utrzymania się na zajmowa-
nem stanowisku, domyślać się nie będziemy.
Tylko dla zadowolenia ciekawych zrobimy przypu-
szenie, że samolubstwo, które nie jest wstrętne
dla nikogo, nie mogło być takim dla Brzosta, i
że zapytywany w sądzie o szczegóły wypadku, my-
ślał naprzód o sobie, a potem o przyjacieliu.

Wylitby się wszakże ten, choćby sądził, że Bo-
ruta uczuł do owczarza jakąś niechęć. Wnajmniej.
Kazę swoją uważał za bardzo naturalną, do pe-
wnego stopnia sprawiedliwą, a nawet przyjemną.

Zmęczony natłokiem wrażeń i zaniepokojony brakiem miejsca, potrzebował w spokoju uporządkować myśli i usunąć z nich jakiś plan życia.

Pdy powrócił do izby, zaledwie po długiem rewidowaniu nosem odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców. Przypnać trzeba, że było to również zasługą wrzesniowego powietrza, jak i Kasia, która niezależnie od dąsań matki krewnikowi podłogę, a raczej jej ostatki wymyła. Co więcej, znalazł Boruta i otna deszczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym, kiedyś niebieskim kilimkiem. Strycja w domu nie było, stryjenka nie obiecywała serdecznego przyjęcia; Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchyłone zajrzała Kasia.

Wleźże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy na progu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczorna.

Już słońce bieg skończyło
I tarczę swą ukryło
Tam za tym pasmem gór.
Już pwiązdkci zapłonęły
I nocną straż ogiełły
Nam przyświecają zpoza chmur.

Już Anioł stróż zstępuje
I miejsce obejmuje,
Gdzie dobre dziecię śpi.
Więc kończy swe zabawy
I wszelkie dzienne sprawy
I o Aniołkach dziecię śni.

Chwal duszo, pochwal Pana
Co od samego rana
Był wciąż opieką twą.
O Boże! cieniem ręki
Dla Chrystusowej męki
Strzeż ciało i duszy cząstkę mą.

Rozmaitości.

— Podróż naokoło świata. Grono osób, należących do towarzystwa petersburskiego, jak donosi jeden z dzienników rosyjskich, postanowiło bieżącego lata wybrać się w podróż naokoło ziemi dla przyjemności. W tym celu ineyator główny podróży, książę R., zamówił w Anglii odpowiedni yacht spacerowy, który w Ameryce i Afryce będzie dłużej przystawał w portach, a podczas przystanków, podróżni będą polowali. Cała podróż trwać będzie półtora roku. Do podróży tej zapisało się 28 osób, z których prawie połowa należy do płci pięknej.

— Pióro dyamentowe. Ludziom, którzy wiele piszą, wiadomo, jak niedogodną jest zmiana stałki,

gdy ręka już się do jednej przyzwyczaiła. Niedogodność ta szczególnie daje się we znaki w czasie podróży, w hotelach bowiem, jak wogóle we wszystkich instytucjach publicznych, pióra podawane do użytku ogólnego wiele pozostawiają do życzenia. Amerykanie widocznie najbardziej niegodność tę odczuwali, u nich bowiem pojawił się pierwszy wynalazek pióra wiecznego. System tegoż został obmyślany przez Westermanna. Składa się z obrobki kauczukowej, w której tkwi pióro złote, zakończone dyamentem. Po użyciu pióro ochrania się przez zatknięcie na niem nakrywkę. Pióro samo uregulować można raz na zawsze, odpowiednio do przyzwyczajenia. Utrament dopływa do pióra na zasadzie prawa o włoskowatości, więc też zrobienie plamy jest niemożliwem. Po napełnieniu pióra pisze się niem około 1500 godzin. W Warszawie pióra takie nabywać można w sklepie A. Chodowieckiego przy ulicy Senatorskiej.

— Najmniejszy kot na świecie. Do ogrodu zoologicznego w Berlinie przywieziono kota, który został umieszczony w oddziale rzadkich zwierząt. Kot ten pochodzi z wyspy Ceylon, jest wielkości pięści, ale nader zwinny. Przebywa prawie zawsze na drzewach i skacząc ciągle po najcięższych gałęziach, żywi się najchętniej małymi ptakami, które chwytą nadzwyczaj zgrabnie. Rasa tych kotów żyje tylko na wyspie Ceylon; podobny, ale już nieco większy gatunek znajduje się na wyspie Sunda.

Barty i dowcipy.

Niepocieszony.

Ksiądz: Jędrzeju, cóż się to, z wami stało, od chwili śmierci waszej niepożęci żony, codziennie się upijacie?

Gospodarz: Tak, Jęgomosciuniu w mójce znajduję jedyną pociechę w swym smutku.

Ksiądz: Stuchajcie jednak, jak długo to potrwa?

Gospodarz: Jęgomosciuniu, kiedy ja nie pocieszony.

Jasne jak słońce.

Gospodarz A.: Siedźcie, wiecie wy o tem, że moje kury odwiedzają często wasze podwórze?

Gospodarz B.: Tak wiem o tem.

Gospodarz A.: A skąd wy to wiecie?

Gospodarz B.: Bo mi już czterech z nich brakuje.

Rozwiązanie zagadki z nr. 15.

Echo.

Bagadka.

Wachnął ptaszek skrzydłem,
Cały świat zastonił jednem piórkciem.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek niedzielny do „Gazety Ludowej“

Nr. 17.

Ciż, na niedzielę dnia 30 maja.

1897.

Niedziela po Wniebowstąpieniu Pańskim.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. apostoła Piotra 1, r. 4, 8—11.

„Przeżoż trzeźwymi bądźcie i czuły mi ku modlitwom, a nade wszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim; albowiem miłość zakryje mnóstwo grzechów. Gościnnymi bądźcie jedni ku drugim bez szemrania. Każdy jako wziął dar, tak nim jeden drugiemu usługujcie, jako dobrzy szafarze różlicznej łaski Bożej. Jeżeli kto mówi, niech mówi jak wyroki Boże; jeżeli kto posługuje, niech to czyni jako z siły, której Bóg dodaje; aby we wszystkim chwalony był Bóg przez Jezusa Chrystusa, któremu należy chwala i panowanie na wieki wieków. Amen.“

Niedziela dzisiejsza położona jest między wielkimi świętami. We czwartek obchodziliśmy Wniebowstąpienie Pańskie, a za tydzień święcić będziemy wylanie Ducha św. na apostołów. Oba święta przypominają nam Pana i Zbawiciela naszego, oba opowiadają nam, po co przyszedł na świat, i co nam zdobył. Wniebowstąpienie Pańskie zwiastuje nam, że Ukrzyżowany dla tego zmartwychwstał i do nieba wstąpił, aby na nas zstąpił Duch, któryby nas wiodł do wszelkiej prawdy, Duch św. pocieszyciel. Duchem tym oświecone, Ewangelią nauczone gromadzą się do dziś dnia niezliczone, biedne, grzeszne rzesze ludzi od południa i północy, od wschodu i zachodu, by zgnać kolana swoje przed Jezusem. Duch ten jest przewodnikiem kochał, ogniem, który mimo wszelkiej oziębłości nie wygaś.

Duchem tym oświeceni powinniśmy naśladować Ukrzyżowanego, który nas tak umiłował, że duszę swą za nas wydał, powinniśmy to uczynić z radością, bo Chrystus jest nie tylko naszym Panem, lecz także Zbawicielem, nie tylko Bogiem, ale równocześnie prawdziwym człowiekiem, który niemoce nasze wziął na siebie, a którego siłą jestesmy uzdrowieni. Lecz jakże Go naśladować? Jedni widzą w Jezusie wzór cnoty, a w enocie najpiękniejszą ozdobę życia chrześcijańskiego. Inni mniemają, iż aby naśladować Chrystusa, trzeba pozbyć się swoich dóbr, pościć, uciec od ludzi i wieść jakiś dziwny, od wszystkich innych odróżnia-

jący się żywot. Inni znowu tego są mniemania, że od naśladowania Chrystusa należy powtarzanie słów, które wypowiedziały Jego Boskie usta, wyznawanie ustami, żęczność prowadzenia po chrześcijańsku wyglądającej rozmowy i zabawy. Czy zdania te są słuszne, że naśladowanie Chrystusa jest czemś tylko zewnętrznym, o tem poucza nas dzisiejsza lekcja apostołska, z której zechcemy się więc nauczyć:

Jak mamy naśladować Jezusa Chrystusa, Syna Bożego?

Ty zaś, Panie i Boże nasz, któryś jest Działem Twoich na ziemi, spojrzij łaskawie na nas Dzieci Twoje, naucz nas słowem Twojem, abyśmy w Synu Twoim znaleźli żywot wieczny. Amen.

Je mamy naśladować Jezusa Chrystusa, ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, o tem z pomocą Bożą chcę do was dziś mówić, o tem was chcę pouczyć. Ten Jezus Chrystus jest ten, który umarł, na trzeci dzień zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa, siedzi na prawicy mocy Bożej — jakoż tego Jezusa Chrystusa może naśladować człowiek, z prochu narodzony Tego, w którego imieniu się mają zginać kolana wszystkich tych, którzy są na niebie, na ziemi i pod ziemią? Zdawałoby się, iż Jezusa Chrystusa naśladować, naśladować rzeczywiście i prawdziwie jest niemożliwym. A przecież najmilsi! mówi Pan: gdzie ja jestem, tam i wy będziecie, ja jestem głową, wy członkami, ja winną macicą, wy latoroślami. Kto mnie chce służyć, niechaj mnie naśladowuje. Więc to jest pewna, iż mamy naśladować Chrystusa. Jak Go zaś mamy naśladować, to uczy apostoł św. w dzisiejszej lekcji, mówiąc: „Trzeźwymi bądźcie i czuły mi ku modlitwom, a nade wszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim, aby we wszystkim chwalony był Bóg przez Jezusa Chrystusa.“ Modlitwa, miłość i chwala Boża — to trzy rzeczy, trzy warunki, które wykonać musimy, chcemy-li Jezusa Chrystusa naśladować, oto ślad stóp Chrystusowych, w które wstąpić trzeba, chcemy-li się z Chrystusem połączyć.

1.

Zaiste — modląc się, ale nie uszy tylko lecz sercem, wylewając serce nasze w serce Ojca naszego niebieskiego, przedkładając Bogu Ojcu w imieniu Chrystusowem nasze życzenia, troski, przestępstwa i nasze pragnienie sprawiedliwości

nie naśladowujemy Jezusa Chrystusa? Zapewne! Kto się modli, modli serdecznie, prawdziwie, ten ci wie, że w modlitwie człowiek jest w prawdzie jeszcze na ziemi, ale także w niebiesiach, znajduje się na tym padole płaczu, ale także u Pana i Bawiciela swego. Modląc podnosimy się do Pana, On żyje w nas, a my w Nim. Jeżeli się zaś nie modlimy — a nie można się modlić, nie wierząc w Jezusa Chrystusa — tedy zostawamy w grzechu, nie mamy siły do poświęcenia, nie mamy pokoju, nie zwyciężymy świata. Dla tego też napomina Pan: zostańcie we mnie, apostoł św. uczy: módlcie się nie ustawiając, a św. Piotr w liście naszej woła: Trzeźwymi bądźcie i czułyimi ku modlitwom. Trzeźwość ta, to nie cna zwyczajna wstrzemięźliwość, owszem — ponieważ modlitwa jest rozmową serca naszego z Bogiem, więc uczy apostoł, że chcemyli się szczerze modlić, nie śmie mieszać w sercu naszym mamona, pycha, cielesne chucie, miłość świata i pieczętowanie o doczesny żywot. Musimy być w tych rzeczach trzeźwymi, wstrzymywać się od tych rzeczy, a miłość musi napętnić serce nasze, a tak — modlitwa nasza będzie prawą, a w modlitwie będziemy naśladować Jezusa Chrystusa.

2.

Leć nie tylko modlitwą mamy i możemy naśladować Chrystusa, apostoł pisze także: nade wszystko miejcie uprzejmą miłość jedni ku drugim. Miłość ma być tą związką doskonałości, łączącą tych, którzy są Jego na tym świecie, w jedną mierną, świętą społeczność. Miłość ma być tym silnym węzłem chrześcian pomiędzy sobą, którego nie rozluźnią ni słabości, ni upadki braci samych, ani też rozerwą podległości groźby i złość świata. Także tedy przemrotnymi są, którzy myślą i sądzą, iż dla chwały Bożej i zgodnie z wolą Bożą można ludzi prześladować, spalić, frew ich wylewać i tym podobne. Którzy tak mówią albo czynią, wyrzekli się Chrystusa, mogą się jeszcze nazywać chrześcianami, ale przestali być chrześcianami i nie naśladowują Chrystusa Pana. Wyrażnie bowiem powiedział Pan: „Potem pozna świat, że uczniami moimi jesteście jeżeli się między sobą miłować będziecie.”

Abyśmy atoli nie oszukiwali samych siebie pozorami miłości, abyśmy przyrodzonej jaksz dobrodusznosci i słabości nie udawali za miłość Chrystusową, wylicza apostoł niektóre znamiona prawej miłości Chrystusowej, według których możemy samych siebie doświadczać. „Miłość,” powiada apostoł, „zakryje mnóstwo grzechów,” to znaczy, miłość grzechu bliźniego nie widzi, nie słyszy, nie czuje, owszem zakrywa go, a widzi tylko brata i miłuje go. Czyż więc, najmilsi, można to nazwać miłością, gdy się dla ułomności bliźniego ma tak bystre oko, że się zaraz ujrzy i najmniejsze złybto w oku jego? Czy to jest miłość, która z takim zadowoleniem odkrywa nagość bliźniego i jeszcze drugich przywołuje, aby się nią napasli? Czy to jest miłość, gdy z sobą samym masz wprawdzie wiele cierpliwości, ale z bliźnim nie masz żadnej, i dla grzechu jego nim gardzisz i depczesz go nogami? Czy to jest miłość, która

się wstydzi za brata, który upadł, i dla pychy lub bojaźni przed sądem świata da mu zginać w grzechu zamiast go ratować? Czy to jest miłość, która za doznany urazę, rozmyśla o zemście i wykonuje ją? O nie, prawa miłość zakrywa mnóstwo grzechów, wszystko znosi, wszystkimu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko cierpi. Takowa miłość jest kamieniem probierczym, czy wolni jesteśmy od samolubstwa i naśladowujemy Chrystusa Pana.

Nadto apostoł Piotr opisuje w dzisiejszej liście prawdziwą miłość temi słowy: „Gościnnymi bądźcie jedni ku drugim bez szemrania, każdy jako wziął dar, tak nim jeden drugiemu usługujcie jako dobrzy szafarze rozlicznej łaski Bożej.” Powinniśmy tedy dzielić nasz dom i nasz stół i cokolwiek mamy z tym, który nie ma. Powinniśmy dar od Boga nam dany spożytkować dla braci, służyć im radą naszego rozumu, pracą naszych rąk, urzędem naszym i powołaniem, naszymi stosunkami, służyć braciom, nie ich wywyższać, służyć a nie sprzedawać się za niedźną zapłatę. Oto, co znaczy naśladować Chrystusa miłością.

3.

W końcu naśladowujemy Chrystusa nie tylko modlitwą, nie tylko uprzejmą miłością jedni ku drugim, ale także chwaląc Boga we wszystkim przez Jezusa Chrystusa. Jeżeli wierzymy w Jezusa Chrystusa i chcemy Go naśladować, tedy życie nasze musi być pobożne, Bogu oddane, tedy musimy w Jego królestwie pod Nim żyć w wiecznej sprawiedliwości i błogości. W życiu naszym nie może być niczego, co się woli Bożej sprzeciwia, słowo każde, czyn każdy, i każda myśl musi mieć źródło swoje i początek w Bogu. Tak najmilsi! chcieli naśladować Chrystusa prawie i prawdziwie, według nauki pisma, tedy w Jego imieniu się módlcie, w Jego imieniu się między sobą miłujcie, w Jego imieniu we wszystkim Bogu chwałę dajcie. Amen.

Stracenie anarchistów w Barcelonie.

Dnia 4-go maja stracono w Barcelonie w Hiszpanii na forcie Montjuich pięciu anarchistów, skazanych za udział w zamachu dynamitowym na „Calle de Canebios Nuevos”. Nazwiska ich są: Aschori, Molas, Mas, Alsina i Nogues. Pisma hiszpańskie przepełnione są opisami chwili wykonywania wyroku, a wyjmujemy z nich następujące szczegóły:

Dnia 3 bm. udał się sąd wojskowy do wspominanej cytadeli. Skazanych zbudowano i zaprowadzono jednego po drugim pod silnym konwojem do sali sądowej, podziemnej komnaty pod mieszkaniem komendanta twierdzy. Ascheri, główni sprawcy zamachu, sprowadzony jako pierwszy, wyszedł zupełnie spokojnie i rzekł: „Dzień dobry, mości panowie!” Bez zmiany twarzy wysłuchał wyroku, i podpisał go pewną ręką. Molas pozdrowił ró-

wniej trybunał, napozór spokojnie słuchał wyroku, nie chciał go jednak podpisać. Trzeci, Subwit Mas, był daleko więcej nerwowym: „Jestem złym anarchista — mówi — ponieważ wydałem mych współtowarzyszków.“ Późem, drżąc silnie, podpisał wyrok śmierci. Gdy wychodził ze sali, chwiał się tak mocno, że jeden z żołnierzy podchwycił go pod ramiona. Żywo wyprostował się i zawołał: „Mogę iść sam; jeszcze nigdy nie czułem się tak silnym, jak dzisiaj.“ Masina był bardzo smutny i zgnębiony. Podczas czytania wyroku płakał, łkał głośno i jęczał. „Jestem niewinny! Miejcie litość.“ Już od trzech dni wiedział Masina, co go czeka. Rodzina jego przesłała mu list: „Córeczka twoja ciągle jeszcze chora“ — co oznaczać miało: dla ciebie nie ma ratunku! — Jako ostatni wszedł Nogues. Wszedł zuchwale i nieustraszenie i zawołał: „Do pioruna! czas, aby ta historia się skończyła!“ Podpisał wyrok i pewnym krokiem wyszedł z sali.

Skazańców odprowadzono z powrotem do ich cel. Ze za pomocą czarnej draperyi, otarżyla i płonących świec zamieniono w kapliczkę, w Hiszpanii bowiem, każdy na śmierć skazany musi ostatnie 24 godzin swego życia spędzić w kaplicy, gdzie się przygotowuje do zgonu. Prócz kapelana polowego pułku Alfonsa 12., przybyło tam sześciu jezuitów, aby skazanym nieść ostatnią pociechę religijną. O ciało troszczy się „Hermandad de la Paz y Caridad“, bractwo, do którego należą osoby wyłączone wyższych stanów, a które skazanym łagodni nie tylko ostatnie chwile pod względem materialnym, lecz po ich śmierci także odprowadzić msze za zbawienie ich duszy i zajmują się zbieraniem jałmużny dla pozostałej rodziny.

O godzinie trzeciej po południu pozwolono skazanym przyjąć krewnych w kapliczkach. Masina, gdy zobaczył żonę i czworo nieletnich dzieci, rzucił się ku nim i uściśkał je serdecznie. „Wiedcie, że jestem niewinny“ mówił z łkaniem. — „Wiemy o tem“ odparła żona i zaczęła płakać. — „Mówcie to wszędzie i zawsze“ — dodał i wypchnął ich niemal z celi. Molas przyjął siostrę i kuzynkę. Do tej ostatniej rzekł: „Wiesz dziecko, że udaję się w bardzo daleką podróż?“ — „Tak“ odparła dziewczę, „ale nie zapomnij uwiadomić nas, gdy wrócisz.“ I Molas twierdził, że jest niewinny. Gdy siostra wyszła z celi, była tak wzburzona, że rzuciła się na członka bractwa i wypoliczkowała go. W drodze z powrotem do Barcelony spotkała dwóch policyantów i poczęła na nich tak rzucać kamieniami, że ci uciekli. Noguesa odwiedziła kochanka i dwoje jego dzieci. Dodawał im odwagi i mówił, że życie na tej ziemi jest nędznie, a śmierć nie napawa go wcale obawą.

Masina, Nogues i Molas nie chcieli przyjąć księży, aż do ostatniej chwili śpiewali piosenki anarchistyczne i zjadali smacznie podane im delikatesy i potrawy, pili wino i palili cygara. Ascheri i Mas nawrócili się zupełnie i cały dzień spędzili na modlitwie i rozmyśleniach. Wieczorem wzięli ślub odbywaj w kapliczce; pierwszy z wdową po rozstrzelanym anarchiście Borasie, drugi z jej córką. Uwiadczyli, iż czynią to z pobudek

moralnych. O godzinie 8 odbyły się te dwa oryginalne śluby, na których byli obecni oficerowie, sędzia i jezuici. Obydwie „panny młode“, które znajdowały się w więzieniu w Barcelonie, przyziono na wozie celowym do cytadeli.

W Barcelonie w przeddzień wykonania wyroku poprzylepiano na rogach wielu ulic plakaty następującej treści: „Mordercy! Raci! Zemsta anarchistów blizka!“

Anarchistów, uznanych za niewinnych, w liczbie 63, między nimi adwokata Corominasa, wysłano do zachodnio-afrykańskiej kolonii Rio de Oro, wskutek tego, iż Niemcy, Francja i Włochy nie chciały ich przyjąć na swoje terytoria.

Stracenie na Montjuich odbyło się bez żadnego wypadku. Wszyscy oskarżeni okazali odwagę i zadziwiający pokój. Ascheri i Mas modlili się, trzej pozostali śpiewali pieśni anarchistyczne. Wojsko gęsto obsadziło górę i nie puszczało nikogo na miejsce stracenia. Dodać należy, iż strzelano z karabinów Mausera, dostarczonych niedawno z Niemiec. Użyto ich po raz pierwszy.

Klemens Boruta.

4)

(Ciąg dalszy.)

Cóż, trzęsie cię jeszcze?

Dziś nie.

Boruta wyciągnął z kieszeni butkę i kawatek fielbasz, które sobie po wyjściu z kozy kupił, i podał Kasi.

Na, zjedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Klemens z zadowoleniem spoglądał na jej rumieńce, tem bardziej, że one rozpalily się na dosyć ładnej twarzy. Nie była ta twarz artystycznie kształtna, nie zawierała tych pociągłych rysów, które są cechą poprawnej ludzkiej rasy i tej delikatności, która jest wynikiem troskliwej hodowli, lecz tworzyła okragłe, właściwe ludowym urobom jaskło, na którym nos filuternie się zadzierał, a oczy żywo biegały. Potrzeba było tylko Kasię nieco wyleczyć, odpaść i ubrać, żeby rój parobczaków koło niej się uwijał, a paniczka za najlepszą żniwiarke uważali. Boruta był znawcą i dlatego krewniaczkę poczęstował.

Tańcowałeś w niedzielę? — spytał.

Boga tam! Na przespanie nocy mało.

Ala tyś nie od tego... mruknął Klemens i objął dziewczynę, którą tylko głowę odwróciła. Katarzyna! — odezwał się strzęczący głos z sieni.

Wybiegła.

Prosiaki kwiczą — fryczą fryczęła matka — a ty żebyś suszysz przed chłopem. Za ci je porachuje!

Jak tylko groźby uciły, Boruta wyszedł z domu; dośąd — ściśle nie wiedział. Rozejrzał się po niebie, popatrzył w jednym i drugim kierunku drogi, uciął sobie pręt z wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Dezertował on stryjka, z którym chciał się rozmówić co do możliwości dosta-

nie roboty; ale że słonice jeszcze było wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki. Od najdę Brzosta — myślał sobie — i pogadam może . . .

Na tę samą niedzę, po której szedł Boruta, wyjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim trącenie.

Rządca, czy nie rządca, a jużci on — sepnął Klemens, uczuwszy lekkie drżenie w nogach.

Klein poznał go z daleka, podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

Co tu robisz? zawołał po niemiecku.

Idę — odrzekł Boruta.

Przez czyje pole?

Przez szlaskie.

Ty zbój! krzyknął Klein, zamierzysz się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

Ostrożnie, bo ściagnę i umiarkuj.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje, nawet gdy nie grozi, coś dopiero gdy grozi. Rzekł więc spokojnie i po polsku:

Proszę zwrócić, tu chodzić nie wolno.

Święta ziemia, bo niemiec ją kupił! — bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu, a później gościncem popędził do dworu.

O odszukaniu Brzosta, po tem świeżem starciu, nie można było myśleć. Omczarz bowiem pał niezawodnie na polach dworskich, a rządca po nich chodzić zabronił. Usiadł więc Boruta na łamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopca, który w porze roboczej zadawał się dziecinnymi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczutki, aż wreszcie osadził je w trzyżłozone na patyku i zatknął na górze w ziemię. Wiatr poruszył strzybłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swem dziełem i przypatrywał mu się długo usmiechnięty.

Dobry dzień! — rzekła jakaś stara, przechodząca wieśniaczka. Dużości umieli?

Boruta, zawstydzony, nie nie odpowiedział, a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słonice już się zniżało ku ziemi. Czerwony jego obłask złocił dachy i drzewa, jak gdyby przyswieceł jeszcze nad obowiązkiem niedokończonych pracy po polu. To też robotnicy się śpieszyli, ożywieni nadzieją spoczynku i przedwieczornym chłodem, który im zmużale siły wzmacniał. Nikt wszakże nie witał z taką radością nadchodzącej nocy, jak zmęczony całodziennem próżnowaniem Boruta. Wszedł on do swojej izby i położył się na pościeli. Zasnąć nie mógł, bo w łóżku dobrze się wywczasował a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał. O czem? O tem wszystkim zapewne, co napęknąć lub odziać musiał.

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby

stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

Wy stryju? — spytał Klemens.

A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w łóżku?

Niech ja! Nie ma tam przy szosie roboty?

Ba! Przyszędłem właśnie ci powiedzieć co jest.

Co dają?

Dotąd półtorej marki, a od jutra jedną, bo powiadają, że ludzi mają dosyć.

Ha, będzie przynajmniej na podptomył z kwasem.

Jutro do dnia.

Po tych słowach wyszedł, nie spytawszy nawet, czy jego krewniak ma co polizać. Chłopi nie znają rozczuleń, a może nie mają na nie czasu. Zresztą na usprawiedliwienie Jana przypuścić trzeba, że wiadomość o kielbasie i bułce musiała za pośrednictwem Kasi dojść do niego.

Najajutrz stryj z bratanikiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

A kogo to Jan prowadzić?

Pan mówił, żeby do szabru . . .

Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

Boruta, mój bratanek.

Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch tryknął . . . nie . . . nie . . . takie zuchy niechce.

Boruta spojrzął na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost bowiem dziając się o tem, mruknął zmartwiony:

A właśnie barana dorzynałem.

Ciężko było omczarzowi tem bardziej, że części uznawał się winnym losu Boruty. Przecież, gdyby nie trzmielówka, rządca parobka by nie wypędził, a gdyby nie zeznanie Brzosta do łozby nie wszadził.

I Kasia żał za krewniakiem poczuła.

A tak częstował — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

To! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Janowa tylko szczerze rada była ze zniknięcia Klemensa. Nie czekając nawet, aż domysł się sprawdzi, wegnęła uroczyście prosięta do oczyszczonej izby.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 16.

Noc.

Bagadka.

Święta Urszula perły rozsiała,
Miesiąc widział, nie powiedział,
Słonice wstało, pozbięrało.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 18.

Głk, na niedzielę dnia 13 czerwca.

1897.

Święto Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Evangelia św. Jana. r. 3., w. 1—15.

„A był niektóry człowiek z faryzeuszów, imieniem Nikodem, książe żydowski. Ten przyszedł do Jezusa w nocy i rzekł mu: Mistrzu! wiemy, żeś przyszedł od Boga nauczycielem; bo nikt tych cudów czynić nie może, które ty czynisz, jeżeli Bóg z nim nie był. Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeżeli się kto nie narodzi z nowu, nie może widzieć królestwa Bożego. Rzekł do niego Nikodem: Jakóż się może człowiek narodzić, będąc stary? i tak pomtore może wniknąć w żywot matki swojej i narodzić się? Odpowiedział Jezus: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: Jeżeli kto się nie narodził z wody i z Ducha, nie może wniknąć do królestwa Bożego. Co się narodziło z ciała, ciało jest, a co się narodziło z Ducha, duch jest. Nie dziwuj się, że ci powiedziałem: Musicie się z nowu narodzić. Wiatr, gdzie chce, wieje i głos jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie; tak też jest każdy, który się narodził z ducha. Odpowiedział Nikodem i rzekł mu: Jakóż to być może? Odpowiedział Jezus i rzekł mu: Tyś jest nauczycielem w Izraelu, a tego nie wiesz? Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, iż co wiemy, mówimy, a cośmy widzieli, świadczymy; ale świadectwa naszego nie przyjmujecie. Jeżeli gdybym wam ziemskie rzeczy powiadał, a nie wierzyacie, jakóż, będąc wam powiadał niebieskie, uwierzycie? A nikt nie wstąpił do nieba, tylko ten, który zstąpił z nieba, Syn człowieczy, który jest w niebie. A jako Mojżesz wziął na puszczy wywyższył, tak musi być wynwyższony Syn człowieczy. Aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“

Po święcie zesłania Ducha Bożego, obchodzimy z dniem dzisiejszym uroczystość Trójcy św.; ową tajemnicę boską, wielką i niezgłębianą dla umysłów po ludzku potężnych, otwartą i jasną dla dzieci Ojca w niebieskich, ludzi ufających słowu Pisma, ludzi umiejących w pokorze szukać światła w źródle światłości. Z dziwić się temu nie można. Jak, żeby widzieć, trzeba mieć zmysł widzenia, tak aby wniknąć w tajniki królestwa Bożego, pojąć dary Pana zastępów, trzeba mieć wzrost serca, wzrost, który Bóg daje wszystkim pragnącym i wiedzącym, że w ciemności żyją. Bóg ten chce, byśmy żyli, chce byśmy opuściwszy ciemności grzechu, w światłości chodzili, a światłość tę za-

warł w słowie Pisma świętego, i kto słowu wierzy, w niem szuka prawdy, przez nie pragnie dojść do Boga, ten wszedł na drogę zbawienia, i tajemnicę Boskie Bóg mu otworzy, i to czego rozum nie zbada, geniusz nie doścignie, bojący się Boga i miłujący Go, znają, czują i pojmują.

Stwierdza to Ewangelia dzisiejsza, stwierdza słowo, które Chrystus wyrzekł do Nikodema, że człowiek nie takim jakim jest, nie w tym stanie, w jakim na świat przychodzi, jest dzieckiem Boga, ale staje się niem przez chrzest, czyli narodzenie z wody i Ducha. To drugie narodzenie nie jest narodzeniem z ciała i z ludzi, ale narodzeniem z Chrystusa, księcia, początku i źródła życia, życia tego, którego, że tak powiem, trwają, siłą żywotną, pokarmem, jest wiara, nie wiara chwytająca się, nie oznaczona, w formach zewnętrznych tylko zawarta, ale wiara w Chrystusa Jezusa, Syna Bożego, prawdziwego Boga i człowieka, który za nas i dla nas umarł, abyśmy w Jego śmierci i zmartwychwstaniu znaleźli żywot, zbawienie, grzechom odpuszczenie. Sam Chrystus albowiem w Ewangelii dzisiejszej powiada:

Kto we mnie wierzy, nie zginie, ale będzie miał żywot wieczny.

Słowa te rozważymy w tej Bogu poświęconej chwili. Do Chrystusa, w porze nocnej, powiada ewangelista Jan, przyszedł Nikodem, niektóry z faryzeuszów, książe żydowski. Człowiek ten, poświęcający się nauce i badaniu Pisma, o czynach Zbawiciela wyrobił w sobie przekonanie, że Jezus jest mistrzem, który przyszedł od Boga nauczycielem. Miał zatem wiedzę o Chrystusie, ale nie wiarę w Jego osobę, a jeżeli już wiarę, to zewnętrzną, powstałą z widzenia czynów, mogącą pobudzić do naśladowania tych czynów, ale nie wiarę z Boga wyszłą i do Boga prowadzącą. Wiara, o której Nikodem sądził, że jej Chrystus nauczyć może, była to według rozumienia faryzeuszów nauka, system, przedmiot, który dosyć pojąć rozumem, objąć pamięcią, a już się dostało do celu. Zdanie to podziela wielu i w czasach dzisiejszych, sądząc, że dosyć jest spełnić czyn, wypełnić obrządek, zadosyć uczynić formie, a już ma się niebo i jest się bliskim Boga.

Obrządki zaniebnywane być nie powinny. Ależkolwiek obrządki są rzeczą zewnętrzną, każda religia ma je, żadna bez nich obejść się nie może. Religia polega na ujęciu w formy wyobrażenia;

religii i wyznań dla tego jest wiele, są różne, lecz wiara jest tylko jedna, i w jednej tylko zbawionym być można. Każde więc wyznanie, każda religia o tyle jest prawdziwa, o ile oddała w sobie wiarę, o ile jasno, czysto wyznaje tę wiarę, którą nam Pismo święte ogłasza, a której treścią, celem, przedmiotem jest Chrystus Jezus. Dla tego to religia Starego Testamentu, religia Żydów była prawdziwą, bo wszystkie jej postanowienia były znakami zewnętrznymi, mającymi głębokie wewnętrzne znaczenie; znakami, które jak palec, jak wskazówka zwracały oczy ludu izraelskiego do tego, który miał przyjść i wybawić Izraela do Mesjasza. Kto wierzył w Tego, którego owe ofiary i obrządku wskazywały, a nie poprzestawał na dopełnieniu zewnętrznem przepisanych obrządków, temu jak Abrahamowi, Izakowi, Jakóbowi i wszystkim prorokom Bóg przyrzekał zbawienie. Zbawiciel przyszedł, i znaki i formy straciły znaczenie, religia Starego Testamentu umarła, ale wiara, którą ona głosiła żyje, jest jedną w żydostwie i chrześcijaństwie, jedną w Starym Testamencie, jedną w Nowym, z tą różnicą tylko, że tam jest zwiastowanie, tu spełnienie, ale cel jej, treść jej jedna jest, jest ten sam Chrystus, przez którego Bóg wszystkie rzeczy stworzył; Ten, którego Bóg zwiastował jako nasienie z nasienia niewiasty; ten sam, w którym Bóg przyrzekł błogosławieństwo potomkom Abrahamu; ten sam, którego głosili prorocy, którego Dawid wielbił w psalmach, który się narodził w Betlehemie, umarł na Golgocie, siedzi na prawicy Ojca, żyje i króluje, daje nam łaskę w chrzcie, grzechów odpuszczenie w komunii; którego ogłasza słowo Ewangelii, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

O jednym ze znaków takich mówi Chrystus w Ewangelii dzisiejszej do Nikodema. Powiada mu, że ów wąż wywyższony na puszczy przez Mojżesza był znakiem wywyższenia Chrystusowego. W czasie wędrówki obrzydził sobie lud mannę i szemrał przeciw Bogu i przeciw Mojżeszowi. Bóg go ukarał przypuszczając nań węże ogniste, które kąsały lud, i pomarło wiele ludu z Izraela. Lud wołał uleczenia, żądał pozbycia się złego, ale też wyznał swój grzech. Litując się Bóg rozkazał Mojżeszowi, aby ukuł węża z miedzi i wystawił go na włócznie, aby każdy, kto nań spojrzy, został uzdrowiony, nie ze spojrzenia, ale z wiary w rozkaz, w polecenie, w przeproszenie, jakie Bóg z palem tym złączył. Uleczenie więc dostępował każdy Izraelita w spojrzeniu na wywyższonego węża, rany goiły się, śmierć niechybnie odstępowała. W tem spomnieniu przeszłości uczy Chrystus Nikodema, że i Syn człowieczy wywyższony będzie, i tak jak ów wąż będzie uzdrowieniem chorych i wierzących. Bo i my, bracia moi! znajdujemy się w wędrówce, idziemy przez pustynię życia. W tej pustyni stwary dolegliwe i uciśki; węże ogniste — potęsy świata i układy; — i serce nam niemiłe, i duszę kała grzech, i zbłąkani, spragnieni, zbici z drogi gonimy mary, upadamy, ginimy. Lecz i nam dał Bóg ratunek. Syn człowieczy wywyższony, Chrystus utrzymywany ma być lekarstwem naszym.

Tak, bracia moi! nie ów znał z dni przeszłych, lecz pamięć, która nas łączy z przeszłością, lecz słowo Ewangelii winno nas budzić ze snu, abyśmy spojrzeli i przejrżeli. Bo Utrzymywany, bo Chrystus, i cóż On uczynił? Czy znacie, bracia moi! uczucie miłości, czyście kiedy w życiu mieli dobroczyncę, czy wiecie, co to nędra, co to choroba, i czy kiedy troskliwa ręka pielegnowała was? Jeżeliście znaleźli takiego człowieka, jeżeliście miłowali waszych rodziców, jeżeli sercem wielbili dobroczyncę, jeżeli znacie, co to jest poświęcenie się dla innych, tedy wiecie, jakie uczucia napęłniały serce wasze dla tych drogich waszych, dla tych waszych ukończonych. A jednak to wszystko, co oni wam uczynili, co ludzie uczynić zdolni, jak ludzie ukończyć, jak ludzie dla ludzi poświęcić się mogą, maleje przy tej miłości, którą nas Chrystus umiłował. Kiedy my wyszliśmy z Boga, a upadliśmy; kiedy my stworzeni na obraz i podobieństwo Boga w jarzmie ciała i świata żyli, On, Syn Boży, On źródło światłości opuścił niebo i zstąpił na świat, wziął ciało, wziął nędzę, nosił na sobie choroby nasze, nie miał miejsca, gdzieby złożył głowę swoją, znosił głód i pragnienie, szyderstwa i męki, a to wszystko, aby wybawić nas od grzechu, śmierci i przekleństwa, zadość uczynić sprawiedliwości Boga, i otworzyć nam drogę do utraconego raj. Dla tego to, kto w Niego wierzy, nie zginie, ale mieć będzie życie wieczne. Śmierć jest zapłatą za grzech; ob grzechów uwolnić nas może ten tylko, który grzechy wziął na siebie i za nie umarł. I wy wierząc w Utrzymanego, wy wszyscy przypominacie sobie Jego śmierć, Jego mękę, Jego poniżenie, przypominacie jak zdradzony, zraniony uwiśnię na krzyżu i wołał: Ojcze, dla czegoś mnie opuścił? Czy wszyscy przypominając to sobie wierząc: On za nas umarł, wasze, nasze, moje, twoje, naszych ojców, naszych dzieci, naszych przodków i potomków grzechy i winy na Nim leżały, na krzyżu Go poniosły i wycisły z serca owe bolesne: Ojcze, dla czegoś mnie opuścił?

Wielu nie wierzy temu, wielu szkaluje słowo Ewangelii, wielu odwraca się od utrzymowanego Zbawiciela, szydzi z Jego śmierci, brzydzi się prześlanką za nas krwią, nie chce ani słyszeć o tem, że tylko przez wiarę w tego utrzymowanego Zbawiciela, przez Jego śmierć my żywot mamy. I dla czego? Bo oni miłują grzech, bo grzech jest dla nich powabnym i słodkim, jest urojeniem, zwykłą ułomnością, i dla tego, gdy spojrzą na Utrzymanego drży dusza ich, bo tam na krzyżu ufazuje się w całej wielkości, w całym ogromie grzech i jego przekleństwo. O dla tego, bracia w Chrystusie, forzymy się przed Tym, który nas umiłował, miłujmy Tego, który za nas położył życie swoje, wierźmy w Tego, który jest Zbawicielem. Kto wierzy, ma żywot, kto nie wierzy, zginął, zginął bez ratunku. Pośredniej drogi niema, niema innej wiary, innej drogi, innego pośrednika, jedynym jest Chrystus. On powiada: Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto w Mnie wierzy, choćby też umarł, żyć będzie; nikt nie przyjdzie do Ojca, tylko przezemnie; kto we Mnie wierzy, ma

żymot. Powiecie może: ale my go mieć nie możemy, my ludzie z ciała, ciałem jesteśmy. O nie, albowiem kto się narodził z wody i z Ducha, wszedł do królestwa Bożego. Wyście weszli przez chrzest: przez wodę i Ducha narodziliście się przy chrzcie, odrodzili, wszczepili w Chrystusa, przez chrzest weszli do królestwa Bożego. Tam Bóg włożył na czoło nasze koronę królewską, ale my, my wolimy nosić jarzmo świata, i z dzieci Boga stać się niewolnikami grzechu; tam Bóg złał na głowę naszą błogosławieństwo ojcowskie, ale my swawolnie ją strząsamy i ściągamy przekleństwo.

Tak, bracia moi! kto się ochrzci a uwierzy, zbawion będzie; kto się ochrzci, jest na nowo urodzony, nie z ciała ale z Ducha. Ale jak dziecię musi wzrastać i stać się mężem, tak i my odrodzeni musimy rość w wewnętrznym człowieku. Tysiące zostawają w stanie skątwactwa, tysiące odwracają się od Chrystusa, bo świat się z nich śmieje, i stara się przytłumić ich nowy żywot. Kto się na nowo narodził, a odwraca się, wszedł do królestwa Bożego, jest jego obywatелеm, ale obywatелеm występny, który wyrzucenym być musi. Wyście odnowieni, czy w odnowieniu żyjecie, czy pielęgnujecie nowego człowieka, który w was narodził się? On z Boga jest urodzony, a wy go światu poświęcacie. W imię Trójcy proszę was, uwierzcie w Pana Jezusa Chrystusa, a niebo wam należy. Szufacie nieba na ziemi, ale nikt nie wstąpił do nieba, tylko Ten, który zstąpił z nieba, Syn człowieczy, a nikt nie wstąpi do nieba, kto nie wierzy w Chrystusa. Bez Niego żywi — umarli, z Nim umarli są żywi; bez Niego życie śmiercią, z Nim śmierć życiem. Urodzeni żyjcie, roście w wewnętrznym człowieku, a mieć będziecie żywot wieczny. Amen.

Klemens Boruta.

5) (Ciąg dalszy.)

Diabli nadali — mruzcą — wielki pan! Dlatego, żeby miał się gdzie jedną noc przespać, tyle obraży boskiej. Z bibułki — delikatny! A proszę to mogą na deszczu. O płot się oprzeć i zdrzemnąć — nie dosię?

Wszystkich tych żalów i dąsów Boruta nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko...

Imnym historykom pozostawić muszę zadanie opisanie dziejów. Według po wydaleniu się z niej Klemensa Boruty w ciągu następnej ćwierci wieku. Bo jakkolwiek przez ten czas spełniło się w tej wsi bardzo wiele zdarzeń, ja przecie, poświęwszy pióro jedynie losom tytułowanego bohatera, wypadków tych opowiadać nie mogę. Zaledwie wspomnieć mi wypada, że rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubivszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty i strzegła tradycji trzymania prosiąt w drugiej części domu; że Klein przeniósł się do innego majątku a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfiśch. Nowy rządca od tego zaczął swe panowanie, że Brzostka za nie-

dośćstwo od obowiązków uwolnił. Biedny owczarz wziął bat, Burka, peł forzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę założył stary pilśniowy kapelus, a na ramiona zarzucił kaptę zimową — i wyszedł. Drobną deszczą miosenny mżył z zachmurzonego nieba i roztopiał czarną, szarą ziemię w grzędzie błoto. Jakkolwiek Brzost miał dawno wypowiedzianą służbę i o zyskaniu środków życia przedtem myślał, znalazłszy się za wrotami, nie wiedział dokładnie, gdzie ma złożyć swoje, niezbyt wprawdzie obfite, ruchomości. Sunął się tak powoli, że Burek co chwila go wyprzedzał i przystawał; zmieszany pies widocznie odgadnywał, że jego pan przynosi się bardzo blisko, kiedy tak nogi za sobą wlecze. Jakoż Brzost, zbliżywszy się do chaty Borutów, stanął, pomyślał chwilę, wreszcie wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego siostry. Gdyby ona żyła, nie długo pozwoliłaby zapewne spocząć przyjacielowi męża i bratanca. Ale Jan, który wraz z córką tyle tylko potrzebował w chacie przestroni, ile jej dwa tapczany ze stołem zajmowały, nie wypędził owczarza.

Do i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górze prześpicie.

Brzost został, żeby jednak nie ciężać zbyt cznie gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i płótki koszyki na drugiej stronie z posagowem prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobną zarobek, dwór wszakże nieco mu do życia pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka kartosli, albo wreszcie kawałek mięsa, które on dostawał fryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekł do domu. Także wtedy weseł biegł za panem Burek! Oblizywał się ciagle i rozganiał po drodze kury, jak wówczas, kiedy Brzost barany dobywał.

Szedł czas jednostajną koleją, zabierając ofiary. Złożył do grobu Jana Borutę, wydał za mąż Kasię, obdarzył ją dziećmi, tylko Brzostka zdawał się nie tytać. Było to jedyne miłosierdzie, jakiego owczarz od losu doznał. Wszystko go przesładowało, tylko śmierć uniknął. Czy był jej za to wdzięcznym?

Po co mnie — mówił — starą skorupę chowa, kiedy tyle garstków natłuska? O i Burek zdechł — a ja nie mogę, chociaż niema nawet robaka, dla którego bym był potrzebny.

Po zgonie Burki Brzost widoczniej się postarzał, ale żył i płótki koszyki między prosiętami, których coraz nowe pokolenia przybywały do izby Klemensa. Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, żeby mu forzonek w plecionej przeciągnął. Nie pomogły niebieskie okulary z siatką, które mu rymarz sporządził, wzrok gał nieustannie. Narazie owczarz dostał zapalenie oczu i zaniemiódził. Rozpłakał się stary serdecznie.

Teraz jeśli nie przyjdą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, wyręczając się jedynie częściej synem Katarzyny. Właściwie ślepotą nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął, i pomysłowała ze dworu o starym nie zapomniwała, i rymarz do miśki zaprosił. Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni okowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszona. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędziałych, zasmalonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiódąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

Pono do węgla potrzebują — mówił jeden. Gdzie? — spytało kilka głosów.

W Budziszynie.

Chwat! — odezwał się stary robotnik. W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

To w Gliwicach!

Ot głupie gadanie — rzekła stara kobieta. Wczoraj Maciej stamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczają.

Nie będzie roboty, to pójdę do Obera i...

Daj pokój z pięścią. Żeby nie ty, możeby nas nie wygnał — zawołali dwaj górnicy.

Żeby nie ja, tobyście psom kości wydzierali.

Flaki! Oni mi będą teraz przymawiać!

Bo prawda.

Jak dam w głowę, to także będzie prawda.

Daj!

Masz kundlu!

Rozpoczęła się bijatyka. Bezbrana siła wzburzenia musiała się wyladować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi. Prostym robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuleglej wszelkie postugi, ale gdy je zerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzięki instynkty osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągłe wymysły, w których język polski przeplatał się czeskim i niemieckim, rozbuchwały gąsienicy ognia walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu, trzymając za rękaw małą obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi okowianych szary, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkimi drganiem ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mieszał, owszem, usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co przyszedł? Dość było spojrzeć na jego bose nogi, polatane spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie

ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codziennie do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo milczący, od pola walki odsumiuty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, a także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przekamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskarżeniem w tarnowickiej kopalni okowiu — oto jego historia. Dodać do niej wypadła zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

— **Bruki korkowe.** „Zeitschr. für Architektur und Ing. Wesen“ donosi, że w Wiedniu ułożono na próbę kawałek bruku nowego systemu. Są to cegiełki prasowane z masy, wytworzonej z drobno krawanych odpadków korka w połączeniu z asfaltem i innymi wiążącymi substancjami. Jako zalety tego rodzaju bruków, wspomniane czasopismo przytacza ich wytrzymałość i taniłość. Cegiełki przed użyciem, podobne jak kostki drewniane, zanurza się w smołę pogazowej, a następnie układa się na przygotowanym wprzód posładzie betonowym.

Rozwiązanie zagadki z nr. 17.

Ta zagadka jest nieznaną Świętą Urszulą pisaną.
Ona perły swe rozsiła
Miesiącowi to znać dała,
Miesiąc perków nie mógł zebrać,
Stońcu to musiał w moc dać.
Jaki się stońce w górę wzbilo,
Tedy perły pozbierało.
A tak na moje mniemanie
Pewnie będzie roza panie.

Adam Galla,
Neckendorf (Westfalia.)

Zagadka.

Wysoki tatka, niziuchna matka,
Syn sowizdrzał, córka ślepotka.

Evangelik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej”

Nr. 19.

Cik, na niedzielę dnia 27 czerwca.

1897.

Druga niedziela po świętej Trójcy.

Pismo święte jest jak źródło wód żywych, z którego czerpie się i nigdy wyczerpać go nie można. Perykopy, czyli Ewangielie i listy niedzielne, to liczne strumienie tryskające z owego źródła. Płyną, płyną co rok, zawsze te same i zawsze jednacie, mimo to orzeźwiają spragnionych, krzepią upałem codziennego życia strudzonych pielgrzymów, a wezbrane łamą tamy stawiane rękami tego świata, świadcząc, że słowo Boże nigdy się zestarzeć ani spomusiednieć nie może. Oto i Ewangielia dzisiejsza należy do owych strumyków dobrze wam znanych. Któż je nie słyszał, któż nie przypomina sobie tego lub owego kazania wypowiedzianego na ową Ewangelię a mimo to, któż jej nie czyta z zajęciem, któż nie pomyśli: pięknaż to i bogata Ewangielia. Otoż i przewielebny ksiądz Superintendent polecił mi, abym na tę Ewangelię powiedział kazanie wizytacyjne, pokazał nam jawnie, że nie należy do tych, którzy powiadają: perykopy się przestarzały, precz z niemi! — owszem wskazał nam, że się perykop trzymać powinniśmy i wypowiadać zawarte w nich prawdy, chociaż są nieraz przeciwne duchowi czasu i wstrętne nowomodnemu niedowiarstwu, jak na przykład Ewangielie o cudach Chrystusa, o wygananiu djabłów. — To com znalazł w Ewangielii dzisiejszej rozczytując się w niej, chce przed wami najmiłsi wypowiedzieć, a to com znalazł, tak mi się przedstawia:

Pan powołuje wielu, lecz nie wielu chce powołać Jego słuchać.

Zanim do rozważania tej prawdy przystąpimy, wołamy do Ciebie Boże święty, racz się zmiłować, udziel Ducha swego, otwórz uszy i serca słuchaczy, poświeć i oświeć umysł i wargi sługi Twojego. Amen.

W rozdziale, z którego wyjęta jest Ewangielia dzisiejsza czytamy, iż Chrystus wszedł w Sabać do domu pewnego przedniejszego faryzeusza i jadł tam chleb, a obecni temu z sekty faryzejskiej podstrzegali Go. Zbawiciel świata, jako prawdziwy Bóg-człowiek, wiedział o tem, znał podstępne i niegodne myśli słuchaczy swoich, mógł ich zgromić, mógł precz pójść od nich, lecz nie

uczynił tego, bo przyszedł szukać i zbawić zgubione, i nie chce śmierci grzesznika, ale chce, aby się nawrócił i żył. Co więcej, Chrystus nie tylko nie wyszedł z domu, w którym Go zdrażliwie podstrzegane, ale owszem opuchłego człowieka uzdrowił, gorszących się z tego powodu zawstydyził, pokazawszy, że gdy wół do studni wpadnie, mimo Sabatu ratują go, i w podobieństwie pokazał słuchaczom swoim, jako ich zaślepia pycha, jako szukają chwały ludzkiej, chwały własnej, a nie tego, co jest Boskiem. Jeden ze słuchaczy, uderzony słowy Chrystusa, zawołał: „Błogosławiony, który je chleb w królestwie Bożem!” Na to odpowiedział Jezus podobieństwem, któreście właśnie słyszeli z Ewangielii dzisiejszej, i ponieważ ów słuchacz mówił o królestwie Bożem, oczywiście jest, iż wieczera, o której Pan mówił i na którą pewien człowiek zapraszał wielu, jest obrazem czyli wyobrażeniem królestwa Bożego.

Lecz czemuż jest królestwo Boże? Jak każde królestwo, czego dowodem jego nazwa, jest państwem i ma swego króla, swoje granice, swoje prawa, swoich obywateli. Bożego królestwa panem jest Bóg; królestwo Boże ogarnia ziemię i niebo, jako przez Boga stworzone państwo; państwa tego zaś najprzedniejszą ozdobą jest kościół, owa stolica królestwa, a panującym jest tu Chrystus, prawem święte słowo Boże, obywatelami ci, którym król owego królestwa udziela obywatelstwa. Jak zaś obywatelstwa udziela, ucza własne słowa Króla i Pana w stolicy królestwa w duchowej Jerozolimie panującego; gdy wstępując na niebiosy powiedział: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha świętego; ucząc je przestrzegać wszystkich, com wam przykazał” (Mat. 28, 18, 19). Człowiek, o którym mówi Ewangielia, sprawiwszy wieczerzę, „posłał sługę swego w godzinę wieczerną, żeby rzekł zaproszonym: pójście, bo już wszystko gotowe!” Chrystusa sługą w stolicy królestwa Bożego, w kościele, jest każdy sługa kościoła; każdy kaznodzieja, i kto jest prawdziwie kaznodzieją Chrystusowym, spełnia wiernie rozkaz Jego: woła, woła i zaprasza, powiadając: pójście, bo już wszystko gotowe! Tak najmiłsi! naszym zadaniem, naszą powinnością, naszym obowiązkiem jako sług Chrystusa jest, wskazywać wam, nie jakbyście bogactw tego świata nabyl, nie jakbyście w tym dumnym świecie mogli ży-

stać zaszczytny, sławę, pochwały; nie jakbyście mogli nabyć umiejętności doczesnej, światowych nauk, — ale jak macie brać z tego, co wam Bóg od wieków zgotował i co obdarza tem, co jest wieczne. To zaś, co Bóg od wieków zgotował, jest ów Syn z niewiasty narodził, który miał zdeptać głowę węża (1 Mojż. 3, 15; ów forzeń Izajego (Iz. 11, 10), ów mąż boleści, który miał wziąć na się niemocny nasze i nosić własne boleści nasze (Izaj. 53, 3, 4); ów Baranek Boży, który gładzi grzechy świata (Jan 1, 29); ów mąż, który będzie sądził wszystkich świat, żywe i umarłe (Dzieje ap. 17, 31), owe słowo, które u Boga było i Bogiem jest, które się ciałem stało i mieszkało między nami i widzieliśmy chwałę Jego, jako Jednorodzonego Syna Djea z wieczności (Ew. św. Jana, 1, 14); ów Jezus, w którego imieniu wszelkie kolana składają się mają tych, którzy są na niebiesiach i tych, którzy są na ziemi, i tych, którzy są pod ziemią (Filipen. 2, 10.) W Chrystusie jest wszystko gotowo, wszystko, co was z grzechów obmyć, serce w smutku poczęścić, umysł światłością Bożą oświecić, pokojem prawdziwym obdarzyć, szczęśliwość doczesną i wieczną dać może i wszystko, co jest prawdą, żywotem i zbawieniem. Dla tego też gdy żałoni i Ewangelią opowiadamy, wołamy: pójdźcież, bo już wszystko gotowe! — I wołamy na wszystkich, na wielkich i małych, bogaczów i ubogich, żonatych i bezżennych, prostaczków i uczonych, wielkich i małych grzeszników, na ubogie, ułomne, chore i ślepe! Wołamy, wołamy słowem, — nie przymuszamy; wołamy, sami będąc tylko mizernymi sługami, wołamy po wsiach i miastach, wśród chrześcian i pogan, i aby wołanie nasze zrozumiane być mogło, wołamy nie po łacinie, ani tylko po niemiecku, po francuzku, po polsku, ale w mowie każdego plemienia, ludu i narodu! Wołamy, mizerni słudzy Pańscy, nie uzbrojeni mieczem, nie otoczeni pałokami i katami, nie w imieniu tej lub owej zasady politycznej, filozoficznej, naukowej, ale w imieniu tego, który nas posyła, który powiedział: idąc nauczajcie wszystkie narody. Wołamy przy chrzcielnicach, w szkołach, z przed ołtarza, z kazalnicy, u łóżu niemocnych, nad grobem umarłych, wołamy, bez względu na osoby: pójdźcie, bo już wszystko gotowe.

I czy wołanie nasze znajduje zawsze chętnych słuchaczy? Ewangelią dzisiejsza opowiada, że nie! Sługa, wysłany przez człowieka, który zgotował wieczerzę, wrócił i powiedział, jako wszyscy zaproszeni jednostajnie się wymawiali! Jednostajnie, bo lubo jeden rzekł, iż kupił wieś, drugi, iż chce doświadczyć wołów swoich, inny, iż żonę pojął, — wszyscy w sprawach światowych i domowych szufali powodu wymówki. Goście zaproszeni byli widocznie miłymi, i dobrymi znajomymi człowieka zapraszającego, mimo to nie przyszli. Rozgniewawszy się, wysłał sługę swego na ulicę i na drogi miejsce i kazał wprowadzić ubogie, ułomne, chore i ślepe — a gdy mimo to u stołu, na którym stała wieczerza, jeszcze wiele miejsca było, rzekł do sługi: „Wnijdź na drogi i między opłotki a przymus wnieść, aby był napet-

mony dom mój.“ Czegóż to nas uczy Pan w tej opowieści? Oto, stawia nam przed oczy dzieje kościoła swego. Najprzód wezwany został przez apostołów Izrael, lud umiłowany i wybrany przez Pana: — względny światowy, myśl o królestwie żydowskiem, walki i stronnictwa polityczne sprawiły, iż przedniejsi z ludu, kapłani, nauczenni w Piśmie, słowem to, co nazywamy dziś inteligencyą, odrzucili Ewangelię. Zaproszono więc ubogie, ułomne, chore ślepe, — to jest celników, jawnogrzeszników, ubogich w duchu, małych. Lecz Pan nie przestał na tem i rozkazał apostołom iść do pogan i słowem Ewangielii zmusić na drogach ciemności i mroźb opłotków bałwochwalstwa siedzących, by weszli do królestwa Bożego.

Tak się działo w pierwszych czasach chrześcijaństwa, tak samo dzieje się i dziś. Człowiek, który sprawił wielką wieczerzę, Chrystus Pan, wysłał nas sługi swoje i kaze wołać: pójdźcie, bo już wszystko gotowe. Lecz jakże często głos nasz jest głosem wołającego na puszczy! Oto, dymiące się w niedzielę komin fabryk, otwarte sklepy, tłumy śpieszące na przechadzkę, różne załatwiane w niedzielę rano interesa, — świadczą, iż tysiące tysięcy powiada: miejcie nas za wymówionych, nie mamy czasu! Obecnie wszystko obkłada się na niedzielę! Zgromadzenia, mityngi, wycieczki, najzabawniejsze widowiska, odwiedziny znajomych — muszą się w niedzielę odbywać, bo każdy powiada: Panie i Boże miej mnie za wymówionego, w dniu tygodnia mam do spełnienia obowiązki światowe, niedziela to dzień Twój, zapraszasz mnie do kościoła, ale gościół nie uciśnie. Ty Boże jesteś tak dobry, że Ci wszystko jedno, czy słuchamy Twego słowa, Twych upomnień, czy nie, miej nas za wymówionych! Wołamy: „pójdźcie, już wszystko gotowe! lecz jak często się zdarza, iż chociaż dom Boży przepełniony jest słuchaczami, jedni słuchają nie słysząc, drudzy myślą o tem, jakby się wydostać co prędzej z kościoła, inni zadawalniali się tem, że byli w kościele i wszystko im jedno co im mówiono, a wielkie mnóstwo — prosto z kościoła biegnie na ową szeroką drogę zwykłych przyzwyczajęń, biegnie z domu Bożego do kaplic szatana, biegnie od stołu Pańskiego do stołów Beliala. Najmilsi, co byście powiedzieli o gościu, któregoście zaprosili do domu waszego, i gość ten nie chciałby z wami rozmawiać, pokazywał jawnie, iż was lekceważy, podany mu pokarmów nie wziął do warg, a wyszedłszy z domu waszego, pobiegł co rychlej do gospody! Czyliż takimi gośćmi królestwa Bożego nie są ci, którzy temi samymi wargami modlą się i przeklinają, te same ręce składają do pacierzy i niemi też nieprawość czynią, zginają kolana, niby w imieniu Boga a przecież chodzą po szerokiej drodze?!

O najmilsi, chrześcijaństwo to główna siła i potęga królestwa Bożego, to nie zbiór obrzędów, ani szereg przepisów moralnych, to nie religia dla prostaczków tylko, to nie szata, którą się można od święta stroić, i meble ducha czasu przykrywać, — chrześcijaństwo to życie w Bogu i z Bogiem.

Dla tego też Jezus porównywał królestwo Boże z wieczerzą. Kto na wieczerzę jest zaproszony, powinien ją jeść, kto je, w tym spożyty pokarm przerabia się w Jego ciało i krew. To też na to postanowił Chrystus świętą wieczerzę, i powiada: Kto je ciało Moje i pije krew Moją, ten jest we Mnie a ja w nim. Bracia i siostry, ludzie różnych stanów i powołań w tym domu Bożym zgromadzeni, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: oto i dziś zapraszam was Bóg; oto i dziś powiadam wam sługa Chrystusowy: pójdźcie, bo wszystko gotowe! Biercie więc bierzcie słowo Pańskie do serca, a Chrystus niech ożyje w was! Chrystus ma być w was, inaczej „nie ukąsicie wieczerzy Jego! — nie będziecie tam, gdzie On jest, na prawicy Ojca.“ Amen.

Klemens Boruta.

6) (Ciąg dalszy.)

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegł na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonych dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pełkami korzeni i pretów, z których powoli, nieśmiało, plótki matki koszyły. Oboj dziesięcioletni Wicet, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

Nie tu, dziadku nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

Co ty mnie będziesz uczył! Przepłotem ten patył, teraz ten.

Alle omińcieście jeden.

Utrzyj sobie nos, głupi, który omińtem?

No, ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przełomiał się o słuszności uwagi chłopca, gderał:

Wądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwisie, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

Nie sztuła — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

Osiół jesteś, a matki baranek gdzie ma rogi?

Na głowie.

Och, ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z matym kłamał, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozglądał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

Dziadku — rzekł Wicet — czegoś chcą.

Kto?

Nie wiem.

Co gadasz, ciemiego?

Przyszli.

Kto tam? — zapytał owczarz.

Klemens Boruta — odpowiadał przybyły.

Klemens... Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepnem, pójdźże, daj rękę Brzostowi.

To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.

Nie poznałeś mnie, zgrybiałem — co? Po-pruchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile masz lat?

Czterdzieści z górą.

Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?

Zle, dziadku, zle, dwadzieścia lat w kopalni fułem, teraz roboty nie mam.

O, biedny, daj mi rękę, siadaj tu. Wypędzili cię znowu, pobiteś kogo?

Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.

To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?

Umarła.

Biedny robaku. I mnie wygnali, płotę ko-szyki z Wiciem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

Muszę, póki coś się nie trafi.

Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał co zjeść. Cherlata, cherlata, cherlata, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko było czem ucieszyć. Furda bić łbem o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrzyzka chłapniesz i na tem przestać musisz.

Wicet — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przyniesz garnuszek, co tam stoi przy postaniu liściami nakryty. Zjedźcie kaszę trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna.

Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesolego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochlaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygodny życia.

Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost, to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Ot budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

Tylko mi moiż pretów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrzętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miała. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytując się o szczegóły losów ojca, ale ona niewiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe, ale fizycznie wątłe i umysłowo nie rozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dofkano fawatek baraniego toju, nie pozwoliło się wzmocnić wątłemu z natury organizmowi i przysiępiło jej władze duchowe. Marcysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomierne wydętym brzuchem, z rzadko porośniętymi jasnymi włosami, nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w

bardzo ciasnem kółku pojęć i stosunków dość zwanych, ale po za tem kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana, jak się zwi- jej ojciec, odpowiadała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Wiczyła z trudnością do trzech, każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dla czego czwartkiem — żaden psycholog nie umiałby tego wytłomaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jabłka go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypetniawszy polecenie, siadała w kącie niema i ośkupiała.

I teraz, zmiotłszy izbę, przytuliła się do łóżka. Gdzie mała? — pytał Brzost Wida — wyszła?

Jest.

Czemuż nie gada? Nie bój się Marcy-sią, chodź tu, ja cię nauczę pisać koszyki. Wszedł Boruta.

No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany. Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

Dali mi robotę przy stodole. Marfa za dzień, ale i to pieniądź! Dziewczynno, podskocz, będzie folacya. Własny tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadru ziemniaki.

Garńka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w moreczku jest kawałek stoniny i sól. Teraz pójdę do my kupić.

Żnów wyszedł. Dziewczynna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta przyniosła widorów i nastawiła przy ogniu folację.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniła mu, że ją przed dwudziestu laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótko wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadanie przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Wyśł, zajęta ciągle najprostszymi potrzebami życia, nie ma chwili czasu kwilic rze-wnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzyszy pobożnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz jedynie osobistymi sprawami. Dostrzedz można było tylko, że między Brzostem a Borutą splątki się jakiś silniejszy węzeł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Q dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary? Kdosiół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie; I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie.

Żłota też, wiem, nie pragniesz; bo to wszystko [Twoje; Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy, Bo nad tę przystojniejszą ofiarę nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata; Tys niebo zbudował I złotemi gwiazdami ślicznie ułaskotował, Tys fundament założył nieobeszłej ziemi, I przykryłeś jej nagość ziół rozlicznymi.

Ja Twojem rozkazaniem w brzegach morze sto. I zamierzonych granic przesłoczyć się boi; Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają, Białe dzień a noc ciemna czas swój zna.

Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi; Wino jesień jabłka rozmaite dawa, Potem do gotowego gruszy i zima wstawa.

I Twej łaski nocna rosa na młde ziół padnie, A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie; I Twoich rąk wszelkie zwierze patrzy swej ży- [wności, A Ty każdego żywisz i Twej szcudroliwości.

Bądź na wieki pochwalon, wielki Panie! Twoja łaska, Twoja dobroć nigdy nie ustanie. Chowaj nas, póki raczysz, na tej niższej ziemi, Żeno niech zawsze będzie pod skrzydłami Twemi.

Rada dziecięciu.

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga, Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat; Zaczynaj uszanuj, wielbij i czej Boga, Pielegnuj w duszy niewinności kwiat.

Chowaj prostotę, nie szukaj bogactw, Nie szukaj możnych — lada wiatr ich zmiata; Najwięcej bowiem w oczach Bożych znaczy Wyszcząca jak śnieg niewinności szata.

Jeż to razy niebotyczne wieże W gruzach runęły? wierz mi moje dziecię, Podczas gdy oko Najwyższego strzeże Walego majtki na masztowym szczycie.

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga, Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat; Zaczynaj uszanuj, wielbij i czej Boga, Pielegnuj w duszy niewinności kwiat.

Rozwiązanie zagadki z nr. 18.

Niebo, ziemia, wiatr, noc.

Bagadka.

Czerwona jak koral, winny smak, Kamienne serce, czemuż tak?

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Ar. 20.

Łk, na niedzielę dnia 11 lipca.

1897.

Czwarta niedziela po świętej Trójcy.

Boże, Djcze litościwy, napełnij umysły nasze Duchem świętym i daj nam poznanie prawdy, bez niej bowiem jesteśmy słabymi i niedołężnymi, bez niej błądzimy po bezdrożach złudzeń i ułomności, przestajemy być dziećmi Twemi, oddalamy się od Ciebie, rozrywamy węzły łączące nas z Tobą i z religią. Boże! wlej miłość w serca nasze, miłość, która zwracając się do Ciebie jako do Dja, niech tem silniej ogarnie całą ludzkość, niech nam dozwoli wiedzieć w każdym człowieku brata, niech wszędzie i zawsze przypomina nam, iż jesteśmy dziećmi jednego Dja. Boże! natchnij nasz uczi-
ciami temi, dozwól nam godnie pojąć i wysłuchać naukę Jezusa Chrystusa Pana naszego, i spraw o Djcze, abysmy teraz i w każdej chwili czynem i słowem odpowiedzieli powołaniu chrześcianina. Amen.

Evangelia św. Mateusza. r. 6., w 1—4.

„Strzeżcie się, abyście jałmużny waszej nie czynili przed ludźmi, dla tego, abyście byli widziani od nich; inaczej nie będziecie mieli zapłaty u Dja waszego, który jest w niebieszech. Przetoż, gdy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jako obłudnicy czynią w bóżnicach i na ulicach, aby byli chwaleni od ludzi. Zaprawdę powiadam wam, odbierają zapłatę swoją. Ale ty, gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja, aby jałmużna twoja była w śtępcy, a Djcze twój, który widzi w śtępcy, ten ci jawnie odda.“

Wzniosłość i prostota, oto są dwie niezaprzeczone cechy prawd zawartych w Nowym Testamencie. Wzniosłość, która nas chrześcian prowadzi w krainę ducha, rozwiązuje pęta zmysłowości, ośłania przed natęrczliwością ukłód światowych i darzy niezliczonymi skarbami zasad świętych i doskonałych. Prostota w myślach łatwych do pojęcia, łatwych do urzeczywistnienia. Nic bowiem nie wyrzekł Chrystus, niczego nie zażądał, czego byśmy zrozumieć lub wykonać nie byli w stanie: możliwość wykonania należy w każdym z nas, i byle nie zbywało na chęci i woli, możemy spełnić wszystko, możemy pofonąć i największe trudności. Wzniosłość i prostota rozlane są we wszystkich naukach Chrystusa, połączone stanowią całość, która pojęta, napawa umysł niezrównaną słodyczą, otacza urokiem i już tu, na ziemi, dozwala korzy-

wać rozkoszy niebieskich. Jedną z takich słodyczy jest dobroczynność i o niej właśnie mówi Chrystus w wyrzeczonych słowach i w tych niewielu słowach zamyka wielkość, zdobną prostotą.

Zbawiciel mówiąc

O dobroczynności,

1. Wzywa nas, abyśmy byli dobroczynnymi, a zarazem wykazuje błędy ludzi pozornie dobroczynnych,

2. Naucza jaką ma być dobroczynność i

3. Co nas winno pobudzać do dobroczynności.

1.

Bądźcie dobroczynnymi woła Chrystus, nieście pomoc bliźnim waszym woła Pismo święte; wspierajcie się wzajemnie, woła ludzkość cała! Te trzy potężne głosy przenikają tysiące serc, tym głosom posłuszne są nieraz całe narody. Lecz ludzie błądzą, i często, zbyt często naruszają i najświętsze prawa, krzywią i najwyraźniejsze przepisy, — ludzie i w dobroczynności nawet szukają zaspokożenia żądz, dogodzenia dumie i miłości własnej. Takich ludzi karci Chrystus w wyrzeczonych słowach i woła, aby nie byli obłudnikami. Kto bowiem rozrzuca jałmużnę dla pozorów, ludzi i siebie i otaczających go, wytraca przeciw Bogu i religii. Kto nie czynem lecz jałmużną chce sobie łaskę Boga skarbić, poniża siebie, zapomina czem jest ów, który stworzył niebo i ziemię. Kto dając jałmużnę ogląda się na ludzi, widzi dobroczynność tylko w powierzchowności, widzi cnotę, tylko w oznakach zewnętrznych. Wszystkie te błędy potępia Chrystus, wyrzuca z towarzystwa ludzkiego i wszystkim podobnie czyniącym ogłasza, iż na ziemi już odbierają zapłatę, a razem i karę.

Gdyż, cóż może być przykrzejszego nad myśl, iż czynny nasze kończą się w tem znikomem, czasowem życiu, iż niema dla nas przyszłości, iż sami niszczymy prawo zasługi przed sprawiedliwym Sędzią naszym. Cóż bolesniejszego nad wspomnienie, że człowiek obdarzony rozumem, istota podobna Bogu zniża się do blachej powierzchowności, szuka pochwał i poklasku u podobnych sobie ludzi, u bliźnich? Cóż smutniejszego nad wspomnienie, iż podobnem postępowaniem zniwiedzamy chrześcianstwo, zapieramy się Mistrza i Zbawiciela naszego. Któryż bowiem człowiek wyrówna Chrystusowi wielkością wysławianych dobrodziejstw? Żaden i nigdy. Zbawiciel obdarzył ród ludzki

najhojniejszą jałmużną, otwierając mu drogę do cnoty, prawości, szczęścia teraźniejszego i wiecznego. Chrystus jest największym dobroczyncą, pojednał bowiem człowieka z Bogiem, uczynił tegoż człowieka człowiekiem i stworzył nową ludzkość. Wielkość dobroczynności dzieł Chrystusa podziwiała nawet zaślepiona współczesność, dzieła te przelewają się na nas, będą udziałem potomnych, przetrwają wieki, bo są niczem nie niszczone. Mimo to, Twórca tych dzieł nigdy nie szukał chluby, i cokolwiek czynił, czynił w imieniu Dzia niebieskiego, mimo tę wzniósłość, mimo to, że Zbawiciel jest największym dobroczyncą naszym, jest zarazem i najdoskonalszym, najgodniejszym naśladowania. Wstępujemy w ślady boskiego Mistrza, rozważajmy życie i czyny jego, a poznamy:

2.

Żałuj ma być dobroczynność. — „Gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja“, mówi Chrystus, podając zasady dobroczynności. Niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica, to jest, chrześciance, będąc dobroczynnymi, odrywajcie się od stosunków osobistych, rodzinnych i społecznych, przytknięcie uprzedzenia, które na zawadzie stawiać by wam mogły. Widząc w nieszczęściu nieprzyjaciela, lub tego, który was prześladował, zapomnijcie o sobie, zapomnijcie o wyrządzonej wam krzywdzie, a nieście mu pomoc z całą otwartością i stodyszącą chrześciana, pokonajcie namietność, które pobudza was będą do odwetu, szanujcie i we wrogu bliźniego i syna wspólnego Dzia. Chrześciance, widząc żebrzących wsparcia, idźcie za popędem serc, nie ociągajcie się, nie oglądajcie na stosunki rodzinne i społeczne, bo te filka groszy jałmużny nie przyniosą wam uszczerbku, nie przyprowadzą do ubóstwa. Darzcie, darzcie nieszczęśliwych, nie wymawiajcie się niemocnością, bo sądzę, że kiedy przypomniecie sobie, ilu nieszczęśliwych nie ma tyle nawet, aby zaspokoić najgwałtowniejsze potrzeby życia, kiedy tylu ginie w nędzy, chętnie pozbacicie się chwilowych uciech i poniesiecie wsparcie nieszczęśliwym. Zapomnijcie chrześciance o bieżących i uprzedzeniach, niestety, zbyt zagęszczonych w wieku naszym, to jest, nieście pomoc, nie pytając, czy nieszczęśliwy jest waszym współwyznawcą lub ziomkiem. Nieszczęście i niedostatek są jednakowe we wszystkich wyznaniach i narodach, nędza dotyka wszystkich zarówno, łączy niewierzących w Chrystusa i w prawdę, są jednak łąkami ludzi! Bóg także słońcu przyświecać i czynom cnotliwego i występcom zbrodniarza, Bóg darzy powietrzem i godnych i niegodnych, Bóg w działach dobroczynności nie czyni żadnych różnic. Podobnie czynił Chrystus: udzielał wszystkim naukę bez wyjątku, darzył pociechą i żydów i pogan i cnotliwych i występnych. Dla czegoż więc my stabi ludzkie, wyłamujemy się z pod tych praw świętych? Chrześciance, bądźmy posłuszni woli Boga i Chrystusa, nie pytajmy się, kto jest ten nieszczęśliwy; nieśmy pomoc, nasycamy głodnych i pragnących, otrzymajmy nagość nędzy.

Lecz czyli tego tylko żąda od nas Chrystus? Czy nie podaje On nam własnymi czynami wy-

szej jeszcze nauki? Nauka ta odznacza się zwięzkiem i stopniowaniem, prowadzi w wyższą sferę, ukazuje najszlachetniejszą stronę dobroczynności. Zastanówmy się albowiem nad towarzysztwem ludzkim, spojrzajmy głębiej w społeczeństwo, a ujrzymy między innemi dwie plagi niszczące społeczeństwo: — ubóstwo środków materialnych, i ubóstwo środków duchownych.

Do ulżenia pierwszemu przyczyniło się i przyczynia wielu, a nawet niema zapewne ani jednego między wami chrześciance, którzyby chociaż raz w życiu nie ulżył ubóstwu skromnym dodatkami. Niedostatkowi zaradza wielu, zaradzają wszyscy, ubóstwo powierzchowne doznaje zewsząd wsparcia, wsparcie to bowiem jest mniej więcej łatwe. Jest jednak ubóstwo przechodzące okropnością wszystkich inne, jest nędza boleśniej i srodziej dojmująca niż zimno i niedostatek odzieży; — nędza myśli i ubóstwo w enocie i religii. O jakże godny jest pożałowania człowiek, który stawszy się machiną, żyje tylko zmysłowością i w zmysłowości. Takiego nic nie obchodzi, po takim nie żądacie, aby myślał o drugich; nie żądacie, bo on myśli nawet o sobie, żyje z dnia na dzień, zaspakaja tylko potrzeby ciała; — duch, myśl są mu niezbrane. O jakże smutny jest stan człowieka, który nie zna cnoty, a jeżeli zna to z nazwiska tylko. Cóż takiego po samej jałmużnie, on ją bierze, rzuca, marnotrawi, i znów żebrze, znów wyciąga rękę, a często z nędzy swojej robi rzemiosło. Pozbawiony wsparcia, zepsuty lenistwem, nie postara się o godziwe środki wyżywienia, lecz puszcza się na występki i powiększa liczbę zbrodniarzy. Chrześciance, kalectwo ciała obudza w was litość, — a cóż powiecie na kalectwo duszy? Kalectwo to powinno z oczu waszych wycisnąć każdy żal i politowanie, powinno wstrząsnąć was aż do gruntu serca, bo nad to kalectwo, niema nic straszniejszego. Wystawcie bowiem sobie człowieka bez religii, bez bojaźni Boga, bez wiedzy dobrego. Miotany namietnościami i im tylko ulegający, puszcza się na wszystko, gwałci i najszlachetniejsze uczucia, występki popiera zbrodnią. W szczęściu dumny i zuchwały, jeżeli popadnie w niedole, gdzież będzie szukać pociechy, cóż mu doda odwagi? On niema religii, którąby potrzepiła zwałtłone serce, niema religii, którąby mu powiedziała, ufaj w Boga, w siebie i bliźnich. Rozpacz nim miota i środek, do którego się ucieka, jest odpowiedni całemu życiu, — jest samobójstwo. Równemu losowi ulega człowiek z nadwątłonemi wyobrażeniami religij-nemi, lub z wyobrażeniami, które zamknęły religię w formie i częściej powierzchowności. Taki nie oprze się nawałowi wypadków, upadnie pod brzemieniem ubóstwa i zakończy rozpaczą lub zbrodnią! Wszystkie te ubóstwa są nierozdzielne, jedno wpływa z drugiego, jedno płodzi drugie, zaradzić im, jest obowiązkiem każdego chrześcianina, a środki zaradcze podaje Zbawiciel. Gdyż Chrystus leczył nie tylko kalectwa ciała ale i duszy. On rozwinął myśli ludzi ślepiotnych zmysłowością, On nauczył cnoty, On podał religię świętą i boską. Chrześciance, jesteście uczniami Chrystusa, jesteście wyznawcami prawd, które ogłosił, obowiązkiem

więc naszym jest, zarządzać nie tylko ubóstwu ciała, ale i ubóstwu duszy. Wyszukujmy nie-
szczęśliwych, leczmy ich umysły, leczmy balsamem, który tak obficie zbierać możemy w nauce i życiu Jezusa Chrystusa. Wprawdzie, jest to zatrudnienie wymagające czegoś więcej, nad osoby pieniężne, jest to zatrudnienie, jest to obowiązek, który lepiej poznamy, jeżeli zastanowimy się nad tem.

3.

Co nas winno pobudzać do dobroczynności.

Pobudką tą nie jest i być nie powinna ani próżność ani obłuda, jako słabości nie godne istoty myślącej i przeciwne chrześcijaństwu. Jakmużna twoja ma być w skrytości, mówi Chrystus, ma więc wypływać z serca i rozumu, ma być czysta, nieskalana nieśłością myśli ziemskich. Czy-
niąc jakmużnę pamiętajcie o tem chrześciance, iż dobroczynność jest obowiązkiem nakazanym przez religią i ludzkość, jest obowiązkiem połączonym z innymi; oddzielona od tej całości, traci moc i znaczenie, zamienia się w część rachubę przed Bogiem. Będąc dobroczynnymi, odrywajcie się od ciała, nieście dary czyste, dary mienia i myśli, wspierajcie czynem i słowem, zapobiegajcie nędzy jakmużną i nauką. Biercie przykład z Chrystusa, który nauczając lud mawiał: „Bądźcie doskonałymi jako i Ojciec wasz, który w niebieszech jest, doskonały jest.” Chrześciance bądźcie więc doskonali i w dobroczynności. Czyńcie to, co wam nakazuje religia, a nie szukajcie podniekt zmysłowych, czyńcie dobrze nie dla wdzięczności, lecz dla Boga. Pamińcie zapewne chrześciance, iż trzeba wielkiej mocy i szlachetności, aby nie zrazić się niewdzięcznością; właśnie wszystkie zasady religii chrześcijańskiej wymagają siły ducha i pewnego hartu, inaczej bowiem nie mogą być pojęte i wykonane. Tego poświęcenia, tej wielkości wymaga i dobroczynność. Jeżeli bowiem chrześciance dajecie jakmużnę, jeżeli dobroczynni staracie się wlewać w zepsuty umysł zbawienne naut Chrystusa, a jeżeli wtenczas zapłatą waszą jest lećceważenie, lub inny jaki wyskok niewdzięczności, wtedy właśnie potażcie, że jesteście chrześciance, że cokolwiek czynicie, czynicie nie dla siebie, lecz dla Boga i Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Chrześciance, jeżeli doznając czysto podobnego losu, stygnąc będziecie w zapale, wspomnijcie Zbawiciela. Jakże skończył ten największy dobroczynca rodu ludzkiego! Oto niewdzięczne cłowięczeństwo rozpięto Go na krzyżu! Za cóż Chrystus przelał krew swoją, oto za ród ludzki, dla zbawienia rodu ludzkiego; i jakże on Mu się odpłaca? Niewdzięcznością i oburzającym zaniedbaniem świętych prawd i nauk Jego. Jestto największa niewdzięczność i niesprawiedliwość, a jednak Chrystus przebaczył swoim zabójcom, jednak duch Chrystusa mieszka między nami, jednak duch ten ciągle i zawsze szuka przystępu i do waszych serc chrześciance, wciśka się w umysły wasze, obala błędy, które przynosicie ze sobą na świat jako dzieci natury, otacza was i podnosi do Boga. Chrześciance! nie opierajcie się władzy tego ducha; bądźcie dobrzy, wtedy bowiem tylko możecie być dobroczynnymi; pamiętajcie, iż jak żyjecie, tak skończy-

cie, jakie są czyny wasze, taka was czeka nagroda. Niech dobroczynność wasza ogarnie całą ludzkość, niech jakmużna płynie z serc a przewodnikiem jej niech będzie rozsądek i religia. Bądźcie dobroczyncami ubogich, cielesnie i duchownie, naśladowcie Zbawiciela i wyrzucie w umysłach te słowa Jego: „Niech jakmużna twoja będzie w skrytości, a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda ci jawnie.” Amen.

Klemens Boruta.

7). (Ciąg dalszy.)

Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

Po co? — mówił Boruta. Przyniosę wam poślanie, tu spać możecie. Przecie już prosiat niema. Wnie nie zawadzacie a i dziewczynie będzie rażniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Ock, z jaką skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mieszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skierowanie, jak gdyby się bał, ażeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie padł na dół z całym brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożony tak ustawicznie, popełniał ciągle błędy i ściągając napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

Miałby ja takich trzech, jak ty — rzekł raz do niego rzadca. Nędzy — to wybudowały ja z nimi całą stodołę.

Boruta podoł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale równocześnie rosła i stodoła.

Klemens także miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet, ażeby zachwycony nim p. Dornfisch mógł nie użytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dnie w dość jasnym zadowoleniu. Brzośt siedział w domu i plótł toszki, opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę, Narcyśia pod jego kierownictwem gotowała obiady i kolacje, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, widmo głodu do izby nie zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykłe wesół.

Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzośta — jak cado.

Cóż teraz będzie? — spytał owczarz lekliwie.

Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawiadł mnie do siebie i kazał przyjeść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynaryę! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do

rzadcy. Dornfisch, ujrzawszy go, wyjął z biurka ksiągę, popatrzył na nią, obliczył pieniądze i podając je Klemensowi rzekł:

Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony; jak będzie robota, to ja was zwołam. Bądźcie zdrowi.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfisch, chciał coś powiedzieć, ale gdy rzadca powtórzył:

Bądźcie zdrowi, pościwy Boruta... nie-szczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, to samo, które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się roz-weselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabie-gło mu drogę, gdy wracał od rzadcy, obrzuciło go swymi ciepłymi promieniami i osuszało łzy, które u spuszczonej powiek robotnika zawisły. Kle-mens szedł machinalnie, ścisnąc pieniądze w ręku, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwiał wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zago-nach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddalwszy się znacząco od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wreszcie chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo żranej roli. Przez chwilę rozglądał się na około błędnym wzrokiem, następ-nie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkich miał 9 marek i 4 sz. grosze.

Nie dotożył, nie nie dotożył — szepnął smu-tnie. Żeby grosz, żeby pięć fenygów, żeby jeden.

Jerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia plułało groch, przyspiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmo-wana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i mi-siek, a rozstawione na półkach nowe koszyczki Brzo-sta stanowiły nawet pełną ozdobę. Światło je-sienne wlewając się swobodnie przez czyste, cho-ciaż maleńkie szyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. Z Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustan-nie żartował.

Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prętki podawaj. Ona nie dla ciebie śpie-wa. Ale jak urośniesz i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenie.

O, ja już dziś umiem — odezwał się chło-piec.

Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos prątem utrzesez, he? Nie taki jak ty sam? prze-chwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczka też, beczka! O, tak.

Zjedz teraz żebry — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

To ty Klemensie? — spytał strapiiony Brzost.

A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nie odcepisz jej, nie odpędzisz, nie udusisz. Ona mnie ubuś. Kanarek — szelma. Świergo-taś, obiecywał i dał — w fart. Jak robota be-

dzie. Ha, ha, ha — będzie bywa długie, bardzo długie. Chocbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Zbę-zaległa cisza.

Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co ob czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

Bo i cóż, mieli zrobić — odpark gniewnie Boruta — do głemu mnie wsadzić i na skoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i głowę, jak dla rąk zbraknie, głowa pościć musi. Czego się jąc? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była płatanina starganej nieszczęściem myśli. Rzucił je bezładu, chciał gniewem tegoś ugodzić i nie wiedział celu.

Ty potknij groch — zawołał do Marcysi wysypującej z garnka ugotowany obiad, ja potknę ciebie, Brzost — mnie, będziemy syć. Do tego przyjdzie, niedaleko... Rymarz w domu?

Pojechał — bąknęła dziewczyna.

Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpale kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

Klemensie! Klemensie! — uspokajał go Brzost.

Ja wiem, że mię tak ochrzęili, nie przypomi-najcie. Jedz mała nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat i nie opart aż tam, gdzie biedy niema.

Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jak roboty nie ma, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy karetą po mnie zaje-dzie, czy koleją dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, co do tego raj w kapocie poszli, a bez kapoty wrócili.

A ja znam takich, co tam dużo zarobili pie-niędzy!

Może ufradli. Moby to raz kosztowałem po-laków. Wleź do nich wtedy, kiedy masz dwie-skóry, bo jedną pewno zedrą.

Ot! bajesz głupstwa.

Już ja się waszego rozumu za ogon nie cze-pię. Co widziałem, to wiem. Albo to Peczko-wskiego z Glinic za Wistą nie obili? Z za co? Za to, że za kosińka się zgodził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 19.
Wiśnia.

Zagadka.

Cztery ćwierci dobrej miary
W nowy worek wysuł stary.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 21.

Cyf. na niedzielę dnia 25 lipca.

1897.

Szоста niedziela po świętej Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. Pawła do Efezów, r. 6., w. 4.

„A wy ojcowie! nie pobudzajcie do gniewu dzieł waszych, ale je wychowajcie w łaskowości i w na-pominaniu Pańskiem.“

Niedawnymi czasami mówiłem do was, naj-milsi, o obowiązkach matki względem dzieci. Obowiażki te były święte i wielkie, od ich sumiennego spełnienia albowiem zależy szczęście dzieci, zależy trwałość ich pokoju i swobody w kółku domowym, w pożyciu familijnem. Gdyż kobieta wychowuje w córkach swoich ciche, łagodne, przyszłe żony i matki, w synach, prawnych, dobrych ojców i mężów, wiernych przyjaciół, godnych towarzyszy — zatrudnia się rozwinieciem owych przymiotów, jakiego zdobyć powinien serce człowieka w jego stosunkach familijnych, domowych i towarzyskich, a tem samem kładzie kamień węgielny do przyszłych jego czynności, do najwyższych jego nawet przeznaczeń. Lecz, po dziś dzień świat zawarty czterema ścianami domu rodzicielskiego i świat jest po za temi ścianami, to dwie wielkie sprzeczności, dwaj wielcy przeciwnicy. Kiedy w pierwszym panuje boski pokój i niebiańskie wesele, a jego progów strzegą czysti aniołowie, tamten jest mieszkaniec drogich flegmatów i niecznej ziemi, wielkich czynów i jeszcze większych zbrodni, cudów doskonałości i dziwów brzydoty, walką złego z dobrem, murą niosącą albo pioruny zniszczenia, albo deszcz ożywny i urodzajny. Tego świata poznać nie może kobieta, bo jej światem są mąż i dzieci, w jego plugawie i błędne bezdroża kobieta wstępować nie powinna, bo jej drogi wiedą po obłokach, jej uczucia unoszą się ponad ziemią, ona wie dzie do nieba. Prawda i kobieta musi umieć stawiać czoło burzy nieszczęść, bo nawałnice świata wciśkają się i w cichy zakątek domowy, są one jednak jak obłok dalekiego grzmotu, bo i w domowym kółku zdarzają się niedole, te jednak ściągają się tylko do wydarzeń, jakie człowieka spotkać mogą w jego stosunkach rodzinnych, a raczej, ona winna uczyć dzieci swoje, jak po trudach życia wśród świata, spo-

cząć można i odcinając, odcinając wolno, swobodnie, obojętnie pot znoju, łączy żalu i rozpacz po-sród lubych sercu osób, pośród swoich. Taki to jest zawód matki, takie przeznaczenie kobiety, takie same i ojca, lecz jemu następuje się jeszcze jedna powinność i dla tego też zastanówmy się

Nad obowiązkami, jakie ma ojciec względem dzieci a zwłaszcza względem synów swoich.

Pomijając to, o czem mówiłem rozwijając po-winności matki, powiadam, iż obowiązkiem ojca jest uczyć dzieci swoje:

1. jak mają żyć — jako dzieci świata do-czesnego, i

2. jak żyć jako dzieci świata wiecznego jako dzieci Boże.

1.

Przeznaczeniem naszym jako ludzi z ciała, jest, żyć na tej wielkiej ziemi i pośród drugich ludzi, wchodzić z nimi w stosunki, używać praw, jakie Bóg dał człowiekowi, cieszyć się tem, co nas otacza. Lecz jakąż to różnicą panuje między tymi ludźmi, ileż to śladów udeptanych przez tysiące pokoleń w tysiącach lat, ileż żądań budzi się w sercu ludzkim, jedno przeciwne drugiemu, i ileż to na nieszczęście celów w tym życiu doczesnem. Wybór trudni a wybrać trzeba, drogę wiele a je-dną tylko iść można. Wśród tych błędnych ścieżek, mylim się nieraz, chwytamy i znów rzucaamy to, co nam brudzy podają, a potraceni w tłumie, który nas otacza, idziemy często tam, gdzie tłum ten nas popchnie a gdziebyśmy iść nie powinni. Ludzie, to jak liść oderwany od drzewa, nim mi-ta każdy powiew wiatru, nim każda okoliczność, a tak być nie powinno. W tym świecie ileż to zmian, ile różnych wypadków rodzi się i ciągle wymiwa — świat to jak wzburzone wody morza, fipią, szumią i miotają bezustannie kółką naszego życia. Umieć trzymać w dzielnej ręce ster, umieć kierować się wśród nawałnicy i nie wpaść na skały ukryte — oto nauka, jaką ojciec udzielić winien synom swoim.

Powiecie może, na co to wszystko, najlepszym ich przewodnikiem będą wypadki, jakie ich spotkają i brudzą ludzkie. Lecz, tak nie jest. Młode serce waszych dzieci, wychowanych chociażby jak w raju, wyszedłszy na świat, znajdzie węzów-kusicieli. Wasze córki znaleźć mogą fałszywe przyjaciółki, które im powiedzą, że skromność przystoi dziecię-ciu ale nie kobiecie wykształconej; że wiara po-

przysiężona mężowi przez oktarzem Boga, to czcza formalność, — córki wasze, jeżeliście je dobrze wychowali, nie pójdą za ich radą, lecz słowa wysłuchają, pierwszy raz przez nie usłyszane, mogą osłabić ich wiarę w cnotę, mogą naruszyć pokój i duszę. Co większa, kiedy córkom waszym byłby przed oczyma błyszczący świat zbytków, kiedy u nóg ich człogać się będzie niegodne pochlebstwo, kiedy do serc młodej dziewczicy szukać będzie przystępu cześć z wielkiem znaczeniem, wielkimi bogactwami, lecz niegodnym, lecz niskim — ktoś zaręczy, że one nie dadzą się złudzić, nie dadzą się omamić świetnymi pozorami? Lub jeżeliście sami wybrali męża córce waszej i sądzicie, żeście dobrze wybrali, wtedy właśnie, właśnie zmiana, jaką spostrzegacie w lubem dziecięciu, wyba świadectwo o mylnym sądzie waszym. A synowie wasi — o ileż to, ileż niebezpieczeństw zagrażają im jako dzieciom świata doczesnego. Ich niepożądany duszę nieraz będą chcieli opryskać jadłem zepsucia, ich młodym oczom pokażą cały majestat zbytku i szczęścia ziemskiego, ich gorącą pierś będą chcieli natchnąć żądzą posiadania wielkiego imienia i zapaliliwszy w nich ogień złych namiętności, zatrą niemilosierdną ręką ślady, któreście w ich duszy kreśliłi. Synowie wasi opuściwszy wasz dom rodzicielski z szlachetnymi skłonnościami, jeżeli to były tylko skłonności, mogą się z czasem nagiąć do złego. Bo zaiste i człowiek osiwiały a nie mający w sercu prawdziwej miłości Boga i dobrego, nie mający żywego uczucia i pojęcia, co to znaczy być chrześcianinem i dziecięciem Boga, obłąka się i upadnie w zdradliwe sidła fałszu. Służ to albowiem, nazywanych ludźmi prawnymi, takimi jednak nie są. Nie dość albowiem, obdać każdemu co jego, nie dość nie splamieć dobrego imienia, wypełniać pilnie obowiązki swego powołania, mimo to można nie być prawdziwym człowiekiem, prawdziwym chrześcianinem. Nie mierzmy albowiem czynów naszych po ludzku, nie porównywałyśmy się z ludźmi — miarą naszych czynów, naszych uczuć, winien być Ten, który jest zbawicielem naszym. Nie sądzmy też, iż życie jest sztuką, że ojciec, który nauczył syna sztuki życia na świecie, dopełnił obowiązków swoich. Niestety, taki ojciec nie wychował człowieka, ale sztukmistrza, ale szarlatana, może dojść wysoko, ale i na tej wysokości będzie nędznym, człogałym się robotnikiem, może otoczyć się promieniami wielkości, ale będą to promienie malowanego obrazu. Otwórzcie, otwórzcie dzieciom waszym oczy, nim je w świat puścicie, pokażcie im wszystkie niebezpieczeństwa, jakie ich czekają, obdarzcie ich umysł bystrością zdolną rozróżnić przedmiot od jego cienia, prawdę od fałszu, podnieście zasłonę otaczającą widownie świata, niech patrzą, niech widzą z daleka kraj, który przebiegać mają, inaczej albowiem nie znajdą prawdziwego gościńca. Zawołacie może — poco razić młody umysł, poco budzić niedowierzanie? Lecz czyliż nie lepiej udzielić im rad, które czerpać możecie z własnego doświadczenia, nauczyć, czego się i jak wystrzegać mają, a niż by mieli oni przechodzić tę samą drogę, którą wyście chodzili? O powiedzcie,

czyliż nie jednej chwili życia nie wspominać ze wstydem i żalem, czyliż nie wiecie, jak bolesne wam były upadki wasze, nie bądźcie samolubnymi, oszczędźcie dzieciom waszym tych upadków, tego wstydu. Zresztą, odpowiedź znajdujecie w słowach tekstu: „Ojcowie nie pobudzajcie dzieci waszych do gniewu, ojcowie wychowujcie je w napominaniu Pańskim.“ Sprawiedliwie albowiem uczułyby one, jeżeli nie gniew to żal do was, żeście im inaczej wystawili świat i życie doczesne, jak jest rzeczywistość, żeście ich nie ostrzegli o niebezpieczeństwach życia. A żebyście nie obudzili w nich niedowiarstwa względem ludzi, nie zarazili młodych umysłów, wychowujcie je według napominania apostoła, w „napominaniu Pańskim“, to jest, uczucie

2.

jak żyć mają jako dzieci świata wiecznego jako dzieci Boga. Lecz, z żalem wyznać potrzeba, że nie bardziej nie bywa zaniedbywane w wychowaniu, jak nauka religii. Służ tu ojców, ten święty obowiązek przekazuje innym, ilu sądzi, że to jest tylko rzeczą duchownych, obowiązkiem księży! O jest to błąd nie do darowania! A więc religia jest celem tylko pewnego stanu, a więc nie kaźden winien zgłębiać samodzielnie to, co jest najwyższym darem człowieka, a więc trzeba wierzyć, a samemu nie myśleć. O nie, nie, tego nie żąda religia! Nauka Chrystusowa potrzebna jest tak każdemu człowiekowi, jak potrzebna jest do życia powietrze. Bez niej nikt obejść się nie może, nikt nie jest w stanie jej pojąć, jeżeli się sam nad nią nie zastanowi, sam nie zgłębi, jeżeli tego nie uczyni, nie będzie człowiekiem, chrześcianinem, i dla tego też tak mało jest prawdziwych ludzi. Matka zaszczenia w sercu dziecięcia delikatny, piękny kwiatek religii, ale jeżeli ojciec go nie wzmochnie, burze świata zetrą jego barwy i zostawią tylko słaby jego szkielet, maluczkie ziarno. I to ziarno może z czasem spruchnieć, bo i coś bardziej wystawione jest na niebezpieczeństwo, jak wiara człowieka, ta czysta wiara chrześciańska, niezawisła od zdań pojedynczych wyznań. Na nią rzuci się z wściekłością cały świat występów, na nią podnosi zabójczą rękę piekło zbrodni, jak to widzimy na Chrystusie, bo ona, ona tylko, ta Boska święta religia, zastania nas przed mocą złego i grzechu. Religia to pancerz nieprzebity, to tarcza, to skarb, skarb nieoceniony. Ale nie jest to religia obrządków. Nie jest religią, że dzieci wasze pilnie dopełniają tych obrządków, religia jest to żywe uczucie nauki Chrystusa, żywe pojęcie prawdy, którą On ogłaszał, żądza stanie mu się chociaż w części podobnym, pragnienie wstąpienia w Jego Boskie ślady.

Nauczcie dzieci wasze, waszych synów i córki, nauczcie czytać księgę żywota, Nowy Testament, czytać nie tylko okiem ale i sercem, nauczcie je pojmować prawdy nauki Zbawiciela, nauczcie zgłębiać święte tajemnice religii, dajcie im jak tylko możecie najwyższe wykształcenie religijne, a dacie im szczęście, dacie im niebo. Wtedy nie zwiódą córki waszych powaby światowe, zachowają one dziewiczą czystość duszy, nie pożalają anielskich

Serce i uczyć zaszczerpionych w nich przez matki, będą to kobiety godne imienia chrześcianek i obywateli, kobiety godne zając w społeczności miejsc, jakie im Bóg przeznaczył. Matki kształcić winne w córkach swoich aniołom, wy wyrabiać w nich macie ozdobę ludzkości. A wasi synowie? Matka w ich sercach zaszczerpi religią, wy ją wprowadźcie do ich myśli, wy nauczcie ich wstępować w ślady Zbawiciela Chrystusa, nauczcie ich na Jego życiu, że chociaż by im ofiarowano świat cały i wszystkie korony, odepchnąć go, odrzucić od siebie winni bez namysłu, jeżeli by to miało pociągnąć za sobą dusz ich znikczemnienie. Ojcowie, wy myślicie, że waszym obowiązkiem jest odkryć, dać pokarm ciastu dzieci waszych. Prawda jest to obowiązkiem waszym, macie jednak jeszcze wyższy, jeszcze świętszy, to jest danie pokarmu i duszy, ich umysłowi. I zwierzęta odkrywają wśród zimny swe młode, wy macie wychować ludzi, wasze dzieci są nie tylko waszemi, ale i dziećmi Boga. I cóż z tego, że nagromadzicie im stosy złota, cóż z tego, że ukształcicie w dzieciach waszych cała bawiące drugich, że powiecie, iż można czotgając zejść bardzo daleko, że doprowadzicie je do tego nawet, iż wiadomością zadziwiać będą współczesnych, lub wieńcem sławy ozdobią swe skronie — to wszystko wielkie nic, to wszystko wielkie w oczach ludzi żyjących li doczesnością — ale w obliczu Tego, który stworzył niebo i ziemię, który jest prawdziwym Ojcem naszym, to nie jest, blaha, nędzną nicością, gdyż często to właśnie bywa plamą naszego życia, zniszczeniem naszego bóstwa. Nauczcie dzieci wasze, aby w każdym czasie, w każdym narodzie umieli zachować czyste serce, aby nie oni złotu, ale złoto im służyło, aby utochali prawości i cnotę, słowem byli chrześcianami, nauczcie ich tego, a wówczas może umrzeć z głodu, umrzeć w nędzy, poniżeni, odepchnięci od ludzi, ale Ten, który zesłał Zbawcę, Ten ich wyniesie, Ten przytuli dzieci wasze do swego łona.

Ojcowie, zostawcie dzieciom waszym w spuściznie pocziwe imię, a będzie to piętniejszem dziełactwem od szerochich włości lub szumnych tytułów. Ojcowie, nie pobudzajcie dzieci waszych do gniewu, wychowujcie je w napominaniu Pańskim, uczcie je własnym życiem, jak mają postępować jako obywatele, ludzie i chrześcianie, uczcie ich świętych prawd nauki Chrystusa, a dopełnicie świętych obowiązków waszego powołania. Powiecie może — iż w takim razie musielibście najprzód zmienić własny sposób życia, musieli sami pracować nad sobą, sami uczyć się pojmować religię Chrystusa! Tego właśnie trzeba, tego żąda po was święty Zbawca. Ofiara, jaką zrobić macie z własnych skłonności i urojonych praw świata, nie jest za wielką, bo wszak tu idzie o wasze dzieci, o waszą krew, o zbawienie dusz waszych, waszą i ich wieczność. Nie mówcie — to zapóźno. Dobrze czynić, postępować na drodze doskonałości nigdy nie jest i nie było po niewczasie. I wy, i wy ojcowie, których włos obrypał już szron starości, narodźcie się raz jeszcze, bo to dla dzieci waszych, waszych też podajcie siłą, męską dłoń waszym żonom, a Bóg wam dopomoże, po-

błogosławi usiłowaniom waszym, bo tylko działając spolem możecie dopełnić obowiązków rodzicielskich, tylko od was zależy szczęście, za którym darmo gonimy, na was włożył Bóg święty obowiązek wychowywania ludzkości, On wam powierzył dzieci swoje, przed tronem Jego sprawiedliwości staniecie, a biada, biada wam, jeżeliście powierzonych wam aniołów stracili w otchłan piekielną, jeżeliście własną ręką zgasili tlejący w nich płomień Boski. O wy, którzy dla uciech świata zaniedbujecie dzieci wasze, wy, którzy gorszycie ich własnymi czynami, nie wychowujecie w nich przysługujących mieszkańcom nieba, godne dzieci Boga, ale służalców świata — w godzinę śmierci waszej sumienie zawoła głosem wielkim: biada wam, biada zabójcy dzieci waszych! Amen.

Klemens Boruta.

8) (Ciąg dalszy.)

To też ty jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu zebra, że aż mu dwóch brakło. I w jednej wsi zabił. Ty pluj gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem i...

To idźcie sobie tam do sto tysięcy diabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie weselo, a drugim lżej.

A czemuże ja ci tak zaciężyłem? — rzekł Brzost boleśnie. — Zakujesz mi tego kłata, który nie żałował tylu lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wida za rękę i do drzwi zmierzzył.

Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie, jak panina w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wynawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich nie skodło. Ach dziadku! dziadku! albo raz człowiek człowieka szturgnie, a jednak go nie przebiję. Siadajcie oto i pilnujcie domu.

To rzekłszy, wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków proboszcz parafii, do której Nędza należała, przebaczyłby, widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał po prostu znaleźć kiloro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakaż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpiętych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zie Dornfisch diabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do fopania pójdziemy.

Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzieta.

Nie pan, ale potrzebny.

A my co, z fanaberyi? Nie jadamy pieczonych kijów. Wole tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

Wolicie za siebie.

A jużci nie za was — odpark gniwnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motylą kartosie, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mrusnął.

Swoim nosem jeszcze nie kopatem, ale waszym zaraz mogę.

Zórz, zórz, to ja tę skibę twymi zębami posieję.

Symbał! — rzekł Boruta i wyszedł śród świsztów i krzyków.

Chwat — w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiała, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastreczono roboty, ale z grózb nienajmowania się dworowi za tanią cenę błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracając weselszy i skuszenie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestalość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy. Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby filfu, a tymczasem nadchodząca spieszenie zima wydatki ciagle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewięcynny obleciało wszystko, mrozy szczyptały coraz silniej, obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możność najmu w folwarku ustala. Klemens z drzeniem oczekiwiał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki płótk, chociaż niedość i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy zachował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuli to chory starzec i dlatego ciągle powtarzał:

Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mieć nie będzie.

Nie kuscie — opowiadał Boruta, nie wiedząc jakim sposobem z przepaści się wydobyć.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nie nie jadł, choremu rymparciu dawała po trószce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartoski.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Żel ten nie wyrzyna się nigdy z jednych ust, ale brzmi chórem. Gdzie morowe widnio powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziłem w życiu Klemensa Bo-

ruty, odegrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski, a nawet prowincji. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy ucisk. Nieszczęściem jego nie była bezczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie kłeską dotkniętem. Dopóki bieda pozwalała się dusić, dopóty jej ofiary cierpiały odoobnionę, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każda z nich srogi los pogrzebił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośnie skargą, zlaty się w wielki okrzyk trwogi i rozpacz. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda; ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasta, gdy przeszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tyśiąców piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej prowincji, w całym państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o kłesce świat wszystek. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nie on nie jadł, a musiał przystem patrzeć na farmiáce się obierzynami kartoski dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nie tylko śwym widokiem, ale i swojemi słowami.

Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dobusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Wnie żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas cięło rzucić, ledwie się trzymasz. Febra raz trąśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żebych chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedajcie Klemensie wszystkie koszyki?

Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

Nie już niema — ciągnął Brzost słabo — niema, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę . . . próbowałem zgnać prątek . . . gdzie tam! Dusza zewsząd ucieka, tylko jeszcze w pierśsiach siedzi. Ale niedługo wystoczy. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos serce mi opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłby mi zdrow, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąć? A do wiosny nie doczekam, Marcysia, jadaś co dziś.

Nie, dziadku.

Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona zaśledek chleba dla ciebie wyszuka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 20.

Nowy Rok, cztery kwartały.

Bagażka.

Gęsia orze, piaseknie sieje,
A dobrze mu się dzieje.

Evangelik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 22.

Gł., na niedzielę dnia 8 sierpnia.

1897.

Ośma niedziela po świętej Trójcy.

Laska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Evangelia św. Jana, r. 3., w. 14—15.

„A jako Mojżesz wstał na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy. Aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“

W Piśmie św. są słowa, które możemy nazwać kamieniami granicznymi królestwa Bożego, są takie, na których jako na kamieniu węgielnym królestwo Boże jest zbudowanym. Jedne i drugie próbowano nieczym poruszyć z miejsca ich. Jedni twierdzą, iż granice królestwa Bożego są za ciasne, duch wieku nie może się w nich pomieścić, musi je przekroczyć, inni mówią, budowa to wielka ale z wiekami zwietrzała, trzeba ją przebudować, odnowić, trzeba może nawet jej węgielne kamienie wyrzucić, ma-li budowa odpowiadać duchowi czasu i wymogom dzisiejszej kultury. Nawet w teologii są różne kierunki, wśród tych, co są powołani opowiadać słowo, nie mniej wśród słuchaczy nie brak takich, co by chcieli z wodą pływać. Nie może to więc być obojętnem zborowi Chrystusowemu, jakie stanowisko zajmuje ich kaznodzieja. Za tu dziś gościem i pielgrzymem pośród was — chcicie mnie doświadczyć i wypróbować. I skusicie tak, boć człowiek jest słabym i krewlim po wszystkie dni swoje. Apostołowie Pańscy, w ciężkiej goźdwinie opuścili wszyscy Pana swego, Piotr się Go zapark po trzykroć, łatwo i w mojem sercu mogło się stać rozzerwanie, i to serce moje mogło się oderwać od Tego, który jest prawdą, drogą i żywotem. Czy tak się stało, doświadczyć, gdy wam według tekstu mówić będę:

O Tym, który na krzyżu został wywyższony dla żywota świata.

W nocnej rozmowie Nikodemowi, księżciu żydowskiemu — bo nie tylko ubodzy rybitwi, wgarżeni celnicy, wyrzuceni od ludzi trędowaci przychodzą do Chrystusa, ale także wybrańcy losu — powiedział Pan: „Jako Mojżesz wstał na puszczy wywyższył, tak musi być wywyższony Syn człowieczy, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“ Przypomnijmy sobie naj-

przód one opowiadanie Starego Testamentu. Lud izraelski w drodze z Egiptu do Kanaan, znajduje się na puszczy i szemrze przeciw Mojżeszowi i przeciw Jehowie. Tedy przepuścił Pan na lud węże ogniste, które kąsały lud a wielu umarło. Lud widząc to, przyszedł do Mojżesza, mówiąc: zgrzeszyliśmy, módl się do Pana, żeby objął od nas te węże. Mojżesz modlił się do Pana i Pan mu rzekł: „Uczyn sobie węże miedzianego i wystaw go na drzewcu, i stanie się, ktokolwiek ukażony będąc wejrzy nań, że żyw zostanie.“ I było tak, gdy tego wąż ukąsił, i spojrzął na węże miedzianego, że żyw został.“

Dziwna to historia, nieprawdaz? Ładajaci mędrak powie, jakże to może być? co może komu pomódz, że spojrzę na węże miedzianego. Bajka to dla dzieci, tyle warta, co inne podobne historie biblijne — niezgodne z nauką ani rozumem. Przedewszystkiem zauważyć należy, że Duch św. nie natchnął onych wielkich mężów Bożych, aby napisali podręcznik historii naturalnej, ale aby opowiadali słowo Boga żywego. Po wtóre zaś przypomnieć trzeba, co napisano stoi (Rzym. 15. 4): „Cokolwiek przedtem napisano, tu naszej nauce napisano, abyśmy przez cierpliwość i przez pociechę pism nadzieję mieli.“ Wszystko, co w Biblii napisano, jest ogniwem jednego wielkiego łańcucha — każde ogniwo dla siebie dziwnem się nie raz wydaje, ale wszystkie razem tworzą cudowną istotnie całość, która rzeczywiście napętnia serca cierpliwością i pociechą, i obudza w duszy niebieską nadzieję. Jak w przyrodzie to, co jest cielesnem jest obrazem rzeczy duchowych, tak w Piśmie św. Stary Testament jest cieniem i obrazem rzeczywistości, którą przedstawia Nowy Testament. Miedziany wąż, wywyższony przez Mojżesza na puszczy jest obrazem i podobieństwem. Jako miedziany wąż na puszczy wywyższony przynosi ludowi Izraelskiemu cielesne uzdrowienie, tak Jezus Chrystus, nasienie niewiasty, które miało potrzebę wężowi głowę, został wywyższony na krzyżu, tu uzdrowieniu i tu wiecznemu żywotowi rodu ludzkiego.

Ku uzdrowieniu? Czy jesteście chorzy? O tak chorzy, chorzy na ciele i na duszy. Któż temu może zaprzeczyć? Idźcie na cmentarze nasze, ujrzącie tam grób za grobem, male i wielkie. Którzy tam odpoczywają, używali żywota swego, jak i my. Teraz są umarli — bo zaplątą grze-

On jest śmierć, są umarli — bo taki jest skutek ukażenia wężowego, są umarli, — po krótszej lub dłuższej chorobie cielesnej. A śladów chorób duchowych azali nie widać na każdym kroku? Cóż znaczą wyniosłe myśli pyszałków, którzy się żywego Boga wypierają, a sami chcą być bogami?

Azali nie jest to choroba duchowa? Azali nie są na duchu chorzy, samobójcy, zbrodniarze, marnotrawcy, mściwi i kłóliwi, azali nie są chorzy na duchu wszyscy, co popadli w występki hańbiące? W długiej i uciążliwej drodze żywota, przez puszcze do niebieskiego Kanaan, skuszeni i zwiedzeni przez węża starego, zmęczeni i zniechęceni się, stracili siłę i ochotę do życia, rozchorowała się dusza ich. Tak najmilsi! grzech jest chorobą, która wymiera skutki swoje na ciało i duszę, która sprowadza doczesną i wieczną śmierć. Pan sam to powiada, a słowo Jego jest prawdziwe: Wszyscy zgrzeszyli. Prawdę tę próbują obalić zarzutem, że przecież małe dzieci nie są grzesznikami. Wszem i ich serce zatrute jest grzechem. Kto ma oczy a chce widzieć, ten temu nie zaprzeczy. Jak upadli aniołowie Boży, tak upadają i dzieci, jak człowiek od Boga stworzony został skuszony, tak co z ciała jego pochodzi, ciałem jest, ciałem grzesznym, które nie może odziedziczyć królestwa Bożego. Ach jakże często dzieci są złośliwe, mściwe, jakże często można dojrzeć w sercach ich początków złego, które w późniejszym życiu splami ich duszę — z grzesznych rodziców narodzone, nie mogą być świętymi i cnotnymi, ale są grzesznikami. Nazwijcie to słabością, niedoskonałością, prawem natury, nazwijcie, jak chcecie — zawsze prawdą zostanie, że jesteście chorzy, chorzy na cieło i duszę, grzech przywiódł na nas cielesną i duchową nędzę.

Nazwijcie najmilsi! Jeżeli to jest naturalnym biegiem rzeczy i nieuniknioną koniecznością — dla czegoż narzekacie? poddajcie się przecie ślepo tej konieczności i zaniemajcie w holu! Czy to potraficie? Na małą chwilę, na dni kilka, — a potem wybuchnie gwałtownie żal, serce jęknie w rozpacz, i ogląda się za pomocą. A wieczna miłość w niebiesiech słyszy tę jękn, słyszy wołanie nędzarzy. „Zbawie twoje przynwóde, i od ran twoich uleczę cię, mówi Pan.“ Syn Boży, przyobleczony w nasze ciało i krew, daje się za nas wynwyższać na krzyżu, i wydaje samego siebie za grzechy nasze. W Nim dofonane jest zbawienie świata. „On grzechy nasze na cieło swoim zaniósł na drzewo, i niemoce nasze na się wziął, a siniałością Jego jesteśmy uzdrowieni.“ Śmiercią swoją objął moc temu, który miał moc śmierci, Jego święta, pojednawcza śmierć jest żywotem świata. Te śmiercią, zglądzone są śmiertelne rany, jakie nam zadał grzech. A tak Chrystus ukrzyżowany i zmartwychpowstały jest lekarzem naszym od grzechu, a śmierć Jego lekarstwem. W Chrystusie ukrzyżowanym mogą wyzdrowieć wszyscy ludzie, od wszystkich nieuleczalnych ran, w Chrystusie wszystkie stracone i na śmierć chore dusze, mogą znaleźć potrzepienie, siły nowe, żywot i zbawienie. Nauka i umiejętność, wywody rozumu na tę chorobę, człowiekowi nie pomagają, lecz

jedynie, jak powiada sam Zbawca i pomocnik nasz, — wiara. Wiara tak wielkie rzeczy czyni. Kto w Niego wierzy, nie będzie osądzony. Kto w Niego wierzy, nie będzie osądzony. Kto w Niego wierzy, chociażby umarł, żyć będzie.

Tak najmilsi! Nie tylko przytoczone słowa, ale cała Biblia uczy zgodnie, że Bóg za grzesznego, a wskutek grzechu, mocy śmierci poddanego człowieka, Syna swego Jednorodzonego wydał na śmierć, a każdy, kto pragnie być wybawionym, wysłuchanym, uzdrowionym, musi — wierzyć weń. A cóż to znaczy wierzyć? Jestli wiara wiedzą o Tym, w którego wierzymy, przyswojeniem sobie pewnych zasad teologicznych, albo może mówieniem w biblijnych słowach, zwrotach i wyrazach? Wynajmij! Uczeń tłumaczy w najroźniejszy i najsprzeczniejszy sposób, czym jest wiara, a przecież Pismo św. wyraźnie nam to objawia. Wiara nie jest wiedzą, bo i „diabli wierzą, że jest Bóg, a drżą.“ Pismo św. uczy: Wiara jest testliwym wyglądaniem Bożkiej pomocy, serdeczną ufnością w moc i łaskę Bożą, ochotnym oddaniem się w Bożą opiekę i opatrność. Jako Mojżesz kazał Izraelitom wejść na węża miedzianego, wynwyższonego na drzewcu, tak Bóg kazuje nam wejść na Ukrzyżowanego. Tu jasno jest powiedziane, co to znaczy wierzyć. Najmilsi! niechże taką będzie nasza wiara. Nie szukajmy nigdzie pociechy i pomocy w utraپieniu dusz naszych, jak u Ukrzyżowanego. Gdyby Izraelici nie byli wejrzeli na węża miedzianego, byłiby pomarli, — i my, jeżeli nie wejrzymy w wierze ku Ukrzyżowanemu, będziemy nosili z sobą niezagojone rany nasze i od nich pomrzemy. Najmilsi! nie możecie, czy też nie chcecie wierzyć? nie może się to zmieścić w głowie waszej, że Jezusowe rany, męka i śmierć mają pomódz wam, i mają zglądzić grzechy wasze? A przecież radno jest, abyście z wesółem i uśliwem sercem wierzyli. Czy nie byłiby głupcami owi Izraelici, gdyby się byli trapiłi myślami, co im może pomódz on wąż miedziany, zamiast wejrzeć nań i być zdrowymi? Spoglądaj ty z wiarą ku Panu i Zbawicielowi twemu, mimo wątpliwości twego rozumu, abyś nie umarł ale żył. Więcej jał na przemądry twój rozum, zważaj ty na twoje sumienie, które się głośno domaga pojednania. A każdego człowieka w głębi duszy jest potrzeba pojednania, pragnienie, wzdychanie i zutkanie za zbawieniem, czy sam potrzebę tę czuje i rozumie czy nie. W każdej duszy jest próżnia, która tylko Chrystusem może być wypełniona. A jeżeli jeszcze wątpisz, jeszcze jesteś niepewnym, weź Pismo św. i czytaj, przypatrz się osobie i życiu Chrystusa Pana, a potem uważaj, co ci powie twoje serce. Powie ci: Mąż ten nie kłamie. A ten mąż powiada: „Jako możesz węża na puszczy wynwyższyl, tak musi być wynwyższony Syn człowieczy, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“ To jest krew moja za was wylana ku odpuszczeniu grzechów. Jamci jest chleb on żywy, którym z nieba zstąpił; jeżeli kto jadł z tego chleba, żyć będzie na wieki, a chleb, który ja dam, jest ciało moje, które ja dam za żywot świata.

Tu jest koniec kazania mego. Pekną pro-
stoty jest prawda Pisma o grzechu i odkupieniu,
prosiem też jest moje kazanie. Jezus Chrystus
jest prawda, droga i żywot. Wierz w Pana Je-
zusa Chrystusa, a będziesz zbawiony ty i dom
twój. Amen.

Klemens Boruta.

9) (Ciąg dalszy.)

Żoł tam sześciu psów żywią i dla ciebie się
znajdą. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma
kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w
gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w wię-
szą maglinę. Narzekał, zdejmował sobie włos z
serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę buł-
kami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i
wysunął się z izby. Przed domem spotkał ry-
marza, któremu bieda również dokuczała zaczęła.

No, stuknijmy się łbami i rozbijemy je —
rzekł Klemens — bo już niema innej rady.

Ja idę do landrata, mówią, że rozda je zapo-
mogi.

Skądże?

Z Berlina przysłali.

Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkiał o milę drogi. Przed
domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych,
obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się
od głodu. Szepotali oni coś znacząco między sobą.
W duszę nowoprzybytych wstąpiła nadzieja.

Żeby nie miał dać, toby nas nie wolał —
mówiła jakaś kobieta.

Ale gdzież tyle zboża?

Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.
Nareszcie wyszedł landrat.

Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie
spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla
was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

A gdyby zająć do księdza — szepnął rymarz.
Dobrze — odpowiedział z rezygnacją Boruta.

Przybyli na plebanie. Właśnie proboszcz
wychodził z domu.

Czego to chcecie?

Porady, księżu dobrodzieju — mówił rymarz
— nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

Coż ja wam poradzić mogę, moi kochani.
Jeśli Bóg się nie zmiłuje, człowiek nie pomoże.
Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo
nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad
wami się zlituje. Bóg was wszystkich policzył,
nikomu zginąć nie da, gdy nie zechce. Módlę się
za was.

Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie pro-
boszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport,
jeden do ministerium, drugi zaś do nieba, obaj
zapowiadali pomoc, tymczasem...

Co robisz teraz? — spytał Boruta po odej-
ściu księdza.

Tak, chyba też o łeb rozbić — mruknął ry-
marz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, za-
trzymał się nagle przed śmietnikiem. Wiedzący roz-
maitego rodzaju obrzynkami i kośćmi leżała kupka
kłów buraczanych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz
miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w pi-
wnicy wyrosły. Zda się na barszcz — co?

E, gdzieby.

Zda się, powtórzył Boruta i ziele zaczął zbie-
rać. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze,
pośpieszył z towarzyszem drogą do Nędzy. Jak-
kolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali je-
dnak nieco weselsi. O słowach księdza zapomnieli,
ale przyrzeczenie landrata utkwilo im w pamięci.

Aby jakiś czas przebiegować — mówił Bo-
ruta — zanim komisya przyjedzie.

Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za
nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy
marek dla biednych ofiarował.

A no, to i dobrze; ale czy na taką moc lu-
dzi wystarczy? Wszędzie głód, kiedy jeden w gę-
bę kładzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Cią-
żymy Józefie, bo mi nogi omblały.

Niesiedli przy drodze.

Nie macie kawałka chleba?

Z obłąd nie mam! Ledwie dzieci po
fruszyńce dostanę.

Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W do-
mu został Boruta nieprzytomnego Brzościa i pla-
czącą Marcysię.

Masz — rzekł do córki, wyjmując kły bura-
czne — gotuj teraz barszcz.

Nie umiem tatulu tego robić.

Gotuj tylko, głupia, samo się zrobi.

Zrobiło się rzeczwiście samo, ale co —
tego nawet Boruta powiedziecby nie umiał. Kły
buraczane utworzyły jakąś bladobrózową masę i za-
barwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia
wylała odwar na misę, ojciec jej zadumał się
nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy
wodę. Skosztował — jedno i drugie bez soli,
bez kwasu, bez żadnej doprawy było mdłym, obrzy-
dłym. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz
mrożonego głodu, nic nie jadł, znalazł w tem
smak przedziwny.

Soli tylko brak — rzekł. — Brzoście, napij-
cie się barszczu.

Jedzcie sami, moi drodzy. Jagna nie dała
mi jabłek, w gębie gorzko, ale inaczej nie będzie.

Kapkę — namawiał Boruta.

Ha, daj mi tylko.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru.
Dweczary posmakował i splunął.

Wnie już nic nie dogodzi; zdaje mi się, że
ciepła woda.

Jedź Marcysia — rzekł Boruta — widocznie
łatniejszy tej ciepłej strawy.

Gdyby ja mógł sam pochłonąć! Widok
wszakże wynędzniałego dziecka tkwił w nim głód,
a budził ojcowskie przywiązanie.

Jedź prędzo — naglił, jak gdyby chciał usu-
nąć sobie z przed oczu pokusę.

Pokusę wszakże wyczerpywała jego cierpli-

wość. Warcząc przy misce, z której Marcysia po-
jądlawie jadła barszcz, wynagradzał sobie przy-
najmniej poświęcenie gniewem.

Nie spiesz się tak, nikt cię nie objada. Wi-
dzisz, szelmo, ojciec ci buraków przyniósł, a coś
ty ojcu przyniosła? Piłś mleko, a ja nic nie
piłem. Staranie moje! Żeby nie ty, nie zdy-
chałbym z głodu. I nieboszczyka przez ciebie zgi-
nęła. Ach, biedna ona moja, gdyby żyła, nie
marniałby człowiek jak pies.

Boruta rzewnie zapłakał. Chociaż jego wy-
rzuty nie dodawały apetytu, Marcysia chcia-
ła jadać. Gdy nareszcie przestała, ojciec podmycił
miszkę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozo-
stałe zielisko.

Marcysia, sprzątnawszy naczynia, siadła pod
zimnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych
jej oczu widać było, że chciała spożyty barszcz ja-
zemlić. Jakóż zaczęła jęczeć, krzusić się i splu-
wać.

Nie mówiłem — krzyknął Boruta — żebyś ja-
dła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Ma-
ciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi... Nie
macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Uraganiem było żądanie lekarstwa od tych,
którzy jeść nie mieli. To też Boruta wzru-
szył ramionami.

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uch-
lił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzo-
sta często przybiegał, zajęty płaczem przy chorej
matce, ani razu się nie pokazał. Bieda Boruty
znana była we wsi, ale od czasu, jak przestała
być wyjątkową, od chwili, kiedy głód i choroby
spadły na większą część mieszkańców Nędzy, nie
zwracano na niego szczególniej uwagi. Jedynych
pochłaniała własna niedola, drugich przerażała
groźba zarazy — i dlatego nikt do domu Kle-
mensa przez cały dzień nie zajrzał. Dopiero wie-
czorem, skopotany chorobą żony rymarz przyszedł
użyć snutkowi. Odrazu jednak spostrzegł, że tu
pogasły wszystkie promienie nadziei i że nieszcze-
ście rozpostarło swój mrok żłowrogi. Pod pie-
cem, na tem samym miejscu, gdzie padła, leżała
nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały
się szyszczące oddechy. W łacie, na barłogu, rzucał
się rozgorączkowany Boruta, trapiiony jaskramiś
widzeniami. Przy drugiej ścianie Brzost nie da-
wał znaków życia.

Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz sta-
łym głosem. — Kto to?

Ja.

Ty Józefie — o, mój drogi, co się dzieje?
Słyszysz jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy
kto umiera.

Klemens z córką chorzy.

Chorzy — powtórzył stary — to już wszy-
skim koniec. Aby przedzej... aby przedzej...
Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze...
Prosiłem Klemensa: dobij — nie chciał. Teraz

niema nawet komu dobic... Straszna godzina!
Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia. Nie
masz ciepłej kropli, bo mi wnetrzości marzną?

Żona chora — odrzekł rozpaczony rymarz, a
usłyszawszy w swym mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Szyszczące oddechy
Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobu-
dzają co chwila imaginację opuszczonego starca,
który powoli zapadał w stan nieprzytomnego roz-
drażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bar-
dziej rozstrzajać.

Nie wypędzę owiec — mówił w malignie —
bo duża rosa... Klein mnie wypędzi... Bu-
rek, do nogi... podły pies... pocziwny...
zdechł... z głodu... Brzost sam nie miał
chleba, jemu nie dał... Słupy, światła nie zo-
baczy, własnych rąk swoich nie widzi, któremi ko-
sztył pleść musi... Dobij maro... ja się
sądu ostatecznego nie boję. Z ciałem nie wstąpię,
bo uszło... Ps! licha, nie pokazuj mięsa, bo
to glina... Brzost chory, ale nie głupi...

Tak długo jeszcze bredził dogorywający sta-
rzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać
niezrozumiałe dźwięki, potem tyłko drgały niemó-
... usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieś o
przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdro-
wia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną na
przedzie z ofiar jałmużnę. Skupiała się też przed
dworem gromada obdartych, wynędzniałych bieda-
ków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozu-
mieniu się z radcą obaj urzędnicy postanowili
przedewszystkiem odbyć rewizję mieszkań. Dom
Boruty stał pierwszym przy drodze od dworu, do
niego więc najprzód wstąpiła komisja, której to-
warzyszyl orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył
drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny
widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej
izbie, leżały trzy wysze, nieodziane, okropną woń
ziewające ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem
Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę
owczarza, która bezwładnie opadła.

Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który
się ze swej izby wysunął.

Trzeba go wynieść — mówił doktor — bo
pomietrze zaraza.

A co tym jest? — spytał landrat.

Genius epidemicus. Co tu myśleć o zdro-
wiu? Gdyby ich dziś na nowo stworzyć, jutro
by pomarli.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 21.

Niebo, ziemia, wiatr, noc.

Bagadka.

Baba się mozołi, gdy igłę nawłóczy;
Chłop sypie bez igły, choć się szyć nie uczy.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 23.

Gł., na niedzielę dnia 22 sierpnia.

1897.

Dziesiąta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i spójność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

„Wystawiaj dusza moja Pana, i wszystkie wnętrzności moje imieniu Jego świętemu“, — albowiem Pan wielkie rzeczy uczynił ze mną, za Jego łaskawą wolą jestem pośród was aby wam opowiadać słowo Boże. On mię przywrócił z dalekich stron do ojczyzny, On wysłuchał prośby serca mego. Znowu stoję na kazalnicy tej świątyni, gdzie zostałem ochrzczony, znowu mam być szafarzem tajemnic Bożych przy tym ołtarzu, u którego zostałem ordynowany — to jest zapewne wielka łaska Boża, która wzrusza serce moje, a którą wystawiać muszę wargi moje. A chwalić i wystawiać Pana mam nie tylko w komorce mojej, lecz także pośród was, bom na to powołany jako kaznodzieja. Dla tego potrzeba, abyśmy się z sobą porozumieli, abyśmy sobie, acz się od dawna znamy, popatrzeli w oczy i zawarli z sobą przymierze, na które niekiedy Bóg wszechmogący powie swoje Amen. W tym celu chcę w tem mojem wstępniem kazaniu na podstawie przeczytanych słów św. Jana, z pomocą Ducha św. wyłożyć: Co i w jakim celu sługa Boży powinien zborowi Bożemu zwiastować?

1.

Co sługa Boży powinien zborowi swemu zwiastować, naucza nas św. apostoł Jan temi słowy: „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy.“ A cóż to święci apostołowie widzieli i słyszeli? Jan św. pisze w swojej Ewangelii: „Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako Jednorodzonego od Ojca, pełne łaski i prawdy.“ Inny zaś apostoł wyznał: „Tys jest Chrystus, Ojciec Syn Boga żywego.“ Mierny zaś Tomasz rzekł: „Boże mój i Panie mój.“ A potem — potem wszyscy uczniowie są „jednomyslnie pospólnie i stał się z prędką z nieba szum i napelnieni są wszyscy Duchem św.“ Bojaźliwi kładą jako moc mający, wzgardzeni nauczają królów, mała garstka wyrasta w zbór, zbór wyrasta w kościół, który obejmuje miliony, ogarnia całe ludy i narody,

farmi wysokich i niskich, zgromadza rozproszone, zawiązuje zranione, potrzebia słabe, a to wszystko w imieniu Jezusa utrzymywane. Święci apostołowie i szafarze tajemnic Bożych wiele wycierpieli opowiadając Ewangelią. Sieczeni różgami, kamionowani, w niebezpieczeństwie między żydów i pogan, w pracy i utrudzeniu przecież nie ustali, albowiem moc Boża okazuje się w słabości.

To samo powołanie, opowiada Chrystus Pana, mamy i my kaznodzieje słowa Bożego. Powinniśmy wam Ewangelią zalecać, srodkami łaski Bożej podawać, słowo opowiadać, nalegać w czas albo nie w czas, strofować i napominać ze wszelką cierpliwością i nauką, bez względu na osoby, nie dla zysku, ale dla rozkazu arcybiskupa dusz naszych: „Idźcie na wszystek świat i opowiadajcie Ewangelią wszystkiemu stworzeniu.“ Bez tego powołania i ustanowienia Chrystusowego, czemużbyśmy byli? Bez tego Jego pełnomocnictwa, czemużbyśmy poczeli między wami? Lecz On, Chrystus Pan, kładzie łaskę pasterską w serce nasze, i naszym obowiązkiem jest paść owieczki Jego. My nie jesteśmy urzędnikami, nie tylko nauczycielami, ani też panami zborów, lecz pasterzami, pasterzami dusz waszych, a dla tego nie możemy wykonać urzędu naszego z własnej mądrości i mocy, lecz jedynie w Jego mocy i imieniu. „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy“, pisze św. Jan. Jeżeli nie możemy z całego serca wtórować tym słowom, t. j. jeżeli nie wierzymy, iż w żadnym innym nie ma zbawienia, ani żadnego innego imienia nie ma danego ludziom, w którymby mogli być zbawieni, oprócz tego imienia Jezus Chrystus — w ten czas nie pasujemy, owieczek Chrystusowych, ale je tylko poganiamy, nie budujemy kościoła lecz burzimy go, nie zawiązujemy ran ale je jatrzymy, nie jesteśmy sługami Bożymi ale sługami i niemołnikami świata.

Lecz czyż możemy istotnie rzec z Janem apostołem: „Cośmy widzieli i słyszeli, to wam zwiastujemy“? Zapewnie, że możemy — kto nie może, ten najemnikiem jest — albowiem co mamy zwiastować, jest w Biblii napisano. W słowie Biblii widzimy i słyszymy Chrystusa w Jerozolimie, w Betleemskim, na puszczy, w Egroju i na Golgocie, słyszymy nauczającego a widzimy czyniącego, cnota, umierającego, zmartwychwstałego i w niebo wstępującego. Tego to Chrystusa, słowo, które się stało ciałem, prawdziwego Boga i człowieka,

Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata, siedziego żywych i umarłych, najwyższą miłość Bożą, mamy wam opowiadać, nie tylko ustami, urzędowo, według zwyczajów, ale w wierze i miłości, w Duchu św. Tego Chrystusa, z Dział w wieczności urodzonego a z Maryi Panny narodzonego, który za grzechy świata ukrzyżowany, wstał z martwych trzeciego dnia, tego Chrystusa i Boga, Dział Jego, tudzież Ducha św. chcę i ja wam opowiadać. Ten Bóg w Trójcy św. — oto hasło moje, oto otryś mój wojenny między wami. Jezus Chrystus wezorał i dziś i tenże sam aż na wieki. On naszą tarczę i obronę, On mojem kazaniem, On naszym początkiem i końcem. Boga i słowo Jego, to a nie innego, ja służa Boży, mam wam opowiadać. Wyznanie naszego kościoła, który tu na ziemi nosi imię kościoła luterskiego, jest także mojem i waszem wyznaniem, nie śmiem tedy od wyznania tego odstępować, takowego zmieniać, co innego wam opowiadać, oprócz objawionego słowa Bożego, nie śmiem też innego z wami zamierać przypomnieć, jeno przypomnieć w imieniu trójjedynego Boga.

2.

A w jakim celu dzieje się to zwiastowanie? Tego uczą nas znowu te słowa św. Jana: „Abyście i wy z nami społeczność mieli.” Na czemże zaś polega owa społeczność? Czy na tem, że wy przychodzicie do tego kościoła, a ja wstępuję na tę kazalnice? Czy na tem, żeście wy mnie wybrali, a ja poproszę wam wstąpić? Są ci te zewnętrzne znaki kościelnej społeczności potrzebne, niezbędne, ale niedostateczne. Słuchajcie, czego potrzeba do prawdziwej społeczności między nami: „A społeczność nasza aby była z Działem, i z Synem Jego, Jezusem Chrystusem.” Układ, mocą którego ta społeczność jest zawarta, nie jest pisany inkusem ani na papierze, ale krwią Pana naszego, Jezusa Chrystusa, w dzień chrztu naszego, albowiem którzykolwiek jesteście ochrzczeni, w śmierć Chrystusową jesteście ochrzczeni. Tak najmilszy! słowem swoim „idźcie na wszystkie światy i nauczajcie wszystkie narody, a chrzcić je w imieniu Boga Dział i Syna i Ducha św.” Chrystus Pan nie tylko ustanowił urząd kaznodziejski, ale też kaznodzieje i słuchacze słowa spoik i złączył w jedną ścisłą, nierozdzielalną społeczność. Społeczność tę św. Paweł apostoł tak opisuje: „Przez jednego Ducha my wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni, a wszyscy napojeni jesteśmy w jednego Ducha,” a zaś tego ciała głową jest Jezus Chrystus. Przez chrzest więc i wieczną Pańską jesteśmy jedną społecznością. Wy i ja jesteśmy tej społeczności członkami. Jako więc ciało różne ma członki, które acz różne jedno tworzą ciało i nawzajem sobie służą, tak też w zborze bogaci i ubodzy, uczeni i prostacy, kaznodzieje czy kościelni, nauczyciele i uczniowie są jednym ciałem, a głową ciała Jezus Chrystus. Wam to przypominam i każdemu napominam, aby społeczność nasza nie była z Belialem, z grzechem, ale z Działem, Synem i Duchem św. — to urząd mój i powinność moja.

Tu otwiera się przed nami szerokie pole duszpasterskiej pracy, pole cierniem zarosłe, ale które należy uprawiać, choćby się serce krwawiło, oto płakać musiałoby żal i boleści. Chwasty grzechu trzeba wyforzenie, dobry bój wiary trzeba bojować. Tak najmilszy! służa Boży musi wam wstąpić, żeście przez chrzest przyjęli do społeczności Bożej, żeście drogo kupieni, nie złotem ani srebrem, ale drogą i świętą krwią Chrystusową, abyście byli jego własnością, w Jego królestwie pod Nim żyli, w wiecznej sprawiedliwości, czystości i błogości. Tak! wy macie Panu służyć, a my, my służymy Boży, mamy was do tego pobudzać, do społeczności z Bogiem, was zapraszać, mówić do was słowa miłości, pociechy, nadziei i wiary, lecz niemniej słowa strofowania i napominania. „Jeżeli byśmy rzekli, iż grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy, a prawdy w nas nie mamy.” Musimy zbór pocieszać i napominać, karać i strofować, ponieważ jest zborcem Bożym, ponieważ go sobie Syn nabył, ponieważ go Duch św. przez Ewangelię powołuje. Nie wolno nam milczeć, musimy mówić, ostrzegać, świadczyć i napominać: „Macie mocną mowę prorocką, której pilnując jako świeci w ciemnym miejscu świecącej, dobrze czynicie.” Jeżeli tak nie czynimy, tedy niezadłużymy nasz urząd pasterski i spełni się nad nami groźba: „Gdybym Ja rzekł niepobożnemu: śmiercią umrzesz, a nie napomniał byś go, i nie mówił byś, abys go odwrócił od niebożnej drogi jego, tak że byś go przy żywocie zachował, tedy onci niebożny w nieprawości swojej umrze: ale krwii jego z ręki twojej szukać będę.” Z ręki naszej będzie żądał Pan krwi niebożnego, któregośmy nie napomnieli — czyż możemy milczeć, czyż śmiemy oczy nasze zawrzeć, czyż nie musimy stać bezustannie na straży? Zborze Chrystusów! nie możecie ty chcieć, żebyśmy cię zaniedbali, żebyśmy cię z bojaźni przed światem, lub dla przypodobania się światu, prowadzili zamiast do Dział światłości, do ojca kłamstwa. Pan zaprasza: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie. Weźmijcie jarzmo moje na się, a ucicie się ode Mnie, żem Ja cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpocznienie duszom waszym.” Tak i ja, służa tego Pana, proszę was: przyjmijcie Go, bogactwo i niedziarę, dziatki i dorosli, młodzieńce i starcy, przyjmij Go zborze cały, boć On jest słowem sprawiedliwości, światłością świata, a „jeżeli w światłości chodzimy, jako On jest w światłości, społeczność mamy między sobą, a krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.”

Społeczność ta istnieje też i pomiędzy nami, dostojny pasterzu kościoła całego kraju, Najprzewielebniejszy księżę General = Superintendencie. Społeczność ta niechaj będzie i między nami Przewielebny księżę Superintendencie, a oraz bracie i współpracowniku w tej winnicy Pańskiej. Jednego Pana mamy i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, oby nam obom pomagał wykonać święty urząd nasz i paść trzodę Jego. Społeczność ta niechaj łączy nas, wy Starsi i Przyłożeni zboru, wy nau-

czyciele miłobdzieży, którym Pan oddał dzieci swoje, a powiedział to uwagi godne słowo: Takich jest królestwo niebieskie. Społeczność ta niech w końcu łączy mię i z wami, którzy w imieniu Boga i cesarza spełniacie urząd zwierzchności w tej gminie, w tem mieście i państwie. Świadomość tej spajającej nas w jedno ciało społeczności niechajże mi otworzy wasze serca, wielkich i małych, panów i sług, ojców i matek, majstrów i czeladników, obywateli w mieście i na wsi. A wy, co nie nazywacie swoim własnym na tym świecie, tylko wasze serce, otwórzcie mi to serce, i przyjmijcie to słowo, które wam będę opowiadał. Tak! wszystkim was proszę, proszę i błagam w imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa, otwórzcie mi serca wasze a pomagajcie mi przez modlitwy wasze. Ja wam słowo Boga naszego będę opowiadał z tego tu miejsca, zaniesiecie je stąd do domów, do rodzin waszych, — ja wam chcę służyć dla Jezusa Chrystusa, służcież i wy temu wiernemu Panu, świętemu Synowi Bożemu!

Tak Panie i Boże! chcę Tobie służyć na tem świętem miejscu. Lecz czemuż jest moje chcenie, bój ty wyśłanie, nie odstąp ode mnie miłosierny Boże, oświeć i poświęć mnie Boże Duchu święty, Pasterzu dusz naszych, Jezus Chryste zmiłuj się nad tym zbrojem Twoim. Sam mi opowiedz słowo Swoje, a pomóż mi je opowiadać. Wszelamocny Panie i Boże! będę-li służył Twoim w tym zbroju krótko czy długo, na długie lata, czy też tylko na dni niewiele, będzie-li droga moja tutaj drogą boleści czy radości, chwali czy poniżenia, pomóż mi tylko opowiadać słowo Twoje, ostrzejsze od miecza obojętnego; pomóż mi opowiadać moc i chwałę Syna Twego Jezusa Chrystusa, w sile i mocy, w wierze i miłości. Panie, Ty masz klucze Dawidowe, otwórz serce tego zbroju, a nikt go nie zamknie. Amen.

Klemens Boruta.

10)

(Dokończenie.)

Z kolei opatrzone drugą stronę domu.

Genius epidemicus — powtórzył lekarz, wychodząc, i z całym orszakiem udał się do następnej chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku właścicieli tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnym. Tak więc Boruta z córką dostat się pod jakąś opiekę. Tegoż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prosta, że starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabetfotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem.

Dziadku, dziadku! Rozczył!

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędzej zawróci?

Niech czytelnik wszakże nie sądzi, ażeby po odwiedzinach komisji warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki zupełnie się zmieniły. Bynajmniej. Wprawdzie najeta przez „towarzystwo” baba zamiotła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im po trosze przyswieszonego z fabrycznej apteki kalomolu, ale o żadnem pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Za dużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Wkrótce bowiem genius epidemicus znany był w polskim przekładzie i ludność wiedziała, co jej grozi. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. I cóż to był właściwie ów genius epidemicus? Już w piątym dniu słabości Boruty i jego córki uważne oko mogło na całym ich ciele, z wyjątkiem twarzy, dostrzedz tak zwaną różycę — z początku bledsze, później coraz barwistsze, czerwone plamy, będące charakterystycznym znakiem tyfusu wysypkowego, owego nieodłącznego towarzysza wielkich głodów. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał napozór przytomność, bo mówił, odpowiadał wszakże jego, połączone z silnymi napadami magliny zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawił on postać palącego się w gorącej kłocie. Żył mu osłupiał, oczy się przekrzywiły, gardło graso rzeżeniem, dźwięki i język pokryły się kleistym osładem, nozdrza — sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przykniętymi, mruczac niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer, który na ten raz przyznawał sobie szczególniejszą znajomość „petoci”, znacząco nad nią kiwał głową. Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma. Cała orkiestra.

Niezwłocznie, w piersiach dziewczyny grała cała orkiestra rozmaitych skrzeczących i świszających skrzypień. Ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyszła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się chorymi baba, spostrzegłszy, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważyła:

Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby.

I tę możecie już wynieść.

Umarta. Zgodnie z przepisami sanitarnymi uprzętnięto ją natymias. Gdy grabarz zabijał trumnę Boruta znów otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zafaszał się i padł na poście. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrot nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta, ciągle nie przytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjaciелеm i córką podąży?

We dwa dni po drugim pogrzebie, felerzer za-
mążył silne opadnięcie gorączki u chorego zbled-
nienie płam i poty.

Tego zgryź niełatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorą-
czowym, obojętniającym, ale jakimś głębokim i
zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał
żądania sposobem, ujawniającym powrót przyto-
mności. Powoli znikły z ust, języka i nosa cho-
roblive znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany.
Szeroko roznieśiona wieść o głodzie na Śląsku
wysłatała w Niemczech i po za ich granicami
hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy.
Zawiązane początkowo „towarzystwo” rozszerzyło
się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym.
zwłaszcza dary i składki z Królestwa Polskiego,
przesyłane do komitetów głodowych, spadły na
Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta
leżał w opalonej izbie, dostawał potrzebną lekar-
stwa i pokarmy, miał świeżą stonę, czystą bie-
liznę i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i
Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pochrępia-
jącym śnie otworzył oczy, rozejrzał się po zmie-
nionej izbie, powiódł okiem po flaszcze z lekar-
stwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż
wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna łobiecie.
Widocznem było, że nie rozpoznaje swego położe-
nia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.
To wy Nafalowa? — zaprztał drżącym gło-
sem.

Ja — a czego to?

Gdzie Marcysia?

Oho! wysoko. Modli się za was.

Umarła? — krzyknął Boruta.

I lepiej.

Stębok, rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi
Klemensa, który zamknawszy ciekące łzami oczy,
leżał długo niemi.

Brzosta wyrzucił?

Wyrzucił... do grobu.

Boruta znów zamknął i zapadł w stan bez-
władności. Zaczął na jawie, czy we śnie mając
czuć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał
ciągle imię córki i owczarza, skrzył się i żalił.

Felerzer znalazł go bardziej osłabionym i roz-
gorączkowanym.

Czy nie jadł czego?

Nie — odrzekła Nafalowa — dowiedział się,
że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan niezdeterminowany.
Nareszcie Boruta obudził się. Patrzył jak wprzó-
dy, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu
spytał:

A kto też, moja Nafalowa, uratował mnie i
bał to wszystko?

Chyba kominowa, ksiądz albo landrat — od-
rzekła.

Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

Ano jużci, przecież to do nich przysługują pie-

niądze z zagranicy... z Warszawy... polski.
Wszystkim głodnym bają, nie tylko wam.

Polaki — szepnął Boruta zdziwiony, utkwiał
nieruchomo oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O
czem? Mówić nie będę, to tylko dodam, że blada
jego twarz drgała silnem wzruszeniem. Nawet i
dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki
z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem,
co mu Nafalowa powiedziała.

R o n i e c.

Hymn do Jezusa.

Takim jak jestem — bez obrony w niebie,
Prócz krwi Twojej dla mnie wylanej przez Ciebie.
Chętnie w tem Twoje spełniając rozkazy,
Przychodzę do Ciebie — Baranku bez złości.

Takim jak jestem — nie czekając bliżej
Aż duszę moją oczyścisz z fałszy,
Krwia twą, co wszystkie obmywa z zaraży,
Przychodzę do Ciebie — Baranku bez strachu.

Takim jak jestem — choć ciągle miotany,
Walką zwątpienia — i grzechem spętany,
Pragnąc wyzwolić się z szatańskiej siły,
Przychodzę do Ciebie — o Baranku miły!

Takim jak jestem — zły, ślepy i lichy,
Chwiejna ofiara umysłowej pychy,
Oddany żądzy, co ma duszę trwoży,
Przychodzę do Ciebie — o! Baranku Boży!

Takim jak jestem — wszak mnie nie odrzucisz,
Krzepiąc me troski, ku niebu je zwrócisz,
Gdy ufny w Twojej obietnicy pieczy,
Przychodzę do Ciebie — Baranku człowieczy!

Takim jak jestem — miłość mnie wyzwoli,
Miłość Twoja zwalcie zapory pozwole,
Wzajem — chcąc całkiem należeć do Ciebie,
Przychodzę do Ciebie — o! Baranku w niebie!

W dowód, iż duch mój całą siłą wierzy,
W łaskę swą, której myśl ludzka nie zmierzy,
Wolną dla Ciebie miłością przejęty,
Przychodzę do Ciebie — o! Baranku święty!

Rozwiązanie zagadki z nr. 21.

Dach poszywany snopkami.

Zagadka.

Przejechała niemka —

Czermona sufienta;

Jak ją rozbiegali,

To nad nią płałali.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 24.

Czt., na niedzielę dnia 5 września.

1897.

Dwunasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

List św. Pawła 2. do Koryntów, r. 3., w. 4—11.

„A takżeż ufanie mamy przez Chrystusa ku Bogu, nie iżebysmy byli sposobni, co myśleć sami z siebie, jako sami z siebie, ale sposobność nasza z Boga jest; który nas też uczynił sposobnymi sługami nowego testamentu, nie literą, ale Duchą; albowiem litera zabija, ale Duch ożywia. Bo jeźlić posługiwanie śmierci literami wyrażone na tablicach kamiennych było chwalebne, tak iż synowie izraelscy nie mogli śmiecie patrzeć na oblicze Mojżeszowe dla chwały oblicza jego, która miała być skażona: jakoż daleko więcej usługiwanie Ducha nie ma być chwalebne? Bo jeźlić usługiwanie potępienia było chwalebne, daleko więcej usługiwanie sprawiedliwości obfituje w chwale. Albowiem i to, co chwałę miało, nie miało chwały w tej części, co się tknie onej przemysławiającej chwały. Bo jeźlić to, co niższeje, było chwalebne, daleko więcej to, co zostaje, jest chwalebne.“

W drugiej połowie roku kościelnego obejmującej niedzielę po św. Trójcy, uczą nie omal wszystkie Lekcje i Ewangielie, jak powinna się objawić wiara w życiu ludzi, czyli jak ci, co wierzą w Jezusa Chrystusa Syna Bożego powinni po bosku, po chrześcijańsku i świętobliwie żyć. Bo prawdziwa wiara nie może być martwą. Prawdziwa wiara objawia się na zewnątrz jako miłość, a miłość jest czynna i działą, miłość cierpi i znosi, przenika serce i poświęca wewnętrznego człowieka. Taka wiara jest, jak powiada apostoł Paweł, że słuchania kazania, lecz nie kazania ludzkiej mądrości ani kazania zrobionego według reguł i przepisów sztuki, lecz z kazania czystego i jasnego słowa Bożego, słowa Pisma, Ewangelii. Przeto jest to istotną prawdą, iż gdzie słowo nie bywa kazane, nie bywa czyste i nie fałszowane zwiastowane z kazalnicy, w szkole i w nauce, albo gdzie się wszelką wagę przywiązuje do zewnętrznych kościelnych porządków, gdzie się rozliczne nabożeństwa wyniosła, ale słowo Pisma zaniedbuje, nie łączy go, nie buduje na jego gruncie wszystkich kościelnych urządzeń, tam nie ma żywota z Boga, tam może być pozor świętobliwości, ale niema Chrystusa.

O takim na zewnątrz tylko obliczonem życiu

mówi Jan w Objawieniu, gdy opisuje zbór w Sardziech, który miał imię, że żyje, ale był umarły; taki zewnętrzny żywot ganią apostołowie, a Chrystus go potępia u faryzeuszów. Albowiem ci, którzy są ochrzczeni w imię Boga, w Trójcy jedynego, powinni nie tylko imię mieć, że są dziećmi Bożemi, ale powinni niemi być i jako dzieci Boże żyć; powinni Chrystusa mieć nie tylko w ustach i pamięci, ale w sercu; Chrystus musi być ich żywotem, drogą i prawdą. Abyśmy zaś taki żywot mieli, ku temu zaiste nie wystarczy, że kazania Ewangelii uszyszamy słuchamy, słowo Pisma oczyma czytamy, porządku w Nowym Testamencie przepisanego pozornie przestrzegamy; powtarzamy, to wszystko nie wystarczy, bo litery, słowa, zdarczenia, których słuchamy i które czytamy, jeżeli z Pisma nie wnijdą do naszego serca i nie przenikną go, pozostaną dla nas martwe, będą jako nasienie, które padło na opokę. Duch Boży musi nas oświecić, Duch wiedzący we wszelką prawdę musi w nas być, bo wtedy tylko wtedy, będzie w nas żywot duchowy, żywot z Boga. To nam zwiastuje dzisiejsza Ewangelia, z której tego należy się chcieć, że

Litera zabija, ale Duch ożywia.

Ty zaś, o Panie, Boże nasz, użyj Twej łaski, aby gdy słowo Twoje rozważamy, duch Twój nas oświecał. Panie Boże, Ojciec niebieski, stwórz w nas serce czyste, a ducha prawego obnów we wnętrznościach naszych. Wysłuchaj nas, dla Jezusa Chrystusa, Syna Twego miłego. Amen.

„Litera zabija, ale Duch ożywia,“ mówi apostoł Paweł. O jakie to piękne słowo, ale jakże go haniebnie nadużywano i fałszywie wykładano używając go za hasło w boju przeciwko Pismu świętemu i przeciwko Bogu. Bo temi słowy apostoła chciano dowieść, że Biblia jest jak imna zwykła książka, którą można wykladać, jak się komu podoba; chciano dowieść, że nie trzeba się trzymać słowa, jak tam napisane stoi, ale że można mu podsnuwać swe własne myśli; że można przyjmując jako słowo Boże wszystko, co dla nas wygodne, co może być pokrywą grzechowi, co sprzyja naszym planom i zamiarom, a wszystko inne odrzucić jako martwą literę. Taki sposób i postępowanie nazwano wykładaniem według ducha, wykładaniem, jakie jedynie odpowiada wielkiemu postępowi wieku i ludzkiego rozumu. To też gdy Marcin Luter zwiastował usprawiedliwienie z

wiary i przez wiarę w Chrystusa, gdy uczył, że w ś. komunii jest prawdziwe ciało i prawdziwa krew Chrystusowa, Hciano go zwalczać twierdząc i głosząc, że Biblii nie można wytkadać według litery ale według ducha. A dziś, dziś też świat odrzuca wszystko, co w Biblii napisane, a co się nie zgadza z jego zapatrywaniami, ale owszem im się sprzeciwia i potępia je; dziś też mówi: Precz z tem, bo to litera, która zabija, my trzymamy się ducha, który ożywia.

Ala — a to jest wielkie ale — jakiegoż ducha ma apostoł Paweł na myśli, gdy pisze, że duch ożywia? Zaisie nie tego ducha, który w nas mieszka, nie naszej mądrości ani naszego rozumu, nie ducha tego świata, ani w ogóle ludzkiej roztropności, gdyż mówi w dzisiejszej Lekcyi: „A także ufanie mamy przez Chrystusa ku Bogu. Nie izbyśmy byli sposobni, co myśleć sami z siebie, jako sami z siebie, ale sposobność nasza z Boga jest“, a w liście do Rzymian (r. 7., w. 18.) pisze: „Wiem, że nie mieszka we mnie, to jest w ciele mojem, dobre.“ Duch tedy, o którym mówi, który dawa żywot i ożywia, nie jest duch ludzki, ale Duch Boży, którego Chrystus obiecał, i który nas ma wieść we wszelką prawdę; to jest ten Duch, którym pędzeni będąc apostołowie i prorocy mówili; Duch, o którym Jezus mówi, że się z Niego na nowo narodzić mamy; to jest ten Duch, przez którego, gdy się mu prowadzić damy, jesteśmy dziećmi Bożemi. Ten Duch ożywia, bo przychodzi od Boga żyjącego, ten Duch jedynie może nas oświecić i wieść we wszelką prawdę, bo On jest Duch prawdy. Ten Duch wodził apostołów i proroków, przez Niego oświeceni spisali objawienie, które im się stało od Boga, — a przeto, co oni pisali, litery Pisma świętego, nie mogą być rozumiane tylko rozumem ludzkim, lecz by je zrozumieć i pojąć, potrzebujemy świętego Ducha Bożego. Bez tej pomocy możemy Pismo św. czytać i rozważać, treść jego zachowamy w pamięci, ale słowo Biblii nie stanie się nam słowem żywota, ale będzie i zostanie martwą literą.

Takie wtedy jest znaczenie słowa apostołskiego: „Litera zabija, ale Duch ożywia.“ Dalej mówi Paweł: „Bo jeśliś posługowanie śmierci literami wyrażone na tablicach kamiennych było chwalebne, tak iż synowie izraelscy nie mogli śmieć patrzeć na oblicze Mojżeszowe, dla chwały oblicza jego, która miała być skażona: jakoż daleko więcej usługowanie Ducha nie ma być chwalebne?“ Tu mówi apostoł o obu Testamentach, o Starym i Nowym, o usługowaniu Mojżeszowem i apostołów, o zakonie i Ewangielii. Apostoł nie nazywa zakonu martwą literą, ale usługowaniem potępieniu, gdyż zakon wyrażony na tablicach kamiennych nakazywał człowiekowi: To i to będziesz czynił, a kończył się groźbą, że śmiercią umrze, kto przestąpi jedno z tych przykazań. Tak tedy zakon był usługowaniem zwiastującym potępienie. W Starym Testamencie nie było prawdziwego odpuszczenia, bo ofiary według listu do Rzymów sprawiały tylko cielesne, zewnętrzne oczyszczenie. Ale w Chrystusie Jezusie jest odpuszczenie grzechów, przeto zwiastowanie Chrystusa zowie się usłu-

waniem sprawiedliwości. On jest od wieków prawdziwy Bóg, Jego chwała przewyższa wszystkich kapłanów i ofiary i obrządków Starego Testamentu, którego chwała blednieje przed Chrystusem. Przeto mówi apostoł w Lekcyi dzisiejszej: „Albowiem i to,“ to jest Stary Testament, „co chwałę miało, nie miało chwały w tej części, co się tnie onej przewyższającej chwały,“ to jest chwały Chrystusowej i usługowania Nowego Testamentu. „Bo jeśli to, co niszczyło było chwalebne, daleko więcej to, co zostawa jest chwalebne.“ Stare przymierze ustało, zniszczało, bo było tylko jakby zakładem przygotowywaczym. Początkiem i końcem nowego przymierza jest sam Syn Boży, w którym mieszka wszystka zupełność Bóstwa cielesnie. Ponieważ Chrystus jest prawdziwym Bogiem, przeto wszystko, co czynił począwszy od chwili, której na krzyżu umarł, aż do chwili, której usiadł na tronie chwały, wszystko ma nieśkończoną, wieczną wartość. Tu niema nikomej litery, nie na pewien czas tylko przeznaczonego, wszystko trwa na wieki i wszędzie. Tak jak nam uwyślał wieczną sprawiedliwość, iż bez uczynków zakoną, bez wszelkiej własnej zasługi, jedynie z Jego łaski bywamy usprawiedliwieni i zbawieni, tak też daje wszystkim, co przez Niego są usprawiedliwieni, Ducha świętego, a ten jest tym duchem, który ożywia. W Starym Testamencie też widzimy chwalebne sprawy ducha, ale tylko u poszczególnych osób i urzędów, w Nowym Testamencie mamy nie pojedyncze sprawy Ducha świętego, ale On mieszka w nas, a obiecany jest wszystkim i na wieki, abyśmy na wieki byli z Bogiem połączeni w Chrystusie Jezusie.

A tak, najmilsi! używajcie Ewangielii, wyście pod nowym przymierzem. Usługowanie Nowego Testamentu, to usługowanie sprawiedliwości, zwiastuje wam łaskę i odpuszczenie grzechów. Przeto szukajcie w Ewangielii pocieszenia i zbawienia dla duszy waszej. Nie czytajcie tylko słów, które tam napisane, szukajcie w słowie Ewangielii Tego, którego ona wam zwiastuje, Jezusa Chrystusa, Pana i Odkupiciela, a nie ustawajcie, aż Duch Boży poświadczy waszemu duchowi, żeście dziećmi Bożemi i chrześcianami. Nie zadawalnialiście się słuchaniem kazania, ale czytajcie Pismo, uczcie się katechizmu, a to nie na to tylko, abyście prawdę wiedzieli, ale byście byli przez Ducha, który ożywia, zbudowani i wtorzeni w Tego, który jest skałą, w Chrystusa Jezusa, utrzymawanego i zmartwychwzbuźonego. Trzymajcie się mocno Ewangielii i ewangelickiej nauki! Ewangielia trwa na wieki; trwa, choć się ludzkie zapatrywania zmieniają; trwa, choć gwałtowne burze przecinają niej się podnoszą; trwa i trwać będzie choć się mnożą nieprzyjaciele, co ją zgubić pragną. Nie dajcie się odwieść od wiary w Ewangelię, chodźcie według jej przykazań, abyście sami doświadczyli, że ona jest duchem i żywotem i daje żywot, abyście w doczesności mieli w niej, pocieszenie, a we wieczności przez nią zbawieni. Amen.

Na pogrzebie.

1)

Tu panie chojary były w tym lesie ha! — prawit dalej Marcinek. Ale naprzód cię pan, teraz żydy z Katusyna tną a tną, aż jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, obaj uchwyliłszy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zestoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

Oś pełka.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak żewnemi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, a my wtuliłszyśmy uszy w podniesione kolarze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na sztywające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy marówki, które za nową będą musieli zapłacić... „poćciwi panowie!”

Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi” — mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrzesniowej śpieli; dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojdziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnimy miary naszych wyszych przeznaczeń i powędrujemy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż po oczy bryzało, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoisko pod przydrożną sosną. Humor studentki zdolny jest nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brz! potoniemy jak mojsko faraonowe w tem morzu — zawołał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

Odwagi Józii! — odrzekłem roześmieszony — przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

Na foniach!

Masz słusność, szłoda, jesteśmy nie odprzegli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

Czy ty myślisz — rzekł Józef — że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop, zanim coś poradzi, potrzebuje na podrapanie się w głowę z pół godziny.

To zanocujemy.

Klepkę chyba z głowy zgubiłeś — zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

Opatrz swoją braciśzkę i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

Alle nocować w dziurawej stodole lub zatekłej chałupie razem z prosiętami!

Czemu nie? Spróbujemy tych wygod spania

przez 6 godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

Lubię ubóstwo — mruknął Józef — o ile je mój nos znosi.

Jakbym je nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokreślić.

Przygryzeł był ostrzy, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykotysany w dostatku pieszczoł losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą noclegu w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzcić na Sans souci, a którą jego dziad przewoził poprostu Przytykiem.

Do miżernego dworfu, na którego starym i prostym zrębie powystąpiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gości, a dziś poszczerbiona aleja, zatamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stanęły w długim szeregu chaty gburstkie. Zafolwiew przeżuwałem, że dziedzie Sans souci niema w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościńnej kłobry, dla rozczarowania wszatże mego arystokratycznego kolegi spytałem przechodzącego parobka:

Pan w domu?

Alle, gdzieby! — odrzekł, ruszawszy ramionami, jak gdyby go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę rzucił, wieje jeszcze na polu. Wyjechał?

Jeździ — pono teraz ogląda gdzieś bazianty.

Macie bazanternię?

Bogac tam!

A bryczkę?

Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

Przenocować we dworze nie można?

Bojów jest dosyć, ale żeby tak postania, nie widziołem. Siedzi tam już dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łofiec pod łeb podłożyć i tak się przespac.

Dobrze mu tak — pomyślałem — bo to on pewnie, zahipotetowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał, ażeby tę wioskę przewano Sans souci.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

Zajdźmy — jakiś płacz słychać.

Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kufakami.

Wąskie plotki chrustowe łącząty z gościńcem zapadniętą i nadwyrężoną chatę do której przytułił się maly, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało mate otienko, jak ślepe oko zebrała z pod zlepionych brudem włośom. Sciełające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochaty lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu otwyla się przynajmniej zezarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopcyna miał na sobie tylko koszulę, przez którą

długi rozpór na piersiach ukazywała się pęga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej śieni, w której czuć było wyziwy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchyliłem je lekko. Ciesza.

Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobne i do połowy zaklejonego okna. Przyjrąwszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka zezerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęgi ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starą kobietę otwartą kofetę. Gdy się wpatrywałem w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Odsłoczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane ciało. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytłaczającym do chlewa, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dwa postarzaly już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałaby to być grób dla umarłej kobiety?

Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzał na mnie surowo i odrzekł:

Rozgrzewam się.

Tu myślicie żonę pochować?

E, co tam panu do tego — mrucnął, nie podniósłszy nawet oczu. Zatnął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, szła z łoska postronki i wszedł do domu.

Oszalał! — szepnąłem do Józefa, który zdaleka był niemy świadkiem tej sceny. Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

Zwierzę — rzekł mój kolega wgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyspieszonym tętnem. Ufwiłiśmy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś strasznego widoku. Wieśniak długo nie wychodził. Do czasu do czasu tylko słychać było głuche szustanie, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieniu śieni, okrycony postronkami, na których ciężnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywłócił na podwórze białą, niezwykłą . . . krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

Papierucha! papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odmiął postronki, zednął ją do

dołu śród krzyków dzieci i popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na sterce piasku.

To nie moja żona — ale ich matka — rzekł do nas, wskazując na dzieci. Wszystkie wyłaziły. Płacie, płacie, bo ona wam już miła nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznym łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

Bieda — mówił dalej — chłopaka bieda. Żona rok już umiera i dźwignąć się nie może, stery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, od ta poćciwina nam pomagata. Jakem drugiej dopozyczyl, to i ziarno zwiózta i pole zorała i jesee dzieciom mleka dała. Ha, wola boza. Zdechnie my i my, jak ona zdechła!

Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

A bom jak doktor? Chłop nie pan, żeby wiezioł, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, że to kółun, a u nas jest babka, co gada, że to wole. Stabowata tu kobieta, zwiózta felcera, dał lekarstwo, udzielił kapkę, napisał się, ale gdzie tam? Pokraywilo i trzymia, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak . . . Boże bądź miłościw. O, moja biedna papierucha — zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty . . . Ha!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do smutnych.

Inaczej być tu nie może,
Póki w krąg ziemia się toczy,
I póki świata przestworze,
Noc po dniu codziennie mroczy.

Oto w blaski raz nieci,
Lęk smutku zmię się z kolei,
A po niej uśmiech zaświeci.
Jak złudna tęcza nadziei.

Nie może być tu inaczej,
Wiecznie nie kwitną nam Maje,
Serce pęka i rozpacz,
Ciepły i cierpień nie staje.

A jednak Boskie wyroki
Pełne wszechmocnej miłości,
Rozjaśnia kiedys te mroki,
Zwycięstwem wiecznej światłości.

Rozwiązanie zagadki z nr. 23.
Cebula.

Zagadka.

Przy drodze stoi, ręce rozkłada i nie nic gada.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej.”

Mr. 25.

Głk, na niedzielę dnia 19 września.

1897.

Główna niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Evangelia św. Mateusza, r. 22., w 23—24.

Gdy lud izraelski wyszedł z Egiptu, musiał mieczem walczyć z ludami chananejskimi i zdobywać obiecaną świętą ziemię. Gdy Izraelici wrócili z niewoli babilońskiej do Jerozalemu, i na nowo odbudowywali świątynię i mury Jerozalemskie, musieli w jednej ręce trzymać kielnię a w drugiej miecz. Gdy w średnich wiekach wyznawcy Mahomeda zdobyli Jerozolimę i świętą ziemię, a chrześcijanie nie chcieli przypuścić do grobu świętego, wtemczas powstał cały świat chrześcijański i ogłosił fruchtą, świętą wojnę pod znakiem krzyża. Synowie reformacji bojeowali ciężki trzydziestoletni bój o wiarę i kościół swój. Tak zawsze na nowo powstawała święta mężniejsza wojna.

A dziś? Czy nie trzeba już zaprawiać się do świętej walki, do świętego boju? Jeżeli jesteśmy istotnie chrześcijanami, tedy odpowiedź na to pytanie dla nas nie może być wątpliwą. Wszak życie Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa było niustanną świętą wojną z światem tym i księżciem jego, a my jesteśmy jego uczniami i powinniśmy Go naśladować. Przeczytana Ewangelia jest niczem innem tylko obrazem tej świętej wojny, jaką musiał wiesć Pan nasz Jezus Chrystus, a dla nas zwierciadłem. Wpatrzmy się dziś uważnie w to zwierciadło, rozważając

Świętą wojnę, do której jesteśmy powołani.

Z pomocą Ducha świętego zechć objaśnić:

1. Co to za wojna ta święta wojna,
2. Jaki ją prowadzić powinniśmy,
3. Jaki jest cel świętej wojny.

1.

Przedewszystkiem zechćcie zapewne usłyszeć objaśnienie, co to za święta wojna, do której jesteśmy powołani. To zaraz zrozumiemy, gdy się przypatrzymy naszej Ewangelii odnośnie do naszego przedmiotu. Czytamy w wierszu poprzedzającym naszą Ewangelię o faryzeuszach: „Do uszawszy, zadzwili się, a opuścili Go odeszli.” Zaledwo zaś odprawił saduceusów, kuszając Go

przez jednego ze swoich, zakonnika, którego było największe przykazanie. Patrzcie najmilsi! Pan nie szuka walki, lecz nie może jej wyminąć. Zaledwo, że odpędził od siebie obłudników a oto stawając do boju niewierni nasmiwcy i pytają Go: „Przetóż przy zmartwychwstaniu, któregoś z tych siedmiu będzie żoną, gdyż ją wszyscy mieli?” Widzimy więc, że Pana zmuszają do boju i walki, wyzymając i napastując Go. — A dla czego Go wyzimali? Czy ci przeciwnicy Chrystusa Pana byli jacy zbrodniarze, jacyś niecni nieponie, jacyś jawni grzesznicy? Bynajmniej! Byli to faryzeusze, którzy używali sławy najpobożniejszych ludzi, saduceusze, ludzie postępu, najoświeceni i najliberalniejsi za dni Chrystusowych, byli to słudzy króla Heroda, gładcy dworzanie o najwykwintniejszych formach i manierach, a więc ludzie najważniejsi, świat inteligency i śmietanka towarzystwa. Jakiż ta zacięta wojna tych ludzi z Panem i Zbawicielem? Jest ona dla każdego umiającego głębiej patrzeć aż nadto zrozumiałą. Oto stał przed nimi Pan jako Syn Boży, jako Ten, w którego ręku jedynie jest żywot i zbawienie, oni mieli bary te przyjąc z ręki Jego, z łaski jako ubodzy grzesznicy. Czy mogli to uczynić, czy mogli się tak upokorzyć tak święci, tak oświeceni, tak wysoko postawieni i wpływowi ludzie? On, jakiś tam rabi, miał się mieć za szczęśliwego, jeżeli tacy wielcy panowie przyjęli Go do swego towarzystwa, a dla zabawy, i rozrywki z nim dysputował, a On — nazywa ich rodzajem jaszczurczym i grobami pobielanymi! Tego za mało było. A przecież nie mogli także przejść koło niego z obojętnością, jakoby Go nie było. Stanął przed nim i wśród nich w swojej boskiej prostocie tak wielkim, że musieli albo do nóg Mu upaść, albo stanąć z Nim do śmiertelnego boju. Wybrali to ostatnie.

A dziś, czy człowiek cielesny inaczej się zachowuje przeciwko Panu? Człowiek taki nie ma nic przeciw jednej lub drugiej nauce Pana Jezusa, szczególnie gdy ją sobie dośkośował do własnych swych myśli i własnej mądrości. Ale przyjmując Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, przyjmując odpuszczenie grzechów jako dar z łaski Bożej, to człowiekowi cielesnemu i nawróconemu jest niemożliwym, bo musiałby inaczej potępić samego siebie i wyrzec się swej własnej doskonałości, enoty i postępu. Dla tego ludzie ci, dośkonali i sprawie-

dlawi sami u siebie, wojują przeciw Chrystusowi, wojują nauką i rozumem, chytrąścią i podstępem, drwinami i szyderstwem, które możecie usłyszeć w domach i na ulicy, przekrecają i nakrecają naukę Ewangelii, aż żeświatowieje i każdy może ją sobie przyswoić, a nie potrzebuje się nawrócić. Świat nie może żyć z Chrystusem w pokoju, — a światem nazywam wszystkich, którzy się nie oddają Panu i nie narodzą się przezeń w nowe stworzenie. Albowiem w głębi duszy nieodrodzonego człowieka jest nieprzyjaźń i nienawiść przeciw Chrystusowi, która nie mogąc żyć Chrystusa obojętnością musi z nim staczać bój. Czy może za wiele powiedziałem? Spytajcie samych siebie? przypatrzcie się naturze rzeczy. Chrystus jest końcem i śmiercią cielesnego człowieka, nie może więc być przyjaźni między nimi. W każdym człowieku jest wrodzony opór przeciw łasce, gdy się zetkną, albo łaska ten opór zwycięży, albo opór przemieni się w umyślną nieprzyjaźń. To jest sposób świata tego. Otóż gdy nam świat walkę narzuci, czyż mamy ustąpić? Czyż mamy porzucić sprawę Pana naszego i naszą własną? Nie podobna, chybałyśmy się Pana zaparli.

2.

Poznamwszy świętą wojnę, do której jesteście powołani, porozumiejmy się jeszcze, jako tę świętą wojnę powinniśmy prowadzić. Święta to wojna, a więc powołani do niej wszyscy, którzy się Panu istotnie oddali i poświęcili. Przedewszystkiem więc nie podlega najmniejszej wątpliwości, że wybranymi żołnierzami i wojownikami Pana naszego Jezusa Chrystusa powinni być wasi duszpastarze i kaznodzieje. Wiada nam, jeżeli jesteście tchórzliwi i lekkiego serca, niezdolni do boju, lub jeżeli wolimy zgnieć pokój. Wiada nam, jeżeli świat na nas ani razu nie powie, żeśmy zanadto surowi i zanadto wymagani. Wiada nam, jeżeli nas świat nigdy nie gani, albowiem jeżeli Jęgo Bęłzebubem nazwano, jakże będziemy domownikami Jęgo, gdyby nam równie nie uczyniono? Decz i was wszystkich wóđz nasz do boju wola, którzyście otrzymali od Pana jakikolwiek dar nauki, strofowania i napominania. Nie wolno nikomu zakopywać swego talentu, nie wolno nikomu zadowolić się swoim własnem zbawieniem, owszem każdy powinien szukać duszy bliźniego swęgo. Do boju wóđz nasz wola i was męle siostry w Chrystusie, o bojujcie święty bój statem i ochotnem wyznawaniem Jęgo imienia, cichem i pokornem błęwiganiem krężyja, bojujcie nadewszystko łzami i modlitwą. Pamiętajcie, że to wojna Pańska, o Jęgo się rozchodzi cześć, o Jęgo dobra, o Jęgo słowo i osobę. Kto szuka siebie, swojej chwały, mędrości lub panowania, nie potyka się jako wojownik Bęży i nie weźmie korony, bo nie szuka tego, co jest niebieskie, ale tego, co jest ziemskie. Tak najmiłsi! kto chce bojować bój Chrystusów, musi samego siebie oczyścić od wszelkiego samolubstwa, a gdyż wszyscy jeszcze w sobie samych nosimy owęgo nieprzyjaciela, z którym się mamy spotykać, więc trzeba najprzód tego nieprzyjaciela w nas przytknąć, zwyciężyć. Niechaj się też nikt nie wynosi, jakoby był czełm sam z siebie, dobrze

wiedząc, iż łaską Bęży jesteście, czełm jesteście.

Należy też rozróżniać nieprzyjaciela. Jęści pełnym, krwiożęczym obłudnikom zbiera Pan nie-męłosiernie masę. Biednym naśmiewcom powiada spokojnie: Błędzicie. Jęna odprawa należy się zapamiętałemu zaprzęncowi Chrystusa, jęna błędzęcemu ale szukającemu szęzerze prawdy, jęna beżecnemu zwódzicielowi, jęna strytemu nieprzyjacielowi. Młodość odda wiekowi, syn ojcu, córka matce, żona mężowi należyń wzgląd, wystręgać się, aby nie popaść w sidła djabelskie. Właśnie w tym względzie popełniamy najwięcej błęów. Każdy niech się wystręga swej gwałtowności, swej próżności, młody niech uważa swój wiel młodociany, nikt niech nie zapomina o ustanowionym porządku Bężym. Bo nawet na miejsce i czas niechaj każdy zważa, albowiem wszystko ma swoje miejsce i swój czas.

3.

A jakiz tej świętej wojny koniec i cel? Nie wojna bez końca, ale pokój, pokój Bęży. Dla tego bojujemy, dla tego gorłimy się o cześć Jęgo imienia, o ważność Jęgo słowa, dla tego chcemy podbić rozum pod postuszeństwo wiary — abyśmy się wszyscy stali Pana naszego Jezusa Chrystusa zbawionymi poddanymi, dlećmi łaski Jęgo, będzicami Jęgo pokoju. Bragniemy pozyskać dusze wasze, i nie zostawić ich na szerokiej drodze. Młodość Chrystusowa przycię nas, dla tego wolać: bęjcie się pojednać z Bęgiem. Tak jest cel świętej wojny, a żaden inny — nie zapominać o tem. Nie o wojnę się nam rozchodzi, ale o pokój, nie o to, abyśmy rany żađali, ale abyśmy rany zagoili, nie o to, abyśmy gogo stręcili, ale o to, abyśmy zyskali, zyskali dusze ludzkie ku żywotowi w Chrystusie Jezusie.

To, najmiłsi, jest w tej chwili, także moim celem. Wypowiadam wojnę wszystkim letnim, zimnym, obojętnym, wszystkim niewierzącym i nie-nawróconym. Świadcę wam o Chrystusie, iż jest jedyną prawdą, drogą i żywotem. Błędzicie, jeżeli Go nie przyjmujecie, buntujecie się przeciw Bęgu, jeżeli nie chcecie przyjąć na się jarzma Jęgo, umrzecie w grzechach waszych, jeżeli was nie oczęści swoją świętą krwią, zgubionymi jesteście na wieki, jeżeli Go odrzucicie. Słuchajcie, gorzście się z tego, łajajcie mię, naśmiewajcie się i szydźcie, ale — męle dusze, nawróćcie się jeszcze i do Pana waszego Jezusa Chrystusa.

Na pogrzebie.

2)

(Dokończenie następi.)

Formał się, chwycił rydel i poczęł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

Papierucha! papierucha! — wołały one ustawnie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

Nie płacła matę — trząsnął ojciec — mamy od niej jakosie.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda saskiewka studenta nie pozwalała na sówite wsparcie. Trudno, co można!

Przyjmijcie odemnie gośpodarzu 10 rubli — rzekłem zaskopotały — tyle tylko mam dać mogę.

Pocziwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzał na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu polały się strumienie łez.

Odwrociłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcinek.

Jest oś! — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdążył przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciagle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszec.

Najazutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcya już się rozpoczęła. Gdy wchodziłem do auditorium, usłyszałem jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie: „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień...“

W tej chwili Józio spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutnie.

2.

Panowie daleko jedziecie? — spytał częstując papierosami, nasz dziwnie wesół towarzyszył, który przez godzinę wspólnej podróży w jednym wagonie zdążył nam opowiedzieć dużo swoich szczęśliwych zakładów na wyścigach.

Do Otwocka.

A, to wysiadamy razem.

Ale my jeszcze trzy mile końmi.

Dokądże?

Do Dwisianek, majątku rodziców mojego taty.

Aegi.

Zatem mam przyjemność spottać pana Gołębskiego — rzekł nieznanomy, zwracając się do Józefa. Jestem niemal pańskim sąsiadem Wilkowskiego.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnienia, że nam wszystkim trzem było „bardzo przyjemnie.“ Zaskolwiek o panu Wilkowskim słyszałem dość często i dość wiele, bawiąc jednak zaledwie przez kilka tygodni podczas wakacyj w domu państwa Gołębskich, nie miałem sposobności a wreszcie i chęci go poznać. Właściwie nawet zapomniatbym zupełnie o jego istnieniu, gdyby nie nasza przysługa z osi w Przytyku.

Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząc — odpowiedział Józef.

A powinszować, powinszować — zawołał Wilkowskiego i uściśnął nam ręce.

Łokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

Kochany sąsiad — rzekł ujmująco nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanoćcie u mnie — zgoda?

Daremnie w ścisłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin. Wilkowskiego umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uleść.

Zróbcie to — mówił — dla człowieka, który was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławę uniwersytecką.

Gdzie pan kończył? — zagadnął Józef.

Spytaj pan, gdzie nie kończyłem! — odparł Wilkowskiego, chwycił oba nasze tłumoczeki, a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je posługaczowi kolejowemu.

Wysiedliśmy. Marcinek, stale najmowany furman Józefa, spostrzegłszy nas, pobbiegł, zdjął czapkę i klaniając się, rzekł do mnie wesóło:

Dziś już panie mamy oś jak mur. Wziąłem nowiusienką, jeszcze niesmarowaną.

Dobrze, mój Marcinku, ale nie pojedziemy.

Cemu? — zawołał zdziwiony.

Bo pan Wilkowskiego zaprosił na noc.

O — cmochnął Marcinek — diabli skarali z takim noclegiem. A tożby się panowie lepiej na bryce przespać mogli. W Przytyku wróble już gniazd nie ścielą, niema nawet cem zęba wytknąć.

Nie rezonuj — oburzył się Józef — i idź do koni.

Nie wiem co państwo na to powiedzą — mruknął Marcinek i oddalił się.

Przeszliśmy kłasniami na drugą stronę dworca, szukając Wilkowskiego. Dostrzegłem go zdala, dającego przyciszonym głosem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej liberyi furmankiej.

A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć — rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowała się wspaniale na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głosu, w starannem nbraniu, znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumy futatami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkowskiego mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cieniem wieczora znikły lekkie zmarszczki i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdobionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzalego mężczyznę, który zaczął dopiero kosztować życia.

Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

Dla fawców pociecha — wtrąciłem.

Jesteście panowie — zawołał Wilkowskiego — no, jedziemy! Grzegorz, Grzegorz!

Co jaśnie pan kaze? — odezwał się posługacz kolejowy.

Kuferki nasze są już w powozie?

Wszystkie.

Zatem, siadajmy.

Marcinek z nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami powozu, który okazał się malutkim, starym, niemilosierdzie poturbowanym wolantem. Domoczeki nasze zajęły całe jego wnętrze, z poprutych poduszek ceratowych sterczały grochowiny, a nadto podziurawione pudło chwiała się z naj mniejszym dotknięciem. Na szczęście tę rozbitą skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbyt wielkiego zapadu.

A ty psu bracie, czemu przyjechałeś? — krzyknął na furmana Wilkołystki, założymyśz binokle i przypatrzysz się bacznie swemu ekwipażowi.

Proszę jaśnie pana wszystkie cngowe oberwały się wczoraj z kantarów i jak wpadły na płoty, tak sobie het pościerały nogi.

A nie mogłeś zaprzadź do powozu?

Kiedy jaśnie pani kazała po sobie przysłać, a faretka za ciężka.

To furman! Cztery konie okazały i jakiś grat tu przywiozł. Przepraszam panów — rzekł zwracając się do nas — za tego gapia i za nie-wygobę, na jaką mimowolnie narazić was muszę.

Jedyny bryczka Golebskiego — wtrąciłem, podsuwając najszybsze rozwiązanie komedyi.

Tak źle jeszcze nie jest — odparł Wilkołystki — przelecinmy szybką.

Usiedliśmy z podkurczonemi i pomieszkanemi nogami, jak na czułych szalkach równowagę ciągle pochylenia wolanta.

A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołystki — żeby się nie zlekły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rzesistych smagań furmana i nie daly nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwiżdżąc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Golebski oszczędny gospodarz i wróg abryku, zwykły był w porze roboczej wraz z kołmi najmuować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i potamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlachetnym forasbiem! Jedyną rozkoszą była piękna, wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewiała balsamy na wszystkie dolegliwości tortury podróży.

Długo milczeliśmy, wreszcie Wilkołystki chcąc zapewnić nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

Moje Sans souci jest ustrojem skromnem, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

Cóż takiego? — zapytałem.

Zobaczcie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywką, ale rozrywka obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego, a raczej rozszerzyć jego koło dla

dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolić się jednostrajnem wychowywaniem bydła, koni, owiec i drobiu swojskiego, a prztem czy przenysł krajowy powinien się wiecznie fręcić na jednym miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt: bobry, tumaki, wytepiłiśmy, a nowych nie przyswajamy. Dlaczego Ameryka jedynie ma posiadać papugi, a Azja konie? Dlaczego nasze lasy, pola, rzeki nie zapelniają się fauną innych stref? Na pytanie te odpowiadano mi zawsze, że poeta. Nie przeczę, bo do wszelkich śmiatych ruchów potrzeba nieco poezji.

Wilkołystki mówił z takim zapętem i przeżnaniem, że mnie ujął dla swych pomysłów wzbo-gacenia fauny krajowej. A, więc on na to rzu-nuje majątek i tem wyrabia sobie sławę szatawi-ty! — pomyślałem.

Zajęci tym przedmiotem, dojechaliśmy wreszcie do Przytyka. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wioski, rozmyślania moje nad hodo-wlą papug u nas ustępowały miejsca wspomnie-niom dziwnego pogrzebu, którego byłem świadkiem minioniej jesieni. W pamięci stanęły mi żywo dzieci płaczące nad grobem krowy, zrozpaczonego wieśniaka, chora jego żona. Zdala już upatrywa-łem znajomej chaty, którą ponimo ciemności roz-poznałem dokładnie. Na widok jej iza mi z serca się wycisnęła. Patrzyłem ciekawie, szukając oczy-ma jakiegoś znaku dołi biedaków. Z ofna błyska-ło światło, na podwórzu jednak nie było nikogo, tylko przed domem stała poważnie czarna krowa obok nitobej białej jałowicy.

Patrz — krzyknętem uradowany, szarpną-wszy Józefa za rękę — ma!

Co pan takiego dostrzegłeś? — zapytał Wilkołystki.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

O osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzkie! Maż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdecydnie, wpadają w rozpacz.

Śluzności tego spostrzeżenia zaprzeczyc nie chciałem, więc umilkliśmy, tembardziej, że konie Wilkołystkiego, które na szczęście ani razu przez drogę się nie zlekły, pozmuszły błiskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj! — wołał na furmana biedzie Przytyka.

Rozwiązanie zagadki z nr. 23.

Drogowskaz.

Zagadka.

Co to za pani, sto sukien na niej,
Jak wiatr zaleci, gołe ciało świeci.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 26.

Gł., na niedzielę dnia 3 października.

1897.

Szesnasta niedziela po św. Trójcy.

Lasta Pana naszego Jezusa Chrystusa; miłość Boga Ojca i spoleczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Evangelia św. Łukasza r. 7, w 11—17.

Rozglądając się w dziełach natury, rozważając ów cudowny porządek naturalny stworzeń, widzimy, iż tu wszystko podlega prawu zależności wzajemnej. Ciepłem tchnieniem wiosny poruszone lody, topnieją; ziemia wywołana z więzów zimowych, zamartwychwstaje; nagie drzewa, sposobiąc się do okrycia zielonością, zdobią swe gałęzie pączkami; słowem, wszystko co jest w naturze, zawsze, w każdej porze roku, wśród najrozmaitszych zjawisk, wskazuje stosunek skutku do przyczyny. Wszakżeby człowiek wyjętym być z pod ogólnego prawa? Zaistnieć coś podobnego, byłoby nierozsądkiem. Człowiek, jakkolwiek jest panem stworzenia, zostaje pod prawami natury, podlega prawu naturalnej zależności, lecz jako istota na obraz i podobieństwo Boże stworzona, jako osoba, to jest, jako wiedzący, że jest i dla czego jest, podlega nie samej naturze tylko, ale czemuś wyżej, a tem wyżej i najwyższym jest Bóg i słowo Jego. Słowo Boże, to wiekiśta światłość, która powinna oświecać ludzkość; słowo Boże, to najwyższe prawo, któremu podlegać winni mali i wielcy, prostaczkowie i mędrcy. Słowo Boże, jest potęgą, której poddając się, żyjemy, sprzeciwiając się, zabijamy samych siebie; jest potęgą, która musi oddziaływać tak samo na tych, którzy słowo to opowiadają, jak i na tych, którzy go słuchają. Jeżeli ksiądz opowiada słowo Boże dla tego tylko, bo musi, bo pasterzski urząd go tego przynagla — słowo Boże nie przestaje wprawdzie być mocą Bożą, ale pastor staje się najemnikiem. Jeżeli zbór tylko z przyzwyczajenia słucha zwiastowanego mu słowa, słowo to Boże nie traci nic z mocy swej, ale zapamiętliwi słuchacze w słowie żywota znajdują śmierć. Jeżeli ci, którzy nazywają się chrześcianami, gardzą słowem Bożem, i umyślnie odwracają się od tego, co im opowiada słowo Boże, słowo Boga żywego nie przestanie być mocą i potęgą wiekiśtą, ale ich wypłyje Pan z warg swoich. Tak! najmiłsi, są to wszystko skutki, są

to prawa zależności, skutki będące naturalnem następstwem przyczyny. Bóg jest wszechmocą, dla też i słowo Jego jest mocą potężną, jest siłą ożywiającą, siłą zwyciężającą nawet śmierć, jak to widzimy na młodzieńcu, o którym mówi Ewangelia dzisiejsza. Ponieważ Bóg dozwolił mi znóm na tej umiłowanej kazalnicy zawsze mi drogiego zboru chociaż na chwilę stanąć, przeto, zgodnie z treścią niedzielnej Ewangelii naszej, chcę wam opowiadać:

Chrystusa, Boga miłosierdzie, Chrystusa, wskrzesiciela i dawcę życia.

Ty zaś, o Panie, udziel nam Ducha świętego! Głej Ducha Twego w serce skłagi Twego i zboru Twego, a spraw, ach spraw! abyśmy wszyscy odbyli, wszyscy w Tobie, który jesteś największą miłością, życia szufali. Boże i Ojcie nasz, wysłuchaj nas dla Syna Twego, Jezusa Chrystusa! Amen!

1.

Przed zdarzeniem pełnem rzewności i wielkiem swą prostotą, o którym mówi Ewangelia dzisiejsza, opowiada Łukasz, świadek napocznym dzieł i spraw Chrystusowych, jak Zbawiciel świata uzdrowił sługę setnika, który prawdopodobnie był poganinem. O dziełach Chrystusa mówią wszystkie Ewangelie, mówią nie dla częstej chwwały, nie dla przyczynienia Panu ludzkiej sławy i ludzkiej wziętości, ale dla tego, aby poświadczyć i przetożnać narody i ludzi, że Chrystus, człowiek, m. B. iłchemie narodzony, a z Ducha świętego w Maryi poczęty, to Bóg miłosierdzia. Przypatrzcie się dziełom miłosierdzia Chrystusowego, przypatrzcie temu, że nieba zesłanemu Samarytaninowi! Dto w ostatnich dniach żywota swego Magdalenę, cudzołożnicę pokutującą, z wielkich grzechów przeszłości pezyściwszy, do królestwa swego przyjmuje; do Judasza, zdrajcy, rękę zbawczą wyciąga; sam na krzyżu zawieszony, z krzyża darzy łaską wracającego się doń zbrodniarza, a w nim ratuje i cały świat upadły w grzech, i wszystkich, którzy chociażby w ostatniej godzinie tu Niemu wracają ślepi, dotąd oczy i grzechem poślanane serca. Chrystusa, Boga miłosierdzia, przedstawia nam Ewangelia dzisiejsza. Syn Maryi i Syn Ojca z miłości, którego Nazareńczykiem pogardliwie przezwano, zdążył z uczniami swymi i ludem wielkim do miasteczka Naim. Na tej samej drodze, pośępuje idąc za miasto, inną drużyną. Jest to

orszak pogrzebowy, orszak złożony z mnóstwa mieszkańców Naimskich, orszak towarzyszący martwym zwłokom młodzieńca, który był jedynym synem pewnej wdowy. Rzecz dziwna i uderzająca, iż dwa te orszaki miały się minąć, jakby nie zważając na siebie, miały się minąć, jakby w środku ich nie znajdował się Chrystus — Chrystus, o którego cudach słyszano, którego słowo potężne brzmiało po całej żydowskiej krainie. Co więcej, nawet uczniowie, ci nieustanni świadkowie Chrystusowych spraw, milczą, i żaden z nich nie zawołał: Panie! często pomagalesz, pomóż tej wdowie! Tak, jest to rzecz dziwna, lecz zarazem pełna prawdy i odkrywająca tajemnice dróg Pańskich. Cóżby to z ludzkością stać się musiało, gdyby nie Bóg! Gdyby nie Jego opieka, nie Jego ojcowska dobroć, nie Jego opatrność, wśród wielkiej ludzkości musiałby człowiek ginąć, a nie jedno serce z żalu pęknąć, i nikt, tak! nikt by się nie ulitował. W takiej to wielkiej i ciężkiej chwili przystąpił do wdowy Chrystus, Bóg miłosierdzia, i chociaż nikt Go nie przywołał, nikt o to nie prosił, stanął przed nią jako Zbawiciel. Tai, ja to Zbawiciel, — bo jej oczy widziały tylko umarłą jedyną pociechę, jej wargi nie były już zdolne do prośby, a bólem zamknięte, może nad grobem syna byłyby się otworzyły by złorzeczyć Jehowie. O! bo to jest właśnie owa ciemna strona ludzkiej natury, że w szczęściu nie umiemy dziękować, w smutku i boleści prosić z ufnością i poddaniem się woli Bożej; że w pomysłowości rośniemy w pychę, w niedoli wpadamy w rozpacz! W chwilach takich stoimy na rozdrożu, — krok jeden dalej, i dusza upada w otchłań wiecznego potępienia. Ze w chwilach takich zabiega nam drogę Chrystus, o tem wątpić nie wolno! Przyszłoby szukać i zbawie zgubione, jest Bogiem miłosierdzia i o Nim stoi napisane: że nie chce śmierci grzesznika, ale chce, aby się nawrócił i żył, — lecz, jeżeli grzesznik odtrąci od siebie Zbawcę, jeżeli zamknie serce, jeżeli zatkaną uszy, — zginie, ale zginie z własnej winy. Takim rozdrożem dla matki młodzieńca z Naim była droga do cmentarza. Gdyby była rzekła Panu: „Prosiłam Boga, wołałam do Niego nad lożem mego ułożanego, nie wyprosiłam nic, a Ty Jezusie Nazareński nie pomożesz nic!” — albo, gdyby lud był zawołał: „Szalony, czego nas zatrzymujesz, młodzieniec umarł, do grobu z nim, do grobu!” — możeby Chrystus był powiedział: „Matko bez wiary, ludzie ślepy i nie wdzięczny, chwila ratunku przeminęła dla was,” — i chwila ta przeminęłaby bezpowrotnie! Lecz stało się inaczej. Lud usłuchał słowa Pańskiego, orszak pogrzebowy stanął, a Pan rzekł do wdowy: „Nie płacz!” W uszach słuchaczy dziwnie brzmieć musiało to słowo, dziwnie odbyło się zapewne i w sercu matki! Nie płacz! a tu jedyny syn na marach! Nie płacz! a tu łokanie serca, radość oczu macierzyńskich otwół całun grobowy! Mimo to, Chrystus, którego drogi nie są jako drogi ludzkie, Chrystus, Bóg miłosierdzia, powiada: Nie płacz! Jakim ów umarły za życia był, nie powiada nic Ewangelista. Może w owych czasach nie znano jeszcze negrologów. Może zmarły był młodym roz-

pustnikiem, jakim niestety i dziś napotykalmy wielu; może wypieszczonym synem matki; może przedwczesnym starcem! Nie w tym względzie nie powiada ewangelista, — jedno jest tylko pewne, że chociażby był najlepszym synem, młodzieńcem najpiękniejszych nadziei, — był jednak grzesznikiem, a zapłatą za grzech jest śmierć. Chrystus, przyszedł ratować grzesznika i zwyciężyć śmierć! Zwycięzca grzechu i śmierci mówi do matki: Nie płacz! I po chwili miały na prawdę oschnąć łzy wdowy, — bo Chrystus łzy osusza, rany goi, burzę uspokaja, a tam, gdzie Go usłuchano i poznano, obdarza pokojem.

W tem miejscu muszę się osobiście zwrócić do was słuchaczy moi. Wychowawcy nowych czasów, pozwólcie i nie obrażcie się, iż was zapytam: ileście też razy gorące wylewali łzy nad losami bohaterów drukowanych romansów, albo nad grą znanych artystów dramatycznych, a ile razy słyszeliście lub czytali Ewangelia dzisiaj, i oczy wasze pozostały suche, serca zimne i obojętne! Jeżeli tylko było, dla czego tak było? O! boście nie poznali jeszcze Chrystusa jako Boga wielkiego miłosierdzia. Gdy cierpienie i boleliwość całym ciężarem swym przyniosło cię, aza! nie słyszał głosu wołającego: Nie płacz! Gdy cię świat i ludzie prześladowali, gdy śmierć w dom twój zaszła, kto kłotał do serca i mówił: Nie płacz! Gdy grzechy, które cię skłóczyły są otruć, gorzkiemi się stały, a współnicy grzechów poczęli wyrzuty czynić, kto przyszedł, by opatrzyć ciężkie rany sumienia twojego, kto wśród ciemnej nocy mówił ci: Nie płacz! Kto? Chrystus niewidzialny a przecież wszędzie obecny i zawsze pomódz gotowy, — lecz, ach! czyś Go poznał i wołanie Jego rozumiał? Najmilsi! wedle Ewangelii Pan przystąpił do trumny, i ci, którzy ją nieśli, wstrzymali się i stanęli! Słuchacie moi, bracia i siostry! krocząc po drodze żywota, gdy Chrystus stanął przed wami, gdy zaczął się zatrzymywać, czyście stanęli? Chrystus staje przed tobą między łamiący swawolnie przysięgę małżeńską, przed tobą kobieto próżna, w sobie zakochana i lekomyślnie igrająca świętymi obowiązkami, i powiada: stań! Staje przed wami, którzy biegniecie na usługi świata, ze szkodą sumienia za zyskiem i użyciem goniecie, w zapamiętalem samolubstwie depczecie cudze prawa. własne powinności, dogadzając wszędzie i we wszystkim tylko waszym namiętnościom.

2.

Chrystus jest wstrzescicielem i dawcą życia! Młodzieniec z Naim zgaś w kwiecie wieku, poszedł drogą ciętą, które więdną jako kwiat, upada i usycha, jako trawa polna. Ani łzy matki, ani współczucie ludzi nie mogło wrócić mu życie. Umarłego wynoszą, gdy Chrystus wstępował do miasta, wynoszą martwe ciało, z którego uleciała dusza. Martwe zwłoki młodzieńca, leżące na marach w obec Chrystusa, podobne są do trupów duchowych, które napotyka wśród chrześcian oto Pańskie, spoglądając z wysokości na ziemię, co się królestwem Jego stać ma. Trupem duchowym jest poganizm całe; trupami narodził się, gdy w życiu ich nie było Chrystusa, trupem każdy chrze-

ścianin, jeżeli w sercu Jego nie mieszka żywy Chrystus. Bo, że ktoś myśli, rozmawia, sprzedaje i skupuje, że się porusza i refami, a nawet głową pracuje, są to dowody świadczące, że cieleśny organizm żyje, że siły żywotne spełniają swe czynności, ale nie jest bynajmniej dowodem, że w człowieku takim Duch Boży żyje. Dla tego można posiadać majątności, zaszczyty, światową potęgę, a w obec Chrystusa trupem być. Można zbadać głębie nauki, wypowiadać piękne słowa, pisać znafomite dzieła, będą to jednak prace ementarzowe, grabarskie, bo bez Chrystusa i najwyższa umiejętność staje się trudnią bez wód, staje się literą, w której niema tchnienia Bożego. Tak najmilsi, bez Chrystusa wszystko, nawet uroczą naturą, wszystko, miłość, szczęście, piękność, rozum, bogactwo i ubóstwo, owiane są martwością, bo zostają pod panowaniem śmierci. Chrystus i tylko Chrystus daje życie człowiekowi i temu, co go otacza, i temu co w nim jest! A jak oaze życia? oto! mocą swego słowa! Widzimy to i w dzisiejszej Ewangelii. Chrystus zbliżył się do mar, „dotknął się trumny i rzekł: Młodzieńcze! tobie mówię, wstań! I usiadł on, który był umarł, i począł mówić; i oddał go matce jego.“ Słowo Boga-Chrystusa, to światłość przenikająca nawet noc śmierci, to wody życia, wskrzeszająca z martwoty grobowej. Dla tego też bez słowa Bożego i najdroższe dary duchowe giną; bez słowa Bożego kościół upada, dom się ruiną staje, życie rodzinne gaśnie. Kto z was dzieje kościoła zna, ten wie, że tylko słowem Bożem pogaństwo zostało obalone, a gdy w wiekach średnich ciemność ogarnęła ludy chrześcijańskie, cóż jeżeli nie owe słowo Boże „wstań!“ wyzreczone przez ubożego mnicha, wzbudził kościół do nowego życia. To też kto przed tobą staje dziś i uchyla wieko trumny tpych nianiemych dobrych uczynków, tpych przyzwyczajęń, nawyknień, tak zwanych cnót obywatelskich, szlachetnych przymiotów, mienia, władzy i wiedzy, i powiada: Umarły, wstań!? Kto, jeżeli nie Chrystus! lecz nie ów Renanowski Chrystus, nie Chrystus nauczyciel, filozof, prawodawca, — ale Chrystus Biblii, Bóg i człowiek prawdziwy, Syn Jednorodzony Dzia z wieczności. Chrystus Bóg-człowiek słowem swem zatrzymał na drodze potępienia Saula i przemienił go w Pawła; Chrystus, Syn Boży, słowem swem wskrzesił z martwych młodzieńca z Naim. Dla czego nie wskrzesił go który z apostołów; dla czego nie wzbudził z umarłych młodzieńca izraelskiego Bóg-Jehowa? Bo napisano: „Chrystus jest żywotem wiecznym“, a Dzieci niebieski dał na śmierć Syna swego, aby przez tego Syna śmierć zwyciężoną była. Tak, Chrystus Biblii jest wskrzesicielem i dawcą życia, bo On tylko gładzi grzechy i znosi śmierć, która jest zapłatą za grzech. A więc, czy wiecie dla czego wam Chrystus filozof, moralista, prawodawca, nie może pomódz, i na nic się ludzkości nie przyda? Bo wam i całej ludzkości potrzeba nadewszystko i przedewszystkiem — odkupienia i zbawienia. Najmilsi, mieliście i macie opowiadanego Chrystusa Biblii, mieliście i macie słowo zapisane w księgach proroków i apostołów

i Sakramenta, jak je Chrystus Pan ustanowił, ale, — darujcie, że powiem otwarcie, co serce moje czuje, — życie religijne jednak z pośród was znika, a znika, bo nie chcecie dać się uświęcić słowu Bożemu, bo się więcej przywiązaliście do osoby niż do kazania słowa prawdy, bo więcej ma dla was powabu krasamówstwo, niż w prostocie serca opowiadana Ewangelia. Powiecie może, iż jestem źle uprzedzony! Bóg mi świadkiem że nie! Mówię tak, jak czuję, mówię, czerpiąc z Ewangelii dzisiejszej, i opierając się na tej Ewangelii, powtarzam: bez Chrystusa Biblii w sercach niema życia, jest tylko śmierć, niema prawdy, tylko obłuda; niema chrześcijaństwa, są tylko jego pozory. Bez Chrystusa Biblii w sercu, można pięknie pisać, porywająco mówić, ale jest to brzmienie dzwonu, którym głuchy dzwonnik porusza a dzwoni umarłym. Mówiąc te słowa, czuję jakąś goręć i ból w duszy mojej; przeczuwam, że powiecie, iż znać przywykłem do prostego ludu mówić i zapomniałem jak do wasz przemawiać należy, — lecz inaczej nie mogę! zaprawdę, — nie mogę! Najmilsi, może dni żywota mego policzone, i nie będzie mi dozwolono znów stanąć na tej minie tak drogiej kazalnicy, proszę więc i błagam, usłuchajcie Tego, który woła w Ewangelii: Wstań! — i powstańcie do nowego żywota, do żywota w słowie Bożem. Nędzny i grzeszny człowiek, ale niegdys wasz pasterz, zawsze noszę was na sercu mojem, zawsze w przyczynnych prośbach modłę się za wami, a oto i dziś wołam do Boga miłosierdzia i dawcy życia: Panie! zmiłuj się nad tym tu zbożem, rozbudź go i utrzymaj przy słowie Twoim, a jeżeliby nie chciał usłuchać Cię, jeżeliby życie z Ciebie zamrzeć w nim miało, uderz Panie zbór ten ręką Twoją, nie jako Bóg karczący, ale jako Bóg miłosierdzia, uderz, nie na zabicie, ale na wskrzeszenie do żywota prawdziwego! Amen!

Na pogrzebie.

3)

(Dokończenie.)

Przy filakrotnem trasku z bata zajechaliśmy przed dom. Na spottanie nasze wysunął się tylko smutły z wiązyczką ganeł przez który, nabimszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przepokoju. Przy oknie, na którym paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kładąc się, mruczał wieczorną modlitwę. Spozstrzegłszy nas skłonił się lekko i dalej szeptał począł, odwrócony plecami.

Wilkołyski ujrawszy go, poczerwieniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, rzecze panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliliśmy świecę, gospodarz przeprosił nas

i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek do konfitur.

Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni.

Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ogolino i omiał nie zacząłem ogryzać własnych palców. Zaskolwiek Wilkolski upewniał nas, że wegetaryanizm jest najdobroczynniejszy w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze bżim nie go zaszyca, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej higieny, bo poradził, ażebyśmy po trudach podróży udali się wcześniej na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiódł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoika i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną niepowłeczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na filcu poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niech wytkopowaną przez muchy, pajaki i pchły poduszke, a do odkrycia zwykłą konia derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajni. Stanąłem z zakłamanemi rękami nad tem gniazdem, w któremi los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumiał również zgnębiony nad podobnem tożem.

Wpadliśmy — co? — rzekł z uśmiechem.

Podobno lepsza chłopka stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miszkę.

Mój przyjacielu — odezwał się Józef — pamietajcie tam o moich koniach.

A dyć, pamietać by się pamietalo, ale kież Aron, jak zabrakł ostatnie dwa cugowe konie, tak teraz wszycio wymozi. Niem., ani garści owsa.

Wicnie ten żyd za niego się modli — rzekłem po odejściu służącego.

Zarzucawszy na brudną pościel surduty, odkryci palatami, położyliśmy się spać. Zaledwie jednak przymrużyłem oczy, pocutem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także sygnął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obłaskawione owady roily się na naszym pościu.

A więc to pewnie hodowcy tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkolski — rzekł Józef. Wóglby je wytepić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Polowanie w łóżkach zajęło nas do brzośku dnia. Uzbroiwszy się w cierpliwość i tolerancję, spróbowaliśmy znowu zasnąć. Dla domtar jednak naszej niedoli w ścisłym pokoju jakiś ptak zaczął wyprawiać takie harce, tak białe szczyptami o ścianę, że w połączeniu z wędrowną owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też zlagodniały i my zmęczeni zapadliśmy w sen głęboki.

Zaledwie słońce zabłyśło, zerwaliśmy się obaj,

unyli, a że ręczników nie podano, otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z ścisłego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkolski. Wbiegliśmy przerażeni: dziedzie Sanssouci, w b'eliznie i szlafroku, siny z gniewu, z rozrzuconemi włosami, zaciskałszy pięście, trzącał na bladą od strachu dziewczkę.

Uduszę cię, szelmo, pod brone przywiążę, kole w gardło zabić każę!

Proszę jasnie pana — tłómaczyła się dziewczka — co ja winna, że on przeklnąć nie mógł.

Coś ty winna zbrodniarko, a nie mogłaś podobieć!

Tu Wilkolski uderzył ją futakiem w twarz, porwał za fart i wrzucił do kuchni.

Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzoną — ale co ta suka mi zrobiła! Zamierzylem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bazantów. Pojechałem aż nad granicę austriacką do hr. Potockiego, kupilem za 15 talarów jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem ją dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewiczach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bazant się udławił i zdechl. Widzicie teraz panowie, jak to z naszym ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowogatkunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bazanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

Zanie! — trząknął Wilkolski.

Przybiegł parobek.

Kłabać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokoju, tak, w pokoju! Niech przynajmniej złodzieje wiedzą — rzekł po odejściu parobka — że to nie zwykła furta, którą się za płot wyrzuca.

Jan przyniósł siekiere i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czią złożył bazanta. Gdy go zasypywał, Wilkolski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

Ot, bądź bazantem wśród podłego drobinu, zaślanią cię prostą kluską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy emietarz bez stopy. Nawet o wegetaryanśkim śnadeniu nie mogło być mowy. Do tej pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczce.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.

K o n i e c .

Rozwiązanie zagadki z nr. 25.

Kura.

Bagadka

Stoji pacholek jak kolek,

Wóglbym przysięga, że ma w głowie tysiąc.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Ar. 27.

Ciż, na niedzielę dnia 17 października.

1897.

Osiemnasta niedziela po św. Trójcy.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

Ewangelia św. Mateusza, r. 22, w. 34—46.

Ewangelia dzisiejsza obejmuje wszystko, co zawiera w sobie Stary i Nowy Testament, opierając się więc na tej Ewangelii, chcę wam powiedzieć:

Je załon prowadzi do poznania grzechów, Ewangelia zaś oddarza łaską i pokojem.

1.

Chrystus był fuszony nie tylko przez szatana na puszczy, żyjąc pośród ludu izraelskiego, fuszony był i przez jego duchowych wodzów i kapłanów, przez saduceuszów i faryzeuszów. Saduceusze, przedstawiciele ówczesnej filozofii i materializmu, żyjąc wedle pożytkowości ciała, zaprzeczali możliwości zmartwychwstania umarłych. Przystąpiwszy więc do Chrystusa, fuszą Go pytaniem: co się stanie w życiu przysłym z ową niewiastą, która siedemfioć żameżna była. Chrystus jako Bóg prawdziwy, nie tylko zawarł im usta, ale uchyliwszy zasłone wieczności, pozwolił spojrzeć w ono życie przysłe, gdy rzekł: „Przy zmartwychwstaniu ani się żenić, ani za mąż chodźć będą, ale będą jako aniołowie Boży w niebie!“ (Ew. św. Mateusza, r. 22, w. 30.)

Serce ludzkie niewyczerpane jest w złosci. Nie długo potem, „gdy usłyszeli faryzeusowie, że zawarł usta saduceuszom, zesłi się wespół“ — radzić, jakby pokusić Chrystusa. Faryzeusze byli to wedle mniemania ludu izraelskiego łndzie świętobliwi, a wedle własnego przekonania ludzie, którzy sądzili, że wypełnienie załonu leży w mocy człowieka, a wypełniając go powierzchownie, głosili, iż wedle zasługi uczynków dziedzić się niebo, otrzymuje łaskę Bożą i zbawienie. Ci to faryzeusze, owi nauczani w Piśmie, zapytują Chrystusa: „Ktore jest n. jwiększe przykazanie w załonie?“ Jak w obec saduceuszów tak i tu, widzimy Chrystusa w całym majestacie boskości. Miłosierny, dobrotliwy, szukający grzeszników, nie odrzuca obłudnych nawet ob łbica swego, lecz jako Pan nieba i ziemi, jako jedyny i prawdziwy wykonawca

wea załonu Bożego, streszcza w odpowiedzi baney faryzeuszom dziediec przykazań mówiąc: „Będiesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej; to jest pierwsze i największe przykazanie. A wtore, podobne jest temuż: będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie. Na tych dwóch przykazaniach wszystek załon i prorocy zawisnęli.“

Słowa te Chrystusa bają się gładko i łatwo wymówić, — a jednak, geież jest człowiek śmiertelny, który je prawdziwie i rzetelnie wypełnił? Bóg albowiem, żądając posłuszeństwa względem załonu a miłości względem siebie i ludzi, chce, byśmy Go miłowali nadewszystko, całym sercem, całą duszą, bo i On nas umiłował, a w wielkiej miłości, nie tylko zapalił dla nas słońce na niebie i nieskończone przestworza zasiał gwiazdami, ale oddał także dla nas Jednorodzonego Syna swego. Bóg chce miłości naszej, chce nie ofiar, ale serc naszych, serc całych, jako sam mówi: „Synu mój, córko moja, oddaj mi serce twoje.“ Oddaj Mi serce twoje! tak woła Bóg, i to nie obdziś dopiero, nie w ten czas, gdy serce to ostygnie i zgrybieje, nie w ostatnią godzinę życia, tak woła od dni tego dziecinistwa, od młodości twojej, bo pragnie je mieć, pragnie posiadać, jako własną własność swoje.

Najmilsi słuchacze moi! Czyście oddali serca wasze Bogu? Czy On i tylko On, Bóg w Trójcy świętej jest panem i królem serc waszych? Czy oprócz Boga, miłowaliście i duszę waszą? Czy obojacie jej ów pokarm sprawiający żywot wieczny, to jest, czy ją potrzepiacie słowem Bożem? Czy słowo to jest światłością waszą, waszym przewodnikiem jedynym, czy w niem tylko szukacie mądrości, nauki, pociechy i umocnienia? Jeżeli nie, — w takim razie nie miłujecie własnej duszy i samych siebie, a nie miłując siebie, jakże wykonacie owo przykazanie miłości: „Kochać bliźniego jak siebie samego!“

Miłości bają różne nazwy: humanizm, filantropia, braterstwo, równość, jednoczenie! Dźwięczne to nazwy, ale nazwy tylko, i porównałbym je z kamelią, owym kwiatem świetnych barw, lecz wcale nie woniejącym. Miłość bez wiary, to posag z marmuru. Miłość ludzi, bez umiłowania własnej duszy, to światło elektryczne, błyszczące, lecz nie grzeje. Już apostoł Paweł powiedział:

Jeżeli nie mamy miłości, miłości, która z wiary w Chrystusa wpływa, to chociażbyśmy całe mienie bogom rozdali, chociażbyśmy ciało nasze paliли, lub anielskimi językami mówili, byłibyśmy jako dzwon próżny, jako miedź brzękająca!

Ludzie wymyślili mikroskopy celem zbadania i najdrobniejszych ciałek i najmniejszych żyłatek, lecz gdzież jest owe szkło, w które patrząc, można zajrzeć do głębi żywego bijącego serca ludzkiego? Siła tego i najwyższa umiejętność nie wynajdzie, bo stworzyła go mądrość Boża, a jest niem stworzo Boga świętego. Słowo to nie udzi, nie przemija na ziemi ani na niebie, słowo to jest światłością, i jeżeli promieniami jego w sercu waszem zaświecicie, cóż ujrzycie? Cóż? Czy mam powiedzieć? Oto wasza ludzka miłość była samolubstwem, albo namietnością! Oto, gdy wargi wasze o miłości prawili, serce falał brud żądzy, zemsty, chciwości i innych wielkich grzechów! Oto gdyście gotowi byli niby umrzeć dla ludzkości, ponieść dla wypowiedanej przez was myśli największe ofiary, w głębi serca tulili się szatan i szeptał wam: będziecie jako Bogowie! Może was te słowa moje ranią, może powiecie, to nie prawda! Idźcie, idźcie do cichej, ustronnej komory, zawrzućcie się w niej z Bogiem, prawdziwym, Świętym, wszechmocnym Bogiem, zawołajcie z głębi duszy, zawołajcie aby raz chociaż: Panie oświeć mnie! i spojrzycie w serce wasze! O! znajdziecie tam rzeczy gorsze od tych, które wspominałem, znajdziecie coś, na kształt uczuć Raina, coś z owej krąbrności współczesnych Nłogo, znajdziecie występki, grzechy, nieprawości, które proroci karcili w Izraelu, znajdziecie Judasza i Piotra zapierającego się Chrystusa, znajdziecie, patrzcie tylko w zwierciadło prawdy, w Biblię świętą! Biblia odkrywa wszystkie tajniki serca ludzkiego, pokazuje wem i jakimi jesteście. Przejrzyjcie się w zwierciadle prawdy, a poznacie samych siebie i zawołacie z psalmistą: „Panie, nie wchodź w sąd z Sługą Twoim, bo jeżeli chcesz grzechy policzyć, Któż ostać się może?” Tak! przejrzyjcie się w zwierciadle prawdy, którego ogniskiem w Starym Testamentie jest zakon dziesięciu przykazań, poznacie grzechy i winy wasze. Zakon jest mieczem, który pyszne serca rani, jest prawicą Boga, która obejmuje z nas wszystkie błyskotki zwane cnotą i Inną zasługą, jest drogą wiodącą do pokuty i uforzenia się przed Panem nieba i ziemi, dla tego dziś i zawsze zakon ten wygłaszałem, wołając na was: pokutujcie i nawracajcie się. Tak, pod zakon Boga świętego poddawałem siebie i was, bo zakon „jest pedagogiem naszym do Chrystusa, abyśmy z wiary byli usprawiedliwieni” (do Rzymian 3, 24). Jeżeliście więc z zakonu poznali grzechy wasze, jeżeli z głębi duszy, nie ustami tylko, możecie i dziś powiedzieć owe wielkie słowa: Sam grzeszny, Panie zmiłuj się nade mną! toście i w największym żalu, i w największym upadku otogostawieni, bo zakon poprowadził was do Ewangielii.

2.

Ewangielia zaś, to anioł pokoju, dobra nowina o łasce i przebaczeniu, to zwiastowanie owej

miłości, którą Bóg tak umiłował świat, że dał na śmierć Syna jednorodzonego, aby wszelki, który weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. O tej to Ewangielii mówi Chrystus w drugiej części rozdziału 22. św. Mateusza, pytając faryzeuszów: „Co się wam zda o Chrystusie, czyim jest synem?” Oto, i ja też się was pytam jako sługa Boży, pytam na sumienie wasze, pytam zegnając się z wami: powiedzcie, co się wam zda o Chrystusie? Czemże jest On dla was? Jeżeli mędrcem tylko, chociażby największym, jeżeli nauczycielem, prorokiem, wzorem cnoty, ideałem ludzkości — to powiem wam, idźcie precz z tego kościoła, zrućcie krzyż z niego, spalcie Biblię, nie chrzciecie dziatek waszych w imię Boga w Trójcy, nie żądajcie Komunii św., wyrwijcie krzyże z mogił waszych ufochanych — bo jeżeli Chrystus nie jest Bogiem, Biblia jest kłamstwem, kościół teatrem, a służby kościoła największymi złodziejami. Tak, w ten czas i ja oszukiwałem was, a pasterska suknia moja była suknią komedyańską, wy zaś sami, wy powinniście się wstydić miana chrześcijan. Powiedziałem wam to już podczas tegorocznych nabożeństw pasyjnych, powtarzam i dziś: drogi pośredniej niema: albo Chrystus jest Chrystusem takim, jakim Go Pismo święte objawia, albo jest On dla nas po dziewiętnastu wiekami już nie przydatny. Może was to razi, że dziś tak mówię, może weźmiecie to za uniesienie z obecnej chwili. O nie najmiłsi, jam spokojny, to nie zapal mnie unosi, ja tylko jak zwykle, doprowadzam wywody moje do ostatecznych wyników. Powiecie może, — lecz na cóż Bóg stał się człowiekiem? Oto na to, abyś poznawszy, że jesteś biednym, grzesznym, zgubionym człowiekiem, mógł prawdziwie znaleźć grzechów odpuszczenie, znaleźć pokój Boży. My jako ludzie i w ogólności wszystko, co się z ciała ciałem narodziło, nie może zadośćuczynić sprawiedliwości Boga żywego, nie może dać mu zadośćuczynienia. Możliwość zadośćuczynienia leżała jedynie w osobie Chrystusa dla tego, że Bóg prawdziwy wziął na siebie człowieczeństwo nasze; że jako Bóg prawdziwy nie tylko dla was się narodził z dziewicy, nie tylko wziął na się ubóstwo i nędzę, utrapienie i poniżenie nasze, ale i grzechy nasze. Jako nasz zastępca, poniósł dla nas przynależną nam karę, umarł albowiem śmiercią haniebną, śmiercią na krzyżu, i dla tego w śmierci Jego mamy usprawiedliwienie nasze, w krwi Jego oczyszczenie od grzechów wszelkich, w wstąpieniu do piekieł pewność zwycięstwa nad szatanem, w zmartwychwstaniu i w wniebowstąpieniu zabatek żywota i szczęśliwości wiekistej! Nie dość jednak na tem, jako wierny pasterz, Chrystus postanowił chrest święty, aby co się z ciała grzesznego narodziło, Duchem świętym odrodzone zostało, postanowił Komunię św., aby dziatek Boże, karmione pokarmem sprawiającym żywot wieczny, rosły na mężów i niewiasty silne wiarą i miłością. Chrystus, ten jedyny i prawdziwy biskup dusz naszych, by nas nie zostawić w usamotnieniu, by nam ulżyć w ciężkiej pielgrzymce doczesnej, powiedział: O cokolwiek będziecie w Mojem imieniu

prosił, dane wam będzie! Komu więc grzechy stały się brzemieniem ciężkiem, kto łaski i pokoju szuka, ten znajdzie wszystko to w Chrystusie, znajdzie pod krzyżem z Golgoty. Wołajcie z głęby duszy, pragnijcie grzechów odpuszczenia i świętości, a Duch św. zstąpi w serce wasze, i z nim pokój, łaska i ufność. Pragnijcie, wołajcie, proszcie, szukajcie: „Bo Chrystus przyszedł szukać i zbawić zgubione” (Ew. Łukasza, 19, 10.) „On jest drogą, prawdą i żywotem, a żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez niego” (Ew. św. Jana, 14, 6.) „Nie masz w żadnym innym zbawienia; albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem, danego ludziom, przez które moglibyśmy być zbawieni, jak tylko imię Jezus” (Dzieje apóst., 4, 12). Kto Chrystusa wyzna przed ludźmi, tego i On wyzna przed Ojcem, który jest w niebieszech, a kto się Go zaprze przed ludźmi, tego się i On zaprze przed Ojcem w niebieszech (Ew. św. Mateusza, 10, 32, 33.) Patrzcie, słuchajcie, to treść Ewangelii, to prawdy, które starałem się wiernie w ciągu całego pasterstwa mojego wygłaszać, które i dziś pragnąłbym wrzucić, pragnął wyrzucić na serca waszych.

Ponieważ jednak dziś znajdują się w tym przybytku Pańskim nie tylko wyznawcy kościoła luterskiego, przeto wam, synowie innych kościołów, ja pastor luterski powiadam: niema w innym zbawienia, jak tylko w Chrystusie, a On jest prawdziwą pomocą i zbawieniem. Szukajcie w Jezusie zbawienia i pomocy, a znajdziecie ją, znajdziecie w życiu i w śmierci. Pamiętajcie, że Jednorodzony z Ojca w wieczności jest najwyższą miłością, i po tem pozna was, żeście Jego; gdy miłować będziecie, gdy miłością obejmować będziecie jak On z krzyża swego świat cały.

A jeżeliby między wami byli i niechrześcijanie, i im powiadam: Bóg w Trójcy świętej jest jedynym i prawdziwym Bogiem, Chrystus jedynym zbawicielem. On was umiłował, On i za was umarł, On i do was z Golgoty wyciąga ramiona, wołając: pójďte do mnie, wy wszyscy, którzyście obciążeni.

Tak więc najmilsi, oto jest wszystko, com chciał powiedzieć, czego jednak zapewne nie wypowiedziałem w zupełności, bo serce moje jest zbyt przepełnione, bo zbyt mi tamują i krępują ludzkie słabości, bym zdołał wypowiedzieć słowem, co widzę oczami mej duszy. Chciałem, by dzisiejsze kazanie było streszczeniem tego, com przez siedemnaście lat w zborze tutejszym wygłaszał, czym zamierzony cel osiągnął nie wiem, przeto chęć gorąca niech zagłabi niedostatki mej mowy. A teraz, żegnając się z wami, mam do was jedną prośbę jeszcze, o jedno was błagam: nie zapominać o mnie w przyczynnych modlitwach waszych, tak jak ja o was nie zapomnę. Bo jak po dziś dzień, modłę się za pierwszy mój zbor, tak nie przejdzie i jeden dzień, żebym nie zaniósł modłów moich za wami przed tron Przedwiecznego. I wy modlicie się za mną, a nie tylko za mną, ale i za zbozem, do którego idę. Pamiętajcie o mnie i łączcie się ze mną w modłach przyczynnych, a w trwogach i wspólnych radościach secca nasze spot-

kają się nieraz na drodze westchnień i modłów idących do Ojca w niebieszech w imieniu Chrystusa.

O najmilszy zborze mój, bo takim zawsze dla mnie pozostaniesz, najmilszy zborze mój, nie dla tego odchodzę od ciebie, żebym strudzony ciężką pracą szukał odetchnienia i ulgi; nie odchodzę dla ziemskich widowisk, dla zysku, dla przyjemności, bo między wami będąc, nie szukałem tego wszystkiego, nie będę więc szukał tego i w zborze, którego członkami są sami rolnicy; nie wychodzę od was, żeby — lecz pocóż ja to wszystko mówię! Kończę już, kończę i proszę, proszę i błagam, bądźcie wierni do końca, wyznawajcie Chrystusa, miłujcie Boga nadewszystko, miłujcie się między sobą, nie ustawajcie w modlitwie. Módlcie się, myślcie, sercem, mówią i czynem wystawiajmy Chrystusa Pana, abyśmy tu na ziemi i w niebie zostali w Bogu, a On w was, aby drogą, życiem i prawdą był dla nas Jezus Chrystus.

Żegnaj was najmilsi! Żegnaj was, których chrzcizłem, konfirmowałem, nauczałem, których u stopni ołtarza w małżeństwo łączyłem, żegnaj was wszystkich! Ży, które z oczu moich płyną, to nie są słabości, ale dziełczynienia, dziełczynienia za miłość waszą ku mnie. Żegnaj was! a ostatnie moje słowo dla was dziś, jak i w godzinę śmierci mojej będzie i jest: Niech was Pan błogostawi i strzeże, niech was umacnia i oświeca, niech prawda Boża, niech Chrystus mieszka w was, niech z wami zostanie na wieki, łaska, miłość i pokój Boga Ojca, Syna i Ducha świętego. Amen!

Pod stopny krzyża.

Wiersz ś. p. Adama Asnyfa.

Dużo cierpiałem . . . lecz koniec się zbliża.
Z uspokojeniem po przebytej męce —
Pójdę, o Chryste, do stóp twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęśnieniem ręce,
I witac ciszę zachodzącej zorzy,
Która mię w prochu u stóp Twoich położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdys ze skrupa
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I obłąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Obłąd mi zabrał Ojczyznę i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem, o Panie,
Wydobyc płaczu z mej piersi ściśniętej,
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A tyś mi zniżył na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych łosci,
Z ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem tary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem i brakło mi wiary,

I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdrościąc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem niemoc i trwogę konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek —
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania,
I próżnych męczęstów przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje.
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Wysłałem bowiem, że biegnąc w płomienie
Wiedzą przynajmniej, dla czego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdybym obaczył, żąd te wszystkie czyny
Swoją tajemniczą pocztą wywodzą;
Żąd wyrastają ścieżki krwawej wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
I gdy wgnijając w serce zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nicość.

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej,
I przeklinałem tę rzeszę żalobną
I pogardałem niemi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Zem nie mógł kochać jak dawniej za miłodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność,
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Ci mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co klamą tylko pozór wyższej cnoty,
Odrzuciłem nicość i odrzuciłem pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty,
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogryzła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej a razem nieskończonej mocy.
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potęgze Boga.

Na mojej pierś spoczywał schowany
Młotki krzyżył ze stoniowej kości;
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczęstwa.

Niedy go teraz na pierś zbolalej
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się znowu wydał jasny, biały,

Taki potężny i tak miłosierny,
Ze znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe,
I tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Tak wówczas, kiedy przy serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te Boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmary,
We mnie jest spój i we mnie jest życie,
Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
Wszystko przemija, prawda nie przemienie!”

Więc posłuchałem słodkiego wezwania —
I oto idę z mem sercem schorzałym,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błędził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz Chryste.

Rozmaitości.

— 500 panien na wydaniu wyruszy na wiosnę roku przyszłego do złotobajnego Klondyke, pod wodzą pastora M. Kernan z Oia, w polubniowiec Dakoty. Podejmuje się on zapłacić im kosztą podróży, lecz ob każdej kandydatki do stanu małżeńskiego żąda 2—4,000 dolarów; w razie gdyby która męza nie znalazła, zobowiązuje się własnym kosztem odwieźć ją do Scattle. Taka ewentualność jest jednak wykluczoną, wobec szalonej ochoty do ożenku wśród górników miejscowych. Wyruszając do Klondyke, byli po większej części za uboższymi, aby móc myśleć o małżeństwie. Teraz, gdy pozyskali szybko fortunę, marzą o rozkoszach domowego ogniska. Kernan na swoją odezwę do Amerykanek otrzymał parę tysięcy zgłoszeń, z tak znacznej liczby kandydatek wybrał 500 od lat 18 do 36. W dniu 15 kwietnia wyruszy z niemi z Scattle (dość muszą przybyć na własny koszt, zaopatrzysz się w ciepłe odzienie) opłaci im podróż oceanem drugą klasą na parowcu. Wieść będzie księdza katolickiego i pastora. Damy pozostaną na pokładzie, dopóki ich duchowny nie potęczy węzłem małżeńskim. Kernan ma zamiary zupełnie „uczciwe.” Na tej „spekulacji” spodziewa się zarobić 250,000 dolarów. I niechże kto powie, że kobiety nie są odważne i pomimo emancypacji, gotowe obdykować ze swej swobody na rzecz „tyrana.”

Rozwiązanie zagadki z nr. 26.

Makówka.

Zagadka.

Kto o nią dba, ten jej nie ma,
A kto nie dba, ten ją ma.

Evangelik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 28.

Gł., na niedzielę dnia 31 października.

1897.

Dwudziesta niedziela po św. Trójcy.

Lasta Bana naszego Jezusa Chrystusa, miłość Boga Ojca i społeczność Ducha świętego niech będzie z nami wszystkimi Amen.

Ewangelia św. Mateusza r. 22, w. 1—14.

Chrystus, Jednorodzony z Ojca w wieczności, przyszedł szukać i zbawić zgubione, i dla tego też wszystko, co mówił i czynił, zmierzało ku ratowaniu dusz, ku pomocy upadłych i grzesznych. Jego narodzenie w Betlehem, Jego śmierć na krzyżu z Golgoty, słowa, które mówił i cuda, które czynił, wszystko do jednego zmierzało: ludzi twardego serca skłonić do pokuty, a wierzącym dać żywot wieczny. Dla tego też bez wiary w Jezusa ufrzywowanego i zmartwychpowstałego bez miłości i ufności w Chrystusa, co na prawicy Ojca w niebieszech zasiadł, nie tylko niema zbawienia ale i szczęśliwości doczesnej. Chrystus, jako pasterz dobry, troskliwie szuka zgubionych, lecz tych, którzy Nim gardzą, odrzuci od siebie w onym dniu, gdy przyjdzie sądzić żywe i umarłe. Chrystus wszystkich powołuje, lecz tylko wiernym i pokornym rzeknie: pójście do Mnie, wyście Moi. O takim to powołaniu i wybraniu prawi Ewangelia dzisiejsza, zastanówmy się przeto nad nią, aby się dowiedzieć:

Dla czego jest wielu powołanych, a mało będzie wybranych!

Syn Jednorodzony Boga żywego, Bóg prawdziwy i człowiek prawdziwy, Chrystus, nauczając lud izraelski, często mówił w podobieństwach, aby leniwe serca pobudzić a prostactwów skłonić do rozmyślań. W podobieństwie o królu spraszącym na godę weselne, przemawia Pan znów do żydów, jak o tem w Ewangelii czytamy. Królem jest Bóg, gości mi ludzkie i ludy. Czem jest królestwo niebieskie, któremu przypodobnywa Pan godę weselną, o tem wiedzieć powinniście z Katechizmu, a mianowicie z objaśnienia drugiej prośby. Codzień wołacie: Przyjdź królestwo Twoje! i codzień uczy was Katechizm: „Jż królestwo Boże przychodzi i samo przez się, lecz prosimy w tej modlitwie, aby się między nami upowszechniło.“ Jak się to zaś dzieje, prosto i jasno uczy

was tego kościół luterski, powiadając: Gdy Bóg udziela nam Ducha swego, żebyśmy przez łaskę Jego, słowu Jego wierzyli a pobożnie żyli, tu do-
częściej i tam wiecznie!

Królestwem Bożem więc jest wszystko, co Bóg w słowie swem objawiał od wieków o Zbawicielu, Mesyaszu i o tem, jako zbawi tych, którzy przez nieposłuszeństwo Adama i Ewy, onych pierwszych ojców naszych, stali się grzesznymi. Objawienia takie dawał Bóg prorokom, mężom wybranym, ludu wybranego, ludu izraelskiego. Najpierw jednak objawił łaskę swoją, to jest przyrzeczenie zbawienia, świętym patriarchom: Abrahamowi, Izakowi i Jakóbowi. Oni to pierwszymi królestwami byli i o nich mówi w podobieństwie Chrystus Pan, jako o pierwszych owych sługach, przez króla wysłanych, by goście na godę weselną sprasiali. Lecz już wtenczas, grzechowi oddani poganie, upomnień Bożych słuchać nie chcieli.

Cierpliwy a miłosierny Pan nieba i ziemi, po wielu, bardzo wielu stuleciach, mając już zebrany lud swój, lud Izraela, Pan, który dał ludowi przez Mojżesza kościół Starego Testamentu, obrzędy ofiarne i zakon cały, owe świadcstwa święte świętego przymierza, zapowiadające przyściszenie Zbawiciela, widząc, iż lud krągłbny wpadał w coraz cięższe grzechy, stał do niego postanniki swoje, święte proroki, wzywające do pokuty i nawrócenia. Prorocy, kazaniem słowa Bożego nauczali i upominali lud, bo słowo, słowo zapisane w Biblii, równie, jak w Nowym Testamencie Sakramenta, to owe jedyne a prawdziwe środki łaski, którymi Bóg królestwo swoje na ziemi buduje. Oż i prorocy słowem to królestwo budowali, a Duchem świętym natchnieni, zapraszali lud Izraela i upominali, by ze skarbnicy Bożej brał dary święte, by czyniąc ofiary, pamiętał o grzechach swych i nawracał się do Boga żywego, Boga Jehowy. Lecz zespuły Izrael to gardził słowem prawdy, to gwałcił kolana przed cudzymi bogami! Co więcej, wpadając coraz głębiej w grzech, żydzi mordowali i przelewali krew proroków Jehowy!

O tym to wielkim grzechu Izraela mówi Chrystus w podobieństwie, któreście z Ewangelii dzisiejszej słyszeli, i zarazem przypomina ludowi fakt, jako ojców ich za grzech ten spotkała. O najmiłsi, wielka i straszna, a zarazem radosna i błogosławiona jest to Ewangelia. Z niej albo wiem nauczyć się macie, jako nie rychłym w

gniewie, ale sprawnym w łapaniach swych jest Bóg, jako nawiedza w dzieciach nieprawości ojców, jeżeli tak samo jak ojcowie grzeszą. Wasi przodkowie ciężkie znosili prześladowania dla świętej ewangelicznej wiary, lecz na nic się nie przyda chłubić ich zasług, jeżeli śladem ich nie chcecie chodzić. Bóg poruszył serce najsłabiejszego monarchy waszego, potężnego Cesarza i na mocy wielopomnego patentu cesarskiego otrzymałcie wolność wyznania i równouprawnienie, — najmilsi, wielki i błogosławiony to dar, lecz, czy używacie go użytyjowanemu Chrystusowi na chwałę, a bliźni waszym na pożytek? I lud Izraela był ludem ubłogosławionym i wybranym, miał czyste słowo Boże i święte obrzędy kościelne, ojców ludu tego wyzwolił Bóg z ciężkiej niewoli egipskiej, prowadził cudownie przez morza i pustynie, a jednak, synowie zepsuci nie słuchali głosu tego Boga. Złoty kupiecki, dom i rola były im miłsze, jak uczy tego Ewangelia dzisiejsza, aniżeli zbawienie duszy. Dla tego też uporne i nieposłuszne, dla tego one morderce kapłanów i proroków ukarał Bóg Jehowa, oddając Izraela w ręce Babilończyków, a gdy i to łapanie nie pomogło, przyszło na żydów ostatnie, najstraszniejsze łapanie! Zbuntowany przeciw Bogu prawdziwemu Izrael, nie tylko zabijał proroki Pańskie, zabijał on i użytyjował sromotnie, jak o tem mówi Ewangelia na innem miejscu (Ew. św. Mat. 21, 23—39), syna owego króla godny sprawiającego, Chrystus! Izrael wołał: krew jego niech spadnie na głowy nasze i dzieci naszych, i krew ta spadła tak ciężko, iż pod jej brzemieniem runęła w gruzach Jerozolima przez Rzymian zburzona, a lud żydowski poszedł w rozproszenie!

Tak najmilsi! Nie rychliwym w gniewie swym jest Bóg wszechmocny, ale sprawnym! Długo był On cierpliwy względem Izraela, lecz w końcu ukarał strasznie, odebrał mu wszystko, i odtrącił od siebie powołany do najwyższych łask lud, spośród innych ludów wybrany. O! forciecie się w prochu pokuty do głębi serca poruszeni najmilsi słuchacze moi! Uznajcie prawdę omych dopiero co wyrzeczonych słów, bo dalej o was mówi Ewangelia.

Chrystus Pan mówi w podobieństwie, jako Król sprawiający godny weselne, po ukaraniu pierwszych zaproszonych, rozstał na rozstaje dróg sługi swe, by zwołali dobre i złe. Gośćmi onymi zapełnili się wszystkie stoty, a król przyszedł je oglądać! Poco oglądać? Oto, czy wszyscy mieli na sobie suknię weselną, bo suknie takie darmo rozdawane były zaproszonym przez sprawiającego wesele. Szaty weselne darmo rozdawane były, mimo to między zaproszonymi znalazł się jeden, który nie przywdział szaty godowej. Tedy król zapytał go o przyczynę takiej opieszałości, lecz nie umiał mu nic odpowiedzieć, owszem milczał. Na on czas rzekł pan do sług swych: Zwiążcie go i wrzucie w ciemności, gdzie będzie płacz i gżgżytanie zębów!

Najmilsi! onymi z różnych stron zaproszonymi, onymi z pomiędzy dobrych i złych powołanymi, jesteście i wy sami. O was to mówi

Ewangelia dzisiejsza! Suknię weselną obdarzył was Bóg przy chrzcie świętym, zlewając w serce wasze Ducha swego, abyście trwili Chrystusa z grzechu pierwotnego obmyci, stali się dziećmi żywota wiecznego w niebieszech. Dziedzictwo w niebieszech, jest to w Chrystusie i przez Jego zasługę, zbawienie, odkupienie od grzechu, śmierci i władzy szatana, a potem oglądanie twarzy Ducha w niebieszech. Tak, to powołanie wasze, to one godny weselne, na które jesteście zapraszani! Jeżeli mam bywa często i jasno opowiadane słowo Boże, jeżeli bywacie upominani, byście do stołu Pańskiego, do wieczerzy Chrystusowej szli, jeżeli działki wasze do chrztu świętego przynosić winniście, wszystko to dzieje się dla tego, abyście, będąc powołanymi, mogli także być i wybranymi.

Tak najmilsi, gdy Chrystus Pan rzekł do uczniów: idźcie a nauczajcie wszystko narody, gdy w dniu Zielonych świątek złał na apostołów Ducha świętego, a ciż apostołowie różnymi językami opowiadali Ewangelia, gdy postanowił urząd pasterski, i pasterzy owieczek swych nazwał szafarzami tajemnic Bożych, wszystko to uczynił dla tego, aby powoływać ludzi i narody, do brania udziału w łasce, która w Nim się prawdą stała, w łasce grzechów odpuszczenia, bez zasługi z uczynków, przez wiarę w Niego, w Chrystusa Boga-człowieka, w Chrystusa, onego baranka Bożego, który gładzi gładzi grzechy świata! Kto taką wiarę ma, ten będzie wybranym, to jest zbawionym i odziedzicz z prorokami i apostołami koronę żywota wiecznego i będzie tam, gdzie Chrystus jest, gdzie Chrystus przygotował nam miejsce, na prawicy Ducha w niebieszech.

Wieluista owa chwata i szczęśliwość nie wypowiedziana, przyrzeczona jest wszystkim ochrzczonym i wszystkim w imieniu Boga Ducha, Syna i Ducha św. wodą ochrzczeni, są powołani, by się wybranymi Ducha w niebieszech stali. Lecz warunkiem wybrania jest zachowanie aż do onego dnia, w którym król przyjdzie oglądać godowników swoich, sukni weselnej. Powiedzialem już, jako suknię weselną jest Duch święty, zlaný na nas z łaski Bożej przy chrzcie, o czem wiecie z Katechizmu, który wasz naucza: iż Bóg przez Jezusa Chrystusa złał na nas obficie Ducha świętego, abyśmy odkupieni będąc łaską Jego, stali się dziećmi żywota wiecznego, wedle nadziei, co jest istotną prawdą. Lecz otrzymawszy Ducha świętego, jeżeli Go nie słuchamy, jeżeli w słowie Biblii, które jest ziarnem Ducha świętego i rełką Boga niewidzialnego, upominani, nauczani, łapani, słowu temu zamykamy drogę do serca a zapamiętali w grzechu, gardzimy wołaniem Bożem, zamykamy uszy na prośby i groźby sług Chrystusowych, pasterzy Pańskich, a w ten czas, mimo powołania, nie będziemy wybrani, w dniu sądu ostatecznego rzeknie nam Sędzia żywych i umarłych: Odstąpcie ode Mnie złoczyńcy, Ja was nie znam, bo nie macie szaty weselnej!

Tak najmilsi! straszne to słowo ale prawdziwe! Bóg ludzi powołuje do zbawienia, obdarza łaskawie suknią weselną, to jest Duchem

świętym, lecz ob was należy zatrzymanie w czystości onej sukni, lub zbrudzenie jej i odrzucenie! Bóg powołuje nas w Synu swym utrzymywanym Chrystusie, lecz wybierze tylko wiernych, a dochowanie wierności od nas zależy. Bóg chce, byśmy Jego wybranymi byli, bo tak umiłował świat, iż oddał zań Jednorodzonego Syna swego, — lecz Bóg ten powiada także, aby wszelki kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny! Kto uwierzy a ochrzci się, zbawiony będzie, kto nie uwierzy, będzie potępiony. Bóg woła, prosi, zbiera, oświeca i poświęca, lecz kto się opiera, kto głuchym jest, nie tylko nie będzie wybranym, ale będzie odrzucony i potępiony. A gdy się tak stanie, nie Boga ale nasza to wina. On daje, nam brać należy. On woła, my za głosem Jego iść powinni. On nam grzechy z łaski, dla niewinnej meki i śmierci Jednorodzonego odpuszcza, naszym obowiązkiem z Nim umierać grzechowi, a jakośmy w ciele złemu służyli, tak w poświęceniu służyć Bogu!

Proste i jasne są prawdy, które tu wypowiedziałem a są to prawdy zawarte w Biblii, są to prawdy, które wyznaje nasz kościół luterski, za które ojcowie wasi krew swoją przelewali i wyżej cenili jak dom, rolę i wszystko mienie doczesne. Zaczynajcie a bogobojnych ojców synowie i córki, czy pamiętacie o waszem dziedzictwie w niebiesiach? Jesteście onymi powołanymi i zaproszonymi gośćmi, lecz czy będziecie i wybranymi? Komu wiele dano, od tego będzie i wiele żądano! Wam, jako ewangelikom, dał Bóg starb wielki, — słowo swoje, Biblię świętą! Czy ją czytacie, czy jej wierzycie, czy wedle niej żyjecie? Wyście jak Izrael, on lud, pomógł, powołał do świadczania myślał, słowem i czynem, że Ewangelia prawdą jest, że kto darmo, z łaski, bez zasługi swej, przez niewinną mekę i śmierć Chrystusa zbawiony, ten stał się Jego własnością, ten w Jego państwie w Jego sprawiedliwości z Nim i i przez Niego żyć powinien! Czy przez codzienny żal i pokutę umiecie wedle starego człowieka, by do nowego żywota zmartwychwstać w Chrystusie? O najmiłsi to powołanie wasze, święte i prawdziwe! Czy wedle tego powołania sprawiacie dni żywota waszego? Dajcie, jak wychowujecie dzieci wasze? Jeżeli sądzą, że posyłając je do szkoły i troszcząc się o to, by miały co jeść i pić i co odziedziczyć po was, spełniliście rodzicielskie obowiązki nasze, to się mylicie i bardzo mylicie! Dziadowie wasi pamiętali o tem wszystkim, ale przede wszystkim głównym ich fraszunkiem było: wychować dzieci w bojaźni Bożej i dla tego oni to byli najpierwsi nauczycielami swych dzieci, oni rano i wieczór z Biblii świętej działkę i czeładkę swą budowali i wraz z niemi pieśni nabożne śpiewali! A wy ojcowie i matki, czy tak samo czynicie, czy gdy odezwą się kościelne dzwony, prowadzicie domowników waszych do domu Bożego, do kościoła?

U ojców waszych małżeństwo święcie szanowane było, a każda dziewczyna w niewinności i czystości żyła, każdy młodzian był jako on Józef skromny! A dziś? Czy swary a kłótnie nie plu-

gawia często ust małżeńskich? Czy niema dziewczuch co zapomniały o wstydzie panieńskim? Żłuto z was rzuca lekkomyślnie szanowny i poważny ubiór ojcom, a stroi się w cudzoziemskie suknie! Nie sądźcie: to nie szkodzi. O najmiłsi, rzucając z siebie szaty praocjów, rzucacie z siebie i praocjów cnoty, rzucacie przez, rzucacie w błoto grzechu i zepsucia, ich myśli, ich pracę, ich bogobojność, i sercem stygniecie i stajecie się jako trupy, w godowe wystrojone szaty! Najmiłsi, szanuję ja i poważam co jest dobrem u cudzoziemców, wiem, że niejednej pożytecznej rzeczy od nich nauczyć się można, lecz wiem także, iż wieśniał, iż prostaczek, nie prędko umie odróżnić dobre od złego i raczej ostatnie wybiera, a sądząc, iż strasznie zmańdrzał, pyznieje i gardzi tem, co dla ojców jego świętem i szanownem było. Strzeż się tej niecnoty! Na cóż by was Chrystus Pan bronił i chronił przez tyle wieków, dla czego was polską mową chwalałających Boga, światłem Ewangelii obdarzył, dla czegoż was między katolikami i niemcami postawił? Oto, byście tego światła pod forzec nie stawiali, ale by ono z gór waszych szeroko na wszystkie strony, gdzie polska brzmi mowa, jasno przeświecało. Wyście sól ziemi, pamiętajcie, że gdy sól zwietrzeje, wyrzuca ją, a zdepczą. Najmiłsi, dwom panom służyć nie można, nie można być razem poganinem i sługą Chrystusa, niewolnikiem ciała i dziećciem Bożem. Przy konfirmacji waszej przysięgliście, iż wyrzeczacie się diabła i grzechu i chcecie żyć Bogu na chwałę, Bogu Ojcu, Synowi i Duchowi świętemu! Czyście tej wielkiej, ewangelicznej przysięgi dotrzymali? Czy walczyście i zwyciężacie pokusy djabelski i tego świata, czy krzyżujecie wasze ciało wraz z pożądliwościami jego? Czy nie przeklinacie i nie złorzeczycie, czy nie nosicie w sercu nienawiści i zazdrości, czy nie jesteście pochopni do kłótni i gniewu, czy nie przestępujecie szóstego przykazania, czy nie krzywdzicie sąsiadów, panów lub sług waszych na majątku i sławie? Czy zamiast żyć w zgodzie, jako członki ciała Chrystusowego, nie swarzyć się między sobą? Czy pamiętacie o domu Bożym, o chwale i potrzebach Jego? Chętnie budujecie na kościołach waszych wieże, ale czy z próżności, czy też dla tego, by złożyć świadectwo, iż jesteście ludem Chrystusowym, że owe wieże kościelne, to jakoby ramię wasze, któreście w górę podnieśli i wołacie: Ewangelia, to jedyna do nieba droga?

O wiele rzeczy was pytam, najmiłsi, bo muszę, bo to święta powinność moja! Wszakże ja pasterz owczarni Chrystusa Pana a wy owieczki Jego, wszakże wyście oni powołani, a najgorętszem pragnieniem serca mego jest, byście i wybranymi Chrystusowymi byli! Dla tego pytam was na koniec, jak jest między wami z nałogiem pijanstwa? O najmiłsi! straszny to nałóg, a niegdyś między ojcami waszymi pijał był obrzydliwością. Pijanstwo to gorzej jak zaraza, pijanstwo to owa moc szatańska, którą wróg zbawienia dusz naszych truje od dawien dawna polskiego rolnika. Pijanstwo to nędza i ubóstwo; pijanstwo to ogień gorszy od pożogi, bo ta niesz,

czy dom i mienie a ono zatracą duszę i ciało. Pijany Saul chciał zamordować Dawida, pijany Herod stał się cudzołóżnikiem i bratobójcą, pijanice nie odziedziczą królestwa niebieskiego. Najmilsi, błagam i proszę, strzeżcie się obrzydliwego nałogu pijanstwa, strzeżcie, byście nie zatracili na wieki duszy i ciała!

Najmilsi, kończę kazanie moje i raz jeszcze wracam do Ewangelii dzisiejszej.

I w obecnej chwili król nieba i ziemi, Zbawiciel świata, zwoływał was przez usta moje, niegodnego sługi swego na godny weselne. Dziś przypominane wam zostało znów, żeście oni goście powołani i zaproszeni; że Ojciec niebieski chce was w Jednorodzonym Synu swym, Chrystusie, wybrać; że wam podarował w łasce swej wielkiej szatę weselną, bo w chrzcie poświęcił was, odrodził i zlał na was Ducha świętego. Lecz możecie pogardzić łaską Bożą, możecie zbrudzić, poszarpać, precz rzucić szatę waszą weselną, możecie, jeżeli serce wasze zamknie się dla słowa Bożego, jeżeli usta wasze i dusze wasze przestaną chwalić imię Chrystusowe, ono imię, w którym jedynie jest odkupienie, łaska i zbawienie! Możecie to uczynić, lecz wasza to a nie Boża będzie wina! Możecie to uczynić, ale biada wam, bo w dniu sądu, gdy przyjdzie sprawiający godny weselny, Bóg Chrystus, powie i wam jak onemu mężowi w Ewangelii: weźcie go a wrzucicie w ciemność, a będzie tam płacz i zgrzytanie zębów! O! niech was Bóg miłosierni raczy zachować od tego największego nieszczęścia! Niech strzeże dusz waszych, niech do zbawienia dopomoże!

Może wam powiedziałem niejedną ostrą prawdę, niejedno gorzkie słowo w dzisiejszym kazaniu, lecz spełnięm pasterką powinność moją. O ludu ewangelicki, wy członkowie zboru, jami wedle ciała obcy dla was, alem was umiłował z całego serca, alem za wami nieraz gorąco zanosił modły do Boga w imieniu Chrystusa, byście nie przestali być oną światłością Ewangelii zapaloną na górze, byście jak ojcowie wasi wiernie wytrwali w wierze naszego kościoła ewangelickiego, byście w niepokalanej czystości zachowali drogie skarby luterskiego kościoła. O zaprawdę, nie przestanę was nosić w sercu mem, was ewangelicy, nie przestanę w modłach przyczynnych za wami wołać do Boga świętego! Pamiętajcie i wy o zborach waszych i o mnie pasterni owczarni Chrystusowej w modlitwach waszych przyczynnych, abyśmy jedną wiarą, jednym chrztem, jedną miłością połączeni, a jednym słowem Ewangelii powołani, znaleźli się znów u tronu Ojca w niebieszech, jak Jego wybrani! Tak nam Boże dopomóż, przez Syna Twego Jezusa Chrystusa. Amen!

Modlitwa.

O święty, święty, święty Panie i Boże, który nas codziennie przez słowo Ewangelii do królestwa swego powołujesz i na godny weselny Syna Twego Jezusa Chrystusa zapraszasz, wy-

znajemy Ci grzechy nasze, wyznajemy, jako leniwego serca ludzie, nieraz uszy nasze na wołania Twe zatykałszy i bardziej szufali tego co doczesne i ziemskie, jak tego co wieczne! O zmiłuj się, ach zmiłuj nad nami i dla wielkich grzechów naszych nie odtrąć od oblicza swego. Zmiłuj się Panie nad nami dla niewinnej mężi i śmierci Syna Twego Jezusa Chrystusa, odpuść i przebaczą nam upadki i winy nasze, dopomóż w łasce swej byśmy pamiętali o powołaniu naszym! Ubierz dusze i serca nasze znów w szatę godową, a w godzinę śmierci policz nas do wybranych Twoich. Wysłuchaj nas, dla Chrystusa, Syna Twego Jednorodzonego. Amen!

Tak to dzisiaj na świecie.

Papa do domu wracając
Pośród nocnych toni,
Widzi, że synek także
Już do bramy dzwoni.
Oburzony więc papa
Krzyczy z całej mocy:
— Cóż tak późno, hultaju,
Wracasz do domu w nocy,
Na to synek spokojnie
Przy dzwonku się zwraca
I rzeczy: — Przecież Papcio
Także późno wraca!
Zirytowany stary.
Krzyknął naskrztałt gromu,
Ze syna na noc wcale
Nie wpuści do domu.
Syn tedy puścił dzwonek
I w lot błyskawicy,
Odwrócił się i biegnie
Szybko po ulicy.
— Gdzie idziesz? krzyczy stary?
Gdzie? więc cóż ja zrobię,
Domu nie mam, — do Anajpy,
Przeto idę sobie.
— Do Anajpy? a otwarta?
Spytał stary żywo —
— Naturalnie: J... razem
Poszli znów na piwo...

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.
Pajęczyna.

Bagadka.

Cztery nogi ma i pierze
Ale nie ptak i nie zwierze.

Evangelik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 29.

Głk, na niedzielę dnia 14 listopada.

1897.

Nabożeństwo domowe.

Według nauki Pisma św. nie tylko duchowni mają prawo Boga chwalić i wielbić i do niego się modlić, ale każdy chrześcjanin, wszyscy bowiem, jak powiada św. Piotr, narodem kapłańskim jesteśmy i dla tego każdy też winien Boga wyzywać we wszelkich potrzebach, modlić się, chwalić i wielbić Go. Jestto obowiązek wynikający z drugiego przykazania. — Przodkowie nasi wiernie spełniali ten obowiązek, wiedzieli bowiem że spełnienie go nam samym pożytek przynosi. — Jeżeli Pan Bóg wyzywa nas do modlitwy, to jedynie dla naszego dobra to czyni; jeżeli Chrystus powiada „proście“ to jedynie dla tego, by nam „danem“ było. — I dla tego przodkowie nasi nie zaniedbywali modlitwy, owszem, z całą swą rodziną, ze wszystkimi domownikami rodziesi rano i wieczór czytali Pismo święte, śpiewali pieśni nabożne i modlili się wspólnie, oprócz tego w każdą niedzielę i święto nie tylko, że do kościoła na nabożeństwa uczęszczali, czytali oni też w domu z postyli kazania. Wszystko to razem nazywało się nabożeństwem domowym. O jakże mało znajduje się domów w których chwaliby ten zwyczaj jeszcze się utrzymał. Wielu takich co mają siebie niby za „wykształconych“ pogardzają im i rzadko spotkać człowieka „wykształconego“ czytającego Pismo święte, lub starodawnych zwyczajem modlącego się razem z domownikami swoimi. W bardzo wielu parafjach kościoły nasze w dniu niedzielne i świąteczne, szczególnie podczas polskich nabożeństw, są puste, zaledwie kilkadziesiąt osób znaleźć w nich można, tymczasem kiedy setki pracują w polach jakby w dniu powszednie brakło im na to czasu lub co gorsze przestadują w szynkach. Skutkiem tego upadku i zaniedbania przykazań Boskich osobliwie przez polskich ewangelików, domy nasze, jak mówi Pismo, zbudowane są na piasku i za ludu powiewem wiatru upadają. Aby czytelnikom wskazać zbawienny wpływ nabożeństw domowych przytaczamy następujące prawdziwe zdarzenia: W roku 1844 pewien nabożny ksiądz uczuł się wielce zaniepokojony, ogarnęła go obawa, że do domu jego nad wieczorem skręśli się jacyś złoczyńcy, zapalił więc świecę i wszystkie kąty przejrzał, ale nikogo nie znalazł. Niepokojny zjadł ko-

laczę i na zakończenie dnia, jak zwykłe, odprawił z domownikami nabożeństwo wieczorne i modlił się o opiekę nad wszystkimi. Poszedł spać; gdy się rano obudził, spostrzegł pod drzwiami deskę, a pod deską znalazł list następującej treści: „Dzień rano między 4 a 5 godziną opuściłem dom pański. Wszedłem doń wczoraj nad wieczorem z zamiarem zarznięcia pana. Widziałem jak pan wczoraj szukał i nikogo nie znalazł. Słyszałem pana wieczorne nabożeństwo. Modlitwa pańska wielkie na mnie zrobiła wrażenie. Natychmiast postanowiłem służyć Bogu i porzucić służbę szatańską. Módl się pan za mnie. Największy pański nieprzyjaciel.“ Dowiedział się potem ksiądz, że ów nieprzyjaciel nawrócił się i dostąpił miłosierdzia Bożego. Tym sposobem nabożeństwo domowe wyratowało jednego od śmierci, a drugiego od potępienia.

Drugie zdarzenie opowiada ksiądz Garmo w jednym ze swoich kazań. Znałem, mówi on, męża, który był pijakiem, graczem w karty przytem zawziętym kłat i z żoną swoją, ile razy pijany do domu wracał, rozpoczynał kłótnie, a że żona jego też była kłótniwa, przeto nieraz bili się z sobą tak strasznie, że dom ich był podobny do piekła. Otóż ci dwoje ludzi, którzy zresztą liczyli siebie do inteligencji i wyższego towarzystwa i jako tacy, lekceważyli religię, odwiedzili raz jednego familią z nimi spokrewnioną, mieszkającą około 20 mil od nich, nie wiedząc o tem, że ta familia trzymała się starodawnych zwyczajów. Gdy się wieczór zbliżył, cała familia zebrała się razem ze służbą na nabożeństwo domowe wieczorne. Wszyscy razem śpiewali pieśń nabożną, słuchali następnie słowa Bożego odczytanego przez ojca rodziny i na koniec usłyszawszy, gorąco się modlili. Goście z wielkim zdziwieniem przypatrywali się temu i nie wiedzieli co się z nimi dzieje, czuli tylko, że coś zaszło w ich sercach. Gdy po tem nabożeństwie wszyscy serdecznie „dobranoc“ sobie powiedzieli, spuszcili oni oczy ze wstępu. A gdy nareszcie rano wstawszy podobnie się rozdrowili i podobnie się modlili, a następnie odczo każdy do swej pracy poszedł, mając ów, który przedtem był pijakiem i zawadzał, po cichu powiedział do swej żony: Tu mieszka Pan Bóg a u nas djabeł! Odrzucił on sobie życie bezbożne, porzucił karty, przestał upijać się i kłócić i zaprowadził też u siebie nabożeństwo domowe. Niedługo potem sami opowiadali, że tak jak przedtem w piekle byli, tak

teraz są w niebie. Jaki zbawienny wpływ nabożeństwa domowego wywierają, a jaką szkodę zaniedbywanie ich przynosi widać na końcu z następującej historii. Pewien kupiec był zwykłe tak bardzo zajęty, że nigdy nie miał czasu brać udziału w nabożeństwie domowym, które pobożna jego żona na jego miejscu odprawiała. Razu jednego, gdy matka dzieci na ranne nabożeństwo zwoływała, chłopczyk matkę rzekł do niej: „Matko, ja już nie potrzebuje się modlić, niedługo bowiem będę panem.” „Ale i panowie — odpowiedziała matka — modlą się jeżeli są dobrzy.” „Dzieci — rzekło na to dziecko — też jest dobrym a jednak się nie modli!” Wieczorem gdy nieco czasu miał ów kupiec i ustąpił przy żonie, ta mu z wielkim smutkiem opowiedziała, co ich synek rano mówił. „Dzieci się nie modli.” Słowa te zraniły serce kupca, spuścił głowę i zaczął płakać. Odtąd nigdy, choćby i nadzwyczaj nagłącą miał robotę nie zaniedbywał nabożeństwa domowego. — Cytyelniku! zastanów się nad sobą i domownikami swymi i pomyśl nad tem, czyby i wam nie przydały się nabożeństwa domowe.

Najlepszą miłą pociechą w utrapieniu w trwodze,
Gdy z modlitwą do Ciebie mój Boże przychodzę;
Przez nią moc Twoja mnie z nieba w słabościach

potrzebia
W niedoli mej, cierpliwosć i mężstwo zaszczenia,
Znikła radość przywraca cierpienia łagodzi,
W duszy umieszenie i spokojność rodzi.

Gdziebym znalazł ochłodę, gdzie uspokojenie,
W chwilach kiedy mnie dręczy me własne sumienie;
Kiedy grzechów mych mnożstwem zatruwam duszę,
Przed obliczem Twym płonąc doznawam katuszy;
Wówczas moją ucieczką modlitwa gorliwa,
Z którą w smutkach pociecha od Ciebie przybywa.

Gdy mnie ciężki frasunek tajemnie pożera,
Modlitwa mi zdroj pociech niebieskich otwiera;
Bo gdy wołam do Pana, On mi z nieba swego,
Zapła w frazju ratunek i Ducha świętego.
Ktośkolwiek Mu z ufnością swą boleść odkrywa,
Ten mocą z wysokości przyobleczon bywa.

Im częściej pracę moję z modlitwami wiążę,
Tem gorliwiej do celów Twoich świętych dążę.
Sił mi doda Twoja łaska Dzieci mój kochany!
I przyniesie prac moich owoc pożądany
Ty zlewasz na pobożnych zdroje Twojej światłości,
I napelniasz ich serca darami mądrości.

Kiedy w pracy nad sercem stawam o Boże!
Twoją dobroć, Twoją łaskę słabemu pomożę;
Przez Ciebie obdarzony niezachwianem mężstwem,
Przy modlitwie bój każdy zakończę zwycięstwem;
Każdy żądzę, grzech każdy, który sercem wkładnie,
Przy Twojej Bożej pomocy zwalczę w modłach śna-
dnie.

W ostatnim ciężkim boju na łożu śmiertelnem,
Ty mnie wesprzesz o Boże ramieniem swem dziel-
nem;

Bo gdy westchnę do Ciebie Ty mi zeslesz z nieba,
I sił wyższych i pociech ile będzie trzeba;
A choć mi się wzroś zaćmi choć mowa ustanie,
Nie zgaśnie w moim sercu me w Tobie ufanie.

A p o t e m ?

Do pewnego staruszka przyszedł raz jednego bardzo pośpiesznie hoży młodzieniec i na samym wstępie zawołał: „Ciesz się ze mną ojculku, na koniec przecież zgodził się mój stryj na prośby moje i dał mi tyle pieniędzy, że śmiało mogę skończyć szkoły i zostać prawnikiem. Jatkęż mnie uszczęśliwił!” „Dobrze mój synu” odpowiedział staruszek „zaczyniesz więc pilnie się uczyć, — ale co potem?” „Po trzech latach złożę egzamin, skończę szkoły z chlubą i rozpocznę moje powołanie.” „A potem?” — „potem nie przestanę pilnie i sumiennie pracować, aby pozyskać sobie nie tylko liczną klientelę ale i klientów zaufanie.” „A potem?” — „Potem oszczędzę sobie coś, zostanę zamożnym człowiekiem, ożenię się z dobrą kobietą i rozpocznę własne gospodarstwo!” „A potem?” — „Potem wychowam swe dzieci, aby i z nich pożyteczni zostali ludzie i stosownie do powołania jakie w sobie uczują, w ślady ojca swego wstąpiły.” „A potem?” — „Potem udam się na stare lata na spoczynek, będę się cieszył z szczęścia moich dzieci i spokojnie starości używał.” „A potem?” — „Potem?” ha zawsze nie można pozostać na tej ziemi, a choćby i można nie dobrze by to było; potem trzeba będzie raz umrzeć!” „A potem?” zawołał jeszcze raz starzec, chwycił go za obie ręce i ostro mu spojrzął w oczy. „Synu mój! a potem?” Na to zrozumiał się wesoły młodzieniec, zaczął się trząść, zapłakał i rzekł: „Dzięki ci ojcze zapomniałem o najważniejszej rzeczy, że postanowiono ludziom raz umrzeć a potem będzie sąd (list św. Pawła do żydów, r. 9 w 27) ale odtąd więcej nie zapomnę.” — We wszystkich sprawach pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje: śmierć, sąd, piekło i niebo.

Tu na ziemi mam mieszkanie
W nim się cieszę, raduję,
Zacne to jest budowanie,
W którym mieszkam pracuję.
Lecz grunt jego niestały,
Deszcz, wiatr niszczy i sfały;
Ach w tym domu nie zostanę,
Dalej, dalej się dostanę.

W grobie będę miał mieszkanie,
Tu się zawsze ten zły świat,
Tu niepokój raz przestanie,
Nad grobem zakwitnie kwiat.
Lecz i ten kwiat opadnie
Grobu sklep się rozpadne.
W domie grobu nie zostanę
Dalej, dalej się dostanę.

W niebie będzie me mieszkanie
W wysokości uciecznej

Już go widzę w wierze Panie
Dom nieba jasności Twej!
Tam nie sięga niespokój,
Tam ustanie świata bój;
Ten dom ojca ja dostanę,
W nim na wieki pozostanę.

Koniec świata.

Przez Cezara Majewskiego.

Przyjdzie czas!

Wszystko na świecie przemija!

I ta ziemia, na której czujemy się tak bezpieczni, która już tyle pokoleń wyhodowała, światłem była tylu smutków i radości ludzkich, służyła za pole popisu dla tylu geniuszów, wydała tylu bohaterów, dobroczyńców i zbrodniarzy, na której trudno już stąpać nogą, aby nie deptać po drogich pamiątkach i relikwiach, a której znifomi mieszkańcy, mino swej marności, ambitne żywią w piersi marzenia — ta ziemia także przemienie! Ulegnie i ona powezęchnemu prawu, które głosi, że wszystko co ma początek, musi mieć swój koniec.

Niestety! tak być musi, „Bóg wyrzekł słowo stań się — Bóg i zgiął wyrzecz.”

Nieubłaganemu temu wyrokowi ulegają bezustanku wszystkie stworzenia, wszystko, co żyje, wszystkie dzieła, zarówno Stwórcy, jak stworzenia; rodzą się z narodem śmierci w organizmie. Powstają całe narody i ustępują w kolei wieków, budują się miasta i w gruz się rozsypują, a na miejscu tego wszystkiego wyrastają nowi ludzie i nowe grody. Na miejscu zamieszkałych krajów rozciągają się pustynie, — a dawne puszcze i uroczyska ożywają się ludzkiem mrowiem, służąc za nowe siedliska cywilizacji. Jedne lądy morze pochłania, dając rybom na zamieszkanie, a dna znów oceanu przemieniają się na młode lądy.

Gdy tak wędruje życie kółem się toczy, nie dziwnego, że giną też całe globy; na ich miejsce w wszechświecie nie zabraknie nowych... Świat się ciągle przez śmierć odnawia, a na mogiłach rosną wonne kwiaty...

Niezlizone jak ziarna piasku, rozsypane są kule świata w bezgranicznej przestrzeni niebios; czyż byłoby w tem coś zdumiewającego, gdyby w obecnej przestrzeni zagasto jedno słońce, albo też przepadł cały system słoneczny? albo, gdyby całe tysiące słońc powróciło do stanu pierwotnego chaosu? Taby tyle stanowiło na konie przyrody, co porwane wiatrem ziarno piasku, co kropla wody, ulotniona z morza, co śmierć komara na ziemi!

Przyjdzie czas, gdy niestanie już tego gruntu, jaki czujemy pod nogami, że rozpierzchnie się on niby mgła, aby dać materjał i wolne miejsce do stworzenia nowych, doskonalszych zapewne światów, na których może mniej będzie zła, więcej zaś dobra i szczęśliwości. Przyjdzie czas, że nikt już ze śmiertelnych nie będzie z tego punktu niebios, gdzie ziemia, spoglądając w uroczy, tajemniczo iskrzący się tu nam, świat gwiazd; że już z żądnej

piersi nie wyrwie się tęskne westchnienie do tych czarownych krain, tak dalekich od nas, a tak pociągających...; przyjdzie czas, gdy z popiołów ziemi i słońc dzisiejszych utworzą się nowe mgławice.

„I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat
Zastąpią dawne zburzone
I nowy otworzą świat.”

„Będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.”

Fizyk i astronom, zarówno jak poeta i filozof, dobrze czują tę prawdę i nikt jej zaprzeczać nie myśli.

Pojęcie, a nawet przecucie znifomości wszech rzeczy stworzonych, nosimy w piersi od pierwszego dojścia do rozumu, żyliśmy się i dobrze już nam z nim.

Jesteśmy tylko ciekawi np. co do świata, kiedy i jak zginie? Właśnie nie tyle obchodzi nas wszechświat cały i przyszłość gwiazd wszystkich, ile los samej ziemi, z którą jesteśmy ściśle związani; o niej to pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jak długie jej trwanie i jaki koniec ją czeka?

W „koniec ziemi,” pospolicie i niewłaściwie zwany „koncem świata,” wszyscy wierzymy, tak samo, jak w śmierć każdego człowieka, lecz podobnie jak koniec żywota ludzkiego, może on być spokojnym i naturalnym, albo też nagłym i niespodziewanym. O ile każdy z nas pogodnie spogląda w przyszłość i z rezygnacją spodziewa się śmierci w późnej starości — o tyle trwożymy się na samą myśl, że niespodziewana choroba lub wypadek nagle przetrnie pasmo dni naszych. Nagłej więc śmierci, a nie samej śmierci lękamy się.

Podobnie zapatrujemy się na żywot ziemi. O tem, że kiedyś jej nie stanie, jesteśmy przekonani, wiemy jednak, że naturalna jej starość bardzo powoli się zbliża, że tedy naturalny koniec ziemi niezmiernie jeszcze jest obległym; nie on też przeraża nas bynajmniej, ale przypuszczenie, że jakiś niespodziewany wypadek może go przyspieszyć. Oto okoliczność, niepokojąca przywiązanych do marności tego świata. W tym względzie pragnęliby oni przeniknąć przyszłość i dowiedzieć się, czy ziemi nie zagraża jakie poważne niebezpieczeństwo, i jeśli zagraża, to jakiej ono natury?

Odpowiedzią na powyższe zapytanie zajmiemy się tutaj, opierając się na podstawach, jakie nam zbudowała wiedza.

Nie od dziś ludzkość sili się na zdobycie odpowiedzi na tak ciekawe zapytania, nie od dziś na niewłaściwej drodze znajduje rozwiązania. Wpadała też nieraz w błąd, i w mglistych baśniach, zrodzonych w bujnej lub chorobliwej wyobraźni, otrzymywała rzekome wyjaśnienia. Nieraz miała sposobność przekonać się o bezzasadności owych wyjaśnień, poznając po niewczasie własną łatwowierność i nienauczona poprzedniami zarobkami,

zawsze gotowa jest uwierzyć w nowe... pro-
roctwa.

Moglibyśmy tu, niestety, przywieść długi szereg dat, na jakie zapowiadano „koniec świata“, opierając przepowiednie na rzeczach, nie wspólnego z owym fatalizmem nie mających. Każda zyskiwała mniejszą lub większą wiarę, a bywały takie przepowiednie, co wywoływały powszechną trwożę i sprowadziły tym sposobem wiele nieszczęść.

Ciemne karty dziejów, na których zapisały się takie wypadki, pozostaną na wieki smutnymi pomnikami, wystawionemi jakby dla upokorzenia tych optymistów, którzy zapominając, jak nisko upadali miliony, — pysznią się i rozkoszują nielicznemi kartami historii, na których zapisane są nazwiska Kopernika, Newtona i tylu innych geniuszów.

Światła! wołają dziś wszyscy, bo coż ludzkości z tego, że rodzą się geniusze, co orlim wzrokiem przenikają ciemności, a silnemi piórami wzbijają się ku słońcu — gdy miliony ich braci chodzą po ciemku, rozbijając się o poziome przeszłości.

Światła nam dajcie! wołamy do tej wybranej rzeczy uczonych, co zatopieni w rozpamiętywaniu wzniosłych dzieł Bożych, lepiej i dalej widzą, niż my, przyfuci do powszednich zadań życia. Opowiedzcie nam, czegoście się dowiedzieli, patrząc przez całe życie w teleskop i drobnowidz, śledząc całe życie nad księgami! Dajcie nam poznać choć małą część tych cudów natury, które podziwiacie, które zaprzatają codziennie myśl waszą, jakich odgadywanie ubiera przedwczesną siwizną głowy wasze, a czoło pokrywa brózdami. Wzrost wasz zmuszony, odłóżcie więc na stronę księgi i narzędzia, a opowiedzcie nam cośkolwiek o tym obszernym świecie, który obejmuje ziemię i wszystkie gwiazdy, opowiedzcie o jego trwałości i prawach, abyśmy się dowiedzieli, co stać się może z naszą ziemią i jaki koniec ją czeka?

Wszak musicie to wiedzieć!...

1.

Czy możemy przewidywać przyszłość?

Postawienie powyższych pytań uczonym, a w nich nauce samej do rozwiązania, zakrawa mocno na zachwalstwo, może nawet niektórych czytelników zniechęci do przeczytania niniejszejszej książki. Tym wszakże, którzy niezrażają się pierwszym na potkanem zdaniem, jakie im się niepodoba — mogą tu powiedzieć na usprawiedliwienie śmiałości że stan wiedzy, pomimo braków, pozwala już na lekkie uchylenie zasłony, nie tylko przeszłości ziemskiego globu, ale nawet i przyszłości jego.

Historja zapoznaje nas z przeszłością ludów, nie sięga wszakże nawet do początków rodu ludzkiego, zaciemniając się mocno za każdym tysiącoleciem wstecz liczonem, a utrzymuje na 4-tym lub 5-tym tysiącu lat.

Gdzie wszakże dzieje przez ludzi pisane i ich pomniki milczą, otwiera się przed umysłem ludzkim imia dziedzina, dziedzina nauk, opartych na trwałszych jeszcze i pewniejszych dokumentach, aniżeli papyruś i kamienne pomniki i pozwala nam z taką śmiałością, jeśli nie większą pewnością cofnąć

się umysłem wstecz i objąć bardziej odległe czasy, gdy lat nie miał jeszcze kto liczyć na ziemi, bo nie wydała ona jeszcze istoty rozumnej, jaką jest na ziemi człowiek. Pozwala ona nam poznać stan naszego globu nie tylko przed pojawieniem się na nim człowieka, ale i wszystkich stworzeń, gdy był jeszcze rozpaloną kulą gazową, a nawet pozwala sięgnąć myślą do tej oddalonej epoki, gdy ziemi samej nie było.

Świadkami jej narodzin i stopniowego rozwoju było całe niebo gwiazd. Świadczy te, wraz z samą ziemią, począł człowiek troskliwie badać, a to, co zebrał, mamy skrzętnie zapisane na kartach księgi wiedzy.

Badania nieufone, zeznania zdobywane z trudem, razą jeszcze brakiem spójni, ale ponieważ praca prowadzi się bezustannie, z coraz wzrastającą umiejętnością i zapalem — miejmy nadzieję, że pomnożą się wkrótce nasze wiadomości o tym, że wypiszą dokładną historję ziemi.

Poznanie przeszłości ziemi uważamy już dziś dziś za rzecz możliwą i naturalną. Jakiż to już postęp od owych czasów, gdy nieprzypuszczano, aby można dowiedzieć się, co było przed dwoma dziesięcioma tysiącami lat, ba! gdy nawet nie przypuszczano, aby świat tak dawno istniał. Przypisywano każdemu zjawisku zupełną niezależność, wymyślającą się z pod wszelkiego rachunku, bo przyczyna ich tkwić miała w kapryśnej woli ziemskich potęg, działających dorywczo i bez planu. Dziś, odgadaliśmy w całej przyrodzie ścisłą i naturalną zależność wszystkich zjawisk, odgadujemy, że każde z nich ma swoją naturalną przyczynę, a zarazem będzie miało naturalny skutek — pytamy się o jedno i drugie póty, aż się musi odnaleźć.

Nikommu nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, aby jakie zdarzenie było pozbawione naturalnej łączności z szeregiem poprzednich zdarzeń. Jawną czy ukrytą przyczyną każdego zdarzenia jest i poznając kolejno coraz dawniejsze, zdobywamy dalszy ciąg nici, prowadzącej dasz w zamierzoną przeszłość ziemi.

Jeżeli zstępując na dół po szczeblach drabiny przyczyn i skutków, przenikamy przeszłość — dla czegożby droga, odbyta myślą w odwrotnym kierunku, miała być bezowocną, miała zakrawać na niedorzeczność? Wszak zarówno tradycja, jak nauka, zachęcają nas do tego, albowiem mówi Pismo św.: „Jeżeli kto pozjada umiejętności, wie przeszłe rzeczy i o przyszłych zdanie wydawa, znaki i cuda wie pierwej niżeli będą i przypadki czasów i wieków“; a w innym miejscu czytamy: „Pierwsze rzeczy, które były opowiedzieć, a przyszłym serca nasze i będziemy widzieć ostatnie rzeczy.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.

Różko.

Zagadka

Po białej górze, gęsiami orze,
Czarne proso sieje, nigdy go nie zbierze.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Głku, (Lyc Ostpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Głku.

Evangelik

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Nr. 29.

Gł., na niedzielę dnia 14 listopada.

1897.

Nabożeństwo domowe.

Według nauki Pisma św. nie tylko duchowni mają prawo Boga chwalić i wielbić i do niego się modlić, ale każdy chrześcjanin, wszyscy bowiem, jak powiada św. Piotr, narodem kapłańskim jesteśmy i dla tego każdy też winien Boga wyzywać we wszelkich potrzebach, modlić się, chwalić i wielbić Go. Jestto obowiązek wynikający z drugiego przykazania. — Przodkowie nasi wiernie spełniali ten obowiązek, wiedzieli bowiem że spełnienie go nam samymu pożytek przynosi. — Jeżeli Pan Bóg wyzywa nas do modlitwy, to jedynie dla naszego dobra to czyni, jeżeli Chrystus powiada „proście“ to jedynie dla tego, by nam „dać“ było. — I dla tego przodkowie nasi nie zaniedbywali modlitwy, owszem, z całą swą rodziną, ze wszystkimi domownikami codziennie rano i wieczór czytali Pismo święte, śpiewali pieśni nabożne i modlili się wspólnie, oprócz tego w każdą niedzielę i święto nie tylko, że do kościoła na nabożeństwa uczęszczali, czytali oni też w domu z postyli kazania. Wszystko to razem nazywało się nabożeństwem domowym. O jakże mało znaleźć się domów w których chwałebny ten zwyczaj jeszcze się utrzymał. Wielu takich co mają siebie niby za „wykształconych“ pogardzają im i rzadko spotkać człowieka „wykształconego“ czytającego Pismo święte, lub starszadawnym zwyczajem modlącego się razem z domownikami swoimi. W bardzo wielu parafjach kościoły nasze w dzień niedzielne i świąteczne, szczególnie podczas polskich nabożeństw, są puste, zaledwie kilkadziesiąt osób znaleźć w nich można, tymczasem kiedy setki pracują w polach jakby w dzień powszednie brakło im na to czasu lub co gorsze przesiadają w szynklu. O nabożeństwie zaś domowym nikt ani pomyśli. Stulktem tego upadku i zaniedbania przykazań Bożych osobliwie przez polskich ewangelików, domy nasze, jak mówi Pismo, zbudowane są na piasku i za ludu powiewem wiatru upadają. Aby czytelnikom wskazać zbawienny wpływ nabożeństwa domowego przytoczamy następujące prawdziwe zdarzenia: W roku 1844 pewien nabożny ksiądz uczul się wielce zaniepokojony, ogarnęła go obawa, że do domu jego nad wieczorem stryli się jacyś złoczyńcy, zapalił więc świecę i wszystkie kąty przejrzał, ale nikogo nie znalazł. Niespokojny zjadł ko-

lacyę i na zakończenie dnia, jak zwykłe, obprawił z domownikami nabożeństwo wieczorne i modlił się o opiekę nad wszystkimi. Poszedł spać; gdy się rano obudził, spostrzegł pod drzwiami deskę, a pod deską znalazł list następującej treści: „Dziś rano między 4 a 5 godziną opuściłem dom pański. Wszedłem doń wczoraj nad wieczorem z zamiarem zarznięcia pana. Widziałem jak pan wczoraj szukał i nikogo nie znalazł. Słyszałem pana wieczorne nabożeństwo. Modlitwa pańska wielkie na mnie zrobiła wrażenie. Natychmiast postanowiłem służyć Bogu i porzucić służbę szatańską. Módl się pan za mnie. Największy pański nieprzyjaciół. Dowiedział się potem ksiądz, że ów nieprzyjaciół nawrócił się i dostąpił miłosierdzia Bożego. Tym sposobem nabożeństwo domowe wyratowało jednego od śmierci, a drugiego od potępienia.

Drugie zdarzenie opowiada ksiądz Harmon w jednym ze swoich kazań. Znałem, mówi on, męża, który był pijakiem, graczem w karty przytem zawsze kłak i z żoną swoją, ile razy pijany do domu wracał, rozpoczynał kłótnie, a że żona jego też była kłótniwa, przeto nieraz bili się z sobą tak strasznie, że dom ich był podobny do piekła. Otóż ci dwoje ludzi, którzy zresztą liczyli siebie do inteligencji i wyższego towarzysstwa i jako tacy, lekceważyli religię, odpowiedzieli razu jednemu familij z nimi spokrewnioną, mieszkającą około 20 mil od nich, nie wiedząc o tem, że ta familia trzymała się starodawnych zwyczajów. Gdy się wieczór zbliżył, cała familia zebrała się razem ze służbą na nabożeństwo domowe wieczorne. Wszyscy razem śpiewali pieśni nabożne, słuchali następnie słowa Bożego odczytanego przez ojca rodziny i na koniec uklękawszy, gorąco się modlili. Głosie z wielkim zdziwieniem przypatrywali się temu i nie wiedzieli co się z nimi dzieje, czuli tylko, że coś zaszło w ich sercach. Gdy po tem nabożeństwie wszyscy serdecznie „dobranoc“ sobie powiedzieli, spuścili oni oczy ze wstydu. A gdy nareszcie rano wstawszy podobnie się pozdrowili i podobnie się modlili, a następnie ochoczo każdy do swej pracy poszedł, mając ów, który przedtem był pijakiem i zaważnąką, po cichu powiedział do swej żony: Tu mieszka Pan Bóg a u nas diabeł! Odrzydzit on sobie życie bezbożne, porzucił karty, przestał upijać się i kłócić i zaprowadził też u siebie nabożeństwo domowe. Niedługo potem sami opowiadali, że tak jak przedtem w piekle byli, tak

teraz są w niebie. Jaki zbawienny wpływ nabożeństwa domowe wywierają, a jaką szkodę zaniedbywanie ich przynosi widać na końcu z następującej historii. Pewien kupiec był zwykle tak bardzo zajęty, że nigdy nie miał czasu brać udziału w nabożeństwie domowym, które pobożna jego żona na jego miejscu odprawiała. Razu jednego, gdy matka dzieci na ranne nabożeństwo zwoływała, chłopczyk maty rzekł do niej: „Matko, ja już nie potrzebuje się modlić, niedługo bowiem będę panem.” „Ale i panowie — odpowiedziała matka — modlą się jeżeli są dobrzy.” „Dzieci — rzekło na to dziecko — też jest dobrym a jednak się nie modli!” Wieczorem gdy nieco czasu miał ów kupiec i usiadł przy żonie, ta mu z wielkim smutkiem opowiedziała, co ich synek rano mówił. „Dzieci się nie modli.” Słowa te zraniły serce kupca, spuścił głowę i zaczął płakać. Odtąd nigdy choćby i nadzwyczaj nagłą miał robotę nie zaniedbywał nabożeństw domowych. Czytelniku! zastanów się nad sobą i domownikami swymi i pomyśl nad tem, czyby i wam nie przydały się nabożeństwa domowe.

Najlepsza mnie pociecha w utrapieniu w trwodze,
Gdy z modlitwą do Ciebie mój Boże przychodzę;
Przez nią moc Twoja mię z nieba w słabościach
postrzepia

W niedoli mej cierpliwość i mężstwo zaszczerpia,
Znikła radość przywraca cierpienia łagodzi,
W duszy uweśelenie i spokojność rodzi.

Gdziebym znalazł ochotę, gdzie uspokojenie,
W chwilach kiedy mię dręczy me własne sumienie;
Kiedy grzechów mych nudnościami zatruwam duszę,
Przed obliczem Twem płonąc doznawam katuszy;
Wtenczas moją ucieczką modlitwa gorliwa,
Z którą w smutkach pociecha od Ciebie przybywa.

Gdy mię ciężki frasunek tajemnie pożera,
Modlitwa mi zdroj pociech niebieskich otwiera;
Bo gdy wołam do Pana, Ty mi z nieba swego,
Jsyła w krzyżu ratunek i Ducha świętego.
Ktokolwiek Mu z ufnością swą boleść odkrywa,
Ten mocą z wysokości przyobleczon bywa.

Im częściej prace moje z modlitwami wiążę,
Tem gorliwiej do celów Twoich świętych dążę.
Sił mi doda Twoja łaska Dzieci mój kochany!
I przyniesie prac moich owoc pożądaný
Ty zlewasz na pobożnych zdroje Twojej światłości,
I napętniasz ich serca darami mądrości.

Kiedy w pracy nad sercem stawam o Boże!
Twoją dobroć, Twoja łaska słabemu pomoże;
Przez Ciebie obdarzony niezachwianem mężstwem,
Przy modlitwie bój każdy zakończę zwycięstwem;
Każdą żądzę, grzech każdy, który sercem władnie,
Przy Twojej Bożej pomocy zwalczę w modłach słabnie.

W ostatnim ciężkim boju na łozu śmiertelnym,
Ty mię wesprzesz o Boże ramieniem swem dziel-
nem;

Bo gdy westchnę do Ciebie Ty mi zesłesz z nieba,
Z sił wyższych i pociech ile będzie trzeba;
A choć mi się wzrość zaćmi choć mowa ustanie,
Nie zgaśnie w moim sercu me w Tobie ufanie.

A potem?

Do pewnego staruszka przyszedł raz jednego bardzo pośpiesznie hoży młodzieniec i na samym wstępie zawołał: „Ciesz się ze mną ojculk, na koniec przecież zgodził się mój stryj na prośby moje i dał mi tyle pieniędzy, że smiało mogę skończyć szkoły i zostać prawnikiem. Jakżeż mnie uszczęśliwił!” „Dobrze mój synu” odpowiedział staruszek, „zacznieś więc pilnie się uczyć; — ale co potem?” „Po trzech latach złożę egzamin, skończę szkoły z chlubą i rozpocznę moje powołanie.” „A potem?” — „potem nie przestanę pilnie i sumiennie pracować, aby pozyskać sobie nie tylko liczną klientelę ale i klientów zaufanie.” „A potem?” — „Potem oszczędzę sobie coś, zostanę zamożnym człowiekiem, ożenię się z dobrą kobietą i rozpocznę własne gospodarstwo!” „A potem?” — „Potem wychowam swe dziatki, aby i z nich pożyteczni zostali ludzie i stosownie do powołania jakie w sobie uczują, w ślady ojca swego wstąpiły.” „A potem?” — „Potem udam się na stare lata na spoczynek, będę się cieszył z szczęścia mych dzieci i spokojnie starości używał.” „A potem?” — „Potem?” — ha zawsze nie można pozostać na tej ziemi, a choćby i można nie dobrze by to było; potem trzeba będzie raz umrzeć!” „A potem?” zawołał jeszcze raz starzec, chwycił go za obie ręce i ostro mu spojrzał w oczy. „Synu mój! a potem?” Na to zrozumiał się młody młodzieniec, zaczął się trząść, zapłakał i rzekł: „Dzięki ci ojcze zapomniałem o najważniejszej rzeczy, że postanowiono ludziom raz umrzeć a potem będzie sąd (list św. Pawła do Rzymian, r. 9 w 27) ale odtąd więcej nie zapomnę.” — We wszystkich sprawach pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje: śmierć, sąd, piekło i niebo.

Tu na ziemi mam mieszkanie
W nim się cieszę, raduję,
Jacne to jest budowanie,
W którym mieszkam pracuję.
Lecz grunt jego niestały,
Deszcz, wiatr niszczy i skały;
Ach w tym domu nie zostanę,
Dalej, dalej się dostanę.

W grobie będę miał mieszkanie,
Tu się zawsze ten zły świat,
Tu niepokój raz przestanie,
Nad grobem zakwitnie kwiat.
Lecz i ten kwiat opadnie
Grobu skłep się rozpadnie.
W domie grobu nie zostanę
Dalej, dalej się dostanę.

W niebie będzie me mieszkanie
W wysokości ucieśnej

Już go widzę w wierze Panie
Dom nieba jasności Twej!
Tam nie sięga niespokój,
Tam ustanie świata bój;
Ten dom ojca ja dostanę,
W nim na wieki pozostanę.

Koniec świata.

Przez Cezara Majewskiego.

Przyjdzie czas!

Wszystko na świecie przemija!

I ta ziemia, na której czujemy się tak bezpieczni, która już tyle pokoleń wyhodowała, światłem była tylu smutków i radości ludzkich, służyła za pole popisu dla tylu geniuszów, wydała tylu bohaterów, dobroczyńców i zbrodniarzy, na której trudno już stąpać nogą, aby nie deptać po drogich pamiątkach i relikwiach, a której znikomi mieszkańcy, mimo swej marności, ambitnie żywią w piersi marzenia, — ta ziemia także przeminie! Wlegnie i ona powęzechnemu prawu, które głosi, że wszystko co ma początek, musi mieć swój koniec.

Niestety! tak być musi, „Bóg wyrzekł słowo stań się — Bóg i zgiął wyrzecze.”

Nieubłaganemu temu wyrokowi ulegają bezastantku wszystkie stworzenia, wszystko, co żyje, wszystkie dzieła, zarówno Stwórcy, jak stworzenia; rodzimy się z narodem śmierci w organizmie. Powstają całe narody i ustępują w kolei wieków, budują się miasta i w gruz się rozsypują, a na miejscu tego wszystkiego wyrastają nowi ludzie i nowe groby. Na miejscu zamieszkałych krajów rozciągają się pustynie, — a dawne puszcze i uroczyiska ożywają się ludzkim mrowiem, służąc za nowe siedliska cywilizacji. Jednie lądy morze pochłania, dając rybom na zamieszkanie, a druga znów oceanu przemieniają się na młode lądy.

Gdy tak wszędzie życie kołem się toczy, nie dziwne, że giną też całe globy; na ich miejsce w wszechświecie nie zabraknie nowych... Świat się ciągle przez śmierć odnawia, a na mogiłach rosną wonne kwiaty...

Niezliczone jak ziarna piasku, rozsypane są kule świata w bezgranicznej przestrzeni niebios; czyż byłoby w tem coś zdumiewającego, gdyby w obecnej przestrzeni zagasto jedno słońce, albo też przepadł cały system słoneczny? albo, gdyby całe tysiące słońc powróciło do stanu pierwotnego chaosu? Taby tyle stanowiło na konie przyrody, co porwane wiatrem ziarno piasku, co kropla wody, ulotniona z morza, co śmierć koczara na ziemi!

Przyjdzie czas, gdy niestanie już tego gruntu, jaki czujemy pod nogami, że rozpieczętnie się on niby mgła, aby dać materjał i wolne miejsce do stworzenia nowych, doskonalszych zapewne światów, na których może mniej będzie zła, więcej zaś dobra i szczęśliwości. Przyjdzie czas, że nikt już ze śmiertelnych nie będzie z tego punktu niebios, gdzie ziemia, spoglądał w uroczy, tajemniczo iskrzący się ku nam, świat gwiazd; że już z żadnej

piersi nie wyrwie się tęsknie westchnienie do tych czarownych krajin, tak dalekich od nas, a tak pościągających...; przyjdzie czas, gdy z popiołów ziemi i słońc dzisiejszych utworzą się nowe mgławice.

„I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat
Zastąpią dawne zburzone
I nowy otworzą świat.”

„Będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.”

Fizyk i astronom, zarówno jak poeta i filozof, dobrze czują tę prawdę i nikt jej zaprzeczać nie myśli.

Pojęcie, a nawet przeczucie znikomości wszech rzeczy stworzonych, nosimy w piersi od pierwszego dojścia do rozumu, żyliśmy się i dobrze już nam z nim.

Jesteśmy tylko ciekawi np. co do świata, kiedy i jak zginie? Właśnie nie tyle obchodzi nas wszechświat cały i przyszłość gwiazd wszystkich, ile los samej ziemi, z którą jesteśmy ściśle związani; o niej to pragnęlibyśmy się dowiedzieć, jak długie jej trwanie i jaki koniec ją czeka?

W „koniec ziemi,” pospolicie i niewłaściwie zwany „końcem świata,” wszyscy wierzymy, tak samo, jak w śmierć każdego człowieka, lecz podobnie jak koniec żywota ludzkiego, może on być spokojnym i naturalnym, albo też nagłym i niespodziewanym. O ile każdy z nas pogodnie spogląda w przyszłość i z rezygnacją spodziewa się śmierci w późnej starości — o tyle trwożymy się na samą myśl, że niespodziewana choroba lub wypadek nagle przetrnie pasmo dni naszych. Nagłej więc śmierci, a nie samej śmierci lękamy się.

Podobnie zapatrujemy się na żywot ziemi. O tem, że kiedyś jej nie stanie, jesteśmy przekonani, wiemy jednak, że naturalna jej starość bardzo powoli się zbliża, że tedy naturalny koniec ziemi niezmiernie jeszcze jest odległym; nie on też przeraża nas bynajmniej, ale przypuszczenie, że jakiś niespodziewany wypadek może go przyspieszyć. Oto okoliczność, niepokojąca przywiązanych do marności tego świata. W tym względzie pragnęlibyśmy oni przeniknąć przyszłość i dowiedzieć się, czy ziemi nie zagraża jakie poważne niebezpieczeństwo, i jeśli zagraża, to jakiej ono natury?

Odpowiedzią na powyższe zapytanie zajniemy się tutaj, opierając się na podstawach, jakie nam zbudowała wiedza.

Nie od dziś ludzkość sili się na zdobycie odpowiedzi na tak ciekawe zapytania, nie od dziś na niewłaściwej drodze znajduje rozwiązania. Wpadała też nieraz w błąd, i w mglistych baśniach, zrodzonych w bujnej lub chorobliwej wyobraźni, otrzymywała rzekome wyjaśnienia. Nieraz miała sposobność przekonać się o bezzasadności owych wyjaśnień, poznając po niewczasie własną łatwość i nienauczona poprzedniami zawodami,

zawsze gotowa jest uwierzyć w nowe . . . pro-
roctwa.

Moglibyśmy tu, niestety, przywieść długi szereg dat, na jakie zapowiadano „koniec świata,” opierając przepowiednie na rzeczach, nie wspólnego z owym fatalizmem nie mających. Każda zyskiwała mniejszą lub większą wiarę, a bywały także przepowiednie, co wywoływały powszechną trwożę i sprowadziły tym sposobem wiele nieszczęść.

Ciemne karty dziejów, na których zapisano się takie wypadki, pozostaną na wieki smutnymi pomnikami, wystawionemi jakby dla upokorzenia tych optymistów, którzy zapominając, jak nisko upadały miliony, — pysznią się i rozkoszują wielkimi kartami historii, na których zapisane są nazwiska Kopernika, Newtona i tylu innych geniuszów.

Światła! wołają dziś wszyscy, bo coż ludzkości z tego, że rodzą się geniusze, co orlim wzrokiem przenikają ciemności, a silnemi piórami wzbijają się ku słońcu — gdy miliony ich braci chodzą po ciemku, rozbijając się o poziome przeszkody.

Światła nam dajcie! wołamy do tej wybranej rzeczy uczonych, co zatopieni w rozpaniewianiu wzniosłych dzieł Bożych, lepiej i dalej widzą, niż my, przykuci do powszednich zadań życia. Opowiedzcie nam, czegoście się dowiedzieli, patrząc przez całe życie w teleskop i drobnowidz, śledząc całe życie nad księgami! Dajcie nam poznać choć małą cząstkę tych cudów natury, które podziwiacie, które zaprzatają codziennie myśl waszą, jakich odgadywanie ubiera przedwczesną siwizną głowy wasze, a czoło pokrywa brzożdżami. Wzrok wasz zmuszony, odłóżcie więc na stronę księgi i narzędzia, a opowiedzcie nam cośkolwiek o tym obszernym świecie, który obejmuje ziemię i wszystkie gwiazdy, opowiedzcie o jego trwałości i prawach, abyśmy się dowiedzieli, co stać się może z naszą ziemią i jaki koniec ją czeka?

Wszak musicie to wiedzieć!...

1.

Czy możemy przewidywać przyszłość?

Postawienie powyższych pytań uczonym, a w nich nauce samej do rozwiązania, zakrawa mocno na zachwalstwo, może nawet niektórych czytelników zniechęci do przeczytania niniejszejszej książki. Tym wszakże, którzy nierażają się pierwszym na-
potkaniem zdaniem, jakie im się niepodoba — mogą tu powiedzieć na usprawiedliwienie śmiałości i że stan wiedzy, pomimo braków, pozwala już na lekkie uchylene zastawy, nie tylko przeszłości ziemskiego globu, ale nawet i przyszłości jego.

Historja zapoznaje nas z przeszłością ludów, nie sięga wszakże nawet do początków rodu ludzkiego, zaciemniając się mocno za każdym tysiącolecie wstecz liczonem, a utrzymuje na 4-tym lub 5-tym tysiącu lat.

Gdzie wszakże dzieje przez ludzi pisane i ich poumniłi milną, otwiera się przed umysłem ludzkim inna dziedzina, dziedzina nauk, opartych na trwałszych jeszcze i pewniejszych dokumentach, aniżeli papyruchy i kamienne poumniłi, i pozwala nam z taką śmiałością, jeśli nie większą pewnością cofnąć

się umysłem wstecz i objąć bardziej odległe czasy, gdy lat nie miał jeszcze kto liczyć na ziemi, bo nie wydawała ona jeszcze istoty rozumnej, jaką jest na ziemi człowiek. Pozwala ona nam poznać stan naszego globu nie tylko przed pojawieniem się na nim człowieka, ale i wszystkich stworzeń, gdy był jeszcze rozpaloną kulą gazową, a nawet pozwala sięgnąć myślą do tej oddalonej epoki, gdy ziemi samej nie było.

Świadkami jej narodzin i stopniowego rozwoju było całe niebo gwiazd. Świadki te, wraz z samą ziemią, począł człowiek troskliwie badać, a to, co zeznały, mamy strzennie zapisane na kartach księgi wiedzy.

Badania nieufkończone, zeznania zdobywane z trudem, razą jeszcze brakiem spójni, ale ponieważ praca prowadzi się bezustannie, z coraz wzrastającą umiejętnością i zapalem — miejmy nadzieję, że pomnożą się wkrótce nasze wiadomości o tyle, że wypiszą dokładną historję ziemi.

Poznanie przeszłości ziemi uważamy już dziś dziś za rzecz możliwą i naturalną. Jakiż to już postęp od owych czasów, gdy nieprzypuszczano, aby można dowiedzieć się, co było przed dwoma dziesięcioma tysiącami lat, ba! gdy nawet nie przypuszczano, aby świat tak dawno istniał. Przypisywano każdemu zjawisku zupełną niezależność, wymyślającą się z pod wszelkiego rachunku, bo przyczyna ich tkwić miała w kapryśnej woli ziemskich potęg, działających dorywczo i bez planu. Dziś, odgadaliśmy w całej przyrodzie ścisłą i naturalną zależność wszystkich zjawisk, odgadujemy, że każde z nich ma swoją naturalną przyczynę, a zarazem będzie miało naturalny skutek — pytamy się o jedno i drugie póty, aż się musi odnaleźć.

Nikomui nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, aby jakie zdarzenie było pozbawione naturalnej łączności z szeregiem poprzednich zdarzeń. Jawną czy ukrytą przyczyną każdego zdarzenia jest i poznając kolejno coraz dawniejsze, zdobywamy dalszy ciąg nici, prowadzącej dalsz w zamierzającą przeszłość ziemi.

Jeżeli zstępując na dół po szczeblach drabiny przyczyn i skutków, przenikamy przeszłość — dla czegożby droga, odbyta myślą w odwrótnym kierunku, miała być bezowocną, miała zakrawać na niedorzeczność? Wszak zarówno tradycja, jak nauka, zachęcają nas do tego, albowiem mówi Piśmo św.: „Jeżeli kto pożąda umiejętności, wie przeszłe rzeczy i o przyszłych zdanie wydawa, znaki i cuda wie pierwej niżeli będą i przypadki czasów i wieków”; a w innym miejscu czytamy: „Pierwsze rzeczy, które były opowiedziane, a przyłożymy serca nasze i będziemy widzieć ostatnie rzeczy.”

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozwiązanie zagadki z nr. 27.

Ł ó ż k o.

Zagadka.

Po białej górze, gęsimi orze,
Czarne proso sieje, nigdy go nie zbierze.

Redaktor odpowiedzialny: Karol Bahrke w Głku, (Lyc. Dłpr.) — Druk i nakład: Karol Bahrke w Głku.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Ar. 30.

Ciś, na niedzielę dnia 28 listopada.

1897.

Obietnice Boże.

Z adwentem, w który teraz wstępuje kościół chrześcijański, zawitał nam nowy rok kościelny. Jakim on dla nas będzie? Tak pytamy się, a Słowo Boże odpowiada nam na pytanie nasze. Jestto słowo prawdy, niebo i ziemia przemina — może być w tym roku kościelnym przemina, — ale Słowo Boże pozostanie na wieki. I dla tego napewno możemy powiedzieć, że odpowiedź Boża nam dana na zapytanie nasze jest pewną i nieomylną. A cóż nam Słowo Boże mówi? Apostoł Paweł napisał to w liście do Koryntów w powyższej przytoczonych słowach. Krótka treść tych słów jest ta, że póki ziemia trwać będzie, póki ludzie na niej mieszkają będą, wszystko spełniać się musi, co Pan Bóg obiecał. I otuż więc w sercu powinniśmy rozpocząć nowy rok kościelny. I w tym roku kościelnym spełni Pan obietnice swoje dane kościołowi swemu. Je te obietnice rzeczywiście do kościoła się odnoszą, widzimy ze słów poprzedzających powyższe słowa św. Pawła. Tak bowiem powiada: „Allec wierny jest Bóg, iż mowa nasza do was nie była Tak i Nie. Albowiem Syn Boży Jezus Chrystus, który między wami przez nas jest opowiadany to jest przez mnie i przez Sylwana i przez Tymoteusza nie był Tak i Nie; ale Tak w Nim było“ (w. 18 i 19). O Chrystusie więc mówi św. Paweł, a o Chrystusie znowu mówi tak, że Chrystusa i on i Sylwan i Tymoteusz im opowiadali. Obietnice Boże więc stosują się do opowiadania imienia Chrystusowego. I zaprawdę, gdyby kościół tej obietnicy nie posiadał, gdyby pozostawał w wątpliwości, co właściwie opowiadać winien ludziom, nigdyby spokojnie, z otuchą, z wiarą i nadzieją nie mógł rozpocząć nowego roku kościelnego. Zbór Koryncki znał Pawła, wiedział, kim był Sylwan i Tymoteusz, i dla tego mogli być pewni, że ci mężowie nigdy im innej Ewangielii nie będą opowiadali jak Ewangelię Bożą, mogli więc się pocieszać obietnicami danymi kościołowi Chrystusowemu i być pewni, że jak w Chrystusie Bóg spełnił obietnice dane w Starym Testamencie i czasu swego zesał Go na ziemię aby się stał Zbawicielem świata, że tak s mo spełni i obietnice dane kościołowi i trzyma go przy wiernem opowiadaniu Ewangielii. Zdarzało się już wprawdzie za cza-

sów apostoła Pawła i to w tymże zbiorze Korynckim, że na raz po wsze czasy założonym fundamencie rozmaicie budowano, nie zawsze szczerze złoto ale częstokroć i słoń, ale właśnie dla tego pisał o tem Paweł i przestrzegał lud Boży, aby nie wierzył każdemu duchowi, ale raczej badał czy ci, którzy im Ewangelię opowiadają, takową wiernie i niesfałszowanie opowiadają lub nie. Obietnice Boże pozostaną wiekiste, Ewangielia Chrystusowa, choć Pawła i Sylwana i Tymoteusza już więcej niema, będzie jednak wiernie opowiadana; ale obietnice Boże nie przyrzekły, że nie będzie i błędnie Chrystus Pan opowiadany, owszem, Chrystus Pan powiedział, iż zgorzienia przyjąć muszą, że będą tacy, którzy do owczarni nie przez Niego się dostali, wilki drapieżne w owczem odzieniu, i woła na wyznawców swoich. „Strzeżcie się fałszywych proroków“. Tak tedy i w tym roku kościelnym spełnią się obietnice Boże — Ewangielia będzie w zbiorach naszych opowiadana, ale czy wszędzie wiernie i niesfałszowanie? Dobyłoby! Dobył pasterze nigdy nie zapominali na pomnienie apostołskie. „Każdy niechaj baczny jako na Nim buduje, każdego robota jawna będzie“ (1 Kor. 3 10—13). Dobył też zbory uczyły się badać tych, którzy im Ewangelię opowiadają! Celem zaś tego wszystkiego, tak opowiadania, jak badania jest jedno: „chwała Boża przez nas“. Apostoł ani siebie, ani współpracowników od tego nie wyłącza, nie powiada „przez was“ ale „przez nas“, albowiem zarówno pasterze, jak i zbory mają Boga chwalić. Pasterz, który opowiada Ewangelię usty a życiem ją fala, jest tylko najemnikiem; zbiorownik zaś słuchający tylko Ewangelię uchem, ale żyjący według ducha tego świata i ciała własnego, jest obtudnikiem i oszukuje samego siebie. W kim obietnica Ewangielii się przyjęła i chwałę Bożą zrodziła, temu też wszystkie inne obietnice, obietnice pociechy, ratunku i zbawienia w Chrystusie somicie się wypełnią; kto obietnicą ewangelii wzgardził, temu się też spełni obietnica Boża, obietnica zapisana w słowach Chrystusowych: „kto nie uwierzy potępion będzie“. Pytaj się więc czytelniku sumiennie, jaka obietnica tobie się spełni? Wszystko zależy od tego, czyś obietnicę Ewangielii przyjął ku chwale Bożej lub nie!

Pomoc w rękut Boga.

Kto rękot Boga ster nad sobą zwierzę
W nim samym tylko złoży zaufanie,
Temu, by cudem, łaska Boga zbieżę
W ciężkiej niedoli i w smutku otchłanie.
Bo kto w Wszehmocnym swe nadzieje kładzie,
Na granitowej buduje posadzie.

Cóż nam pomoga gorzkie łzy, strapienia?
Co ciągly smutek, niestanne skargi?
I te co rana z głębi serc westchnienia,
I to co szemrzą na złą dolę wargi?
Toż trudniej jeszcze znosić te fatysze,
Gdy ciężkim smutkiem ciągle trapiu duszę.

Ułojmy smutki na chwilę i żale,
I bądźmy radzi temu co Bóg daje,
Wielki w swej łasce, wielki w swojej chwale
I wszechwiedząca — wie czego nie staje,
Co nam potrzebne i cokolwiek zysci,
To pewnie zawsze dla naszej korzyści.

On wie też, jaką darzyć go rozkoszą
I co być może ku zbawieniu ludzi,
Jeżeli tylko szczerze serca noszą,
I nic w nich fałszem ni jest, ani ludzi,
Wówczas to prawie Bóg w swojej dobroci,
Szczodra swą ręką nędzę naszą złoci.

Nie myślże nigdy gdyś ciężko strapiony
Ze cię już Pan Bóg opuścił na wieki,
Ze sprzyja temu, który spanoszony,
Któremu szczęścia płyną całe rzeki.
Czas, który mija, czas odmiany niesie.
Wszystko się kończy po pewnym okresie.

Marność to wszystko dla Pana na niebie.
On, kiedy zechce, bogacza poniży,
Albo nędzarza, który żył w potrzebie
Wnieście swą mocą i do bogactw zbliży,
Gdyż ręka twoja, o wszechmocny Boże!
Tego dziś podnieść — tego strącić może.

Więc śpiewaj, módl się, drogą Pańską chadzaj,
A spełniaj święcie co jest Bogu mile,
Na niebios łasce ufność swą zasadzaj
A znajdziesz wszędzie Boską moc i siłę.
Bo kto w Wszehmocnym swe nadzieje kładzie,
Na granitowej buduje posadzie.

Koniec świata.

Przez Grażma Majewskiego.

1)

(Ciąg dalszy.)

Zamiar przeniknięcia przyszłości, widać z tego,
nie jest ani płonnym, ani świeżo zrodzonym w
sercu ludzkim. Wszak i dziś na małą skalę u-
miemy przewidywać przyszłość tem dokładniej, im
głębszą jest nasza wiedza. Są dziedziny, gdzie na-
wet wszyscy przewidujemy tatową. Dziś np. za-

szło słońce, nie widać go już, a mimo to wiemy,
że znowu jutro je ujrzymy. Rolnik rzuca ziarno
w ziemię i wie, że z tego ziarna na rok przysięży
urośnie mu kłos zboża, a wie jedynie na pod-
stawie doświadczenia. Ono nas upewnia, że
słońce wszędzie, a ziarno kłos wyda.

Na podstawie takiego samego doświadczenia,
ale nie każdemu dostępnego, opierają się tysiączne
przewidywania uczonych. Kapitan austriacki, Wie-
la, dostrzegł w roku 1826 kometę, która się póź-
niej stała powodem niemałego popłochu. Bo oto
na podstawie ścisłego, choć zawikłego rachunku,
astronom marsylijski Gambart obliczył jej drogę,
i doszedł, że będzie ona wracać zawsze co 6 lat i
trzy kwartały. Ukazała się też w istocie w jesie-
ni roku 1832, i w tym właśnie roku, skutkiem po-
myłki pewnego astronoma, narobiła ludziom strachu.

Stało się to mianowicie w ten sposób. Dro-
ga, jaką miała przebieść, krzyżowała się taż z dro-
gą ziemską, że w jednym punkcie komety winna
była przechodzić przez to samo miejsce, przez które
w miesiąc po komecie ziemia miała przebieść; nie-
fortunny ów rachmistrz ogłosił, że właśnie nastą-
pi na tem miejscu nieba spotkanie komety z zie-
mią, gdyż nie w miesiąc później, ale współcześnie
ziemia znajdzie się z kometą w punkcie przecięcia
się tych obu ciał niebieskich.

Ponieważ ludzie skłonniejsi są do uwierzenia
w gorszą możliwość, uwierzono mu w tym wy-
padku, pomimo gorących protestów ze strony re-
szty uczonych, i dopiero po niepotrzebnym prze-
strachu, przekonano się, że należało zaufać zdaniu
większości.

Na sprawdzonych więc i ścisłych naukowych
danych oparte są przepowiednie zaćmienia słońca i
księżycy, ukazanie się komet, plam na słońcu i t.
p. zjawisk. Wiemy więc co do wielu rzeczy co
będzie jutro, za rok, za sto lub tysiąc lat; za-
znaczę wszakże wypada, że nasza pewność nie jest,
a nawet nie może być zupełną, że nie wolno nam
żywić przekonania, iż to, czego się spodziewamy,
musi koniecznie nastąpić. Zupełna pewność ist-
niećby mogła tylko wówczas, gdyby świat cały
nie miał dla nas nic nowego, gdybyśmy wszystko
wiedzieli, a do tego niezmiernie jeszcze daleko.
Znamy świat w niektórych zaledwie przejawach fi-
zycznych, i to nie zupełnie dokładnie, trudno więc
nawet przy znajomości odnośnych praw natury,
być pewnym, że w ich wykonaniu nie przeskoczy
nie znane nam jeszcze siły lub nieprzewidywane
w danym wypadku. Ziarno np. może nie wydać
kłosa dla setnych powodów: może je susza zni-
szczyć, wilgoć zgnoić, robak może nadgryźć, ptak
lub mysz polna zjeść, człowiek lub zwierzę zade-
ptać może i t. d.

Podobnież i spodziewane jakiegokolwiek zjawisko
niebieskie może się opóźnić lub nie dojść do skutku,
z powodu nieprzewidywanych przez astronomów
przeszkód. Przykładu dostarczy nam raz już wspo-
mniana komety Biela. Gambart obliczył, że be-
dzie się ona zjawiać co 63¼ lat, alisci czekała
uczonych niespodzianka. W roku 1846, gdy zwró-
cono na nią teleskopy, ujrano nie jedną, ale dwie
komety obok siebie w jednym kierunku bąjące.

Podczas nowego przejścia w 1852 roku, dwie półtędy rozdzielonej komety Biela jeszcze więcej się oddaliły od siebie. Następne użazanie się komety przypadło na rok 1858, ale napróżno jej szukano na niebie. Przepadła, czy rozviała się — niewiedzianno. W tem wszystkim nie byłoby jeszcze nic zbyt osobliwego, ale komet Biela na nowo wzbudziła wśród uczony całego świata zainteresowanie, gdy w r. 1872 ziemia przebiegała bardzo blisko drogi owej komety. Obliczono, że gdyby ona frążyła po dawnemu po swej drodze, powinna być widzialną; otóż komety nie dojrżano, ale za to pojawił się niespodziewanie wspaniały rój meteorotów, zwanyh pospolicie „gwiazdami spadającymi,” i najściślejże obserwacje nad rojem, wykazały niezbitie tajemniczy związek owych meteorotów z przepadłą kometą. Świetny więc rój listopadowy, jaki roku 1885 moglibyśmy byli podziwiać 27 listopada, gdyby niebo było pogodne, jest zdaniem większości uczonyh, szczątkiem owej niefortunnej komety, co nastrączywszy ludzi w r. 1832, tak prędko sama uległa rozdzieleniu i przetrworzeniu się.

Z powyżżej powiedzianego spostrzegamy, że można przewidywać przyszłe rzeczy, niekiedy z wielką pewnością na podstawie naukowych danych. Nie wiemy tylko czy na drodze do spełnienia się oczekiwanyh faktów, nie stanie nieprzewidywana siła i nie zmieni normalnego biegu wypadków.

Stosując to do naszego przedmiotu, widzimy, że nauka, skoro poznaje przeszłość ziemi, w wielu razach pozwala na zrobienie zupełnie pewnyh wniosków co do przyszłości, tak samo pewnyh, jak wnioski codzienne o wschodzie słońca, nadzieje nasze co do ziarna zboża, i tysiąca tym podobnyh oczekiwani.

Czas więc już rozpatrzyć się w naszym zadaniu.

Mamy poznać przyszłe losy ziemi na podstawie znanyh nam jawnisk. Gdy poznamy dostatecznie przeszłość, już przez to samo dowiemy się, jakimu rozwojowi podlega ziemia i w jakim stadium jego żyjemy. Zadanie nasze trudniejsze jednak, aniżeli się to na razie zdawać może.

O ziarnie, rzucenem na rolę wiemy, że wyrośnie, albo wzejdzie, widzieliśmy bowiem tysiące innyh ziarn tego gatunku w całym przebiegu ich istnienia. Odrzými jednak glob, na którym mieszkamy, jest naszym rodzicielem, na nim zrodziliśmy się i umrzemy, a on nie zestarzeje się wcale przez tę małą chwilkę i trwać jeszcze będzie długo, bardzo długo. My, wczorajsi, znamy zbyt małą chwilkę jego trwania, krótszą stosunkowo aniżeli jedna sekunda w życiu człowieka. Za wążka to więc podstawa do trwałyh wniosków o całości ziemskiego życia.

Nie znamy prztem nic, coby się tak dało porównać z ziemią, jako ziarno z ziarnkiem. Wiemy wprawdzie o istnieniu gwiazd, które mogą być w głównyeh cechach podobne do ziemi, ale widząc je zaledwie w postaci błyszczącyh iskier lub pyłków, w żadnym razie nie znamy ich tak, jakby nam potrzeba było do sądzienia z nich o naszej ziemi.

Zadanie więc bardzo trudne, ale nie jest nierozwiązalnem; przypomnijmy sobie, że człowiek podobne już rozwiązywał. Czwier, z wykopanego skamieniałego zęba potrafił oznaczyć wielkość, postać i obyczaje nieznanego nikomu zwierza, który przed tysiącami lat ząb ten nosił w paszczy. Posądzano go o tworzenie bajek, domów jednak, że domysł nie był fantastycznym, znalazł się wkrótce. Odkopano bowiem szczątki zwierza, zupełnie zgodne z wizerunkiem, sporządzonym przez Czwiera.

Podobnie w astronomii, fizyce, chemii i prawie każdej nauce bystre umysły posiadające rozległą wiedzę, umieją przewidywać takie rzeczy, jakie dopiero późniejsze obserwacje dokładnie stwierdzają, przynosząc chwałę rozumowi ludzkiemu, który literalnie przenika tajemnice świata.

Dość przytoczyć znane wszystkim z astronomii nazwiska Kopernika, Herschla, Halleja i Leverriera, aby się o tem przekonać.

2.

Niebezpieczna fraina.

Wszędświat to ocean,
którego każda kropla zagadnieniem.

Mimo tych orzeźwiającyh refleksyi, gdy się zabieramy do poważnego roztrąsania zagadnień natury, musimy zatrzymać myśl, rwącą się do śmiałego lotu i zrobić z nią ściśły obrachunek: czyli posiada dość siły do przeniknięcia tajemnic, jakie spotka na swej drodze? Czy posiada tyle rozmagi, aby nie uleść halucynacyom i nie ufać nam urojonego obrazu zamiast rzeczywistości? Dławy powyższe nie są bezpodstawnemi. Uprawiedliwia je historia nauki, posiadająca na swych kartach tysiączne dowody obłądów rozumu. Cała wiedza nasza składa się z tryumfów i upadków myśli, możnaby ją też podzielić na dwa wielkie działy: wiedzę prawdziwą i urojenia. Z pewnością drugi dział byłby większym.

Sprawiedliwość faże nam wyznac, że zupełnie pewnyh wiadomości mamy niezmiernie mało. Właściwie rozprawiamy o wszystkim, niema tajemnicy, o którejby ten lub ów nie mniemał, że ją odgadł, ale postęp wyswietla błędy i drugocze zbyt często piękne teorie.

Dlaczego większość usiłowań chybia celu?

Na czele innyh przyczyn postawiłbym fakt, że zbyt pohopnie i zuchwale biorą się ludzie do objaśnienia zjawisk przyrody. Rozumujemy przed czasem, i dlatego rozumowania nie są trwałe, dlatego obala je lada nowe odkrycie. Zadużo naraz chcemy wiedzieć, nie lubimy tajemnic i zagadek! wieje gorączkujący ludzkość prąd żądry wytkłomaczenia sobie bądź co bądź wszystkiego, na czym spocznie nasz umysł. W tej pogoni dopóty nie znajdujemy spoczynku, dopóki nie wyszperamy w nagromadżonym zapasie różnyh teoryj — odpowiedzi najbardziej nas zadowalniającej. Szukamy z intencją znalezienia i jak spragniony beduin, zbłąkany w piaszczach pustyni, pótę tęskni za źródłem i szuka go, póki mu siły starczą; a nieznalazszy, w przedśmiertnej gorączce, widzi się naraz wśród oazy, u stóp strumyka, — tak i myśliciel, zmęczony się bezowocnem poszukiwaniem, upada

pod brzemieniem nad siły i bierze miraż lub
obrazy zagorączkowanej wyobraźni za rzeczywistość.
Dgłasza ludowi swemu poważne niby wyniki ba-
dań naukowych i prowadzi umysły na rozdroża.

Szukamy jednego wyjaśnienia, jednej prawdy,
boć dwóch prawd być nie może, a znajdujemy
mnóstwo odpowiedzi do wyboru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Raduj się serce moje.

Raduj się serce moje,
A odpędź smutki precz;
Czyliż te ciężkie znoje
Tak wielka dla cię rzecz,
Byś legło i nie wstało?
O! raczej przyjmuj to,
Co Bogu dać się zdało
Z weselem a nie łzą.

Kiedy Bóg zsyła nędzę.
On dobra twego chce;
Nie zawżę w dni twych przedzę
On wpłatał samo złe.
Tyś uciech gresznych radę
Próżności pełen marnych,
A na tej drodze: zdrady,
Przepaści stek poczwarnych.

A jeżeli też niekiedy
Z cierpień przyjdzie czas,
Do Boga wracasz wtedy,
Żarliwość wstaje wraz,
Modlitwa twa ma siłę
Z ufasz w Bożą moc,
A Pan że mu to miłe
Rozprasza flegm twych noc.

Więc krzep się duszo z miarą
Z w pośród ciężkich strat,
Z pomyśl jaką miarą
Bóg darzył w ciągu lat
Więc przed nim złóż co boli
Z wzmocnij umysł swój,
Wierz w boli i niedoli
A spłynieć szczęścia zdrój.

Zbaw wszystkim Bożej mocy,
Nie szemraj tak nie tak,
On przyjdzie ku pomocy,
On wie czego ci brak,
On nigdy cię nie zdradzi,
On mądry, wielki w dziele
O tobie także radzi,
Więc mu zaufaj śmieie.

A choćby też i zwlekał,
Cierpliwym przecie stój;
On też z miłością czekał
Dla prośby odgłos twój
A jeźlić długo trapi,

To lepiej skończy się,
Bo choć się Bóg nie kwapi,
Z to na szczęście twe.

Rozmaitości.

— Dobra sposobność do zbgacenia się.
Pewien bogaty kupiec nazwiskiem John Kewit
zamieszkały w Londynie 10 pasternoster Row.
przed 10 laty wywiesił w oknie swego magazynu
ogłoszenie, że wypłaci 10,000 fun. szterlingów
czyli 200,000 marek tym, którzy mu wykażą, że
nauka kościoła rzymskiego zasadza się na Piśmie
świętem i chociażby jednym wyrokiem z ksiąg
Starego lub Nowego Testamentu dowiodą: że
Piotr św. był księciem apostołów, że nie był żo-
natym, był biskupem Rzymskim i że Papież jest
namiestnikiem Chrystusa i następcą Piotra św.;
że tylko księża mają przyjmować komunię świętą
pod dwoma postaciami, świeccy zaś ludzie tylko
pod jedną; że oprócz Chrystusa mamy innych po-
średników między Bogiem i ludźmi, że oni mogą
nas zbawić i że do nich modlić się należy nato-
niec, że istnieje czyściec i że nasze modły mogą
znajdujące się w nim dusze wybawić. Tym spo-
sobem za każdą odpowiedź wypada pokaźna suma
50,000 marek. Ponętny zarobek lecz nie łatwo
go osiągnąć. Dotychczas bowiem nie znalazł się
nikt, ktoby otrzymał choć jedną nagrodę. Wpra-
wdzie wielu starało się dać požądane odpowiedzi
lecz wszystkie one były gołosłowne i nie poparte
dowodami z Pisma św.. „My wykazujemy sku-
szność naszej religii z tradycji a nie z Biblii“
pisali niektorzy. „Ciesz się mnie, pisze Kewit, że
wielu chce odpowiedzieć na moje zapytania i zaro-
bić obiecany nagrodę pieniężną. Zutra oczy zo-
stały otwarte przez czytanie Pisma św. i teraz je-
stem przekonany, że także ich szukanie i badanie zapro-
wadzi do prawdziwego biskupa i pasterza dusz
naszych Jezusa Chrystusa, jedynego i doskonałego
kapłana.“ — Ciekawa ta wiadomość wzięta z pi-
sma „Christenbote.“

Rozwiązanie zagadki z nr. 29.

Drac gęśmi znaczy pierze,
Ktorem pisać na papierze;
Wiejscy ludzie używają
Z też w zach go trzymają.
Papier znaczy góra biała,
Gdy go wiejscy ludzie znają.
Kto się nie w baczności znajduje
Temu wiele tinty wyjdzie;
Wiele tinty na papierze
Bo się ma stalowe pierze.
Tego nigdy nikt nie zetrze
Co czarnego na papierze.

Jakób Kzepio z Kołtek.

Zagadka.

Szaryburz, ogon kusz,
Długie uszy masz.
Daj mi Boże do chojuny
A nie będę wasz.

Ł w a n g i e l i k

Bezpłatny dodatek do „Gazety Ludowej“

Ar. 31.

Cyf. na niedzielę dnia 19 grudnia

1897.

Bojaźń Boża.

Bać się Boga, znaczy, strasę łaski Bożej uważać za największe nieszczęście, i strzedz się grzechu dla Boga, jako najwyższego i najdoskonalszego dobra. Na tem polega dziecięcia i prawdziwa bojaźń Boża. Salomon w przypowieściach powiada: „Miłosierdziem i prawdą oczyszczenia bywa nieprawość, a w bojaźni Pańskiej odstępujemy od złego“ (16, 6). „Chodź w bojaźni Pańskiej na każdy dzień“ (23, 17). W księdze pierwszej Mojżesza w rozdziale 39, wierszu 9 czytamy: „Jakożbyś miał uczynić tę wielką złość i grzeszyć przeciwko Bogu“. Tobiasz pisze: „Wszystkie dni synu pamiętaj na Pana, Boga naszego, a nie chciej grzeszyć, ani nie przestępuj rozkazania jego, ale czyn sprawiedliwość po wszystkich dni żywota twego, a nie chodź drogami nieprawości“ (4—7). Psalmista Dawid woła: „Naucz mnie Panie drogi Twojej, abym chodził w prawdzie Twojej, a ustaność serce moje w bojaźni imienia Twego“ (Psalm 26, w. 11).

Chrystus Pan odpowiadając nauczonym w Piśmie i faryzeuszom na zarzut ich, iż uczniowie Jego nie trzymają się przepisów starszych, odpowiadając im słowami Proroka: „Lud ten zbliża się do mnie wargami, a serce ich daleko odemnie, — skarcił niewolniczą bojaźnią przed Bogiem, która w tem leży, iż cztymieł tego lub owego grzechu widocznie nie czyni, i stara się o spełnienie pewnych uczynków zatonu, jedynie tylko z bojaźni łary. To też w drugiej księdze królewskiej czytamy: „A choć się Pana bali, wszakże przecie bogom swoim służyli według zwyczaju onych narodów, żąd byli przeniesieni“ (17, 33).

W dziecięcej bojaźni podobamy się Bogu! „kocha się Pan w tych, którzy się Go boją, a którzy ufają w miłosierdziu Jego“ (Psalm 147, w. 11). „Albowiem jako są niebiosy wysokie nad ziemią, tak jest utwierdzone miłosierdzie Jego nad temi, którzy się Go boją. Jako ma litość ojciec nad dziaćkami, tak ma litość Pan nad temi, którzy się Go boją“ (Psalm 103, w. 11—13). „I którego miłosierdzie zostawa od narodu do narodu nad temi, co się Go boją“ (Ew. Łuk. 1 w. 50). Niewolnicza bojaźń jest obrzydliwością Panu. Jezajasz tak ostrzega lud Izraelski: „Tedy wnijdą do jaskiń skalnych, do jam podziemnych

przed strachem Pańskim, i przed chwałą majestatu Jego, gdy powstanie, aby ziemię potarł. Dnia onego wrzuci cztowieł balwany swe srebrne i balwany swe złote, których mu uczyniono, aby się im kłaniał, w dziury kretów i nietoperzów. I wnijdzie w rozpadliny skalne przed strachem Pańskim i przed chwałą majestatu Jego, gdy powstanie, aby potarł ziemię. Przestańcież ufać w cztowieka, którego duch jest w nozdrzach jego, bo za cóż on ma być poczytany? (Jezajasz r. 2 w. 19—22).

Uczucie bojaźni Bożej powinno się objawiać zewnętrznie, w słowach i uczynkach naszych, aby każdy poznać mógł, że o Bogu zawsze myślimy i ilekroć razy o nim mówimy.

Bojaźni Bożej sprzeciwia się bojaźń ludzi, jako mówi Chrystus Pan: „A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszę zabić nie mogą, ale raczej bójcie się tego, który może i duszę i ciało zatracić w piekielnym ogniu“ (Mat. 10, w. 28). Niema też tam bojaźni Bożej, gdzie się gardzi groźbami Bożemi, naigra z religii i nadużywa imienia Pańskiego (2 Mojż. 20, 7), jak mówi Prorok: „Oto nie obrzezane są uszy ich, tak że słuchać nie mogą; oto słowo Pańskie mają za hańbę i nie kochają się w niem (Jerem. 6, 10), a Psalmista powiada: „Niepobożny dla pychy, którą po sobie położył, nie pyta się o Boga, i wszystką myśl jego, że niemasz Boga.“ (Psalm 10, w. 4).

Bojaźń Bożą wszyscy znamy,
O nią pilnie się starajmy;
Kogo Bóg nią obdaruje,
Ten mądrości dostępuje.

Dar bojaźni pożyteczny,
Bo nam daje żywot wieczny;
O jej klejnot się starajmy,
Z czasu łaski korzystajmy.

Bojaźni Bożej dar wzięty,
Rodzi w sercach żywot święty;
Wielkie cnoty w duszach mnoży,
I nam dawa pokój Boży.

Bojaźń Pańska grzeszyć broni,
Zachowuje ob złej toni,
Nas utwierdza w cierpliwości,
I zwycięża w przeciwności.

To co w buszach naszych złego,
Bojaźń Pańska z daru swego,
W nich to wszystko naprawuje,
I przybytek cnot buduje.

Gdzie bojaźń Boża rząd wodzi,
Wszystko na dobre wychodzi;
Dobre tam są nasze sprawy,
I Bóg na nas jest łaskawy.

W niej dla grzesznych zdroj mądrości,
Silny bodziec do świętości;
Sprawiedliwość jej weselem,
Żywot wieczny głównym celem.

Nadewszystkie inne rzeczy,
Bojaźń Pańską miej na pieczy;
Niech jej lekce nikt nie waży,
Ona stoi na cnot straż.

Zaleca nam ją Duch święty,
Jako skarb ob Boga wzięty,
Który do pokory budzi,
Wiślej do Boga i ludzi.

Bóg poniży mnet hardego,
A wywyższy pokornego;
Na tych patrzy łaski twarz,
Co się z grzechów sami tarzają.

Ci, co żyli bez bojaźni,
Doświadczyli Pańskiej karni;
Wielkie czuli udręczenia,
W zgryzotach swego sumienia.

Prośmy Djea niebieskiego,
Byśmy mieli bojaźń Jego;
W sercu naszym ją chowali,
Według niej się sprawowali.

Daj to z nami przejednany,
Boże i Panie nad Pany,
Przez syna Twego miłego,
Za nas na śmierć wydanego.

Uczyń nam pramdziwej wiary,
Bojaźni z innymi dary;
A po tym doczesnym boju,
Daj wychnąć w wiecznym pokoju.

Koniec świata.

Przez Cezara Majewskiego.

2)

(Ciąg dalszy.)

Przy tym wyborze najczęściej nie rządząmy się zasadą ścisłości logicznej, lecz sympatjami, czemś, co by można nazwać powinowactwem myśli, nakazującym mimowoli uznać słuszność tego objaśnienia, które najbardziej pasuje do natury i dla naszego umysłu, które najbardziej nam się podobą.

Prócz tego, same zmyśły, które są, jak wiadomo, podstawą wszystkich naszych sądów, zawo-
dzą nas często. Gdyby one były doskonałemi narzędziami badania, błąd byłby niemożliwym, ale tak nie jest. Znacząca część wrażeń zmysłowych wprowadza nas w błąd, ciągle niemal ulegamy złudzeniom. Przypem mamy zamięł zmyśłów, a dotychczasowy do tego wszystkiego krótkość życia ludzkiego, przekonamy się, że w obec tylu przeszkód, niemożliwym jest dokładne poznanie przyrody, choćby w granicach zakreszonych danemi nam środkami fizycznymi.

W obec powiedzianego, jasnem będzie, że i pojęcia, oparte na doskonałych zmysłach, bywają niekiedy zupełnie błędne, a rzadko doskonałe. Wytworzony na takiej podstawie obraz świata, musi się niezmiernie różnić od rzeczywistości. Prawda, że sztucznymi zmysłami, jakie sobie człowiek zbudował, a do których należą: mikroskop, teleskop, spektroskop, odczynnik i chemiczne, barometry, termometry, i wszelkie narzędzia do mierzenia czasu, przetrzyszenia, objętości, wagi, ciepła, światła, elektryczności i t. d., coraz lepiej i dalej spozieramy w świat wielki i mały, coraz więcej pojmujemy i zdobywając nowe widnokręgi myśli, poznajemy z czasem błąd i prostujemy go; ale już z tego samego faktu wypływa pewnik, że nasza wiedza jest niedoskonałą, bo doskonali się... że jest raczej materjałem, na którym się wesprą wiadomości przez następne uzbierane wieli i wspólnie postępują do wybudania skończonego obrazu przyrody, o tyle przynajmniej doskonałego, o ile natura człowieka pozwala sięgnąć w tajniki wszechświata.

Wszelkie teorie i przypuszczenia są niejako wzorzystą mozaiką, ułożoną kunsztownie z maszy faktów, których nauce wciąż przybywa, i które można by nazwać drobnymi utami prawdy, drobnymi pewnikami. Z takich utamów budują uczeni swą mozaikę, zwaną teorią i hipotezami, ukł-
dając fakta jak im się zdaje najwłaściwiej. W każdym razie kombinacje te, jako dzieła ludzkie, mniej lub więcej okazują się nietrwałymi wobec postępu wiedzy, który gromadzi coraz więcej pewnych faktów. Często teoria niedawno kunsztownie ułożona, musi być zrujnowana przez odkrycie drobnego i napozór nieznacznego faktu, bo polega się, żeśmy miejsce próżne, dla niego przeznaczone przez Mądrość Przedwieczną, zapelnili zbyt pośpiesznie innym kamieniem.

Wszędzie też, gdzie mamy za mało faktów, a chcemy je w pewien system uszykować, możemy się bardzo pomylić, bo ktoś zgadnie, ile faktów potrzebnych do poznania całości nie znamy, i co one przyniosą, gdy je poznamy?

Wyłoby też że wszęch miar lepiej, raz już stan naszej wiedzy uznać za niedoskonały, przyznać się szczerze tam, gdzie jej brak do niewiadomości, aniżeli niedostatkami sztucznie zamazywać mrzonkami i przypuszczeniami, a niczem pewnem nieugruntowanymi, które też lada odkrycie obala, niszczy i rozprasza.

Wprawdzie naukowe dzieła byłyby przez to o wiele skromniejsze, mniejby było w nich śmiałych, błyskotliwych, często genialnych zdań i pomysłów,

ale za to więcej prawdy, więcej wiedzy! Wyszli-
byśmy łatwiej i prędzej z błędnego koła osobistych
złudzeń i trócili drogę do osiągnięcia największej
sumy prawdziwej wiadomości o świecie.

Ala, niestety! naturę ludzką trudno przerobić,
pozostanie więc podobno i nadal jak było, a ludz-
kość dojdzie do celu po większych wysiłkach i dłuż-
szym błędzeniu! Będzie się powtarzać w przy-
szłości ta sama historia wybiegania naprzód, błę-
dzenia i cofania się. Po odkryciu nowych faktów,
upadnięciu filka pojęć, uczeni uszytują fakta na nowo
i lepiej, choć może jeszcze nie zupełnie prawdziwie,
a tak, powoli wiedza będzie się stawiać coraz bliż-
szą prawdy. Niewiadomo tylko, kiedy zabłyśnie
tak jasnym światłem, aby rozproszyła te przynaj-
mniej cienie, jakie dostrzegamy w obecnym stanie
naszej wiedzy!

Doprawdy, trzeba tylko być choć trochę miło-
śniewem przyrody, choć kiedy niekiedy uważniej
spojrzeć w niebo przez teleskop, lub w kroplę wo-
dy i życie komórek przez mikroskop, aby przejąć
się głębokim uszanowaniem dla wiedzy, podziwem
dla pełnej tajemniczości cudów przyrody! Śeśli
pycha i duma nie zagłuszyły jeszcze w nas le-
szego pierwiastku, wtedy z rozkoszą schylamy głó-
wę przed niewidzialną potęgą, której zdumiewające
dzieła w tylu rozmaitych dziedzinach podziwiamy;
wtedy przy całej swej małości, czujemy się wy-
wyższeni, bo już samo przeżycie, że jesteśmy
w stanie umiłowić te cuda, a niektóre z nich ro-
zumieć, napędza nas słuszną dumą i wlewa w
duszę błogą nadzieję, że kiedyś, kiedyś, kiedyś be-
dziemy je lepiej rozumieć...

3.

Wszelświat. — Nieskończoność.

„Podobnie, jak symfo-
nia Beethovena nie może
się zmieścić i być oddaną
w jednym akordzie, tak i
wszelświat nie może się
zmieścić w umyśle
człowieka.”

Znajdujemy się w noc ciemną i pogodną na
miejscu otwartem. Samotność, w obec majestatu
natury, wpływa na nas uroczym. Bezwiednie zapo-
mnieliśmy o prozie życia, zerwaliśmy nici, wiążą-
ce nas z ziemią i wzrost podnosi się na niepania-
ły rój gwiazd, migoczących nad naszą głową, za-
tapia się w ciemne niebiosy otchłanie, rąbby też
wszystkie jego tajemnice przeniknąć... błędzi od
gwiazdy do gwiazdy i nie może się od nich oder-
wać. Czujemy, że migoczące światła mogłyby
nam wiele ciekawych rzeczy wyjawić, ale tajemni-
czego ich języka nie rozumiemy. W okół cisza.
Złudzeni tym głębokim spokojem, gotowiśmy za-
pomnieć, że na ziemi gwar, i życie panują w tej
chwili.

Uroczyste milczenie nocy w takich momentach
ma w sobie coś czarownego i uszlachetniającego
zarazem. Człowiek staje oko w oko z majestatem
natury, niemającym nic wspólnego z pospolitym
wirem życia, z którego objęć wyrwaliśmy się, ży-
cia podsyćanego tylu bodźcami, rozmaitej wpra-
wdzie, ale rzadko podniosłej natury. Tu poró-
wnujemy nikłość naszego istnienia z ogromem

świata, komarzą siłę z potęgą rzutu milionów
brył, krążących po przestworzu niebios, a rozum
nasz z tajemniczością kodeksu przyrody. To nas
wkrótce pognębia. Schylamy w zadumie czoło...
ale po to, aby je wyżej podnieść po chwili. Ze-
pęsa częśćka nasza budzi się, rwie do tych taje-
mniczych krain, nie zdając sobie sprawy dlaczego?
I wtedy zachwyceni podśluchujemy, czy z tamtej
strony od owych iskrzących się światów, nie doj-
dzie nas głos jaki, ale napróżno! Cisza i mar-
twota panuje tam wszechwładnie, nic nie zamęca
milczenia nocy, chyba szemry ziemskie. Mimo to
zmysły nas łudzą. W głębiach nieba nie tak spo-
kojnie i nieruchomo, jak się zdaje. Panuje tam
życie, podobnie jak na pyłku, zwanym przez nas
ziemią. Sami nawet dostrzegamy kiedy niekiedy
hyżo zjawiającą się gwiazdkę, co przebiega lotem
strzały, jak iskierka, czarne tło nieba, aby zniknąć
w przepaściach, a człowiekowi dać nowy przedmiot
do rozmyślań. O ruchu w przestworzach świadczy
jeszcze wymowniej meteorit świetny (uranolit),
gdy w szybkim biegu, rozpalony tarcie o ziemską
atmosferę, oświetla kolorowym blaskiem część
wzrostu i pełnąwszy nareszcie z trzaskiem, spada
na ziemię, zostawiając w postaci kamieni nama-
calne świadectwo, że nie był bynajmniej ani
utworem wyobraźni, ani gazem nieujętym, lecz
twardą, zbitą w przestrzeni bryłą, złożoną ze
znanych nam pierwiastków.

Wszystko się na niebie, a raczej w niebie
porusza. I my wraz z ziemią jesteśmy w niebie,
a storo należymy do tej krainy, podlegamy tym
samym prawom, jakie rządzą światem całością.
Gdybyśmy żyli i mogli obserwować nie przez je-
dną chwilę, ale przez lat tysiące, jasno byłoby spo-
strzegli, że niepodobna jest, abyśmy w ciągu kró-
tkiego naszego żywota, dostrzedz mogli widoczne
zmiany w położeniu wzajemnym gwiazd, pomimo,
że wszystkie są w ruchu, pomimo, że wszystkie w
rozmaite bążą strony świata z chyżością dla nas
nieodścignioną. Wszystkie słońca zataczają ogro-
mne w przestworzach kręgi, a lata swoje liczą
częstokroć na ziemskich lat tysiące. Żadna kula
niebieska nie pozostaje w spoczynku, ruch bowiem
jest konieczną własnością materii. Każda gwia-
zda to olbrzymi glob, otoczony może planetami,
na każdej wre może życie, jak na naszej planecie;
zamarło już, jak to może się stało na księżycu,
albo ma się dopiero pojawić... jak na Jowiszu
naprzykład, który prawdopodobnie jest obecnie je-
szcze zanadto gorącym i młodym, aby go mogło
ukoronować życie organiczne podobne do ziemskiego.

Ala dosyć tego! Wkręczyliśmy niepostrzeże-
nie w dziedzinę niebieskiej metafizyki, a rozwiązy-
wanie kwestii zamieszkałości światów nie jest
wcale naszym zamiarem. Cofnijmy się tedy co-
prędzej, pozostawiając innym wolne pole do spo-
rów w tej materii.

Gdy pomyślimy o rzeczywistych, stwierdzo-
nych rachunkiem (jak to niżej się okaże) odległo-

ściach, dzielących te błyszczące pyłki, rozsypane w nieograniczonej przestrzeni, o olbrzymich okresach ich trwania, a jednocześnie o tem, że wszystkie nie są wieczne, że czepa je także załłada, pytamy ze zdumieniem: co to jest ten wszechświat, prze-razający ogromem, co wzrasta, w miarę jak zdobywamy mytyczne punkta, a nawet co wzrasta w miarę jak usiłujemy natreślać mu granice?...

Czujemy, że to umysł nasz jest ograniczony, ale nie wszechświat, bo skoro tylko przez ustawiczne wysiłki rozszerzamy nasze pojęcia, poznajemy zaraz nowe, przedtem ani przypuszczane dziwy i nowe zagadki! Z jednej strony teleskop, z drugiej mikroskop otwierają nam nieskończoną perspektywę nowych cudów, a wyobrażenia nie może już po- dołać ani w ocenianiu olbrzymich wielkości, ani niezmiernych małości. Liczby tracą znaczenie, przestajemy je oceniać i rozumieć, stają się nu- żącą żmora, odrzucamy ją z niechęcią...

Wciąż udoskonalamy narzędzia, nowe odkry- wają widoki: mgliste plamki na niebie rozsypują się w tysiące błyszczących proszków, a tam, gdzie- śmy nic nie dostrzegali, występują nowe mgławice i nowe zagadki...

Niechęć dłużej nużyć czytelnika, rozciągając obrazy, wprawdzie rzeczywiste, ale przewyższając fantastycznością utwory wyobraźni najbujniejszych umysłów. Jeśli jest zamikowany w nauce przy- rody, znajdzie ich sam aż do zbytku, w przeciwnym razie będzie miał i tego za wiele, tem więcej, że muszę, zanim pójdziemy dalej, zwrócić jego uwagę na czas i przestrzeń. Pojęcia te o tyle sobie żartują z doświadczenia i postępu wiedzy, że dziś, po dwóch tysiącach lat usiłowań wcale nie bez- owocnych w innych dziedzinach, wracamy do da- wnych okresów, jakie czasowi i przestrzeni nadat nieśmiertelny Stagiryt, nauczyciel Platona. Przy- znamy, że są one niezmierzone, ale czy pojmie kto w całej pełni te tajemnicze wyrazy: nieskoń- czony, niezmierny?

Wyobraźmy sobie ziemię, lub też własne „ja“ spadające z szybkością ciężkiego kamienia w ot- chłań bezdenną, przypuścimy, że będziemy przez rok, przez tysiąc, a nareszcie przez młion lat w pro- stym kierunku spadać, omijając napotymane kiedyś niekiedy po drodze gwiazdy, i pomyślny, że po najdłuższem pasmie lat takiego spadania, nie zbli- żymy się ani na włos jeden do dna przepaści, ja- kie sobie wyobraża nas umysł, ale jakiego niema w istocie. Pomyślny, że po najdłuższej tego ro- dzaju podróży, będziemy tak dalecy owego dna, jak byśmy się wcale z miejsca nie ruszali. Wy- raz „upadać“ lub „spadać“ może mieć znaczenie na ziemi, lub wszędzie, gdzie przestrzeń jest ogra- niczona, w wszechświecie jednak, ponieważ ani wyższego, ani niższego punktu niema, wyraz ten jest bez znaczenia, nie nie wyraża i nie da się zgola zastosować. Toż samo ma się z czasem. Pojęcie czasu ma wartość względną, jest umó- wionym znakiem, którym oznaczamy następstwo zjawisk na ziemi, którym mogłoby się określać trwanie na wszystkich gwiazdach i planetach, ale

w wszechświecie pojętym, jako całość, czasu niema wcale, jest tylko nieskończoność.

Miliardy lat trwania nie wyczerpują ani se- kundy czasu w wszechświecie, bo dla niego niema końca, a raczej wcale czas niema znaczenia. Po- jęcie to nabiera wagi i treści, dopiero w zastoso- waniu do stworzeń, czas upływa dla ziemi, pla- net słońc i organizmów żywych, ale poza ich ob- rębem nie istnieje wcale. Wieć i sekunda są za- równo długie w wiekistej trwałości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń wieczorna dziecięcia.

Już słońce bieg skończyło
I tarczę swą odkryło,
Tam za tym pasmem gór.
Już gwiazdki zapłonęły
I nocną straż objęły,
Nam przyświecając z poza chmur.

Już anioł stróż zstępuje
I miejsce tam zajmuje,
Gdzie dobre dziecię śpi;
Wieć kończy swe zabawy
I wszystkie dziełne sprawy
I o aniołkach dziecię śni.

Rozmaitości.

— **Pieniądze sumienia.** Urząd skarbowy Północnej Ameryki zawiaduje osobliwym fundu- szem. Fundusz ten nazywa się „pieniądze su- mienia“, a ma taki początek. Pewien kwater- mistrz przeniemierył w ostatnich wojnach sumę wynoszącą około 6000 marek. Oszustwo to nie dało pokoju jego sumieniu, i postanowił jako Za- cheusz pieniądże te wrócić. Posłał tedy sumę tę do urzędu skarbowego z oświadczeniem, że to są pieniądze niesprawiedliwie nabyte. Przykład jego znalazł naśladowców. Urząd skarbowy założył z pieniędzy tych osobny fundusz, który w ciągu lat 20 doszedł sumy około 25,000 marek. Największą sumę złożył dotąd pewien urzędnik podatkowy z Chicago z oświadczeniem, że „pieniądże te wziął jako łapowe. Najmniejszą kwotę przestał ktoś z Massachusetts, 9 centów, ponieważ użył powtórze- nie marki pocztowej, która już raz była w użyciu. Jest to rzecz pigłka i naśladowania godna. — Czyby i u nas nie mógł być założony taki „fun- dusz sumienia“? Czybyś i ty miły czytelniku nie miał tam co do przestania?

Rozwiązanie zagadki z nr. 30.

Gdy coroczna jesień wstąpi,
Wtenczas żaden strzelec wąpi,
Oni stary, ani młody,
Aby oni w coś strzelali.
Niejeden buchnie zając w stronie,
Aby się w choinie schronić. J. Nizio z A.

Zagadka.

Pośród świata dąb stoi,
A do każdej chaty gałązki wisi.

